

11.201.120

STANISŁAW REMBEK

W POLU

OPOWIEŚĆ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958

W POLU

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXXI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV^e

STANISŁAW REMBEK

W POLU

OPOWIEŚĆ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958

Pierwsze wydanie „W Polu” ukazało się w
1937 r. nakładem Instytutu Wydawniczego
„Biblioteka Polska” w Warszawie.



II 201.520



1958 N 1384/2

— Wszystko mi tu łamkie, kruche,
Gdzie obrócę dłoń, ruina —
Wieją wiatry na posuchę,
Na posuchę iłknie ślina.
We mnie, w świecie, grób —
[dwa słowa
Umiem przecie...
Grabarzowa
Dłoń żelazem je dokończy.

NORWID

M a r y s i e n c e

PO ŚMIERCI KAPRAŁA GÓRNEGO

I

Rzeczywiście wszystkie nieszczęścia siódmej kompanii rozpoczęły się wraz z dniem, w którym zginął kaprał Górny.

Zdaje się istnieć pomiędzy pewnymi wypadkami niedostępny dla ludzkiej logiki związek, jak gdyby świat stanowił jednolity mechanizm, gdzie poruszenie najdrobniejszej nawet cząstki może spowodować nieoczekiwaną reakcję całości. Te same sprzęgła, które łączą katastrofę kolejową z rozkręconą śrubą w szynie, zdają się łączyć z nią także zająca, przeskakującego tor przed pędzącym ku zagładzie pociągiem.

Każdy żeglarz, każdy lotnik, każdy górnik, kolejarz, strażak czy żołnierz: wszyscy ludzie, zbratani z wodą, powietrzem, ziemią, ogniem i zwierzęcym instynktem walki, żywiołami, które składają się na całokształt naszego bytu, będą zawsze uważali za rzecz dowiedzioną, że najbardziej błahy postępki, ba! nieostrożne, „w złą godzinę” powiedziane słowo w tym niedocieczonym splocie przypadków, jaki stanowi ich żywot, ma tajemną moc decydowania o powodzeniu ich poczynąń, a nawet o istnieniu ich cielesnej powłoki. Nie ma argumentów, aby im wytłumaczyć, że trzeci papieros, zapalony tą samą zapałką, nie może wpływać na kierunek pocisku, a zdjęcie fotograficzne na sprawność silnika samolotu.

Bo wiara to zawsze co innego niż wiedza, a myśl — niż doświadczenie.

Także i w tym wypadku żaden mędrzec nie zdołałby wykryć rozumnego związku między śmiercią Górnego a niepowodzeniami, które niedługo potem zaczęły nękać oddział.

Bo przede wszystkim dzisiaj można to już stwierdzić bezstronnie i stanowczo, że zmarły kapral bynajmniej nie odgrywał w kompanii jakiejś wybitnej roli. W żadnym wypadku za życia nie przejawiał tych zdolności bojowych i organizacyjnych, jakie później dopiero zaczęto mu przypisywać. Nigdy też żadne jego dążenia, namiętności czy wpływy nie zaważyły na losach oddziału. Mało tego. Nikt z tych wszystkich, którzy tak chętny brali udział w rzewnych wspominkach nieboszczyka, nie interesował się nim przed jego śmiercią.

Bo Górny żył nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Najlepszym tego dowodem, że nikt później nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się pojawił w kompanii. To pewna, że już w łódzkich koszarach ukazywała się na apelach i zbiórkach jego wielka postać o spokojnych, miękkih ruchach słońca, o okrągłej, jasnej i świeżej jak brzoskwinia twarzy i o błękitnych, roztargnionych oczach rozbudzonego w pogodny ranek dziecka.

Przychodził zawsze ostatni i stawał w szeregu podoficerów w swej nieco za małej maciejówce, spod której wydobywały mu się na czoło białe proste kosmyki nigdy nie uczesanych włosów, w swej zielonej kurtce „wehrmachtowej” z szerokim na pośladku rozporkiem i w olbrzymich jak rury od pieca a wysokich poza kolana brązowych butach. Były one zawsze tak starannie wyczyszczone, że wyglądały jak nowe: jedynie kształt ich tudzież ciemne plamy, przebijające gdzieniegdzie na przyszwach, świadczyły najwyraźniej o ich pochodzeniu jeszcze od pruskich huzarów śmierci.

Nigdy nikomu ze zwierzchników nie przyszło do głowy zwrócić mu uwagę, badać go czy karać: żadne rozmowy z nim nie wykraczały poza szablonny raportów czy meldunków wojskowych. Może dlatego, że odznaczał się niezwykłym spokojem i milkliwością, a ludzie milczący mają zdolność budzenia szacunku dla swej indywidualności.

Jeszcze jedną jego cechą była niezmierna łagodność.

Na tym rysie jego charakteru najprędzej i najlepiej poznali się rekruci. Karne ćwiczenia pod nim były po prostu miłą przechadzką przy księżycu. Gdy dozorował zamiatania podwórza czy ulicy przed koszarami, czyszczenia ustępów, szorowania podłóg czy schodów, każdy mógł się wymówić od pracy, tak że w końcu kapral zostawał z tymi tylko, którzy byli za głupi, żeby się „kierować”, lub których onieśmiała — co się często zdarza — delikatność podoficera.

Ponieważ przełożeni również się na nim pod tym względem poznali, nie wyznaczano go więcej do takich zadań, które z natury swojej wymagały energii i nieugiętości. W koszarach więc pełnił obowiązki drużynowego i komendanta sali. Wywiązywał się z nich nadspodziewanie dobrze. Nigdy w powierzzonej mu drużynie nie było kłótni przy „fasunku” porcyj mięsnych, chleba, papierosów, płaszczy, mydła czy nawet przysyłanych później na front podarunków świątecznych w postaci ciepłej bielizny, nauszników, kominiarek i kożuchów. Jego dobrotliwie schylona gładka i promienna twarz, nieco przymrużone długie, dziecinne rzęsy i nieśmiały, cichy ton głosu miały dar uspakajania najbardziej wzburzonych umysłów. Twarz ta nigdy nie zmieniała swojego wyrazu, oczy tylko różowiały niekiedy od napływających łez. Zdarzało się to wtedy, gdy kapral zakładał binokle, zakładał je zaś zawsze, gdy grał na skrzypcach. Dlaczego? — trudno dociec, bo grywał bez nut, „ze słuchu”.

Były to oklepane melodie starych piosenek włoskich, ociekające łzami „romanse cygańskie” lub pretensjonalne kompozycje kabaretowe.

Początkowo żołnierze sarkali nieco na ten sentymentalny repertuar. Nieraz odzywały się głosy: „Panie kapral, teraz coś wesołego!” — ale Górny nie zważał na to.

Siedział na najwyższym piętrze drewnianych pryczy tuż koło słabej wkręconej w sufit żarówki. Jego olbrzymie buty lub grube skarpety szeroko zwisały nad głowami towarzyszy, krzątających się w nieustannym piekle rozkazów, kłatw i kłótni. Opuszczona wskutek bliskości pułapu głowa spoglądała w głęboką ulicę między rusztowaniami legowisk z tępą pobłażliwością różowo posiatkowanych oczu, wytrzeszczonych nad opuszczonymi na sam koniec nosa binoklami. Ściskająca szyjkę skrzypiec lewa ręka wiła się

nad ostrzyżonymi czaszkami niby łeb węża-dusiciela nad gromadą małp, igrających w podzwrotnikowym lesie. Trzęsła się przy tym jak dłoń mądrego a bezlitosnego proroka miotającego klątwy na padół głupoty i zbrodni.

Wkrótce przyzwyczajono się nie zwracać na to wszystko uwagi i drgające tony wypełniały stale „rejon” kompanii, niezauważalne jak promienie słońca, przesuwając się codziennie po natłoczonych salach równymi blokami, wypełnionymi przez nieruchome kolumny drobniutkich zawieszin.

To samo było później w pociągach, na kwaterach a nawet w okopach. Górny bowiem wszędzie woził z sobą swe skrzypce.

Wędrowały one w czarnej, podobnej do trumienki, skrzynce na wozie kancelaryjnym po zielonych rozdołach podolskich, po kolorowych pagórkach Wołynia, po szarych ugorach i chruśniakach białoruskich — wszędzie, gdzie prowadził bojowy szlak kompanii. Pomimo licznych zakazów utrzymywania w taborze kompanijnym zbytecznych przedmiotów nikt ze zwierzchników nie zdobył się na to, żeby wystąpić przeciw tej samowoli. Po prostu na podstawie jakiegoś milczącego porozumienia pozostawiono cichego kaprała na uboczu całego życia oddziału.

Tak podczas wyrębu lasu zostawiają drwale na rumowisku sędziwe i zmurszałe drzewo, na którym ktoś z nieznanych już nikomu powodów zawiesił małą kapliczkę.

II

Przy takim do Górnego ustosunkowaniu się starszyny był to zaiste szczególny wypadek, że zastępujący chwilowo dowódcę kompanii podporucznik Paprosiński wysłał go na patrol. Co prawda zadanie nie było zbyt poważne, a miało za osłonę bezkسیężycową noc czerwcową, która zdawała się zapewniać wyprawie całkowite bezpieczeństwo.

Tego właśnie wieczoru kompania zajęła odcinek nad rzeką Autą między wioskami Śmigalszczyzną i Chachulkami. Patrol miał za zadanie ubezpieczenie tego ruchu.

Okopy były nader pierwotne. Przedstawiały one jakby rozkopane kretowisko sięgające pasa rosnącego człowieka, pełne bezładnych załamów, dołów i usypisk wywalonego piachu, suchej ziemi leśnej i białych kamieni polnych. Zwisające u ścian rowów kłaki korzeni drzew, które w tym miejscu porastały pagórek, upodabniały je do długiej rany wyszarpanej na zielonej sierści ziemi.

Powstawały one z płytkich wnęk strzeleckich, jakie wyrwała dziesiąta kompania zatrzymawszy się tutaj po odrzuceniu bolszewickiej ofensywy majowej. Wnęki te zostały podczas nocy połączone rowami łącznikowymi, a później jeszcze kompania techniczna zaopatrzyła je na prawym skrzydle w dwa gniazda karabinów maszynowych, a na lewym — w schron, dość porządnie umocniony paru warstwami okrągłaków i pokryty darnią. Mieściła się w nim kancelaria oddziału, a prowadził doń wąski a głęboki chodnik.

Na jakie sto kroków przed grupami zarośli, zasłaniających okopy przed okiem nieprzyjaciela, płynęła Auta.

Była to właściwie wąska struga, sącząca się rdzawym korytem pośród grząskiej, ale wskutek ostatnich upałów wyschłej przeważnie łąki.

Na przeciwległym jej brzegu wznosiło się łagodne wzgórze, od połowy pokryte lasem, niby podgoloną czupryną szlachecką. Las ten przekraczał rzeczkę na obu krańcach odcinka: w okolicy Chachulek z jednej strony i za Śmigalszczyzną z drugiej. W ten sposób przed oczyma strzelców otwierała się tylko półkolista arena poszarzałej od słońca, ale nad samą rzeką silnie jeszcze zielonej łąki, porytej miejscami szerokimi lejami granatów i gęsto popryszczonej grupkami czarnych kretowisk. Arenę tę w dwóch kierunkach przecinały pasma zarośli nadbrzeżnych Auty i spływającego doń z lasu strumyka. Poza tym ze wzgórza zbiegały na nią pojedyncze drzewa i krzaki niby wysypująca się z boru tyralierka.

Całe to przedpole było dokładnie spatrołowane jeszcze przez odchodzącą do odwodu dziesiątą kompanię, od której właśnie przejęto odcinek. Któż mógł przewidzieć, że znajdzie się na nim bolszewicki kulomiot?...

Oprócz Górnego poszło sześciu zuchów. Wszyscy byli w kwaśnych humorach, bo zerwano ich ze snu po trudach zajmowania pozycji pod obstrzałem artylerii i przed



samą kolacją. Poza tym wyprawa nie zapowiadała się ciekawie.

Przebrnęli spokojnie rzeczkę, przedostali się do zarośli nad strumykiem i dochodzili już nimi do lasu, aż przed samym jego skrajem — jakby stado kuropatw zerwało się im spod nóg — załomotał tuż nad nimi ukryty w krzakach kulomiot.

Chyba z godzinę patrol wgryzał się w ziemię wśród zaciekłego bzykania pośpiesznego deszczu kul, spłoszonego łopotania rozdzieranych liści, rozgłośnego stukania ugodzonych pni drzewnych, sieczony pryskającą ziemią i kamylkami. Wreszcie wycofano się rakiem z duszami na ramieniu i powrócono do okopów bez jednej kropli krwi w roztrzęsionych wargach.

Nie wszystkim się to jednak udało: kapral Górny, starszy strzelec Banasiak i strzelec Józef Robak zostali.

Zdarzają się gorsze jeszcze nieszczęścia. Zwłaszcza na wojnie. Toteż kompania prędko przeboleła te straty. Józef Robak służył, co prawda, z dwoma braćmi Antonim i Michałem, były to jednak „ćwoki” z samego środka wsi, ogromnie tępe i niczym się poza tym nie wyróżniający, którzy — podobnie jak Górny — zbyt małą rolę odgrywali w oddziale, aby ich przeżycia, nawet takie jak śmierć brata, mogły się odbić głośniejszym echem w gromadzie.

Jednego Banasiaka żałowano naprawdę i wspomniano długo, pomimo że zaledwie parę tygodni temu zjawił się w kompanii. Ale był to prawdziwy „morus”, „cwaniak” i „myc”, jak go nazywał Jagusiak. Znał się na „wojskowości”, jak mało kto. Przebył bowiem u „Ruska” całą wojnę światową, potem kręcił się u bolszewików, aż dostał się do czwartej dywizji generała Żeligowskiego, z którą obijał się po różnych Odessach, Rumuniach, póki wraz z nią nie dostał się do kraju.

Przy tym wszystkim posiadał on najpewniejszy dar zdobywania sobie ludzkiej życzliwości: umiejętność opowiadania o swoich przeżyciach. Nie można się było nasłuchać, jak zaczął prawić o rozmaitych sławnych „wyżerkach” i „fasunkach”, o dziwnych obyczajach francuskich, angielskich, tureckich, rumuńskich, jakim się miał sposobność w świecie napatrzeć.

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu z marszówką do kompanii czuł się w niej jak u siebie w domu, a rządził

się jak szara gęś na niebie, nikomu się mimo to nie narażając.

Śmierć jego była tym żałośniejsza, że przybył do kompanii prosto ze szpitala, gdzie jeszcze od listopada dwiętnastego roku leczył się z ciężkiego postrzału w brzuch, otrzymanego w walkach pierwszej litewsko-białoruskiej dywizji nad Berezyną podczas ataku bolszewików na przyczółek Mościszcz.

— Opłaciło się to chudzinie tak długo lekować — biadano jakby żałując, że nie umarł od poprzedniej rany.

— Jeszcze mu nawet wszystkie nitki po tym szpitalnym zeszywaniu nie zdążyły wyjść z brzucha — lamentował Piesik. — Tak ci mu wylaziły prosto bez skórę, jak te glisty z roli.

I na te wspominki nie było jednak czasu, tej samej bowiem tak nieszczęśliwie zaczętej nocy cały front zajaśniał naraz od ognia artylerii i zaczął się atak bolszewicki.

Do białego rana trwała bitwa, jedna z najzażartszych, w jakich brała udział kompania. Trzy czerwone pułki przerwały front poznańczykom na prawym skrzydle i zdobyły na ich tyłach wieś Śmigalszczyznę. Wskutek tego kompania wraz ze swoją prawoskrzydłową sąsiadką — ósmą, która graniczyła z poznaniakami, znalazła się w ogniu krzyżowym tak gęstym, że żołnierze przysięgali, jakoby wśród bezustannego świstu rozróżniali niekiedy szczęk spotykających się pocisków.

Podporucznik Paprosiński śmiał się co prawda z tych dowodzeń, ale miał on już taką naturę, że lubił się wysmiewać choćby z najpoważniejszych rzeczy.

Obie zagrożone odcięciem kompanie zmuszone zostały opuścić swoje stanowiska, aby utworzyć rygiel, zagradzający nieprzyjacielowi dalszą drogę na tyły odcinka. Było to jednak zadanie niewykonalne. Bolszewicy zachodzili coraz szerzej i coraz większymi masami na prawe skrzydło, zwijając co chwila bocznymi uderzeniami ledwie rozciągnięty front w ten sposób, że obie kompanie były w bezustannym ruchu.

Ludzie biegali u kresu sił, fioletowi ze zmęczenia, ze zwisającą u otwartych ust gęstą, jadowitą śliną. Nie widzieli już nic spoza czerwonych plam i czarnego deszczu cętek, latających im przed oczyma. W dodatku czerwono i bezchmurnie wschodzące słońce biło im prosto w oczy.

Kiedy zaś jeszcze bolszewikom udało się ściągnąć na skraj lasu za Śmigalszczyzną ciężkie karabiny maszynowe, które na kształt potężnej o niewidzialnych ostrzach żniwiarki zaczęły kosić zboża i krzaki, stanowiące osłony polskich tyralierek — zupełny pogrom odciętych kompanii zdawał się nieunikniony. W ostatniej jednak chwili przeciwdziałanie odwodów pułkowych wyparło nieprzyjaciela z płożącej wioski i wyrównało z powrotem niebezpiecznie zagietą linię bojową.

Dopiero po sześciu godzinach walki kompania mogła spocząć na swych legowiskach. Żołnierze byli tak zmęczeni, że przez kilka godzin nie odzywali się do siebie ani słowem, zalegając tylko na kształt trupów wszystkie załamy rowu. Mimo to rezultat strasznej nocy nie dawał powodów do przygnębienia. Aczkolwiek straty pułku były poważne (trzydziestu paru zabitych i rannych, w tym dwóch oficerów ubyło z szeregów), to kompania jakby cudem wyszła z tych oparów bez najmniejszych strat. Mało tego: otrzymała zupełne zadośćuczynienie za nieudany patrol. Podczas bowiem przygotowania artyleryjskiego do przeciwnatarcia trzecia bateria nakryła zbrodniczą maszynkę ogniem tak celnym, że z krzaków, gdzie było jej gniazdo, oszaleli z radości piechurzy ujrzeni po jednym z wybuchów wyskakującą na kilka metrów w górę zieloną czapkę żołnierską.

Zdawało się, że będzie to ostatnim echem wieczornego wypadku, gdy tymczasem najbardziej złowrogą dla kompanii okazała się okoliczność, iż podczas smutnego zdarzenia nie był w niej obecny sierżant Dereń.

III

Gdy pułk stał jeszcze na litewskiej linii demarkacyjnej, Dereń zachorował na malarię i po długich namowach dał się nakłonić do pozostania w szpitalu polowym Nr 406 w Mejszagole. Na front bolszewicki wyjechano więc bez niego. Tymczasem zaraz na drugi dzień po śmierci kaprała Górnego zjawił się niespodzianie w okopach. Były

wszelkie poszlaki, że sprzykrzyła mu się kuracja i zdezer-tował z łóżka. Przede wszystkim mógł o tym świadczyć podziw, z jakim dowódca kompanii podporucznik Ludom-ski przyjął jego meldunek o powrocie do oddziału; a po wtóre wygląd jego nie pozwalał wierzyć w całkowite wy-zdrowienie. Sierżant był tak wychudły, że jego małe, sze-roko osadzone oczka czerniały gdzieś w szerokich lejach oczodołów, gruby, przetrącony nos wyciągnął się na kształt dzioba papugi, kości policzkowe i guzy zaznaczających się pod wyschlą skórą zębów trzonowych sterczały niby cho-robliwe narośle, a dołek w podbródku zamienił się w głę-boką dziurę. Był tak bezkrwisty, że twarz jego przybrała odcień ciemnopopielaty, przy którym niesamowicie odbijała bladość zeschniętych warg. Siatka drobnych kropelek potu na skurczonym wskutek zmarszczek czole zdradzała rów-nież zupełne wyczerpanie.

Mimo to zaraz po zameldowaniu się rozpoczął dro-biazgowy przegląd kompanii.

Było już dobrze po południu. Słońce opuściło się na dalekie tyły. Przedpole popręgowały długie, faliste cienie drzew i krzaków. Każde źdźbło trawy, każdy kopczyk kre-towiska, każde wgłębienie gruntu, każdy ślad ludzkiej sto-py wyrzynał się wyraźnie z krajobrazu, grubo podkreśl-o-ny przez zbliżający się zmierzch. Ciężka omdłałość napeł-niała wymęczoną całodziennym upałem ziemię. Strzelcy dopiero co wstali z wyczerpującego snu na słońcu i wałę-sali się brudni, leniwi i rozmamłani w oczekiwaniu spóź-nionego obiadu. Na widok sierżanta jednak w mig odzy-skali przytomność umysłu i żwawość ruchów zapinając odruchowo pomarszczone kołnierze i zakładając pasy. Ten chodził wzdłuż rowu kołysząc się niezdarnie na swych krótkich a potężnych nogach, rzucając od czasu do czasu błyski małych oczek. Gdzieniegdzie zatrzymywał się pochylając ciężki łeb, najeżony czterema rogami sztywnej czapy wojskowej, ale nic się nie odzywał, jakby odkładając na później swe straszliwe porachunki z podległym mu oddziałem.

Przeszedłszy w ten sposób cały okop zawrócił, rozejrzał się raz jeszcze i zapytał zmęczonym, jakby wyschlým głó-sem :

— Gdzie kapral Górny ?

Postępująca za nim w niewolniczej ciszy, czujna na każdy jego gest czy odezwanie gromada pośpieszyła z wyjaśnieniami :

— Kapral Górny ? Zabity ! Akurat wczoraj, panie sierżancie.

Krzyczeli wszyscy naraz, aż podoficer wrzasnął :

— Cicho ! Niech jeden mówi !

Umilkli więc i cofnęli się przerażeni, bo Dereń patrzył na nich z pochylonym kwadratowym czołem jak gotujący się do ataku byk.

Co prawda była to jego zwykła poza w rozmowach z podkomendnymi, obecnie jednak było coś specjalnie niepokojącego w tym tępym namyśle rozdrażnionego zwierzęcia.

— Gdzie zginął ? — zapytał znowu po krótkiej chwili śmiertelnej ciszy niespodziewanie łagodnie swym rozklekotanym wskutek choroby głosem.

Piesik, który sływał w kompanii jako „wazeliniarz”, wspiął się na palce, pokornym ruchem przechylił głowę na ramię i ledwie odsuwając od tułowia rękę, jakby obawiając się, że może to być poczytane za gest zbyt śmiały, ukazał nią na przedpole.

— Tam, panie szefie... O, niech pan szef uważa, jak te chałupy... Jak ten bór się kończy i zara ten zagajnik...

— Milczeć ! — huknął znowu nie wiadomo czym poruszony sierżant, aż Piesik błyskawicznie cofnął rękę do tułowia. — Nic mnie to wszystko nie obchodzi ! Pytam się : gdzie ?

Żołnierze byli już tak strwożeni, że żaden nie śmiał się odezwać. Zresztą nie wiadomo było, o co straszliwemu zwierzchnikowi chodzi. Stał przed nimi rozkraczony na swych grubych, nastroszonych owijaczami łydach z cofniętymi głęboko w tył kolanami, z pochyloną kańciastą twarzą, jakby przeżywając zamysł niesłychanie groźny.

— Czyście pogłuchli ! — skrzeczał coraz głośniejszym w napadzie histerycznej rozpaczki. — Nie rozumiecie, co znaczy „gdzie” !

Dopiero plutonowy Zajączkowski wpadł na właściwą odpowiedź :

— Na patrolu, panie szefie.

— Aha — odsapnął Dereń, jakby usłyszał niezmiernie odkrywczcze zeznanie.

Wszyscy również doznali ulgi, tak że Piesik zaryzykował nowe wyjaśnienie :

— My, panie szefie, poszli wczoraj na odwieczerz, nawet już było kole północkska, w szóści — źle mówię — w siódmi, aż tu bolszewik...

— Dosyć już, do ciężkiej cholery! — przerwał mu ponownie rozwścieczony podoficer.

Widać było, że cały dygocze z gniewu. Przez chwilę patrzył na swych podwładnych przękrwionymi oczami, potem naraz odwrócił się i odszedł.

Żołnierze długo jeszcze stali nieruchomo, spoglądając po sobie z trwogą. Nikt nie rozumiał, co to wszystko miało znaczyć.

Tymczasem ponury sierżant udał się do dowódcy, który właśnie prowadził jakąś zajmującą rozmowę z podporucznikiem Paprosińskim i starszym sierżantem Sołyszka.

Wszyscy trzej znajdowali się w chodniku przed schronem. Obaj oficerowie bez butów, w spodniach tylko i rozchełstanych koszulach, siedzieli w małych pozach na zapleczu z papierosami w rękach, Sierżant-szef Sołyszko, który przebywał zwykle wraz z plutonem odwodowym w Chachulkach, stał przed nimi przybywszy widocznie z jakąś nowiną czy po prostu świeżym „kawałem”. Był tylko w gaciach i jakiejś cywilnej kraciastej kamizeli, rozpiętej zupełnie i nie wiadomo po co wdzianej na nagie plecy.

Gdy Dereń zatrzymał się obok niego, usunął się natychmiast zaciągając się papierosem w sposób ujawniający dyskretnie niechęć do sierżanta.

Podporucznik Ludomski również spoważniał lodowato, jak urzędnik, któremu interesant przerwał rozmowę z kolegą. Obróciwszy się ku przybyłemu odpychającym jakby ruchem, rzucił z lekkim ziewnięciem zniecierpliwienia :

— A, sierżant Dereń ! Coście tam znowu znaleźli ?

Podoficer ściągnął do kupy swe olbrzymie trzewiki z zadartymi błazeńsko noskami, wygiął przepisowo łokcie pragnąc widocznie na wstępie zaznaczyć powagę chwili i zapytał ochryple :

— Panie poruczniku, gdzie kapral Górny ?

— Kapral Górny ? — podchwycił zdziwiony dowódca. — Jak to, czyż jeszcze nie wiecie ? Zginął wczoraj na patrolu.

Dereń milczał przez chwilę, jakby z trudem usiłując zrozumieć wyjaśnienie, aż wreszcie zapytał znów jeszcze bardziej skrzypiącym głosem :

— Jak to „zginął” ?

— Jak ? Zwyczajnie. Zastrzelili go z maszynki.

— A kto ?

Pytanie było tak niespodziewane, że obaj oficerowie wybuchnęli śmiechem, a szef kompanii spojrzał na nich porozumiewawczo, jak człowiek doskonale rozumiejący śmieszność sytuacji, ale któremu nie pozwalają ujawniać uczuć pewne delikatnej natury okoliczności. W tejże jednak chwili opanowano wesołość, bo sierżant skulił się w jakiś niesamowicie pokorny sposób.

— Cóż to za pytania dajecie ? — zakrzyknął z lekkim gniewem dowódca. — Nie wiecie, kto stoi naprzeciw nas ?

Derenia nie zbiło to z tropu.

— Ja wiem, że bolszewicy — cedził z fałszywym spokojem — ale dlaczego ?

Pod porucznik Ludomski ściągnął brwi. Był on skłonny do gniewu w ogóle, a teraz upór sierżanta wyprowadził go już z cierpliwości.

— Dlaczego ! dlaczego ! — zaczął powtarzać dosadnie. — Spytajcie ich, to może wam powiedzą !

Derenia i to nie zmieszało zupełnie.

— A pan porucznik nie może ? — zapytał z naciskiem.

Oficer zapalczywym ruchem spuścił w chodnik nogi i cisnął z rozmachem niedopałonego papierosa.

— Czyście z byka spadli ? — wrzasnął w ostatniej pasji. — Cóż to za durnia strugacie dzisiaj z siebie, do stu jasnych !...

Twarz sierżanta pociemniała, wargi mu drżały, zacisnął zęby, aż skóra pod uszami zaczęła mu falować jak u zdychającego konia.

— Pewnie, że jak im posłać człowieka pod sam wylot, to go zastrzelą. Dlaczego nie ? — ciągnął brzęczącym, nudnym głosem.

— Więc co, do stu piorunów ? ! Więc to ja go może umyślnie posłałem ?... Co ?...

Dereń kręcił głową w chytrze domyślny sposób.

— Ja tego nie mówię, ale mi dziwno. Tyle lat służyłem razem z Górnym, jeszcze w pierwszej brygadzie, i ni-

gdy nie był nawet ranny, aż tu ledwie odszedłem na parę tygodni... Nie wiem, w jaki sposób...

— Jeśli nie wiecie, to się powieście !

Podporucznik Paprosiński, który zaczął teraz patrzeć na Derenia z pewnym współczuciem domyślając się, że śmierć kaprała musiała go dotknąć szczególnie, zapytał :

— To Górny był w pierwszej brygadzie ?

— A był — odburknął zagadnięty nie odwracając się nawet ku niemu.

— Czegoż jeszcze stoicie ? — huknął wtedy podporucznik Ludomski. — Możecie odejść !

Podoficer zasalutował, jakby był w łódzkich koszarach, nie na froncie, i odszedł bez słowa.

Żołnierze trwożnie przyciskali się do ścian rowu robiąc mu przejście. Nie zwrócił na nich uwagi zupełnie.

Dowódca kompanii nie zdążył się jeszcze wysapać.

— A to ci mnie zdenerwowało to zakute bydlę ! — zawołał tak głośno, że Dereń mógł być go jeszcze dosłyszeć. — Czego on chciał właściwie ?

Podporucznik Paprosiński był zadumany.

— Widocznie Górny był jego przyjacielem. Chociaż nikt by tego nie przypuścił.

Wesoła przed chwilą rozmowa zwarzyła się.

IV

Podporucznika Paprosińskiego zajście z Dereniem zainteresowało szczególnie. Uważał się on za znawcę ludzi, których lubił klasyfikować sobie według pewnych cech psychicznych i umysłowych. Każdego świeżo poznanego osobnika pakował w ten sposób do gotowej szufladki w składnicy swojej pamięci. Miał nieśmiałą nadzieję wykorzystania kiedyś tego materiału do swoich przyszłych prac naukowych, jeśli nawet nie powieści, w wypadku, gdyby obudził się w nim nagle talent literacki. Tymczasem dawało mu to zadowolenie zbieracza ze zdobywania coraz nowych okazów.

Taki sam los spotkał Derenia, z którym stykał się zresztą zaledwie przez parę dni po swoim przybyciu do kompanii. Zdawało mu się, że wyrobił sobie o nim dostateczne pojęcie. Uważał go za dawnego robotnika czy rzemieślnika o nieskomplikowanym mechanizmie myślenia i odczuwania, którego mózg raz na zawsze nasyciły uważane przezeń za nieomyłne zasady religijne, patriotyczne i społeczne obok regulaminów służby wewnętrznej i polowej, a u którego zapas uczucia wystarczał jedynie na wytworzenie oficjalnego podoficerskiego patriotyzmu, szacunku dla przełożonych oraz na zapełnienie wolnych od zajęć godzin po apelu, gdy wychodził na miasto do znajomych czy może nawet do jakiej odpowiadającej jego gustom dziewczyny. Chociaż to już trudno było sobie wyobrazić.

Tymczasem okazało się, że ten najbardziej typowy i szablonowy podoficer, jakich można spotkać tysiące we wszystkich armiach świata, krył wewnątrz swego psychicznego organizmu jakąś rysę czy uszkodzenie, które mogło wprowadzić nieobliczalne zaburzenia do jego równo i ustalonym korytem płynącego dotychczas żywota. Czyż mógł się zdarzyć ciekawszy wypadek dla badacza dusz ludzkich?

Toteż Paprosiński postanowił wziąć ponownie na swój warsztat ciekawego podoficera.

Rozpoczął od ewidencji i w tym celu zwrócił się do kancelarii. Mieściła się ona w okopach, ale cała jej działalność ograniczała się do pisania raportów dla władz wyższych. Skrzynia z papierami znajdowała się na tyłach w taborze kompanii. Na szczęście pisarz, starszy strzelec Cewowski, miał w głowie wszelkie dane dotyczące się członków oddziału.

Okazało się, że Dereń urodził się w Tomaszowie w roku 1894, wstąpił do legionów w roku 1915, a z zawodu był tkaczem. W kompanii pojawił się jeszcze w Łodzi.

Te same mniej więcej dane dotyczyły się również nieboszczyka kaprała Górnego.

To wszystko, co pisarz mógł udzielić Paprosińskiemu. Inne jego obserwacje i opinie były zupełnie nieciekawe.

Cewowski był młodzieńcem wysokim i chudym o figurze niezwykle prostej i sztywnej, twarzy długiej, mięsistych nadmiernie, jak u Murzyna, wiecznie rozchyłonych wargach i o ponurym wejrzeniu. W ogóle wyglądał, jakby

go natura wystrugała z drewnianego kołu, nie bardzo licząc się z tym, że jest to materiał niezupełnie nadający się do odtworzenia kształtów ludzkich. Poza tym stale robił wrażenie zaspanego i odznaczał się idealną wprost miłkliwością. Z tego powodu zainteresował nawet swego czasu Paprosińskiego, ale nie na długo. Okazało się, że milczenie to maskowało raczej — jak to najczęściej bywa — tępotę i brak temperamentu niż smutną zadumę nad bólem świata.

W życiu cywilnym Cewowski był pomocnikiem pisarza gminnego w Wodzieradach. Pobrany do wojska, marzył, żeby zostać zawodowcem w biurze wojskowym w większym mieście. Będąc w Łodzi rozpoczął staranie o przeniesienie do powiatowej komendy uzupełnień 28 pułku strzelców kaniowskich. Miał mu w tym być pomocny znajomy jego siostry, jakiś podchorąży rodem z Lutomska, gdzie mieszkała matka Cewowskiego wraz z dwiema córkami i młodszym synem.

Były pisarczyk widział już w marzeniach rozkoszne życie wielkomiejskie z restauracjami, cukierniami, tramwajami, samochodami, teatrami, kinami ; przeżywał już w wyobraźni wytworne romanse z eleganckimi, wyperfumowanymi kobietami — gdy niespodzianie zupełnie znalazł się na froncie.

Bolało go to przede wszystkim jako nie starta plama na jego honorze. W jego bowiem pojęciu wartość człowieka mierzyła się umiejętnością wyrabiania sobie stosunków, obrotnością w zdobywaniu stanowiska oraz sprytem w jak najwygodniejszym urządzeniu życia : na wojnę zaś szli albo „głupie ćwoki”, którzy nie mają żadnych znajomości i nie umieją się „zadekować”, lub też rozmaite łobuzy i „ofiary”, w ogóle „granda”, nie mająca pojęcia o wyższych sferach bytu i zadowolająca się wskutek tego takimi jego pierwotnymi warunkami, na jakie jest się skazanym w polu. Tłumaczył też stale, że znalazł się w okopach jedynie dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności i kłopotom rodzinnym, przed samym bowiem wyjazdem kompanii umarł mu dziadek w Brzezinach i matka rozpoczęła proces z wujami o spadek.

Do Paprosińskiego, dowiedziawszy się, że pracował on w dowództwie okręgu generalnego, odnosił się z największym uznaniem. Przypuszczenie, że dostał się on na front w związku z jakimiś nadużyciami powiększało tylko

ten szacunek. O Dereniu natomiast, który przez kilka tygodni jako szef kompanii był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, wyrażał się z najwyższą pogardą :

— Cóż pan porucznik chce od takiego cepa ? Ledwie toto umie czytać i pisać, a udaje wielkiego. Zanim nastał pan szef Sołyszko, ciągle mi się wtrącał do kancelarii, chociaż skąd się może znać na tym. Szef kompanii ! Przewróciło mu się w głowie i zdaje mu się, że jest najpierwszą figurą w oddziale, to i czepia się wszystkiego bez sensu. Tak samo z tym Górnym. Może zresztą nieboszczyk był mu co winien, więc nim cholera trzęsie, że już nie będzie mógł odebrać.

Podobna nienawiść buchała z każdego słowa żołnierzy, których Paprosiński zagadywał o surowego podoficera.

— Pan szef już jest taki, że ma jedno tylko zmartwienie, czym by ludziom dokuczyć. Zawsze też musi coś wynaleźć, jak dziś z kapralem Górnym — świeć, Panie, nad jego duszą — żeby tylko nie powiedzieć nikomu dobrego słowa — powiedział wprost zuchwale gruby o pałakowatych nogach Rudajewski, który słynął z tego, że nic sobie ze starszyny nie robił.

Co dziwniejsza; poglądy te poniekąd podzielał nawet plutonowy Żyszkiewicz, którego Paprosiński uważał za najinteligentniejszego — po sobie oczywiście — człowieka w oddziale.

Podporucznik zastał go na prawym skrzydle okopu, jak wraz z Prejsem, niezmiernie chudym strzelcem o nader małej twarzy, i wysokim a wysmukłym plutonowym Kasowskim rozbierał karabin maszynowy. Zobaczywszy jednak Paprosińskiego, z którym żył na dość zażyłej stopie, podniósł się wolno wydając ostatnie wskazówki i wycierając palce o spodnie powalone brudnym smarem, podszedł do niego.

— Ostatnie gruchoty z tych naszych maszynek — powiedział biorąc papierosa, którym częstował go oficer. — A najgorsze, że nikt właściwie z całej tej obsługi nie umie dać sobie z nimi rady.

Żyszkiewicz był komendantem drugiego plutonu kompanii, a kulomiotami, których dwa pod dowództwem plutonowego Kasowskiego były przydzielone do oddziału, zajmował się jedynie z amatorstwa. Pociągało go ku nim wro-

dzone zamiłowanie do mechanizmów tudzież nieznośna nuda frontowa. Ale największą dlań rozrywkę stanowiły rozmowy i dyskusje z Paprosińskim, zaraz też na jego widok przerwał badanie wad rozebranej maszynki. Oficer tymczasem usadowił się wygodnie siadając na zapleczu w takiej odległości od żołnierzy, by mógł swobodnie rozmawiać, zaciągnął się papierosem i uważnie przyglądając się jego zapalonemu końcowi, zapytał bez żadnych wstępów, dymiąc ustami i nosem przy każdej sylabie :

— Co pan myśli o Dereniu ?

Żyszkiewicz zdziwił się widocznie.

— Cóż mam myśleć ? To jest chyba postać zupełnie nieciekawa.

— A któż jest dla pana ciekawy ?

— W każdym bądź razie nie człowiek, który nie wychodzi myślą poza to, czego go nauczono w domu, szkole i kościele.

— I w wojsku ?

Żyszkiewicz zaperzył się.

— I w wojsku.

— Ale równocześnie nie uważa pan za ciekawego człowieka, który potrafi wyjść myślą poza to, czego nauczono go na wiecach.

— W każdym bądź razie nie do pomyślenia jest dla mnie człowiek inteligentny, którego by nie uderzyła irracjonalność obecnego ustroju.

Paprosiński zaśmiał się i wyciągnął na ziemi. Pociągało go ku Żyszkiewiczowi to przede wszystkim, że plutonowy na każdym kroku zaznaczał swoje wywrotowe przekonania. Podoficer o takich poglądach był przecie w armii polskiej niebywałą rzadkością. Poza tym lubił ironizować na temat jego krwawych teorii wiedząc, że rewolucjoniści ironię uważają za najcięższą zbrodnię, jakiej się można wobec ich idei dopuścić.

— Niech mi pan tak przecie nie wjeżdża od razu na inteligencję ! — zawołał z udanym oburzeniem.

Żyszkiewicz bez wielkich ceremonii położył się obok niego.

— Nie mówię, że każdy komunista musi być inteligentny, czy też na odwrót, ale stwierdzam, że istnieją tylko dwie strony barykady i że każdy człowiek, nie zainteresowany specjalnie, który ma odwagę wyciągać wnioski ze

swoich spostrzeżeń, musi się w końcu znaleźć po naszej stronie.

— O to właśnie chodzi, że najpierw trzeba by dowieść, że rzeczywiście istnieje jakaś barykada, a potem, iż rzeczywiście posiada ona tylko dwie strony. Bo to nie każdy widzi.

— To jest właśnie kwestia inteligencji.

— Albo wiary.

— Wszystko jedno. Wierzy się tylko w to, co jest jasno dowiedzione.

— Są ludzie, dla których nic nie jest jasne ani dowiedzione. Więcej, bo zwątpienie jest źródłem wszelkiej samodzielnej myśli. I na odwrót : skłonność do silnej wiary mają przeważnie ludzie o słabych zdolnościach umysłowych. Taki Dereń na przykład.

— Z czego pan sądzi, panie poruczniku, że Dereń jest człowiekiem silnej wiary ? W cóż to on takiego wierzy ?

— Nie wiem i to mnie właśnie tak zaciekawia. A że wierzył, mieliśmy dowód dzisiaj, bo się w nim ta wiara w naszych oczach załamała.

— Być może, że nawet w takich mózdkach zachodzą jakieś procesy czy ruchy, ale nie rozumiem, dla kogo może być to ważne.

— To jest ważne, bo przewroty w takich właśnie duszach sprowadzają burze dziejowe.

Zyszkiewicz leżał na ziemi wyciągnięty, z twarzą nakrytą amerykańską furażerką, bo popołudniowe słońce ciągle jeszcze świeciło nader jaskrawo. Widać było, że rozmowa nie rozpalala go zbyt. Odpowiadał też sennie i wolno jak człowiek, którego myśli toczą się bardzo leniwo :

— Nie wiem, co pan, panie poruczniku, upatrzył sobie w tym Dereniu. Przyznam się, że dla mnie jest to zwyczajne bydło, które nigdy swoją wiarą czy mózdzkiem nie poruszy nie tylko góry, ale nawet najmniejszej sprężynki w tym wózku, na którym z łaski Pana Boga bujamy sobie w przestrzeniach międzyplanetarnych. Pewnie, że i on ma swoje pomyslenie o świecie, wojnie i tym podobnych sprawach, ale nie jest ono chyba ciekawsze od myśli konia taborowego, którego gnają pod kule i granaty, albo wrony, która sobie używa na wszelkich krwawych tragediach ludz-

kości. Potem trzeba pamiętać, że wyszedł on (jeśli nie uciekł) ze szpitala prawdopodobnie za wcześnie, co również może wpływać na jego postępowanie.

W tej chwili na lewym skrzydle, gdzie zaczynały się okopy pierwszego batalionu, wybuchła krótka i gwałtowna strzelanina. Gdy ucichła, długo trwał jeszcze szum poruszonego przez nią powietrza. Paprosiński usiadł na ziemi i nasłuchiwał. Kiedy zwrócił się znowu do Żyszkiewicza, ten już chrapał na dobre z otwartymi ustami.

V

Wieczorem sprawdziły się przypuszczenia, że Dereń przedwcześnie opuścił szpital, dostał bowiem ataku febry.

Siedział skulony na dnie rowu w płaszczu, zapiętym na wszystkie guziki, z podniesionym kołnierzem, w zasuniętym na oczy hełmie, nastroszony jak zdychający kot.

Nikt nie śmiał przystąpić do niego. Wreszcie Piesik zdobył się na odwagę i przyniósł mu menażkę kawy. Sierżant spojrzał nań nieprzytomnie, gdy stawiał przed nim napój, ale nic nie powiedział. Widocznie jednak męczyło go pragnienie, bo w nocy znaleziono naczynie próżne — a Derenia nie było...

Wymknął się z rowu do ciała starego towarzysza.

Noc była pogodna. Szare niebo wyglądało jak olbrzymie popielisko, w którym lśnią niewygasłe jeszcze iskierki gwiazd. Czarna bryła pagórka pęczniała ku niemu niby góra węglowego miału. Ale łany brzmiały życiem głębokiej wiosny.

Z tyłu okopów zagon owsa świecił niby uśpione jezioro; pole ziemniaczane czerniało pękami krzaków, błyskało ukrytymi kamykami jak usiane perłami dno zatoki. Chór świerszczów napełniał powietrze radosną pieśnią o życiu.

Na otulonej błękitnymi smugami mgieł rzeczce gromady żab odśpiewywały na chóry swój wieczorny różaniec.

Front był zupełnie spokojny. Rzadkie rozmowy i śmiechy żołnierskie dochodziły z błękitnej pomroki niby odgłosy zatopionego miasta.

Można było zapomnieć, że się znajduje na linii bojowej, że ten skrawek ziemi zamknięty jest w ramy gotowych do strzału karabinów, że na te zagony patrzą złowrogo ukryte za lasami i budynkami jednookie paszcze armat...

Ale Dereń o tym pamiętał. Czołgał się nasłuchując i badając okolicę co chwila w kierunku, jaki mu wskazał Piesik.

Niezupełnie jeszcze strатовane atakami żdźbła traw leśnych głąskały go kosmatymi kitkami po rękach i twarzy, chwytały za pas, owijacze, buty, guziki u płaszcza z przekorną pieszczotą; mokre od rosy liście paproci chłodziły jego rozpalone gorączką ręce i składały orzeźwiające pocałunki na tętniących skroniach i spiekłych wargach, gdy warując przylegał do ziemi; korowód złotych muszek wiorował nad nim w zawrotnym tańcu — nie zważał na to wszystko. Brnął aż do polanki, gdzie jaśniały w gwiazdnej poświacie trzy kryjące się w zaroślach zakrwawione łachmany.

Obejrzał je po kolei obracając brutalnie, aż znalazł Górnego.

Leżał na twarzy bez czapki z powykrzywianymi dziewczęcznie rękami i nogami, ale zawsze w starannie wyczyszczonych butach. Pod nim czerniał ciemnym malowidłem olbrzymi krwawy hieroglif, ale na mundurze i na jasnej ostrzyżonej czaszce nie było widać żadnej rany.

Bez najlżejszego przejścia się majestatem śmierci Dereń przewrócił trupa na wznak.

Twarz i szyja zabitego były potrzaskane z kulomiotu: otwarte usta pełne były lśniącego jak galareta skrzepu krwi, wywrócone białka błyszczały na kształt galek porcelanowych; w gardle czerniała okropna dziura.

Dereń stwierdził to wszystko bez najmniejszego wzruszenia. Widocznie martwe ciało nie przedstawiało dlań żadnej uczuciowej wartości. Szperał tylko po kieszeniach trupa szukając może jakich papierów, aby je odesłać rodzinie. Ale nagle bolszewicy dosłyszeli widocznie szmer na swoich przedpolach, bo front roześmiał się czerwonymi kłami błysków i karabiny zahurkotały jak waląca się z wysokiej skały gromada kamieni.

Wobec tego sierżant odepchnął zmarłego jak zawadzającą kłodę i wrócił do kompanii.

Zaalarmowany kanonadą podporucznik Ludomski zatrzymał go na samym wstępie :

— Sierżant Dereń ! — wrzasnął, aby przekrzyczeć hałas. — Gdzieście to chodzili ?

— Do Górnego — odburknął.

— Po co ?

— Skąd ja mogłem wiedzieć, czy go tam czasem ranego nie zostawili ?

Dowódca kompanii zdążył już ochłonać ze słusznego gniewu. Nie rozumiał on niesłychanego zachowania się podoficera podczas rozmowy, ale przypuszczał, że pochodzi ono z żalu po poległym, z którym musiały go łączyć bliskie stosunki, chociaż nikt się tego w kompanii nie domyślał. I Dereń, i Górny znajdowali się w niej od samego początku. Przybyli do koszar łódzkich w niepamiętnych czasach, spod Lwowa. O sierżancie wiadomo było, że był starym „legunem” i że za kolczastym drutem Szczypiora doczekał się „wybuchu niepodległości”. Poza tym okazał się świetnym instruktorem i jemu głównie oddział zawdzięczał swe doskonałe wyszkolenie bojowe. Również dzięki niemu żołnierzom skóra cierpła na wspomnienie ulicy Konstantynowskiej oraz bezkresnej równiny placu ćwiczeń na Zelinówce. O Górnym nie wiedzano nic. Teraz dopiero uświadomiono sobie, że zawsze groźny i huczący sierżant do niego jednego zwracał się tonem łagodniejszym i że nikt go nie słyszał łającego cichego kaprała. Śmierć Górnego wydała tajemnicę ich przyjaźni. Ból Derenia z powodu straty przyjaciela podporucznik Ludomski postanowił ukoić łagodnością. Toteż teraz zamiast go skarcić za samowolny postępek starał się raczej wytłumaczyć mu jego niewłaściwość.

— Dobrze — mówił, a raczej krzyczał, gdyż wszystkie karabiny i kulomioty odcinka były jak wściekłe, a także polska artyleria rwała granatami przedpola stwarzając na nich zaporę ogniową przed domniemanym atakiem — ale trzeba mnie było chociaż zawiadomić o tym. Opuszczacie kompanię na linii bojowej nie pisnąwszy nikomu ani słówka. To chyba nie jest w porządku ? Tak czy nie ?... Zresztą jest niemożliwe, żebyście wy, najstarszy podoficer, wychodzili do każdego poległego. Rozumiecie chyba ? Praw-

da?... Górny zginął, to nie on jeden. I mnie go jest żal, bo był dobry i uczciwy żołnierz, ale trudno. To jest wojna. Tak czy nie ?...

Dereń nie odpowiedział.

— Tak czy nie ? — zapytał znowu dowódca.

Dereń milczał ciągle stojąc z opuszczonym swoim kwadratowym fłbem byka.

Podporucznik popatrzał nań badawczo, odwrócił się i odszedł zgryziony. Zrozumiał, że sierżant go nienawidzi, a nie znał powodu i wskutek tego nie wiedział, co na to poradzić.

Odtąd postanowił stosunki z podoficerem ograniczyć wyłącznie do służby. Ale taktyka ta okazała się niewystarczająca zaraz następnego wieczora, gdy podporucznik kazał — jak zwykle — wysłać patrol za rzekę.

Dereń wysłuchiwał rozporządzenia w przesadnie sztywnej postawie, jaką w rozmowie z oficerami przybierał teraz zawsze i która w jego ubogim arsenale broni towarzyskiej służyła widocznie do wyrażenia szyderstwa, ale zamiast odejść natychmiast, zapytał niespodzianie :

— Dobrze, panie poruczniku, ale kogo mam posłać ?

Podporucznik Ludomski stosownie do raz powziętego planu postępowania z sierżantem odpowiedział łagodnie :

— Słuchajcie, Dereń : wy, stary podoficer, możecie postawić podobne pytanie ? Kompania liczy przeszło sześćdziesięciu podoficerów i żołnierzy, a wy nie wiecie, kogo posłać na patrol ?

Dereń, swoim zwyczajem nie patrząc nań zupełnie, odburknął ponuro :

— Bo to jest w kompanii jaki sprytny morus, któremu można by zaufać ?

— Więc kogoż wam potrzeba ?

— Żeby to był Górny...

— Nie udawajcie głupiego ! — przerwał mu wyprawdzony już z równowagi dowódca. — Jak Górny żył, toście go nigdzie nie wysyłali, aż go się wam teraz nagle zachciało !

Sierżant stał nadal w nieustępliwym milczeniu, jakby czekając jeszcze na coś.

— Skończyłem ! — dodał tedy oficer.

— To kogo mam posłać ?

— Poślijcie swój nos, jeśli nie wiecie kogo ! — wybuchnął wreszcie podporucznik Ludomski.

Zaraz jednak tego pożałował, bo po twarzy Derenia przemknął ledwie dostrzegalny, jakby podskórny, zły uśmiech. Oficer zrozumiał jego znaczenie. Często się zdarza, że nienawiść wyprzedza przyczyny jej powstania i wtedy skrętnie je zbiera, aby usprawiedliwić swe istnienie. Nie mogło już być wątpliwości, że Dereń nienawidził całej kompanii i że wobec tego każde dlań uchybienie ze strony jej członków dawało mu raczej zadowolenie poczucia słuszności tego stanowiska uczuciowego.

VI

Na patrol poszedł plutonowy Zajączkowski jako najdzielniejszy podoficer, a oprócz niego sześciu ludzi, wyznaczonych przez sierżanta. Między nimi znajdował się Antoni Robak, który już od rana czuł się czegoś nieswój, o czym wiedzieli wszyscy jego koledzy. Plutonowy występował nawet w tej sprawie u Derenia, ale bez skutku.

— Chorzy są na izbie chorych, nie w rowach strzeleckich ! — wybuchnął nieustępliwy sierżant. — Jednemu raz pofolgować, to by się tu zaraz więcej takich medyków znalazło !

— A jeśli Robak naprawdę ma gorączkę ? — próbował tłumaczyć nieśmiało Zajączkowski.

— To cóż z tego ? Ja też mam !

Miał rzeczywiście. Widniało to w jego błyszczących nieprzytomnie oczach, ściemniałych policzkach i czarnych, szorstkich jak żuźle wargach. Tym bardziej więc żadna rozmowa z nim nie mogła doprowadzić do celu.

Antoni Robak poszedł. Po drodze marudził, zostawał ciągle w tyle, klócił się ze wszystkimi, hardo odpowiadał plutonowemu na każdą uczynioną mu uwagę, aż go musiano zostawić w jakiejś norze, żeby sobie odpoczął i zaczął na powrót oddziałku.

Gdy wracano, zastano go leżącego na tym samym miejscu, zwiniętego w kłębek, niby zmarzniętego psa. Nie

spał jednak. Wstał bez oporu i powłókł się do okopu skulony. Ale zaledwie stanął w kompanii, długo widocznie hamowana złość wybuchła w nim nagle, bo cisnął z hukiem karabin na dno rowu i zaczął wykrzykiwać histerycznie :

— Dosyć mam tego wszystkiego, do ciężkiej cholery ! Z parszywym psem nie wolno się tak obchodzić, a nie dopiero z człowiekiem ! I pies ma zawsze jakiś odpoczynek !...

Rzucenie broni przez żołnierza na froncie ! — był to fakt dotychczas niesłychany. Usłużny Piesik pobiegł natychmiast do dowódcy z sensacyjną wieścią, że Antoni Robak „podniósł bont”.

Podporucznika Ludomskiego wzburzyło to niepomierzenie. Robakowie bowiem, których miał w kompanii trzech, mieli opinię cichych i karnych żołnierzy. Pomimo zdenerwowania młody oficer nie zapomniał jednak o naczelnej zasadzie taktycznej władzy, która musi nie dostrzegać wielu rzeczy, niewygodnych dla niej lub mogących szkodzić jej powadze.

— Co ci jest ? — zapytał wobec tego zupełnie łagodnie.

Zbuntowany leżał na dnie rowu, nakryty płaszczem, tak że widać było tylko jego niebieski hełm francuski i podbite gwoździami podeszwy podwiniętych nóg. Nie poruszył się jednak nawet na dźwięk głosu dowódcy.

— Powiada, że jest chory — wyręczył go plutonowy.

— To dlaczego zabraliście go na patrol ?

— Pan szef kazał.

Podporucznik Ludomski umilkł na samo wspomnienie Derenia. O ile możności unikał z nim rozmów. I teraz więc nie spojrzał nawet w jego stronę, tylko rozkazał Zajązkowskiemu :

— Zmierzyć mu gorączkę ! Jeżeli ma — na izbę chorych, jeśli zdrow — pod sąd polowy !

Ostatnia pogroźka powiedziana była głównie „dla galerii”, ale wywarła niepożądane raczej wrażenie. Gmin skłonny jest do lichego komedianctwa i taniej czułościwości. Zwłaszcza lubi utyskiwać na urojone krzywdy, gdy ma do tego choćby cień pozorów. Ludomski usłyszał więc zaraz uwagi na ten temat, wypowiedane niby nieumyślnie głośno :

— Polskie wojsko ! Jak człowiek zachoruje — to go zmarnować do reszty. Haruj, póki możesz, a jak się zedrzesz — kula w łeb. Nawet u bolszewików pewnie tak się z człowiekiem nie obchodzą.

Podporucznik na tę ostatnią uwagę odwrócił się.

— Który to powiedział ? — zapytał groźnie. — Komu, psiakrew, lepiej u bolszewików, to niech do nich idzie ! Wolna droga ! — krzyczał wskazując ręką nieprzyjacielskie okopy.

Widząc takie rozdrażnienie dowódcy, żołnierze umilkli, ale mimo to łatwo się było domyślić, że ta melodramatyczna scena nie wzmocniła w ich umysłach zachwianej powagi dowództwa. Porucznik ocenił to zresztą natychmiast, tym bardziej że było to pierwsze przeciw niemu wystąpienie kompanii.

Tymczasem okazało się, że Antoni Robak miał rzeczywiście gorączkę i to przeszło trzydzieści dziewięć stopni. Zabrano więc go natychmiast do ambulansu, a w trzy dni potem przysłała niespodziewana wiadomość o jego śmierci na tyfus płamisty.

Ledwie złowroga nowina zdążyła się rozejść po okopie, zachorowało naraz dwóch ludzi; nazajutrz znowu jeden — i odtąd nie było prawie dnia, żeby nie odesłano kogo do czołówki sanitarnej.

W przeciągu tygodnia umarło czterech żołnierzy, a trzech leżało w szpitalu. Wszyscy na tyfus płamisty.

Pominąwszy, że ludzie byli już na froncie szczepieni dwukrotnie, było to niezrozumiałe jeszcze dlatego, że inne oddziały przechodziły epidemię podczas wiosennych roztopów, a tylko do kompanii Ludomskiego zawitała ona tak późno.

Nie pomogły środki zapobiegawcze : szybkie odosobnianie chorych, palenie po nich słomy, a nawet koców, ścisłe przestrzeganie higieny u żołnierzy, sprawdzanie bielizny — ludzie padali jak muchy.

Podporucznik Ludomski tak był tym przejęty, że osobiście rewidował łachy żołnierskie. Ku nieopisanemu oburzeniu przekonał się, że niektórzy jego podwładni noszą części ubrania, buty i inne przedmioty po zmarłych kolegach. Wobec tego zrobił takie piekło, jakiego nikt jeszcze nie pamiętał.

— Sierżant Dereń ! — ryczał, zapominając o swojej wobec podoficera taktyce. — Co ja mówiłem ? Żeby niszczyć wszystko po tyfusowych ! Jakeście tego dopilnowali?...

Łajany zachował wyzywający spokój ducha.

— Sam wszystkiego nie dopilnuję — tłumaczył obojętnie.

— Zapowiedzieć podoficerom !...

— Jakim podoficerom ? Bo tu są jacy podoficerowie ?

— A czegoż wam jeszcze potrzeba, do jasnej cholery ?

— Ja tam nie potrzebuję niczego, ale jak żył kapral Górny, inaczej się działo w kompanii...

Na dźwięk tego imienia dowódca ochłonął natychmiast. Słyszał je ciągle, przy każdej sposobności i zawsze napełniało go ono bezsilną złością, graniczącą wprost z rozpaczą.

— Czego ta zakuta pała chce ode mnie ? — pytał zirytowany podporucznika Paprosińskiego, z którym żył w szczególnie zażyłej przyjaźni. — Dlaczego ten Górny tak mu wlaźł do jego końskiego łba, że mu go w żaden sposób wybić nie można ? Do stu diabłów rogatych, czyż jeden tylko Górny był na świecie ? Górny, Górny i Górny !...

Rzeczywiście, sierżant zwariował po prostu na tym punkcie. Każdemu nieporządkowi w oddziale, każdemu niepowodzeniu czy nieszczęściu winna była nieodmiennie strata jego domniemanego przyjaciela.

Żołnierze z początku przyjmowali to jako przykre dziwactwo szefa kompanijnego, ale potem tak już do tego przywykli, że sami zaczęli wierzyć w nieodzowność istnienia Górnego dla szczęścia kompanii, jeśli nie całego świata.

Dla wszystkich życie podzieliło się teraz na dwie wyraźne epoki : przed i po śmierci kaprała, przy czym pierwszy okres we mgle wspomnień wyglądał na jakiś legendarny wiek złoty. Wszelkie opowiadania z przeszłości oddziału musiały się zaczynać przede wszystkim od określenia czasu wedle tej dziwacznej ery, co zawsze decydowało o ich charakterze. Było to jakieś niespotykane zastosowanie prawa reklamy.

VII

Zjawisko to było przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony podporucznika Paprosińskiego. Swoim zwyczajem rozpoczął on szereg wywiadów pośród podoficerów i strzelców. Uderzyły go zniechęcenie i gorycz, bijące z każdego ich słowa. Wyrzekano już nie tylko na wojnę, ale na kompanię, wojsko i w ogóle na całą Polskę.

— Złe się dzieje w naszej Polsce, panie poruczniku — powiedział zuchwały jak zwykle grubas Rudajewski.

Było to o zmierzchu podczas jednej ze wspólnych biesiad poobiednich, które często zaszczycali swoją obecnością podoficerowie i oficerowie. Żołnierze kupili się wtedy w najobszerniejszym załamie rowu, myli menażki wymykając się po wodę do Auty, czyścili broń, opowiadali sobie swoje przeżycia i kawały, baraszkowali lub śpiewali chórem z towarzyszeniem bałabajki bolszewickie piosenki o „jabłoczku”, które zatoczyło się do „Polaczków” i już nie wróciło, albo o „Wałodi”, który w życiu cywilnym był „izwoszczykiem”, a na froncie otrzymał tytuł „wasze błagorodje”.

— Dlaczegoż to ? — zapytał Paprosiński ze zwykłym swoim dobrotliwie ironicznym uśmieszkiem.

Onieśmiał nim zawsze wszystkich rozmawiających z nim, ale tym razem Rudajewski hardo patrzył mu w twarz.

— Bo sprawiedliwości nie ma, panie poruczniku — rąbnął.

— Jakiej to chcielibyście sprawiedliwości ?

Wtedy odezwał się Michał Robak. Był to najmłodszy i ostatni z trzech braci, jacy służyli w kompanii, a z których Józef zginął był wraz z Górnym, a Antoni zmarł na tyfus. Miał on typowy wygląd wiejskiego pastucha z nieco dzikim i nieufnym wejrzeniem oraz grubymi łuszczącymi się wargami. Żółta kurtka angielska i niebieska rogatywka bez daszka, jakiej używały wojska polskie we Francji, nie zmieniły go pod tym względem zupełnie.

Siedział na dnie rowu i czyścił karabin, ale teraz złożył go na kolanach i powiedział, patrząc spode łba jak nie-

sforny uczeń ze szkoły ludowej do karcącego go nauczyciela :

— Ża Ruszka, jak był jedynak, to go czałkiem nie brali do wojszka, żeby miał kto robić w goszpodarstwie; jak było trzech braci, to brali tylko dwóch, żeby przecie ktoś oształ w chałupie; a tera — choćby umirol — nicz nie pomoże...

— Kto wam mówił, że były takie prawa ?

— Kto mi zaś miał powiadać, kaźden jeden wie dobrze. Juszť dwóch braci mi żmarnowały, tera jeszczek mnie żmarnują i będą mogły mój czołki gront żabrać la siebie.

To wystąpienie ostatniego potomka rodu Robaków miało tak grubiański charakter, że Piesik i Gajzler zaczęli się śmiać nieszczerze chcąc je obrócić w żart, a Jagusiak szykował się do jakiejś dowcipnej uwagi, gdy dobrotliwy jak zwykle Paprosiński przerwał mu :

Ileż to macie tego gruntu, że się tak na niego rząd łaszczy ?

— A będzie że sześć morgów w Wadlewie.

— I tam wszyscy w waszej wsi tacy mądrzy ?

— Panie poruczniku — zawołał wreszcie starszy strzelec Jagusiak o wielkim płowym krótko ostrzyżonym łbie, którego prawie nigdy nie nakrywał. — W całej Polsce nie ma takiego głupiego narodu jak w Wadlewie. Raz jeden wadlewiak zobaczył w dziupli gniazdo z ptaszkami. Włazł na drzewo, wraził łapę, zgarnął, co było, i chciał wyciągnąć, ale tu nie idzie. Dziura była za ciasna i sama ręka by wylazła, ale z ptaszkami nie chciała. Ale ten wadlewiak nie miał tego porozumienia i szarpał się do samego rana, aż go sąsiady znalazły.

Gromki śmiech przerwał to opowiadanie.

— Toci wykpisz z tego rudego Wojtka ! — radował się Piesik.

— Ze wszystkiego musi szyderować — przyświadczył Hajduś.

— To jeszcze nie koniec ! — zawołał rozochocony wesolek. — Jak te drugie wadlewiaki zobaczyły, co się święci, zaczeni radzić. Dopiero najmądrzejszy wykalkulował, żeby przynieść drabkę i onego z tego drzewa zsadzić. Ale jak niesły drabinę, to nie tak, ino w poprzek, przed sobą. A że to było w sadzie, to im się zawadziła o drzewa

i prrr ! Co tu robić ? Więc znowu jeden mądrała kazał im całki sad wyrąbać. Dobrze ! Jak ten sad wyrąbali...

— Że też temu rudzielcowi nikt nie zatka tego pas-kudnego pyska ! — wykrzyknął wśród śmiechu gruby Rudajewski.

— Ino tam w jego Dłutowie żyją mądre ludzie — zauważył ironicznie widocznie dotknięty Hajduś.

A flegmatyczny i cichy Karczmarek, równie jak i Robaki z Wadlewa się wywodzący, wycedził zwolna.

— Wszystkie dłutowiaki są cwaniaki i prześcipne. Jak tam chłop rano wstanie, to trzy razy dokoła chałupę obłici — i na progu nabrzydzi.

— Samiście chamy z samego środka wsi, a z chłopów się wyśmiewacie — przerwał sprzeczkę oberwany i zasmolony Gajzler, były robotnik łódzki.

— Że chłopcy są głupie, to wiadomo — zamknął sprawę gruby Rudajewski spoważniawszy nagle — ale panowie też nie koniecznie dobrze rządzą.

Paprosiński udał, że nie słyszy. Wiedział, że jest to zaczepka, skierowana poniekąd w jego stronę.

— A najprzód niesprawiedliwie ! — wykrzyknął gdzieś z kąta mały i czarniawy Pracel, były robotnik, ginący obecnie w wielkiej włochatej kurcie z pokrzyw. — Jeden jak pójdzie do wojska, to będzie się tłukł po wszystkich frontach bez jednego dnia urlopu przez całe dwa lata, a drugi zadekuje się na tyłach, żre, pije, wysypia się z dziewczuchami i dobrze mu. A ty, człowieku, marznij w zimie, piecz się w lecie, handluj głodem i wojuj z wszami i bolszewikami aż do usmarkanej śmierci.

— A w nagrodę nawet cię nie zakopią, kiedy już wykitujesz — przyświadczył gorąco przyjaciel Pracla Struś.

— No, nie ? A jak było z kapralem Górnym ?

— Zamkniesz ty, szczurze, swój parszywy pysk ? — wywarł nagle na Pracla swoją szeroką gębę krępy o pałakowatych nogach kaprał Dziduch. — Jak chcesz lepszej sprawiedliwości, to ją sobie poszukaj u bolszewików !

— Dajcie spokój, Dziduch — upomniął go łagodnie plutonowy Żyszkiewicz, który przysłuchiwał się rozmowom z wielkim zaciekawieniem i z tajemniczym uśmieszkiem na ustach.

— Co to jest ? — zapytał naraz Jagusiak. — Nie je, nie pije, chodzi i bije.

- Głupi, na syra ! — zawołał Rudajewski,
- Żygar — zgadł Michał Robak.
- Nie wita, bażanty, bo to polski żołnierz !

Brudny i oberwany Gajzler, siedzący na zapleczu obok dowcipnisia, chwycił go szeroką łapą za twarz i pchnął z figlów tak silnie, że Jagusiak wśród śmiechu spadł na dno rowu. Hajduś, pchnięty przez Strusia, zwałił się na niego. Powstała ogólna uciecha i baraszkowanie. Na świecie było ciepło i cicho, jeśli nie liczyć rzadkich strzałów artylerii bolszewickiej, która jak co dzień, ufna w swoją przewagę, bezustannie ostrzeliwała tyły frontu polskiego niepokojąc baterie, odwody, kancelarie i sztaby. Ale na to już nikt nie zwracał uwagi, chyba że świergot pocisku zdawał się zbliżać do okopów zapowiadając niedaleką eksplozję.

Paprosiński wycofał się nieznacznie z rozbawionej gromadki. Miał ochotę zapalić, ale wstydził się sam, a posiadał za mało papierosów, żeby poczęstować wszystkich obecnych.

Plutonowy Żyszkiewicz, który widocznie śledził jego ruchy, wysunął się za nim.

— Coś się psuje w państwie duńskim — powiedział z porozumiewawczym uśmiechem.

— No ?

— Odkąd jestem w kompanii, jeszcze takich rozmów nie słyszałem. I to przy przełożonych.

Paprosiński był rozdrażniony.

— Niech się pan tak nie cieszy — odrzekł złośliwie. — Bolszewizmu w Polsce jeszcze tak prędko nie będzie. Minął miesiąc, jak pułk znówu znajduje się w ciągłych bojach, to nic dziwnego, że ludziom nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Ale to nie są objawy zbliżającego się przewrotu. Przede wszystkim rewolucja musi mieć swoją logikę, musi mieć swoje źródło w jakichś niezaprzeczonych a zadawnionych krzywdach społecznych, a przecie trudno dopatrzyć się związku między śmiercią Górnego a ustrojem społecznym czy politycznym, który zresztą w Polsce nie zdążył się jeszcze wytworzyć.

— Więc pan uważa, panie poruczniku, że nikt nie odpowiada za śmierć kaprała ?

— Chyba bolszewicy.

— Przepraszam pana, panie poruczniku, ale to jest tylko dowcip.

— To pan chyba dowcipkuje. Gdzież tu jest jaka krzywda i czyja?

— Jak to czyja? Naprzód Górnego, bo podobno życie jest też jakimś dobrem ekonomicznym czy innym, a po wtóre Derenia, który utracił jedynego przyjaciela.

— Ależ póki będą istniały wojny, takie krzywdy zawsze będą się działy niezależnie od ustroju! Nikomu też nie przyjdzie na myśl reagować na nie w taki sposób, jak pan myśli.

— Czyż nie przyjdzie? Przecież znalazł się taki Dereń który wyczuł instynktownie, że coś tu jest nie w porządku — i oto ma pan już tego skutki.

Paprosiński roześmiał się hałaśliwie.

— Ach, więc Dereń, to bydlę, jak pan^o go nazywał, wyrósł panu ni stąd, ni zowąd na wyraziciela zdrowego instynktu proletariatu? — wykrzyknął szyderczo.

Żyszkiewicz stropił się. Imponowała mu zażyłość z oficerem i usiłował jej nadać jak najbardziej swobodne formy. Teraz wydało mu się, że jednak posunął się za daleko. Wyprostował się więc, dotknął dwoma palcami hełmu i usunął nieznacznie.

Paprosiński pozostał zamyślony. Był zły na siebie. Chłubił się swoim spokojem we wszelkich dysputach, tym razem jednak rozmowa z Żyszkiewiczem wytrąciła go nie spodzianie z równowagi.

— Czyżbym już do tego stopnia zdążył wsiąknąć w to całe towarzystwo, że zaczynam brać poważnie wszystkie ich bezsensowne sprawy? — zapytał się z niepokojem.

— Nie, to tylko wojna tak rozstraja nerwy — odpowiedział sobie natychmiast.

Ale równocześnie schwyciła go rozpacz. Oto nie minęły dwa miesiące, odkąd znalazł się w kompanii, a zaledwie miesiąc, jak był na froncie, a już nie czuł w sobie innego pragnienia tylko wyrwać się jak najprędzej z tego kretowiska trwogi, krwi i śmierci na jasny, otwarty, szeroki świat, wszystko jedno zresztą gdzie, byle znowu zacząć żyć innymi myślami i uczuciami.

Wyszedł na wierzch okopu i posłał rozżęskniony wzrok na dalekie tyły, ku krajowi, ponad łąny zbóż i warzyw,

ponad czarne grzebienie borów, w różowozłotą jasność zachodu...

— Ale na niebie wypryskiwały i kłębiły się białe obłoczki szrapneli oraz sterczał szary, nieruchomy słup pożaru.

Jakaś bolszewicka bateria ostrzeliwała znajdującą się w polskich rękach wioskę.

VIII

W chodniku przed samym schronem Paprosiński natknął się na starszego sierżanta Sołyszkę, właściwego szefa kompanii i zarazem dowódcę plutonu odwodowego, który stał w Chachulkach.

Widocznie życie w stale ostrzeliwanej wiosce nie musiało mu się wydawać zbyt czarowne, bo ciągle zjawiał się w okopach pod pozorem różnych spraw do Ludomskiego czy do kancelarii. Teraz także czekał na pisarza Cewowskiego.

Był to mężczyzna lat dwudziestu pięciu o smętnym, rozmarzonym spojrzeniu i wielkiej ciemnej czuprynie wysoko sterczącej i zwisającej spod nasuniętej na ucho furazerki.

Urodził się i wychował w Częstochowie jako syn rosyjskiego rewirowego. Już z tego powodu w gimnazjum otoczony był niechęcią i wzgardą rówieśników-Polaków, tym bardziej że ojciec jego odznaczał się niezwykłą gorliwością i surowością, a nawet okrucieństwem, w ściganiu wszelkich wywrotowców, godzących w państwowy ustrój Rosji czy też zamierzających oderwać od niej zachodnie gubernie.

Raz podczas badania schwytanego socjalisty nadwreżył mu krzyż tak, że więzień umarł w areszcie śledczym. Chociaż było to już w parę lat po próbach rewolucyjnych z czasów wojny japońskiej, musiały się widocznie zachować jeszcze jakieś resztki organizacji bojowej, bo rewirowy otrzymał uroczysty, choć nie bez błędów wypisany wyrok śmierci. Niedługo potem podczas upalnego letniego po-

południa, w czasie trwania wystawy przemysłowej, do kroczącego z powagą ojca Sołyszki podszedł pomiędzy straganami podklasztornymi jakiś wytworny młodzian w białym ubraniu i kapeluszu panama, rozejrzał się bystro dookoła, błyskawicznym ruchem wydobyl brauning i oddał trzy szybko po sobie następujące strzały. Publiczność zaczęła uciekać na wszystkie strony, a pan rewirowy został na ziemi w kałuży krwi. Jego syn po tym wypadku tym większą nienawiścią zapalał do polskiego plemienia, które otaczało go wzgardą i zabijało mu najbliższych.

Miał już wtedy piętnaście lat.

Tymczasem matka jego po śmierci męża zabrała dzieci i wyjechała do Charkowa, bo tam mieszkali jej rodzice. Wasia poszedł tam do gimnazjum, gdzie kolegami jego byli w olbrzymiej już większości Rosjanie. Ci jednak zaczęli go prześladować z powodu jego rzekomej polskości. Nawet nauczyciele wyśmiewali jego polski akcent i wymowę. A że oprócz tego jego starsze siostry uchodziły bez żadnego z ich strony protestu za piękne i dumne Polki, więc poczuł się znowu cudzoziemcem.

Wreszcie przysłała wojna światowa, potem rewolucja, nastąpiła Ukraina — i wreszcie starszy unteroficer Bazyl Sołyszko odkrył swoją właściwą narodowość. Uznał się za Ukraińca. Walczył za swoją nową ojczyznę w wojskach hetmańskich, potem Petlury, aż gdy kraj został zalany przez bolszewików, dostał się wraz z dywizją Żeligowskiego do Polski.

Tu pozostał w szeregach rozumując, że jedynie zwycięska Polska może dać wyzwolenie jego ojczyźnie. Nie zmieniło to zresztą jego stosunku do Polaków. Stale odczuwał głęboką niechęć do tego narodu i na każdym kroku zaznaczał swoje odrębne stanowisko we wszelkich sprawach politycznych wyraźnie podkreślanym milczeniem. Poza tym poważny smutek, jakim się otaczał, kazał się domyślać, że nie znajduje on współczucia dla radości Polaków z powodu odzyskania niepodległości i z powodu ich zwycięstw nad wrogami, a przynajmniej, że radość ta tym dobitniej każe mu odczuwać niedolę jego własnych rodaków, jęczących pod bolszewickim jarzmem.

Paprosiński usilnie starał się zdobyć jego zaufanie. Wychowanego w niewoli, a potem wśród obcych szczęśliwych narodów korciła ta nieznana dawniej rola, w ja-

kiej się znalazł w stosunku do melancholijnego sierżanta. Dotychczas występowali w niej właśnie wobec niego wszyscy jego znajomi cudzoziemcy za granicą, gdzie przebywał na wygnaniu. Miał przeświadczenie, że wskutek tego odczuwa każdą myśl i każde drgnienie serca przedstawiciela niefortunnego narodu. Mimo to bardzo trudno było mu zbliżyć się do podoficera. Musiał w tym celu, acz nieszczerze, godzić się na wszelkie pretensje ukraińskie do ziem, należących do Polski, nieledwie aż po środkową Wisłę i San, oraz równouprawnić w czci powszechnej wodzów kozackich i hajdamackich z Kościuszkami, Waszyngtonami i Garibaldimi. Ale nawet i wtedy Sołyszko utrzymywał go w pewnej od siebie odległości dając mu tym do zrozumienia, że czyni go na równi z całym światem odpowiedzialnym za nieszczęścia swojej ojczyzny. Paprosiński wybaczał mu to łatwo, dostrzegał bowiem w stanowisku Ukraińca karykaturę pewnych poglądów, grasujących wśród jego rodaków w okresach klęsk narodowych.

Obecnie powitali się dość serdecznie. Sierżant zasalutował mu sprężysto, bo w przeciwieństwie do Żyszkiewicza nie pozwalał sobie na zbytne spoufalanie się z przełożonymi, i zapytał życzliwie :

— Co słyhać nowego, panie poruczniku ?

— Złe ! Nie zauważył pan, że coś w kompanii zaczyna się psuć ? Ludzie narzekają, niektórzy podoficerowie tracą serce dla służby.

— Czy pan porucznik ma na myśli Derenia ?

— Tak. Co pan sądzi o całej tej historii ?

— Co ja myślę ? Na pierwszy rzut oka wszystko to wydaje się bezsensowne, ale... wzięwszy tak ze stanowiska wyższej filozofii...

— To co ?

— Widzi pan porucznik : w jednej noweli Prusa fabrykant dla oszczędności odprawia lekarza. Wskutek tego umiera ranny podczas pracy robotnik. Wywołuje to nienawiść reszty pracowników do chciwego pracodawcy, nienawiść, która staje się przyczyną śmierci jego syna, jego samego, a nawet zagłady całej fabryki. Tak więc okazało się przy końcu, że ten odprawiony jako niepotrzebny lekarz był konieczny dla istnienia zakładów.

— Ale tam chodzi o fałę krzywdy, która wraca do krzywdziciela !

— Tutaj też Dereń stracił przyjaciela.

— Przecie w tym nie było niczyjej winy !

— Przypomina sobie pan porucznik „Zmartwychwstanie” Tołstoja ? Jest tam scena, jak podczas przeprowadzania na dworzec kolejowy partii zesłańców paru z nich umiera na udar słoneczny. Bohater opowiadania, wstrząśnięty tym wydarzeniem, rozpoczyna na własną rękę śledztwo, kto zawinił śmierci tych ludzi. Z początku okazuje się, że wszyscy byli w porządku, i naczelnik więzienia, i lekarz, i oficer konwojujący, ale w końcu bohater dochodzi do przekonania, że jednak zawinili oni wszyscy tym, iż żaden z nich nie miłował tych ludzi, którzy im byli oddani w opiekę. Gdzie istnieje krzywda, tam musi być i wina.

— Więc któż według pana jest winny w tym wypadku ?

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— Czekaj pan ! Wszystko to jest głupstwo ! Cała ta historia nie ma nic wspólnego z powieścią Tołstoja. Tu jest wojna ! Można mieć w kompanii rodzonego brata czy syna, ale trzeba go przecie wysyłać na patrole i narażać na śmierć !

— Być może, panie poruczniku, że trudno znaleźć tu wyraźnego sprawcę nieszczęścia. W każdym bądź razie okazuje się, że nie ma ludzi niepotrzebnych. Kapral Górny zdawał się być w oddziale nic nie znaczącą jednostką, a jednak jego strata wstrząsnęła całą budową kompanii. Zapewno tak samo przedstawia się rola narodów w strukturze całej ludzkości.

Paprosiński roześmiał się.

— Niech pan nie myśli — usprawiedliwiał się natychmiast — że śmieję się z pańskiej teorii, ale już po raz drugi dzisiejszego wieczora słyszę o śmierci Górnego jako o czyjejs tam krzywdzie i winie. Jakie to jednak charakterystyczne dla słowiańskiej konstrukcji umysłowej. Dlaczego by wprost nie powiedzieć, że wszystkiemu winna jest wojna. Ręczę, że taki tylko wniosek wyciągnąłby z tego wypadku każdy Niemiec, Francuz czy Anglik.

— A czy pan porucznik uważa, że tamte narody zawsze myślą logicznie ?

Paprosiński spoważniał i zamyślił się głęboko.

— Nie wiem — odrzekł wreszcie. — To tylko dla mnie jest pewne, że dziejów ludzkości nie tworzy nigdy ro-

zum i że nie wiadomo, czy to nie tacy Derenie właśnie powołani są do rządu dusz i do wskazywania dróg postępu.

Zmierzch zgęstniał już tak, że nie można było rozróżniać dokładnie przedmiotów i twarzy ludzkich. Brał też po trosze chłód. Paprosiński zaczął szczelnie zapinać rozpięty mundur. Gdzieś daleko odezwał się naraz karabin maszynowy i bił długo i samotnie.

IX

Życie potwierdza wszelkie o nim teorie. Kompanii rzeczywiście przestało się powodzić. Jedna czujka, złożona z dwóch ludzi, dostała się do niewoli, wszedłszy podczas mglistej nocy do okopów bolszewickich, biorąc je za własne. Artyleria nieprzyjacielska coraz częściej teraz ostrzeliwała odcinek. Strzały nie były co prawda zbyt celne, granaty nie wybuchały po większej części, ale trwanie godzinami w grozie śmierci lub kalectwa wyczerpywało nerwy strzelców, a poza tym bombardowanie odbywało się przeważnie w porze obiadowej, co opóźniało chwilę posiłku. Było to bodaj najbardziej dotkliwe. Wśród niewysłowionej nudy życia w okopach sen i pożywienie stanowiły jedyne przyjemności żołnierzy, nigdy też bez zniecierpliwienia nie mogli się doczekać obiadu... Przywoziła go kuchnia polowa do Chachulek, a stamtąd przynoszono go na raty w menażkach do okopów.

Ludomski nie pozwolił wychodzić więcej niż po dwóch trzech, gdyż artyleria bolszewicka czatowała na zgłodniałych i urządziła na nich coś w rodzaju polowania szrapnelami. Nie psuło to strzelcom humoru, gdyż ogień ten nigdy nie był skuteczny. Najwyżej napędził niejednemu trochę strachu, co zresztą tylko dodatnio wpływało na apetyt. Teraz jednak bolszewicy wpadli na nowy dowcip, bardzo złośliwy i nad wyraz niesmaczny — ostrzeliwania zdążającej z pobliskiego folwarku kuchni polowej.

Jak wiadomo kucharze odznaczają się odwagą i dzielnością. Pod tym względem kucharz kompanii Ludomskiego Kardasik, nie ustępował swoim kolegom po fachu. Ce-

chowała go niezmierna pewność siebie i poczucie wyższości nad otoczeniem. Było to zupełnie naturalne u człowieka, któremu wszyscy schlebiają i szukają tylko sposobności do oddania mu przysługi, żeby tylko zwrócić na siebie jego przychylną uwagę. Ale poczucie to wynikało nie tylko z wyjątkowego i wielmożnego stanowiska, jakie zajmował w oddziale, lecz i z uświadomienia swojej istotnej wartości społecznej. Nie mówiąc o tym, że nie było chyba rzemiosła, na którym by się nie znał, był on poza Piesikiem najcelniejszym strzelcem w kompanii. Przy tym wszystkim jednak miał dwie wady: lubił pomiatać ludźmi szydząc z nich i kpiąc, a nawet bijąc ich niemiłosiernie, co rozumie się — znoszono w haniebnej pokorze, aby nie stracić prawa do „przylewki” — oraz miał wstręt do granatów i szrapneli.

Czy to Rosjanie, naród najgenialniejszych w świecie psychologów, wykryli na odległość tę słabą stronę jego charakteru, czy też chcieli dać ujście wrodzonej drapieżności i okrucieństwu, dość że od pewnego czasu ich armaty dzień w dzień polowały na płochliwego kucharza.

Gdy tylko Kardasik ze swoim „czołgiem” — jak żartobliwie nazywano kuchnię — ukazał się na drodze, wnet — bah! bah! — rozkwitały mu nad głową pióropusze białego dymu. Kardasik zjeżdżał wtedy co pary w koniach w jaki dół czy krzaki, aby przeczekać nawalnicę — na próżno. Ledwie się znowu ukazał, już — szszsz-buch! — bryznęła obok niego wyrzucona granatem ziemia, aż konie poszły na tylnich nogach jak w cyrku. Kardasik znowu wtedy mknął gdzieś w pole, aż krupnik chlustał spod źle przysrubowanej pokrywy.

Taka zabawa trwała nieraz aż do zmroku. Przedstawiała ona widok nawet zgoła pocieszny, tylko nie dla ludzi z pustym żołądkiem, czekających na posiłek, który był tuż-tuż. Toteż okop gwizdał na palcach i grzmiał kłótniami tak strasznymi i tak fantastycznie nieprzyzwoitymi, że trudno uwierzyć, iż istniała tak ponura i wyuzdana wyobraźnia, która je mogła spłodzić.

Złośliwa ta kanonada sprowadziła jedno jeszcze nieszczęście. Kapral Rękowicz, jeden z najlepszych podoficerów kompanii, gdy raz wyszedł na chwilę z okopów w krzaki, został ranny w rękę odłamkiem granatu w sytuacji, o której nie warto nawet wspominać.

Drugą stratę poniósł oddział w parę dni później. Podczas jakiejś zwykłej a bezcelowej strzelaniny na prawym skrzydle został zabity na miejscu strzelec Struś.

Wypadek ten przyczynił się do rozszerzenia przedziału, jaki zaczął się tworzyć pomiędzy kompanią a jej dowódcą.

Ludomski znajdował się wtedy w drugim końcu okopu, gdy usłużny Piesik przybiegł z hiobową wieścią :

— Panie poruczniku, Struś nie żyje !

Podporucznik pobiegł natychmiast na miejsce wypadku.

Poległy leżał na twarzy w kałuży krwi. Kula trafiła go w bok i przeszła na wylot drasnawszy widocznie serce. W jaki sposób to się stało, trudno było zrozumieć. W każdym bądź razie był to jakiś zbłąkany pocisk, może nawet z bardzo daleka.

Nad zabitym stali już całe zbiegowisko i sanitariusz Kamasiński, który zwrócił się do Ludomskiego z krótkim meldunkiem :

— Nie żyje, panie poruczniku.

— Przeszukać mu kieszenie — **rozkazał mu oficer.**

Kamasiński spełnił rozkaz i wręczył dowódcy duży zegarek kieszonkowy, notes oraz jakiś zmiętoszony list z zatartym adresem, pisany atramentowym ołówkiem.

Ludomski obejrzał te przedmioty w uroczystym nastroju, jaki zawsze wywołuje widok poufnych ruchomości zmarłego, i wręczył je z powrotem sanitariuszowi z rozkazem :

— Odniesiecie to do kancelarii i powiecie Cewowskiemu, żeby odesłał rodzinie.

— Po co, panie poruczniku, kiedy on ma brata w czwartej kompanii ? — wtrącił stojący obok starszy strzelec Jagusiak.

— To odesłać bratu.

— Kiedy jego brat to nicpotem : nigdy o niego nie dbał za życia.

— To nie wasza rzecz — osądził Ludomski.

Rozstrzygnięcie to nie wyczerpało jednak sprawy. Tego samego dnia wieczorem Ludomski zauważył u Kamasińskiego jakieś brązowe sztylpy na nogach.

— Skądście to wytrzaśli ? — zapytał.

— To po Strusiu, panie poruczniku — odrzekł zmieszany sanitariusz.

Ludomski, że to u niego o gniew było łatwo, zmarszczył groźnie brwi.

— Czy ja nie mówiłem, żeby wszystkie rzeczy Strusia odesłać bratu? — zapytał podniesionym głosem.

— Ale o sztylpach nic pan porucznik nie wspominał.

— Co u diabła! wariata tu będziesz strugać, czy co?

Starszy strzelec Jagusiak, który stał w pobliżu przysunął się nieśmiało i powiedział uspokajającym tonem:

— Kiedy, panie poruczniku, melduję, jako to już cała kompania tak uradziła.

— Jak uradziła?

— Ażeby sztylpy zostawić Kamasińskiemu. Bo temu bratu z czwartej nic się po prawdzie nie powinno dawać. Jak Struś żył, to on nigdy się o niego nie troszczył. Na Boże Narodzenie miał dwie kominiarki, bo jedną starą, a drugą wyfasował na gwiazdkę, jak to pocztowcy z Łodzi miasta przysłali podarki — to wołał jedną sprzedać, niż dać Strusiu, choć go przy mnie prosił. To jest brat?

Inni strzelcy, stojący niedaleko, usłyszawszy o co chodzi, zaczęli się kupić wokoło. Praceł, mały, czarny w olbrzymiej kurcie dokładnie zasmolonej, wystąpił przed oficera i zawołał z widocznym przejęciem:

— Ja powiem, panie poruczniku. Znaliśmy się ze Strusiem od pętałów, bo razem chodziliśmy do szkoły fabrycznej i razem później pracowaliśmy u Szajblera. On był sierotą i wychowywała go ciotka na Milsza. Ale jakie on miał u niej życie, to niech ręka boska broni. A jego brat pracował w cukierni w Zgierzu i miał się dobrze, ale nigdy mu nic nie użyczył, nawet tyle, co czarne za paznokciem. A jak potem Struś nie miał roboty, to mu nie chciał pożyczyć pieniędzy, choć go przy mnie prosił. Dlatego musiał wstąpić razem ze mną na ochotnika jeszcze w osiemnastym roku. A brat poszedł dopiero z poboru. Ale nigdy o Strusia nie zadbał. Bo to nie wiem, czy co?

Ludomskiego zastanowiły nieco te wywody. Wiedział jednak z doświadczenia, że żołnierze zawsze starają się idealizować poległych kolegów i robić z nich postacie tragiczne, nie brał więc historii Strusia zbyt poważnie; z drugiej zaś strony jak każdy młody zwierzchnik bardzo się

obawiał o swoją powagę i starał się przy każdej sposobności ją wypróbować, po trosze także dla umocnienia jej we własnej wyobraźni : orzekł więc stanowczo, choć bez wewnętrznego przekonania :

— Nic mnie to wszystko nie obchodzi ! Powiedziałem raz, że wszystkie rzeczy Strusia należy odesłać bratu i nie mam zamiaru więcej tego powtarzać.

Wyrok ten wywarł jak najgorsze wrażenie. Kamasiński poczerwieniał, schylił się i zaczął powoli zdejmować z nóg cenne ozdoby. Otaczający patrzyli ponuro na tę jego czynność, jako na jaskrawy dowód zlekceważenia przez dowódcę ogólnej opinii, a ledwie ten odszedł, Rudajewski syknął szyderczo :

— Ci dowódca kompanii ! Inny myślałby tylko, co by dla swojej wiary zafasować, a on jeszcze obcym rozdać !

Inni kiwali głowami lub uśmiechali się drwiąco. Ludomski stracił już zaufanie i miłość podkomendnych.

Skutki tego nie dały na siebie czekać. W dwa dni potem pojawił się pierwszy wypadek dezercji. Uciekli — co dziwne — dwaj dzielni żołnierze, i to nie na polski urlop, ale do dwudziestego dziewiątego pułku, gdzie jeden z nich miał szwagra oficerem. Wykryło się to, gdyż byli na tyle bezczelni, że złożyli wizytę w kuchni i z łaskawą uwagą ludzi, którym się w życiu powiodło, wysłuchiwali skarg Kardasika na rozmaite kłopoty oddziału.

Gdy usłużny Piesik doniósł Ludomskiemu o tej wizycie, oficer wybuchnął z pogardą :

— U mnie w kompanii nie ma miejsca dla takich bażantów ! Kto jest dziewczką, nie żołnierzem, ten niech się włóczy choćby po całym froncie !

Ale Sitarek, z zawodu czeladnik rzeźniczy ze Zduńskiej Woli, który z powodu swej mądrości cieszył się największą powagą w kompanii, twierdził, że dowódcy drżały przy tym wargi i że gryzło go to więcej, niż pokazywał po sobie. Opierając się na tym spostrzeżeniu nakładał nawet w kark Piesikowi za tę przysługę.

Nic to jednak nie pomogło. Przykład okazał się zaraźliwy. Wypadki ucieczki zaczęły się powtarzać. Zniknęło jeszcze trzech szeregowców i jeden starszy strzelec Ustrycki. Jednego z uciekinierów, Pracla, odesłano z powrotem do kompanii, ale na pierwszym patrolu uciekł powtórnie — tym razem do bolszewików.

Był to wypadek niesłychany dotychczas zupełnie. Nie można było pojąć, co było tego przyczyną. Pracel co prawda nieraz wymyślał na „panów” i „burżujów”, ale nie czynił tego w wyższym stopniu niż reszta jego kolegów. Również zawsze oddawał oficerom znalezione na przedpolach odezwy komunistyczne, które zostawiały zazwyczaj patrole rosyjskie. Co do pierwszej dezercji, to nie poniósł za nią żadnej kary. Jedynie jego sekcyjny, znienawidzony ogólnie kapral Dziduch, zwymyślał go w słowach nader dla jego rodziny obraźliwych, ale które tak były w stosunkach służbowych nadużywane, że zatraciły poniekąd charakter obelg.

Zdrada ta do tego stopnia wstrząsnęła oddziałem, że nie rozmawiano o niej zupełnie, a nawet zwykłe dotychczas sarkania na gorzki los żołnierza polskiego, który „nie je, nie pije, a chodzi i bije”, ustały na pewien czas.

Bądź co bądź byli to wyraźnym objawem jakiejś choroby, która zaczynała toczyć organizm kompanii.

X

Ludomski zdawał sobie doskonale sprawę, że główną przyczyną wszystkich kwasów w oddziale jest sierżant, który będąc dawniej rdzeniem oddziału obecnie stał się zgangrenowanym jego członkiem : toteż zaczął przemyślać nad sposobem usunięcia go z kompanii.

Nie było to łatwe zadanie. Znienawidzony dotychczas za swoją surowość Dereń zdobył sobie naraz niezasłużoną sympatię żołnierzy. Ci sami, którzy niedawno jeszcze twierdzili, że takiego drania należałoby trzasnąć w pierwszej bitwie, teraz zawsze brali jego stronę we wszystkich jego zatargach z podporucznikiem, pomimo że brak wszelkiej logiki w wystąpieniach sierżanta powinien by chyba uderzyć w oczy nawet najgłupszych. Toteż zdawał się to być raczej rodzaj sympatii na złość dowódcy, niechęć ku któremu wzrastała teraz ciągle.

Jedynym środkiem zdobycia szacunku i miłości masy jest powodzenie. Próbę porażki może przetrwać wyłącznie wybitny autorytet. Ludomski nie był nim choćby z tego

względu, że nie cieszył się zbyt dużym zaufaniem zwierzchników.

Dowódca batalionu porucznik Leśniak czuł doń niechęć już za to samo, że służył w legionach. Sam on był dawnym oficerem rosyjskim o szerokiej twarzy, ozdobionej jasnymi szczeropolskimi wąsami. Stopień swój otrzymał jeszcze w armii carskiej. Od tego czasu stale pełnił obowiązki dowódcy batalionu, ale mimo to nie dostawał jakoś trzeciej gwiazdki, choć wielu jego młodszych podkomendnych, bez drobnej nawet części jego doświadczenia bojowego, w jego oczach awansowało na jego zwierzchników, dotkliwie dając mu nieraz odczuć wyższość swoich zasług dla ojczyzny nad jego długie lata bezmyślnych trudów frontowych. Obudziło to w nim zawiść i chęć odwetu, miarkowaną jedynie przez automatyczną, rzemieślniczą sumienność w pełnieniu wszelkich swoich obowiązków.

Ludomskiego uważał właśnie za jednego z takich „zasłużonych” młodzików, dla których z góry zarezerwowano wszelkie zaszczyty wojskowe. Nie podobał mu się także jego demokratyczny sposób bycia i zażyłość w stosunkach z podkomendnymi. Według niego bowiem oficer powinien przede wszystkim odznaczać się dumą tudzież nieprzystęnością w stosunkach z szeregowymi i cywilami. Prócz tego nigdy nie powinien dowierzać żołnierzom, którzy z reguły skłonni są do buntu i bolszewizmu. Zasady te głosił przy każdej sposobności.

— Oficer — mawiał — powinien uważać na siebie jak panna na wydaniu. Dopóty się ma władzę, dopóki się imponuje pod każdym względem.

I rzeczywiście, co do siebie samego „imponowanie” na każdym kroku uważał za główne zadanie i przywilej swojego wysokiego stanowiska. Za jeden ze środków przystępny uważał okazywanie swoim podwładnym wiecznego z nich niezadowolenia.

Ludomski nie odpowiadał nakreślonemu przezeń wzorowi oficera pod żadnym względem, a gdy wyłajany ostro za jakieś drobne uchybienie ośmielił się miną i postawą wyrazić swoje z tego powodu rozgoryczenie, stracił jego łaski zupełnie. Kiedy więc teraz spróbował omówić z nim sprawę przeniesienia sierżanta do innej kompanii, gdyż ten źle wpływa na jego ludzi, usłyszał gniewną i szyderczą odpowiedź:

— Dereń psuje panu oddział? Ciekawe, co tam jeszcze do zepsucia zostało? Pańska kompania pod względem karności w ogóle przedstawia się najgorzej z całego batalionu, a pan nie dość że nie umiesz dać z nią sobie rady, jeszcze chcesz się pozbyć najlepszego podoficera z jakichś osobistych powodów? Nie, panie poruczniku, dowódca kompanii nie może mieć żadnych spraw osobistych ze swoimi podkomendnymi! Jeśli pan tego nie rozumiesz, nie nadajesz się wobec tego na oficera!...

Zgnębiony podporucznik narzekał z tego powodu przed przyjacielem:

— Jakże mam się pozbyć tego piekielnego draba? Ze też to Matka Boska nie ześle tyfusu na takie ponure bydlę.

Paprosiński milczał.

Zresztą żal Ludomskiego był niesłuszny. Nie było tyfusu, ale podoficera prawie co dzień dręczyły ataki febry. Leżał wtedy w zagłębieniu okopu, zwinięty w kłębek, zatulony w płaszcz, a często i w koc, dygocząc jak kulomiot podczas zażartego boju. Dzwonił przy tym zębami tak głośno, że sprawiał wrażenie bezkształtnego worka, w którym kłękocą rozleciały kości.

Ci sami żołnierze, którzy zawsze brali jego stronę przeciw Ludomskiemu, w takich chwilach odsuwali się odeń jak od zmiążdżonego robaka. Główną tego przyczyną była trwoga, jaką zawsze jeszcze w nich budził, ale oprócz tego litość ich — co się często zdarza — połączona była z odrazą, tak naturalną u zdrowych i młodych organizmów na widok niemocy. Trzeba było wyraźnego rozkazu Ludomskiego, aby mu usłużono lub choćby przeniesiono pić.

Choroba Derenia nasunęła dowódcy nową nadzieję pozbycia się go z kompanii. Oczekiwał, że sierżant sprzykrzy sobie w tych warunkach trudy życia frontowego. Gdy to nie następowało, zapytał wreszcie obcesem:

— Dlaczego nie meldujecie się do szpitala?

Dereń leżał właśnie wstrząsany dreszczami. Gorączka łagodziła widocznie jego zawziętość, odpowiadał bowiem chętnie dzwoniąc zębami:

— Po co? Byłem już tam przecie. Bo to można wyleczyć kogo głodem i aspiryną? Jesteś ranny, to ci pchają

jodynę w żywe mięso. Jesteś chory, to łykaj aspirynę i nie jeść nie dostaniesz. Kiedy byłem taki słaby, że już się ruszać nie mogłem, to dopiero taki młody podchorąży Żydek kazał mi „obostrzyć dietę”, powiada...

Ludomski święcie był przekonany o słuszności tych uwag. Mało to wiedział o niepotrzebnych amputacjach i karygodnych omyłkach lekarskich. Słyszał nawet o ohydnych sposobach dobijania ciężko rannych i chorych, tak żeby gwałtowna śmierć żadnego śladu nie zostawiała. Stosowano je w razie przepełnienia w szpitalach francuskich i austriackich, mogli więc stosować i w polskich. Jeśli wojna wyzwała w człowieku zwierzę, to bardziej jeszcze na tyłach niż na froncie. Takiemu „łapiduchowi” dobrze w cieple i obfitości jadła, to myśli tylko, jakby sobie jeszcze poprawić, a nie o tym, że inni cierpią. Mimo to zauważał ostro :

— Już tam na pewno doktorzy lepiej wiedzą od nas, co potrzeba, a co nie !

— O, pewnie ! Zmarnować człowieka, to każdy potrafi.

— Potrafi — nie potrafi, ale co mi po was w kompanii ? Jak chcecie, dam wam urlop, to sobie w domu wydobrzejecie.

— W domu ? Nie byłem w domu od piętnastego roku. Rodzina — to takie same ścierva jak i obcy.

Nie można było dogadać się z nim zupełnie. Jakaś gorycz przeżarła mu mózg i serce, a — co gorsza — postanowił widocznie nie odstępować kompanii za żadną cenę. Przywarł do niej niby polip do tonącego żeglarza; czuwał nad jej nieszczęściami i powolnym upadkiem jak złośliwa opatrność. I nie było już na to żadnej rady.

— Co z nim zrobić w końcu ? — pytał Ludomski Paprosińskiego w ostatniej rozpaczy.

Ten w głębokiej zadumie wodził wzrokiem po ciemnoniebieskim sklepieniu jakby zabrukowanym do połowy zwartymi szeregami przezroczystych baranków, wreszcie spojrzał na dowódcę swoimi jasnymi i szeroko osadzonymi oczami o białych prawie rzęsach i odrzekł z wyraźną niechęcią :

— Nie umiesz się na nim poznać. To bardzo ciekawy człowiek. Do takich należy świat i jego przyszłość.

— Nie umiem się poznać?... Do takich należy przyszłość?... Być może. Nie zaprzeczysz jednak, że przy tym wszystkim jest to tępe i zakute bydło?

— Nie można w ten sposób stawiać zagadnienia. Według ciebie bolszewicy to też jedynie tępe bydło. Ale garść tego bydła prowadzi przeszło stumilionowy naród i zawiedzie go, gdzie zechce. Choćby w przepaść.

— Co ma piernik do wiatraka? Gdyby nawet Dereń miał co wspólnego z bolszewikami, to dlaczego dla nich miałbym czuć jakikolwiek szacunek? Czyż może ktokolwiek rościć sobie prawo do mieszania mi we łbie jak w szafliku i roztrzaskać mi z nagana czaszkę za to tylko, że nigdy w życiu nie interesowałem się reformą rolną czy ustrojem rad robotniczo-włościańskich albo też, że jakąś surę markowskiego talmudu rozumiem inaczej niż jakiś tępy socjalistyczny rabin?

— Nic nie pojmujesz. Tu chodzi o zdolność wiary w nieomyłność swojego rozumu, zdolność, która właśnie stwarza postęp. Wszystko jedno czy ten rozum wytworzy własną doktrynę, czy też przyjmie cudzą, byle tylko nigdy nie wybiegał poza nią. Uczonego i pełnego starej kultury Piłata za to, że prawie u schyłku swojego żywota zapytał: „Co jest prawda?” — ściga nienawiść i wzgarda pokoleń, a rządy dusz objęli rybacy — analfabeci z jakiegoś zapałłego i zacofanego kraiku.

— Dobrze! Niech sobie Dereń będzie apostołem, niech mu nawet Pan Bóg da miejsce ministra przy swoim dworze niebieskim, ale on mi psuje całą kompanię!

— Nie o to chodzi. Mówię ci, że jest to niezmiernie ciekawy człowiek.

— Nie o to, więc o co chodzi? Jeśli jest taki interesujący, to niech go wsadzą do słoja ze spirytusem i pokazują w muzeum osobliwości, tylko niech mi tu nie śmierdzi w oddziale!...

Paprosiński odwrócił się z widocznym zniecierpliwieniem i zaczął rozglądać się po widnokręgu.

Ziemię wstrząsał od czasu do czasu grzmot artylerii bolszewickiej, która biła tego dnia od samego rana. Na prawym skrzydle za lasem, gdzie znajdował się przyczółek mostowy w Sokołowszczyźnie, wzniósł się naraz brunatny słup pożaru i rósł wolno, coraz wyżej i wyżej. W powie-

trzu chichotały granaty. Potem zaczął wyc przeciągle wysoko pod niebem bolszewicki samolot, który jak co dzień oblatywał polskie stanowiska.

XI

Tymczasem sytuacja na froncie pogarszała się z dnia na dzień. Artyleria bolszewicka wzięła stanowczą przewagę nad polską. Coraz nowe lekkie i ciężkie baterie dawały znać o sobie, wstrzeliwując się w polskie okopy, działobitnie, czy wioski albo folwarki, gdzie mieściły się dowództwa i odwody. We dnie nie można się już było zupełnie pokazać w polu widzenia nieprzyjacielskich obserwatorów. Polowano szrapnelami nawet na pojedynczych wywiadowców, telefonistów i łączników. W nocy — o ile nie było ataków — chociaż rzadkimi strzałami niepokojono okopy, byle tylko nie pozwolić strzelcom na zasłużony spoczynek.

Polskie baterie odzywały się tylko dla odpierania ataków albo w szczególnie ważnych okolicznościach. Na każdy bowiem błysk z ich stanowisk spadały w odpowiedzi chmary ciężkich pocisków rozbijając sprzęt, zrywając połączenia telefoniczne, kalecząc ludzi i konie. Gorzej jeszcze bo doprowadzeni do wściekłości jakimś celnym granatem bolszewicy mścili się często na niewinnej zupełnie piechocie zasypując jej okopy ogniem bez żadnego powodu. Wywoływało to niejednokrotnie swary i kłótnie między dwiema zawsze rywalizującymi z sobą broniąmi. Dla uniknięcia więc tego lepiej było nie zaczynać z brutalnym i nie przebierającym w środkach przeciwnikiem.

Poza tym regularnie dwa razy dziennie patrolowały polskie stanowiska czerwonogwiezdne samoloty spuszcza-
jąc bomby i plując z maszynek w każdy podejrzany punkt terenu. Na próżno artylerzyści usiłowali się maskować sztucznie tworzonymi gaikami — drzewka schły i wywracały się od własnych strzałów zdradzając mistyfikację. Zresztą lotnicy nieprzyjacielscy i tak aż nazbyt dobrze znali przesuwające się codziennie pod nimi obszary. Toteż

po każdej ich wizycie nowe fale ognia spadały na zaryte w ziemię i przynębione polskie armaty.

Wszystko to wskazywało na jakieś daleko idące zamiary Czerwonej Armii. Coraz uporczywiej mówiono o świeżych dywizjach bolszewickich, sprowadzanych na odcinek; o niepowodzeniach na ukraińskim teatrze wojny i o przygotowywanej przez „Dziadka” nowej ofensywie, mającej uprzedzić natarcie sowietów, które zlikwidowawszy już wszystkie walczące przeciwko nim armie kontrrewolucyjne miały teraz wszystkimi siłami uderzyć na Polskę.

Cieszono się ogólnie tą nadzieją, najwięcej jednak na przedmościu pod Sokołowszczyzną, znajdującym się za Autą tuż na lewo od kompanii Ludomskiego. Przedmoście to było zdobyte wśród zjadłych walk jeszcze w połowie czerwca i obsadzone przez wszystkie cztery kompanie trzeciego batalionu kapitana Kudaja w ten sposób, że rowy strzeleckie szerokim łukiem otaczały zgłiszcza osady.

W jakim celu dowództwo brygady upierało się na utrzymaniu tego stanowiska — tego nie można było objąć rozumem zwykłego śmiertelnika. Paprosiński, który wiedział wszystko, dowodził, że chodziło tu o posiadanie wzgórza, panującego nad olbrzymią połacią polskiego zapola aż po Pawłowicze, Szoroszno, Sielco, Tupiczyńę, Ulinę i Podlipki. Ale rozumowanie jego było zbyt uczone, aby trafić do zwykłego rozsądku. Przecie bolszewicy przez tyle dni trzymali ten punkt przed jego zdobyciem, a pułk w dobrym zdrowiu pozostawał na swych stanowiskach. I właśnie dopiero z chwilą przejścia w ręce Polaków stał się on tym cierniem, tkwiącym w samym sercu czerwonego frontu, doprowadzającym do szału rozjuszzonego nieprzyjaciela. Wszystkie jego działania miały odtąd jeden jedyny cel: odzyskanie przyczółka. Noc w noc szły nań zaciekle natarcia, jedno po drugim, kończące się nierzadko mordczymi walkami na granaty ręczne czy nawet na bagnety. Całymi dniami artyleria bolszewicka bębniła po okopach obrzydzając życie nieszczęsnej załozde. Każdego niemal ranka batalion przedmościa odsyłał na tyły stały kontyngent poszarpanych, pokłutych i podziurawionych nieboszczyków na uczciwy chrześcijański pochówek. Nie licząc oczywiście rannych. Nie mogło też być mowy o regularnym zaprowiantowaniu żyjących w takich warunkach kompanii.

Wiele może znieść ten, kto musi. Wszystkie te niedole spływały po trzecim batalionie jak woda po psie. Wywoływały raczej coraz silniejszą nienawiść do ich sprawców — bolszewików. Strzelcy zapiekli się w swym uporze. Nawet w krótkich chwilach spokoju ich karabiny maszynowe węszyły choćby najlepiej zamaskowane kryjówki wroga. Całymi nocami ich patrole krążyły wokół jego stanowisk, na kształt zgrai wygłodniałych wilków, oblegających podczas ciężkiej zimy uśpione wioski.

Często człowiek silniej przywiązuje się do miejsca swej niedoli niż do siedliska swego szczęścia. Tak samo trzeci batalion zdawał się zrósć ze swoim przedmościem. Nikt już w nim nie marzył o zmianie, o wypoczynku, jak gdyby ten zryty granatami pagórek, te podarte kulami kikuty drzew i te okopcone resztki kominów dawno wymarłej osady stanowiły najbardziej uroczy i najbardziej godny miłości zakątek.

Wszystko się jednak w końcu sprzykrzy. Jeżeli bolszewicy nie zdołali obrzydzić strzelcom ich uporu za życia — udało im się to po śmierci...

Stanowiska polskie na tym odcinku umocnione były niezwykle zbytkownie. Dość powiedzieć, że w wielu miejscach przed okopami występowały tu całe zagony drutów kolczastych. Na tych drutach załamywały się niejednokrotnie natarcia bolszewickie. Świadczyły o tym ugrzęzłe w nich, niby muchy w pajęczynie, białe od kurzu i spuchnięte jak niekształtne balony — trupy. Nikt ich stamtąd nie usuwał, bo zresztą było to niemożliwe wskutek bezustannego ognia. I oto trupy te zemściły się za swoją poniewierkę... Zaczęły śmierdzieć.

Nie można sobie wyobrazić nic potworniejszego. Był to smród najstraszliwszy, jaki może istnieć w przyrodzie. Świdrował w nosach, zatykał gardła, łechtał żołądki, wyrwał wnętrzności... Niemożliwością się stało żyć w tej atmosferze. W końcu dowództwo batalionu zmuszone było cofnąć linię obronną w niektórych miejscach. Ale zaduch szedł coraz dalej i szerzej, nieunikniony, silny i zwycięski jak sama śmierć.

W takich to warunkach cała dziesiąta dywizja w nuzdzie i niepokoju wyglądała jakiegokolwiek rozstrzygnięcia czy zmiany.

XII

Jeżeli oczekiwanie czegoś nieznanego jest zawsze przykre dla każdego człowieka, to dla podporucznika Paprosińskiego oznaczało ono mękę nieustającą.

Stanowiło to jego własną nikomu nie wyjawioną tajemnicę, że nigdy nie mógł się zdobyć na jedną chwilę życia teraźniejszością, zapomnienia o tym, że wojna jest królestwem śmierci i niemyślenia o niebezpieczeństwach, które mają się zdarzyć w przyszłości. Był to u niego jakiś nadnaturalny przerost świadomości, całkowite wyuzdanie wyobraźni, która mu nigdy nie pozwalała na rozkosz zapomnienia się i skupienia całej energii psychicznej na momencie jakiegokolwiek działania.

Nikt się jego kalectwa nie domyślał. Według opinii zwierzchników odznaczał się on wyjątkową równowagą duchową, zimną krwią i pogardą śmierci. Pochodziło to stąd, że spokojne czasy na froncie były dań nieprzerwaną męką skazańca oczekującego kaźni. Zamykał się wtedy w sobie trawiąc swoją grozę w milczeniu i skupieniu, jakby obawiając się uronić z niej choćby kropelkę. Wskutek tego prawdziwe niebezpieczeństwo przynosiło mu pewną ulgę i to tym większą, im szybszy był złowrogi wir wypadków. Pochodziło to po prostu skutkiem niestrawności wyobraźni, której dostała się do pochłonięcia zbyt duża dawka wrażeń.

Obserwujący go brali za obojętność jego walki wewnętrznej, a za zimną krew — rozpierzchnięcie myśli.

W kompanii i w ogóle na froncie zjawił się dopiero podczas bolszewickiej ofensywy majowej, to znaczy od miesiąca zaledwie. Mimo to już go chciano naznaczyć dowódcą osieroconej przez śmierć podporucznika Biłyka trzeciej kompanii. Wymówił się. Dość miał myślenia o sobie, żeby móc troszczyć się o innych. Z całych sił trzymał się Ludomskiego, przy którego boku nic go nie zmuszało do prowadzenia samodzielnego żywota na większą skalę. Mimo to w skrytości ducha radował się swoją opinią wielkości, która nie chce się ujawniać.

Było to dlań coś nowego. Coś, czego nigdy dotychczas nie przeżywał. Toteż jego zgłódniała ambicja, kar-

miona przez całe życie upokorzeniami wyniosłą wzgardą i gorszą od niej śmiesznością, chłonęła chciwie tę nieznaną sobie a upragnioną strawę.

Przez całe trzydzieści lat, podczas których jego nerwy odbierały wrażenia z otaczającego go świata, nigdy nie czuł się zadowolony z siebie ani z losu, jaki przypadł mu w udziale.

Już samo miejsce urodzenia było dlań powodem wielu przykrości. Przyszedł na świat bowiem w Bełchatowie, gdzie ojciec jego posiadał restauracyjkę i dom zajezdny. Gorsze jeszcze było, że otrzymał po przodkach nazwisko Paprosiński, które koledzy szkolni z piotrkowskiej „aleksandrówki” skracali w Paproch albo nawet w Farfocel; a już najgorsze, że rodzice według starego obyczaju nadali mu imię Fidelisa, jakie przyniósł był z sobą na ten padół płaczu. Fidelis Paprosiński z Bełchatowa — w ten sposób przecie nie mógłby się nazywać żaden człowiek sławny czy zajmujący wybitne stanowisko społeczne.

— Imię ?

— Fidelis.

— Nazwisko ?

— Paprosiński.

— Wykształcenie ?

— Trzy klasy.

Żaden gryziپیorek w urzędzie nie mógł ukryć przy tych danych obleśnego uśmiechu wyższości. Wszystko to przecie o miłą pachniało najpodlejszym drobnomieszczaństwem, tak pogardzanym przez chłopów, tak znienawidzonym przez robotników, tak ośmieszonym i stanowiącym zawsze niewyczerpany temat do szyderczych dowcipów dla panującej narodowi klasy inteligenckiej w jej dziennikarstwie, literaturze, teatrach i teatrzykach.

A Paprosińskiego właśnie piekła zawsze nieugaszona ambicja wspięcia się ponad swoją sferę.

Po raz pierwszy udało mu się to podczas rozruchów po wojnie japońskiej. Miał wtedy lat szesnaście i pracował w Łodzi jako pisarz u rejenta. Do prób rewolucyjnych zapalił się bardzo, o ile to oczywiście było możliwe dla jego melancholicznego usposobienia. Zresztą przewrót socjalistyczny wyobrażał sobie przede wszystkim jako zrównanie klas pod względem towarzyskim. Brał więc w partii czynny udział, polegający głównie na rozszerzaniu „bibuły” agi-

tacyjnej. Praca ta przyniosła mu dwie osobiste korzyści. Po pierwsze pozwoliła mu częściowo zerwać z własnym hańbiącym nazwiskiem przez przybranie pseudonimu partyjnego „Witold Prochoń”, przy czym zdrobniałe imię „Witek” przez swe podobieństwo do „Fidek” pozostało mu już na całe życie; a po drugie pozwoliła mu wejść w stosunki z działaczami inteligenckimi, z których jeden, syn lekarza, Leszek Świderski, darzył go nawet pewnego rodzaju przyjaźnią. Przyjaźń ta posiadała pewien odstęp, wytworzony przez nieśmiałość młodego pisarczyka z jednej strony, z drugiej zaś dobrze karmioną przez całe życie pewnością siebie młodego inteligenta, zniżającego się do ludu. Niemniej Paprosiński skorzystał na niej bardzo wiele. Bywając w domu państwa Świderskich dostał się do wyższych sfer towarzyskich i co ważniejsze — znalazł w przyjacielu kierownika i pomoc w kształceniu się, głównie w postaci pożyczanych książek.

Najbardziej jednak dobrodziejstwa tych stosunków wyszły na jaw po aresztowaniu ich obu, papa Świderski bowiem dzięki stosunkom z władzami rosyjskimi wy dostał go wraz z synem z więzienia i razem wyprawił za granicę, do Szwajcarii, a potem do Francji.

Dwa lata spędzone na emigracji były najpiękniejszym okresem w życiu przyszłego podporucznika. Imię „Fidelis” wśród obcych narodów zatraciło swoją nieznosną i grubą pretensjonalność, nazwisko „Paprosiński” brzmiało dla cudzoziemców dźwięczniej nawet od wielu arystokratycznych, a nazwa rodzinnego miasteczka w przeróbce „Bel Chateau” wyglądała raczej powabnie. Dostał przy tym posadę w banku w samym Paryżu, gdzie przydała mu się zdobyta w piotrkowskiej „aleksandrówce” znajomość języka rosyjskiego.

Świderski opuścił go niedługo, zajął się bowiem sprawami organizacyjnymi w Belgii i Szwajcarii. Za to Paprosiński znalazł sobie innego przyjaciela w postaci młodego rewolucjonisty rosyjskiego Horbaczewskiego, zresztą syna carskiego generała.

Wreszcie skończyło się to niezbyt zresztą smutne wygnanie. W kraju uspokoiło się tak, że mógł wrócić, wezwany telegraficznie na pogrzeb matki. Nie wyjechał już za granicę, dostał bowiem posadę w sądzie okręgowym w Piotrkowie i niedługo potem zabrano go do wojska.

Wojnę dzięki stosunkom z generałem Horbaczewskim spędził bezpiecznie w biurze wojskowym w Odessie, a po wybuchu rewolucji, ciągle jako pisarz wojskowy, dostał się wraz z czwartą dywizją do Polski.

Tu znowu przestało mu się powodzić. Zaczęto mu sprawdzać papiery. Powtórnie wyszło na jaw, jak się właściwie nazywa, skąd pochodzi i jakie ma wykształcenie. Nie przyznano mu też stopnia chorążego, jaki był zdobył jeszcze w armii rosyjskiej. Nie należał już do „towarzystwa”. W biurze dowództwa łódzkiego okręgu generalnego, w którym pracował, znalazł zwierzchników krzykliwych i zarozumiałych, którzy najwyższą przyjemność zdawali się znajdować w ciągłym upokarzaniu go. Może dlatego, że byli to przeważnie ludzie młodzi, którzy zawsze mniej od niego rozumieli się na dziale, jaki prowadzili wszyscy bowiem swoje stanowiska zawdzięczali protekcji czy jakimś zasługom. Sama praca nie sprawiała mu zadowolenia, była to bowiem przeważnie bezmyślna pisanina, przeznaczona głównie na to, żeby jak najwięcej utytułowanych osobistości mogło pod nią kłaść swe podpisy. Z tego też powodu dla każdej choćby najbłaższej sprawy wyszukiwano jak najbardziej kręte drogi, byle mogła ona jak najdłużej tkwić w rozmaitych tekach i biurkach. W takich okolicznościach Paprosiński popadł wreszcie w przygnębienie i rozstrój nerwowy.

Aż pewnego dnia, gdy w ponurej rozpaczycy przetrawiał otrzymaną właśnie zupełnie niesprawiedliwą nagane, do biura z brzękiem ostróg wszedł jakiś major.

Był to ciemny blondyn z wąsikami i baczkami na wzór ks. Józefa. Mundur prosto z igły błyszczał wszelkimi krzyżami i odznakami, jakie zdążyła wypuścić odrodzona Polska. Przybyły rozejrzał się po kancelarii władczym wzrokiem i naraz huknął:

— Sierżant Paprosiński — do mnie!

Ten zerwał się gwałtownym ruchem dobrze wytresowanego psa. Nim zdążył to sobie uświadomić, już stał przed oficerem, wyciągnięty jak struna.

Tymczasem zamiast dobrze sobie znanego groźnego spojrzenia rozkazodawcy ujrzał pełną wesela twarz Świderskiego, który wołał ze śmiechem!

— Witek, do ciężkiej cholery, co ty tu robisz?

Paprosiński nie okazał żadnego zachwytu.

— Żeby tak bardzo wiedział, tego nie mogę powiedzieć — odrzekł z wyraźną goryczą.

— No, to rzucaj wszystko w diabły i chodź na jednego!

— Teraz nie mogę. Widzisz, że mam pracę.

— Do chrzanu z twoją pracą! Słuchaj no, Grzesiu — zwrócił się do jednego z młodszych pisarzyków. — Gdyby się pan porucznik pytał o pana sierżanta, zameldujesz, że zabrał go pan major Świderski.

— Tak jest, panie majorze!

Za kilka minut obaj przyjaciele tkwili już w zwierciadlanym bufecie restauracyjnym przed napełnionymi zielonym likierem kieliszkami. Paprosiński nie zdążył jeszcze wyjść ze swego odrętwienia, za to Świderski radował się za obu:

— Popatrz, popatrz, to już dziesięć lat, jakieśmy się nie widzieli! Opowiadaj, co się z tobą działo.

Paprosiński streścił swoje dzieje.

— A dlaczego nie próbowałeś robić matury?

— Próbowałem z sześciu klas, ale mnie oblali z algebry. Na czterdziestu dwóch siedmiu tylko zdało.

— To nic, musisz zdawać znowu i zostać oficerem.

— **Nie tak to łatwo, jak ci się zdaje.**

— Dla mnie wszystko łatwo. Za kilka tygodni zostaniesz oficerem.

Rzeczywiście odtąd życie poszło Paprosińskiemu jak z płatka. Nie minęły dwa miesiące, gdy zdał egzamin z sześciu klas i otrzymał gwiazdki podporucznika. Zobaczył wtedy cały znany sobie świat z zupełnie innej strony. Przekonał się wtedy, że wszyscy jego zwierzchnicy, do których pałał głuchą nienawiścią i pogardą, byli to nadzwyczaj serdeczni i prostoduszni ludzie, tylko po prostu nie dostrzegali go do tej pory. Teraz za to odnosili się z zawstydzającym go szacunkiem do jego inteligencji, wiedzy i smaku estetycznego, a życzliwość ich nie miała po prostu granic. Na każde zawołanie wydostawali dlań urlopy wypoczynkowe i zdrowotne, podróże służbowe, delegacje, tak że bodaj więcej przebywał w Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy w miejscowościach uzdrowiskowych niż w Łodzi. Bawił się też i używał niedostępnego dlań dotychczas życia, jak nigdy.

Ale gdzieś na dnie serca taił w nim się jakiś wstyd. Zbyt łatwo przyszło mu to wszystko. Przywykł dotychczas

o wiele drożej okupywać wszelkie powodzenie w życiu. Rozmyślał nad tym długo, aż pewnego dnia stanął do raportu z prośbą o wysłanie go na front. Odmówiono mu raz i drugi, wreszcie jednak, gdy nie ustępował, wysłano go z jakąś kompanią marszową na linię demarkacyjną litewską.

XIII

Znalazłszy się w polu Paprosiński przekonał się, że wojna nie jest jego właściwym żywiołem. Młodzieńcza żądza przygód wygasła w nim już dawno, a poza tym nie czuł w sobie żadnej drapieżności ani zamiłowania do hazardu. Najważniejsze jednak, że od najwcześniejszych lat nauczył się w sobie tępić lekkomyślność, jako najcięższą wadę człowieka pracy, a tu właśnie zobaczył, że zdolność zapominania o przeżytych przykrościach i niemyślenie o mogących nastąpić niebezpieczeństwach stanowi pierwszy warunek bohaterstwa. Tym bardziej więc wpadał w rozpacz w bezsilnym szamotaniu się ze swoją koniecznością ciągłego przewidywania.

Widział żołnierzy, którzy w pierwszej bitwie nierównie więcej od niego okazywali strachu, a którzy przecie wciągnięci w żywioł wojny żyli w nim beztrąsko i wesoło, jakby nigdy innego nie znali — podczas gdy on nawet po dwóch miesiącach frontu nie mógł się ani na chwilę pozbyć wiecznej zmory grożącej mu śmierci.

Stanowczo z innej niż wszyscy ludzie był ulepiony gliny. Stwierdzał to z beznadziejną stanowczością. Był przecie w wieku, w którym Chrystus dokonał swojego dzieła objawienia światu Prawdy, w którym Byron ukazał Europie urodę życia, w którym Napoleon rozpoczął boską pracę lepienia z krwawej i obłąkanej masy ludzkiej posągu pokoju i ładu : a on nie zdołał jeszcze dotychczas wyjść poza siebie. Całą siłą ducha ciągle jeszcze musiał zużywać na utrzymywanie w cuglach nerwów, które przecie są zwykle silnikiem życia, i na tamowanie wyobraźni, która powinna by być twórczym losu, a nie wrogim żywiołem.

W tej chwili uświadamiał to sobie w sposób bezlitosny.

Dzień był niby to spokojny. Słońce prażyło, tak że patrzącemu z rowu strzeleckiego zarysy widzialnych traw, krzewów i fałd ziemnych roztopiały się i drgały niby w płynnym i gotującym się szkle.

W okopach panowało senne rozleniwienie upalnego popołudnia. Prawie wszyscy żołnierze byli rozebrani. Niektórzy wprost nago, jedynie w hełmach lub w furażerkach na głowach zażywali kąpieli słonecznych wylegując się na wydmach i osypiskach. Inni snuli się boso, obnażeni do pasa, z przymrużonymi oczami i ze zmarszczonymi od nadmiernego światła nosami.

W ich ruchach nie było nic celowego. Plutonowy Zajączkowski na przykład dźwignął się z legowiska, poszedł kilka kroków w stronę drugiego plutonu, po drodze jednak zatrzymał się i dobry kwadrans z otwartą gębą przyglądał się Sitarkowi, który siedząc w krótkich majtkach na ziemi cerował spodnie. Sitarek od czasu do czasu przegryzając zębami nitkę łypał ku niemu podejrzliwie jednym okiem, aż póki nie ukończył pracy. Wtedy plutonowy zamknął naraz usta, splunął w kąt i wrócił na swoje dawne miejsce, jakby ujrzenie Sitarka było jedynym celem jego wędrówki.

Ludomski również boso, z rozsznurowanymi nogawicami spodni, w rozchełstanej na piersiach koszuli i z gołą głową stał oparty o tylną ścianę rogu i zacisnąwszy silnie powieki obracał ku słońcu błyszczącą od potu twarz niby pretensjonalna dama, która opala się na balkonie, aby jej złośliwe przyjaciółki nie poznały, że nigdzie nie wyjeżdżała na lato.

Nikogo nie obchodziło, że tam jakaś bolszewicka bateria załatwia w tej chwili nieznane porachunki. Zresztą strzały były pojedyncze i bardzo rzadkie. Jeden Paprosiński musiał myśleć właśnie o tym. Musiał wyobrażać sobie tak dobrze znaną mękę oczekiwania nadlatujących pocisków, którą ktoś przecie w tej chwili przeżywa, i nagle, odejmujące wszelką władzę członkom, przerażenie ugodzonego odłamkiem żołnierza. On też jeden był całkowicie ubrany i gotów na wszystko, jak „mądra panna” z biblii, która oczekiwała oblubieńca nie znając dnia ani godziny jego przybycia. Nie pozwolił sobie nawet na zżucie

rozpalonych i piekących butów. Pot ściekał mu z czoła zalewając powieki, aż czuł szczypanie w kącikach oczu. Chłodne jego strugi łaskotały go pod brodą i na odsłoniętych nieco wskutek rozpiętego kołnierza piersiach.

Wreszcie odważył się na zdjęcie hełmu, który był rozgrzany tak, że parzył palce, i podłożenie podeń chusteczki do nosa. Przy tej czynności rozejrzał się i zauważył, że jeszcze jeden człowiek w okopie nie dbał o upał zupełnie. Był to Dereń. Stał również całkiem ubrany i patrzył w dal za rzekę, jakby czegoś cierpliwie i spokojnie wyczekiwał.

W WIELKIEJ BITWIE

I

Im dłużej wyczekujemy ciężkiej godziny, tym bardziej niespodzianie do nas przychodzi.

Paprosiński obudził się, gdyż Ludomski szarpał go silnie za ramiona, unosił mu oburącz głowę, a nawet próbował dźwignąć go za kołnierz — ale nie mógł wrócić do świadomości.

Była pełna, ciemnobłękitna noc letnia. Po twarzy i hełmie Ludomskiego przelatywały nagle, ledwo uchwytnie światła, jakby odbicie dalekich, wróżących pogodę błyskawic. Wokół panowała cisza.

Paprosiński miał jedną tylko myśl : pogrążyć się w sen na nowo. Dla uwolnienia się od brutalności przyjaciela zamruczał przez nos :

— No, dobrze, dobrze ! Nie śpię przecie !

Ale Ludomski szarpał go w dalszym ciągu.

— Wstawaj ! wstawaj ! — wołał gwałtownym szep-tem. — Atak !

Na to słowo Paprosiński podniósł się trzeźwy zupełnie.

Przedewszystkiem poczuł, że jest zziębnięty na wskroś. Był to widocznie skutek rosy, która teraz właśnie osiadała. Potem przekonał się, że nic jeszcze nie zapowiadało, słońca i że front jest spokojny. Zresztą rzekę i zarośla nadbrzeżne zasłaniały smugi mgieł gęstych jak stara, zakurzona pajęczyna. Wobec tego obejrzał się zdziwiony i obrócił pytający wzrok na Ludomskiego. Ten stał w pełnym

oporządzeniu, w płaszczu, z mapką na biodrze, z zadartym w górę wilgotnym od rosy hełmem i nasłuchiwał z napięciem.

Zresztą cała kompania stała nieruchomo niby weselnicy z dramatu Wyspiańskiego, czekający na dźwięk złotego rogu.

— No, i co się dzieje? — szarpnął Ludomskiego za rękaw zirytowany Paprosiński.

Dowódca kompanii obrócił ku niemu pełne wilgotnego podziwu oczy.

— Nie słyszysz?

Teraz dopiero usłyszał.

Daleko, za gęstymi oparami gotowało się coś jak w garnku. Słyszać było wyraźnie szum pary i bulgotanie pekających na powierzchni baniek.

— Gdzie? — zapytał znowu.

— Na obu skrzydłach naszego odcinka. Tu w prawo atakują — zdaje się — poznaniaków.

Paprosiński zaczął się rozglądać, aby jak najściślej uświadomić sobie chwilę, którą przeżywa. Wszystko wokół było rzeźwe, świeże i wilgotne chłodną wilgotnością pierwiosnka. Błyszczały od rosy okucia kolb leżących na przedpiersiu karabinów, wydobyte przy kopaniu rowów kamienie, hełmy i menażki na plecach żołnierzy, którzy stali już w pełnym oporządzeniu bojowym.

Pierwsze chwile napięcia minęły. Gdzieniegdzie rozmawiano uroczystym szeptem jak w kościele. Słyszać było poza tym skrzypienie rzemieni, chrzęst ładownic i zgrzyt wyciąganych bagnetów.

Bagnety lśniły białą jak sople lodu, ale miały pewien żółty odcień od oliwy, którą były napuszczone ich rowki.

Chłód stawał się tak przejmujący, że Paprosińskiego zaczęły boleć żebra i szczęki, trzymał je bowiem w ciągłym napięciu, aby opanować dreszcze. Kiedy odważył się przeciągnąć i ziewnąć, długi czas potem nie mógł stłumić gwałtownego szczekania zębami.

Najgorsze jednak zimno czuł w żołądku. Zdawało mu się, że jest on napełniony eterem, którego chłodne opary paraliżują działalność serca.

Zaczął rozcierać ręce i twarz. Zawsze jest to pewna rozrywka. Przekonał się przy tym, że ma czoło pokryte wilgocią. Nie była to rosa, bo starta, wytryskała przez skór-

rę na nowo. Najwidoczniej pocił się mimo wrażenia zimna.

— Boję się — musiał stwierdzić wobec tego.

Powiedział to zupełnie wyraźnie i z szyderstwem. Jak wielu ludzi, którzy nie zdołali jeszcze osiągnąć równowagi ducha i ciała, lubił dzielić swoją świadomość i stwarzać w niej dwóch osobników będących w ciągłej walce z sobą. W ten sposób zdobywał nadzieję, że jego silne duchowe „ja” zwycięży drugie, nikczemne i ułomne. Teraz też widząc, że nie może zapanować nad swoim psycho-fizycznym organizmem, zaczął zeń szydzić.

Bo przecie w jego świadomości lęku nie było. Czegóż miał się bać? Najgorsze, co mogło go spotkać — to śmierć. A na nią był przygotowany. Ileż razy przeżył w wyobraźni te chwile przedśmiertnego przerażenia i nadludzkiej świadomości istnienia, nim świat zamknie się na zawsze. Czy prędzej, czy później i tak to kiedyś musi nastąpić. Czemuż więc jego rozsądek i wola nie mogą zapanować nad jeżącymi się włosami, kurczącym się żołądkiem i wydzielającym się potem?...

Ludomski przysunął się doń, oparł się łokciem o jakiś ucięty korzeń i przez chwilę stał nieruchomo.

Wreszcie odezwał się niedbale :

— Biorą nas w kleszcze.

— Jak to w kleszcze? — zapytał równie obojętnie Paprosiński.

— Chcą nas widocznie naprzód okrążyć, a potem zgnieść uderzeniem od czoła.

— Prędko to się może zacząć?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— A która godzina?

Paprosiński miał co prawda własny zegarek, ale zdawało mu się, że nie ma prawa żadną czynnością przerywać tego procesu męki, jaką odczuwał.

Ludomski ciężko odsadził się od oparcia, odsunął rękaw i przybliżył do oczu umocowany pod nim zegarek.

— Pół do drugiej.

Paprosiński w odpowiedzi uważał za najwłaściwsze ziewnąć, ale przerwał tę demonstrację w połowie, gdyż znowu napadł go paroksyzm febry.

— Utrzymają się też nasi, czy nie?

Ludomski popatrzał nań badawczo, jakby chciał zgłębić ukryty sens tego pytania.

— Rozumie się, że nie — wyrzekł wreszcie jakby ze zdziwieniem.

Paprosiński pewien był jakiejś pociechy od zdecydowanego optymisty, za którego uważał przyjaciela, toteż odwrócił oczy, żeby ukryć wrażenie, jakie ta odpowiedź na nim sprawiła.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał wreszcie z udaną obojętnością.

— No, jak to? — zapalił się Ludomski. — Przecie to jasne jak słońce. Ściągnęli siły kilkakrotnie nas przewyższające. Przygotowywali się do tego uderzenia od dawna, a przez ofensywę majową wyczyścili nam kadry zupełnie. Sam to przecie mówiłeś. Wreszcie mają w ręku inicjatywę. Muszą więc zdobyć powodzenie, przynajmniej chwilowe.

Paprosiński czuł, jak za każdym słowem przyjaciela zwiększa się zimno wewnętrzne, które napęnia mu piersi, brzuch i kończyny. Było to męczące, gdyż aby opanować drżenie, musiał jeszcze silniej ścisnąć zęby, pięści, ukryte w kieszeniach spodni, i kolana.

II

W tej chwili uczynił się w okopie ruch. Żołnierze zaczęli wspinać się na palce opierając się na plecach kolegów i z zadartymi hełmami patrzeć ku walczącym poznańczykom.

— O! O! widzicie? — wołano.

Paprosiński wyjrzał za przedpiersie i przekonał się, że mgły opadały, a za nimi ukazał się na zbladłym od przedświtku niebie migotliwy pas gwiazdek szrapnelowych niby roztańczone iskierki nad pogorzelskiem. Błade błyski ukazywały się niknęły szybko jak myśli tonącego człowieka lub jak rój spadających gwiazd. Rój ten zresztą był tak gęsty, że sprawiał raczej wrażenie mieniającej się w świetle

latarni rozszalałej fali zbałwanionego morza. I było w nim coś nieprzerwanego, niezmiennego w swoim tysiącu niespodzianek, coś, co nie pozwalało odetchnąć patrzącemu, jak temu, który wpatruje się w szybki i uparty szturm burzy morskiej na skaliste wybrzeże.

— Ale piorą! — wyrwało się któremuś z żołnierzy.

Rzeczywiście nieprzerwany grzmot, jaki dochodził stamtąd, przypominał zamaszyste pranie bielizny na pralkach.

Paprościński chłonał zjawiska szeroko otwartymi oczami i uszami, starając się z rozpaczą zamknąć im drogę do dna świadomości. Żeby nic nie było wspólnego między tym, co się tam dzieje, a przeraźliwym chłodem, jaki napienia mu piersi, jamę brzuszną i wewnątrz wszystkich kości.

— Ogień huraganowy — powiedział sobie półgłosem.

Było w tym powiedzeniu jawne szyderstwo z nazwy, jaką już ludzie zdążyli dać zjawisku, którego nikt przecie nie potrafił przeżyć przed nim.

— Zdrowo się tam wzięli do „sapieronów” — usłyszał nagle drwiący głos Ludomskiego.

Przypatrywał mu się długo, szukając w rozpiętych myślach sensu tych słów. Dowódca kompanii był szary jak brudny opadający tynk kamienicy. Oczy ginęły mu pod powiekami. Nieogolona dolna szczęka drżała i kurczyła się boleśnie.

Paprościński chwycił go za rękę tak silnie, jakby ją chciał skruszyć w palcach.

— Która godzina? — zapytał skwapliwie i z taką gwałtownością, jakby od odpowiedzi zależał los świata.

— Po drugiej. Już pół godziny, jak tu sterczymy...

Dodał ordynarny i nieprzyzwoity dowcip. Paprościńskiego nie rozśmieszyło to. Zadziwiła go jego trafność. Trudno było porównać do innej czynności ten bezpłodny wysilek uczucia i nerwów. Było zaiste coś wbrew naturze w tym samotnym i bezcelowym zużywaniu swojej energii psychicznej, ostatnich zasobów w strasznym trudzie z głębi duszy wydobywanej odwagi i woli.

Nie tylko on tak myślał, bo i żołnierze zaczęli się burzyć.

— Po jaką miętą chorobę mu tu stoimy, kiedy tam biją naszych? — wydarło się naraz z głębi okopów szydercze zapytanie strzelca Rudajewskiego.

— Nie wiesz ta po co? — odpowiedziano z innego końca. — A to żeby bolszewik po zmarnowaniu sapieronów miał zaś potem kogo bić.

— Jakby tak wszyscy zarazem ruszyli, to by mu mogli jeszcze krzywdę zrobić! — zadrwił chrapliwie starszy strzelec Jagusiak.

— A po co? Więcej chłopów naślachtują, to i mniej gąb do żarcia, i więcej ziemi dla panów.

— A bo pewnie! Oficerowi jedno, czy tu, czy u Ruska: zawdy tam wiara będzie na niego robiła.

Sypały się złośliwe i podłe insynuacje tłumu, w które nikt nie wierzy, ale których zawsze używa się dla rozkołysania nienawiści mas.

Paprosiński spojrział na Ludomskiego. Ten patrzył na ruchliwą drogę mleczną szrapneli nad okopami poznańczyków i zdawał się nic nie słyszeć. Było to oburzające: ta szatańsko niedbała duma władzy, która nie uważa za stosowne z niczego się tłumaczyć wobec poddanych sobie ludzi. Paprosiński teraz dopiero przekonał się, że nienawidzi tego człowieka. Gorąco, skwapliwie, tłamsząc w sobie wszelkie odruchy rozsądku, przyznawał słuszość każdej wymierzonej przeciw niemu złośliwości, jakby to on był winien cierpieniom, jakie przeżywał w tej chwili. Jadowita zawiść zalewała mu mózg i serce.

— Zarozumiały bubek! Niebieski ptaszek wojny! — syczał. — Dostał gwiazdkę, więc poi się teraz władzą życia i śmierci! On tu gotów zdechnąć wraz z całą kompanią, byleby czuć ciągle łaskotanie świadomości, że tyle istnień i tyle mąk ludzkich zależy od jego jednego rozkazu!

Och! jak pragnął teraz potężnego powiewu buntu. Żeby się cała masa rzuciła na tego „trwającego na posterunku bohatera”. Żeby go żgali bagnietami, gruchotali kolbami, miażdżyli gwoździami podkutych butów. Żeby wdepłali w piach jego krwawe ścierwo. A potem: „Hurra!” — krzyczeć całymi rozprężonymi pierściami... Pędzić olbrzymimi susami przez rowy, strugi, bruzdy, zagony... Kłuć, mordować, gryźć, dusić... Cóż by się oparło wyzwolonemu żywiołowi zbuntowanego przeciw nieludzkiej męce tłumu?...

Gwiazdzisty pas huraganu ogniowego mienił się bezustannie. Podziemny wark trwał i trwał nieprzerwanie.

Ludomski obrócił się. Paprosiński ze zdumieniem zauważył przeblysł zadowolenia na jego twarzy. Nim zdążył

uprzytomnić sobie, że się nie myli, dowódca kompanii nachylił mu się do ucha i powiedział :

— Czego brak Polsce, to brak, ale nie żołnierzy. Patrz teraz na naszą kompanię. Co za postawa wobec niebezpieczeństwa, co za poczucie solidarności wobec walczących kolegów...

Paprosiński otworzył szeroko usta, potem chwycił Ludomskiego za rękaw i wyszeptał z nagłą śmiałością :

— Słuchaj, Wacek, czy ty się nie boisz ?

Ludomski odwrócił głowę z szybkością oglądającego się ptaka.

— Czego ? Śmierci ? To przecież każdy człowiek się boi. — Ale — przyznam ci się — że wolę nie wiem jakie niebezpieczeństwo od takiego bezczynnego oczekiwania.

Paprosiński doznał podwójnego rozczarowania. Przede wszystkim naiwna szczerść Ludomskiego odebrała mu podstawę do nienawiści, jaką zionął przed chwilą, a powtóre jego przyjaciel okazał się człowiekiem stworzonym na obraz i podobieństwo jego.

— A co ty robisz, żeby zmniejszyć uczucie strachu.

— Zupełnie proste. Myślę o czym innym. Na przykład teraz obliczałem, ile jest słupów ogłoszeniowych w Piotrkowie. Staram się przypomnieć dokładnie, gdzie który stoi; potem obmyślam, gdzieby jeszcze warto było nowe postawić...

Paprosiński odwrócił się z niechęcią. Ludomski nie objawił mu żadnej tajemnicy potęgi. Wiedział już dawno, że równowaga ducha — to możność myślenia każdej chwili o czym się chce. Ale o to właśnie chodzi, żeby znaleźć tę zwrotnicę wyobraźni, która by mogła ją zawsze kierować na dowolny tor. W jaki sposób uniknąć wirów i wodospadów potoku wrażeń ? Jest to tak niemożliwe, jak opanowanie czynności serca, które zamiera w czasie niebezpieczeństwa, a wali gwałtownie w chwilach nadmierne bólu czy rozkoszy.

Ha ! gdybyż każdy człowiek mógł kierować swymi myślami. Toż on by dziś był dyktatorem połowy świata, a dzieła jego czczono by jak Ewangelię ! Ale to jest niemożliwe. Tyle razy już stwierdzał, że jest to niemożliwe. Na nic wszelkie studia podręczników o kształceniu charakteru ! Na nic wszelkie gimnastyki i ćwiczenia psychiczne ! Ducha można udoskonalić, ale nie podobna nadać mu

innego kształtu. Tak, jak można rozwinąć słabe mięśnie, ale nie podobna wyprostować skrzywionego kręgosłupa.

Myśleć o czym innym?... W jaki sposób, jeśli pod cienką powłoką narzuconych obrazów i pojęć czuje się zawsze tę jedną potężną i ciężką, choć nieuświadomioną myśl?...

Nerwowo ściągnął rękaw z lewej ręki i przytknął wreszcie do oczu zegarek.

Patrzył długo na rozwartą kąt, jaki tworzyły wskazówki ale nie starczyło mu na tyle zdolności kojarzenia, aby nazwać widziane zjawisko. Nie miał na tyle doświadczenia i materiału do porównań, aby uświadomić sobie pojęcie : za dwadzieścia pięć druga.

Widział wypukłe kwadratowe szkiełko, widział zielone nafosforyzowane cyferki i drgający bagnetik wskazujący minuty, ale nie mógł znaleźć związku, jaki zachodzi między tym wszystkim a niewysłowioną męką trwania, którą przeżywał. Wreszcie znalazł. Za pięć minut, to znaczy, gdy wskazówka przesunie się o jedną przedziałkę — zwariuje.

Nie wiedział, na czym to będzie polegało, ale przeczuwał niewyobrażalną ulgę wyzwolenia zajęcia się czym innym. Znajdzie się wtedy w innym świecie, zjawią mu się inne obrazy i uczucia niż te, które go oblegają obecnie. Nie mogą być już chyba straszniejsze.

Pierwszy raz w życiu zauważył, jak szybko przesuwają się wskazówki. Jeszcze moment, jeszcze myśl jedna... Czuje, jak pęcznieją przekrwione opony mózgowe... Jak rozpychają twarde i ciasne jaje czaszki...

Nic się nie zdarzyło po pięciu minutach.

Tak samo szedł ziemią monotonny pomruk kanonady, tak samo ukazywały się i znikwały roje gwiazd.

Trzeba było czekać następne pięć minut.

Naraz usłyszał głos Ludomskiego :

— Nigdy się tak czas nie wlecze, jak kiedy się na co czeka. Przecie to jeszcze nie ma nawet godziny, jak się zaczęło.

Zdumiała go płytkość i głupota tej wyświechtanej prawdy życiowej. Nie ma godziny. Ależ on wie tylko o pięciu minutach, które minęły jak błyskawica. A co było przedtem, to jest zupełnie nieważne i nieistotne, jak to, co było przed jego narodzeniem. Więc to już prawie godzina?... I nie zostawiła po sobie żadnych wspomnień, żad-

ných doświadczeń?... A za miesiąc, jeśli żyć będzie, powie tylko, że atak rozpoczął się — dajmy na to — o trzeciej, a o tę godzinę, która była przed nim, nie zapyta nikt, nawet jego zmęczone serce?...

Przypomniiał sobie rozmowę, jaką miał w Łodzi z powracającym z frontu inwalidą. Mówił on, że gdyby ludzie mogli pamiętać o przebytych cierpieniach, ta wojna byłaby ostatnia. Potraktował wtedy lekceważąco tę naiwną obserwację żołnierza, teraz jednak uderzyła go jej trafność.

Cóż bo zaszło w tej godzinie? Wstawał, ziewał, gapił się na szrapnele, śledził ruch wskazówki na zegarku... A przecie to wszystko nieprawda...

Armaty warczały ciągle.

— Ale to twarde bestie te poznaniaki! Oni chyba nie puszczą! — wykrzyknął Ludomski w radosnym podziwiew tak głośno, aż się żołnierze obejrzel.

Nim jednak przebrzmiał jego głos, w mgławą ciszę padł okropny hałas karabinu maszynowego, który równo, monotonnie jął siekać chłodną nieruchomość przedświt niby olbrzymią taflę szklaną.

Kompania zamieniła się w słuch. Każdy starał się odcyfrować niezrozumiałą mowę maszyny. Czy to próba broni w takiej chwili?... Czy jaki strzelniczy oszalał i niepotrzebnie alarmuje odcinek?

Umilkło.

Odetchnięto. Jeszcze nie.

Ale w tejże chwili front roześmiał się długą, różową szczęką oślepiającego blasku i huk dziesiątków armat runął z nieba jak walący się stos żelaznych belek.

Ludzie rzucili się do błyszczących kolb karabinowych niby spadające na klawisze palce. Znikł niepokój, znikła męka oczekiwania, rozpoczynała się rozpychająca piersi radosna rozkosz walki.

III

Burza dziejowa, która zwała się teraz na dziesiątą dywizję piechoty, nie od razu objęła odcinek trzeciego batalionu porucznika Leśniaka.

Pośród huczącej wokół nawałnicy w kompanii Ludomskiego jeszcze przez parę sekund trwała względna cisza, rozdzwoniona łomotaniem serc i szumem krwi w skroniach. Potem karabinowe strzały zabulgotały w tumanie niby bańki pękające w gotującej się wodzie... Potem zachlupotały w rzeczce szybkie kroki biegnących i kilka postaci wsunęło się z hałasem do rowu...

Był to patrol, wysłany na przedpola. Jego uczestnicy wyglądali rześko, zwinnie i wesoło. Ich ciemne hełmy, spiętrzone menażkami plecaki, podciągnięte wysoko pod żebra strome pudełka ładownic, obciążone szerokimi ostrzami bagnetów smukłe lufy karabinów — lśniły szarą wilgocią rosy. Ich oczy i zęby błyskały inteligentnie i radośnie. Wskoczywszy do okopu sadowili się natychmiast na przedpiersiu, wysuwając ku rzeczce wyloty swych mazurek. Tylko ich dowódca plutonowy Zajączkowski przemykał się na prawe skrzydło kompanii, gdzie stał Ludomski, aby mu zdać raport ze zwiadów.

Ukazanie się tej ruchliwej i pewnej siebie gromadki przyniosło czekającym niezmierną ulgę. Wydali się jakby obrońcami i opiekunami całego oddziału. Byli przecie tak blisko nadciągającego niebezpieczeństwa, widzieli je już nawet, a mimo to nie znać było na nich ani cienia tej trwogi, jaka gniotła serce załogi okopu. Zapomniano w tej chwili o starej prawdzie wojennej, że lęk wzrasta w miarę, jak się oddalać od jego ogniska.

— To wyście strzelali? — zapytał półgłosem przybyłych podporucznik Paprosiński

Pytanie było co najmniej zbyteczne i podporucznik uczynił je głównie dlatego, że nie mógł się oprzeć chęci bliższego zetknięcia się z tak imponującymi mu zuchami.

— Tak jest, panie poruczniku — odpowiedział głośno i dźwięcznie plutonowy Zajączkowski odwracając się z szacunkiem. — Idą!

— Idą ! Idą ! — powtarzali inni.

— Widzieliście ich ? — zapytał gruby Rudajewski.

— A jakże ? — wycedził wolno swoim zwyczajem starszy strzelec Jagusiak. — Bardzo przystojne chłopaki. Kazali się wam kłaniać. A jeden taki czarny jak diabeł Iwan z takim wielgachnym workiem pytał się o Rudajewskiego, co go chciał zafasować.

— I nie zlekli się twojej paskudnej mordy ? — odciął się za kolegę stale brudny i oberwany Gajzler.

Nim Jagusiak zebrał się na odpowiedź, tuż w prawo, widocznie w szóstej kompanii, zaczął znowu huczeć kulomiot. Bił długo, przeraźliwie głośno i szybko. Jego seria wśród tej ponurej, zatłoczonej mgłami i grozą nocy brzmiała dziwnie świeżo i raźnie.

Urwał. Ale w tejże chwili gdzieś w tyle ryknęło parę baterii prawie jednocześnie, nad głowami zawyła chmura przelatujących pocisków, daleko ponad mgłami zamigotały jasne iskierki szrapneli, westchnęły niezmiernie ciężko odległe eksplozje, zahurkotały karabiny, jak walący się do piwnicy węgiel, i trzask niezliczonych kulomiotów zaczął fastrygować ten hałas niby maszyna do szycia zwoje materiału.

W kompanii Ludomskiego wszyscy żołnierze rzucili się do broni i jeli palić na oślep, kuląc się i czając, trzaskając zamkami, dobywając naboje z ładownic, wciskając je do magazynków, spełniając wszystkie zautomatyzowane długim doświadczeniem czynności bojowe, które głuszyły w nich instynkt samozachowawczy.

Paprościński starał się powstrzymać tę bezsensowną strzelaninę. Skakał od żołnierza do żołnierza, chwycił ich za bary, trząsł nimi z całych sił

— Do kogo strzelacie ? Powiedzcie : do kogo strzelacie ? — wrzeszczał, aby przekrzyczeć huk strzelaniny.

Nie na wiele się to zdawało. Ludzie patrzyli nań nieprzytomni, jakby przebudzeni z ciężkiego pijackiego snu, i ledwie ich minął, rozpoczynali na nowo psucie amunicji.

Wobec tego dał za wygraną. Stał w okopie z rękami w kieszeniach i czekał.

Jego tajemna konieczność kontrolowania wrażeń nie ustała dotąd ani na chwilę. Instynkt samozachowawczy, który innych oddawał w niepodzielną władzę odruchów,

u niego potęgował raczej samowiedzę. Wskutek tego nie wiedział, co ma robić.

Jego pluton wraz z całą kompanią, a nawet — jak można było wymiarkować — z całym batalionem wplątany był w zjadłą strzelaninę. Tymczasem bolszewicy milczeli.

We mgłach po drugiej stronie rzeki mienił się po prostu błyskotliwy pas pękających polskich szrapneli, a nieprzyjacielska artyleria nie odzywała się jeszcze zupełnie na całym odcinku. Wreszcie w niezmiernej dali błysnął sznurkiem, na kształt błyskawicznie spalającego się lontu, szereg czerwonych punkcików. W parę sekund później zaczął zbliżać się pod ziemią, rosnąc z przerażającą szybkością, głuchy grzmot; wraz z nim nadpływał coraz wyraźniejszy świergot wiercących atmosferę pocisków.

Artyleria bolszewicka zaczęła bić.

Od razu zaznaczyła się jej szalona nad polską przewagę. Jej huk trwał odtąd bezustannie, wypełniając cały świat wrażeń słuchowych oraz dając głęboki akompaniament wrzaskliwej a monotonnej pieśni kulomiotów. Stukanie polskich połówek brzmiało przy nim jak szczekanie psów w czasie orkanu.

Roje gwiazd szrapnelowych zaczęły błyskać nad kompanią w coraz szybszym tempie, rozświetlając blednący mrok migotliwym światłem błyskawic. Chmury białych obłoczków kłębiły się nad głowami, niby stada drapieżnych ptaków, wypatrujących na ziemi zdobyczy. Jęczały ołowiane kulki, warczały odłamki, wyły opadające na ziemię zegary... Coraz nowe fale rozpryskiwały się nad okopem, rzekłbyś: wzburzone fale morza rozbijające się w pianę o niewidzialny brzeg. Hen, w górze ponad nimi kwiliły ciężkie granaty, szybujące ku od dawna zresztą sterroryzowanym polskim bateriom.

Nie wiadomo kiedy wybuchły wokół pożary. Płonęła Tupiczyna, Śmigalszczyzna, Sokołowszczyzna, Cyganka; płonęło Zapole, Sielco i Szorosno; płonęły Chachulki, Stomiki, Podlipki, Ugołniki... Purpurowe łuny wypełzały na sine niebiosa i drżały jak rozpięte na wietrze krwawe sztandary Wojny.

Co prawda wszystkie dotychczas pociski przenosiły okopy, niemniej jednak Paprosiński uczuwał suchość w gardle, nieznośny chłód pod piersiami, łaskotliwy ból wną-

trżności, drżenie członków i nieprzepartą skłonność do bolesnego, spazmatycznego ziewania : objawy, jakie zawsze występowały u niego, gdy znalazł się w ogniu artylerii. Na domiar ucho jego zaczęło już chwycić ciche a przejmujące brzęczenie kul karabinowych.

Dotychczas w najtajniejszej komórcy jego umysłu tlała jeszcze ukrywana starannie przed własną nawet świadomością fantastyczna nadzieja, że całe to piekło, jakie rozpętało się nad jego głową, jest może tylko skutkiem jakiegoś nieporozumienia, czy choćby nawet złośliwą demonstracją bolszewicką, obliczoną na wyczerpywanie nerwów przeciwnika : teraz jednak musiał pogodzić się z faktem, że natarcie szło rzeczywiście. Zza rzeki zdawały się już dochodzić odległe nawoływania i szelest biegnących przez zarośla ludzi. Prócz tego ogień artylerii, aczkolwiek nadal dla kompanii zupełnie nieszkodliwy, kipiał za jej plecami tak straszliwie, że zdawała się znikać wszelka nadzieja ucieczki. Paprosiński nie myślał o niej, znał siebie zresztą na tyle, że wiedział, iż nie jest zdolny do takiej nikczemności, jak pozostawienie w niebezpieczeństwie swoich podwładnych i towarzyszy, ale zawsze czuł się przygnębiany bez miary, gdy okoliczności zmuszały go do patrzenia wprost w twarz rzeczywistości.

Najgorsza w tym wszystkim była przymusowa bezczynność. Jego pluton strzelał ciągle, choć w wolniejszym nieco tempie. Strzały wybuchały nieregularnie, z krótkimi przerwami, po kilka na raz. Czerwone błyski rozdzierały szarobłękitne tło przedświtu odbijając się w oczach i hełmach.

O kierowaniu tym wariackim ogniem nie mogło być mowy. Paprosiński pozostał nieruchomy, rozglądając się po okopie rojącym się zwinnymi, ciemnymi kształtami i gładkimi półkulami hełmów.

W tym mrowisku dostrzegł jeszcze jednego nieruchomego człowieka. Był to Dereń. Stał oparty o zaplecze, z podniesionym kołnierzem płaszcza, z zasuniętymi w rękawy dłońmi. Szeroka, kańczasta i wyschła twarz jego tonęła w mroku.

Właśnie z polskich okopów wysunęła się pod niebo równym, gładkim ruchem zielona kometa racy. Zatrzymała się przez chwilę pod niebem jakby rozglądając się na wysokościach, a potem pękła w plejadę gwiazd, które

zaświeciły nad mgłami i mrokiem. W ich blasku Paprosiński dostrzegł twarz Derenia. Zobaczył, jak spod szerokich, zaciętych warg błysły szeregi olśniewająco białych i długich jak świece zębów.

Sierżant śmiał się.

Paprosiński uczył podziw i szaloną ciekawość dla tego człowieka. Choć rozumiał, że cała jego inteligencja nie starczyłaby na to, aby pojąć, co ponury podoficer dostrzegł śmiesznego w pękającej rakiecie.

IV

Ogień wzrastał z minuty na minutę.

Przeciągły dotychczas świst kul zamienił się w krótkie a zjadłe bzykanie. Przedpiersie kipiało od pryskającego piasku. Stojące nad nim olszyny szeleściły rozpaczliwie jak trzepocące się ranione ptaki. Ich pnie postukiwały od czasu do czasu boleśnie.

Paprosiński otrząpał się starannie i ruszył wzdłuż rowu. Miał nieznośne wrażenie człowieka, do którego strzelają. Czuł każdą porę i każdy włoskę na skórze. Najdrobniejszy ruch napęlał go lękiem aż do bólu wszystkich nerwów. Znajdował się przecie zupełnie w mocy przypadku. Tajemnica jego życia i całości polegała obecnie na tym jedynie, żeby ta wypełniona krwią i opleciona nerwami bryła, w której podobało się Panu Bogu zamknąć w świetle zjawisk jego świadomość, znajdowała się zawsze choć o centymetr dalej od punktu, przez jaki matematyczne i fizyczne prawa wytyczyły tor pocisku. Ale czyż na całej przestrzeni okopów znajduje się miejsce o powierzchni jego ciała, które by przez cały czas bitwy nie przeszła kula?... A jeśli tak, to czy jest ono tym właśnie, które on wypełnia swoją postacią?... Wydawało się to mało prawdopodobne. Dlatego poszedł.

Zaraz za pierwszym załamem natknął się na poległego. Kto nim był — nie mógł tego rozpoznać, gdyż leżał na boku w jednym z wgłębień płytkiego w tym miejscu rowu. Jedną ręką trzymał brzeg zsuniętego na czoło heł-

mu, jakby zasłaniał nim twarz gestem umierającego Cezara. Nad głową jego sterczała skąpana we krwi lufa obsunętego z przedpiersia karabinu. Czarna krew pętała również po piasku. Nienaturalna poza oraz zimna bladeść widocznego ucha, szyi i ręki nieboszczyka przysparzała Paprosińskiego o mdłości.

— Jakże prędko się umiera i jak prędko wtedy przestaje się być podobnym do człowieka! — pomyślał.

Poszedł na lewe skrzydło, gdzie znajdował się schron. Na słupku przed kancelarią stał nieznanego pochodzenia kwadratowy budzik. Wskazywał godzinę drugą i dwadzieścia pięć minut. Paprosiński musiał odczytywać datę kilkakrotnie, nim wreszcie pojął jej treść.

Na wierzchu wąskiego i głębokiego chodnika, prowadzącego do schronu, leżał pisarz Cewowski w swoich długich, sznurowanych butach i dwaj ordynansi, wszyscy w hełmach i z plecakami, trzaskali zamkami swych karabinów tak gorączkowo, aż wystrzelone łuski sypały się na dno rowu i mdła woń spalonego prochu dusiła w gardle.

Paprosiński wgramolił się do nich i podniósł do oczu lornetę. Badał las, który w tym miejscu dochodził do samych okopów, ale nie zobaczył w nim nic. Czerniejąca pomiędzy grubymi pniami sosen jego głębia nasiąknięta była tumanem, a poza tym wschodnia część nieba jaśniała już dość silnie od brzasku i blask jej mgił szkła instrumentu.

Odwrócił się ku błyskającym bez przerwy strzałami sąsiadom.

— Coście się tak postroili? — zapytał drwiąco czyniąc przytyk do ich bojowego wyglądu.

— To pan porucznik Ludomski kazał — odpowiedział skwapliwie mały i krępy własny jego ordynans Ławniczak.

Pisarz Cewowski obrócił powoli swoją niezmiernie długą twarz. Nic nie stracił ze swej zwykłej tępej ponurości.

— Przecie niedługo będziemy zmieniać pozycję — wybełkotał wolno swoim głębokim i niskim głosem.

— Kto wam to powiedział?

— Sam się domyślam. Podobno cztery świeże dywizje bolszewickie przyszły wczoraj na nasz odcinek.

— Kto wam to mówił ?

— Nasi telefoniści dołączyli się do linii bolszewickiej i podsłuchali rozmowę ich sztabów.

Paprosiński nie brał tych sensacyjnych wieści poważnie. Uważał je za zwykłe rozpuszczane przez strachajłów plotki frontowe. Podtrzymywał jednak rozmowę, gdyż uspokajało mu to nieco jego wzburzone nerwy.

Nagle urwał i nakazał ręką milczenie. W lesie najwyraźniej słysząc było rozmowy, nawoływania, trzask gałęzi i stapania nadbiegającej gromady

— Ławniczak ! — zawołał stłumionym głosem — biegnijcie do pana porucznika zameldować, że bolszewicy ciągną od strony lasu !

Ordynans obrócił rozszerzone trwogą oczy i naraz zsunął się w rów błyskawicznie, a z nim obaj jego towarzysze. Niedaleko przed nimi zerwał się, niby spłoszone stado kuropatw, gwałtowny łoskot kulomiotu. Deszcz kul zaczął syczeć w darni schronu i łomotać w jego belki.

Paprosiński został. Nigdy nie posiadał tej zdolności do szybkich odruchów i instynktownego odczuwania niebezpieczeństwa.

— Niech pan porucznik zjeżdża ! — wołano nań z dołu.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział i zaczął się zsuwać powoli oglądając się ostrożnie w dół, jak gdyby bardziej obawiał się powalania obuwia niż utraty życia.

Stale imponował żołnierzom swoją zimną krwią i pogardą śmierci.

Od strony, gdzie stał Ludomski, trysnął w górę seledynowy wąż rakiety. Zrobiło się widno jak w dzień. Nie była to jednak spływająca z nieba wesoła jasność słoneczna, tylko fontanna trupiego blasku, gwałcącego bożą noc i wydzierającego uśpionej naturze przeraźliwy widok zamartwych i zielejących z trwogi drzew, krzaków i przyczajonej nieruchomo rzeczki. Zajaśniała pod straszliwie czarnym niebem i zaraz zgasła pogrążając świat w stokroć bardziej jeszcze nieprzeniknionej ciemności.

Paprosiński z całej siły przyciskał dłonią oczy. Nie widział nic spoza zielonych plam, jakie zostały mu w źrenicach po nagłym blasku. Miał denerwujące wrażenie, że niewidzialny wróg lada sekunda zdzieli go kolbą w jego oślepiiony chwilowo łeb.

Okop został zasypyany ogniem karabinowym. Prócz tego kulomiot bolszewicki z lasu omiatał go już stale przeciągłymi seriami. Coraz w innym miejscu, to na przedpiersiu, to na zapleczu, kurzyła się z sykiem i świstem ziemia od młocącego ją gradu ołowiu. Zabłąkane kule gwizdały niezmiernie żałośnie, choć czuć było w ich tonach fałsz jakby pękających sprężyn. Sterroryzowani żołnierze nurknęli do rowu wysuwając zeń jedynie czubki hełmów i karabiny. Do skrzynek z nabojami przesuwali się na czworakach jak małpy.

Ludomski po odebraniu meldunku Ławniczaka obrócił na las oba karabiny maszynowe kompanii. Zaczęły łomotać gwałtownie bijąc na przemian wzdłuż okopu krótkimi śpiesznymi seriami, aż stalowy szum wiał nad głowami strzelców.

— Zaczęło się na dobre — pomyślał Paprosiński i spojrzał na budzik biejący w coraz bardziej rzedającym mroku.

Minęło dziesięć minut.

Na bolszewickiej stronie pozbity lasem garb wzniesienia wyrzynał się coraz ostrzej z różowiejącego nieba. Świtało.

V

Nagle zrobiła się chwila ciszy, może jedyna w tej bitwie. Wypełniała ją tylko brzęczenie kul i świergotanie granatów, które jeszcze nie zdążyły ukończyć swego lotu. Zaraz jednak piekielny hałas zerwał się ze wzmożoną siłą. Słychać w nim było bliskie krzyki ludzkie. We mgle zamajaczył, niby seria pękających granatów, łańcuch atakujących. Poderwali się niespodzianie z ziemi i biegli całym pędem, jak ludzie, których życie zależy od szybkości ich biegu.

— Ura ! ura ! ura ! — skrzeczelili z całych sił.

Głosy ich zniknęły natychmiast w straszliwym trasku, od którego zatrzęsły się okopy. Terkotanie kulomiotów przeszło jakby w szum śmigieł tysiąca samolotów. Sztur-

mująca ława prysła niby stado spłoszonych wystrzałem wróbli. We mgle pomykały luźne grupki uciekających na łeb na szyję krasnoarmiejców. Polskie maszynki wściekły się ścigając ich śmiercionośnym gradem ołowiu.

Nim jednak kompania zdążyła uświadomić sobie radość z odniesionego zwycięstwa, z oparów wychynęła nowa fala pędzących ku niej nieprzyjaciół.

— Druga linia ! druga linia ! — wołano w okopach.

Nie był to jednak koniec. Na wzgórzu ponad tumanem ukazały się figurki trzeciego łańcucha piechoty. Bolszewicy zachowali carskie tradycje miażdżenia wrogów żywymi taranami mas.

Kompanię ogarnęło szaleństwo. Żołnierze wyskakiwali jak marionetki paląc z tak niesłychaną szybkością, że żadna w świecie wprawa prócz grozy śmierci nie mogłaby jej nadać ruchom ludzkim.

Druga linia natarcia dobiegała rzeki.

Obrońcy walili w nią jak wściekli. Paprosiński jął zwolna odpinać pochwę swego parabellum. Czuł z rozpaczą, że jego głowę i ciało ogarnia coraz bardziej jasna i bezlitosna trzeźwość. Nigdy nie mógł zaznać tego oszłomienia bojowego, które zwykłych śmiertelników zmienia w bohaterów.

Dotknął delikatnie ramienia plutonowego Zajączkowskiego, który wparty lewym biodrem w ścianę okopu palił jak maszyna szarpiąc zamek z taką gwałtownością, że omal karabin nie rozleciał mu się w kawałki. Poczувszy rękę Paprosińskiego szarpnął się w tył tak gwałtownie, jakby się chciał rzucić oficerowi do gardła. Miał nieprzytomne oczy gorączkującego człowieka.

— Nasadzić bagnety i przygotować granaty ręczne — powiedział Paprosiński łagodnie.

— Chłopcy ! bagnet na broń ! — ryknął wzdłuż rowu podoficer.

Nikt, zdawałoby się, nie zwrócił uwagi na tę komendę, mimo to za kilkanaście sekund okop jeżył się szerokimi nożami.

Grupki najszybszych i najodważniejszych spośród szturmujących dobiegały już koryta strugi. Część z nich zawahała się : nurt wydawał się głęboki, a wiśny w tym miejscu brzeg, niepewny — ale kilku śmiałków rzuciło się

w wodę brodząc w niej po pachy i krzycząc dla dodania sobie odwagi.

Oba karabiny maszynowe kompanii milczały. Widocznie pozacinały się wskutek długotrwałego ognia. Pluton Paprosińskiego, na który brało kierunek natarcie, bił w rzekę gorączkowo, ale żołnierze byli tak zdenerwowani, że nie znać było skutków ich strzelaniny.

Atakujący przebyli rzekę i biegli w górę całym pędem. Przeciwniegi brzeg roił się od ich towarzyszy, którzy również szykowali się do przeprawy. Polskich strzelców ogarniało przerażenie. Oglądali się niepewnie na Paprosińskiego i na siebie. Dzieliło ich najwyżej sto kroków od rozjuszonych, rwących się do walki na bagnety wrogów.

Naraz jeden ze szturmujących potoczył się w dół niby silnie kopnięty kamień. Reszta zawahała się widocznie. Kilku zatrzymało się nawet niepewnie.

Wtedy okop ryknął. Był to ryk zamkniętych w klatkach drapieżców, do których niesłorna gawiedź przysunęła się zbyt blisko.

— Bić takich synów! Bić takich synów! — wrzeszczał histerycznie plutonowy Zajączkowski wyskakując lamparcim ruchem na przedpiersie.

Za nim ruszyli inni w jakiejś nieoczekiwanej furii. Paprosiński także wygramolił się na wierzch z rewolwerem w ręku.

Ujrzał wokół szerokie zamachy strzelców, rzucających ręczne granaty, usłyszał głuchoe wybuchy, potem trysnęły słupki błota i trawy i bolszewicy zaczęli walić się na ziemię, zrywać i uciekać krążąc we wszystkie strony jak oślepieni, tracąc widocznie orientację kierunku i położenia.

Pluton runął na nich jak wodospad, ale w tejże chwili owionął go żelazny wichur ognia karabinów i maszynek.

Dwóch strzelców wywróciło się natychmiast, jakby kto świece zdmuchnął. Paprosiński skrzył w bok gwałtownie rozumiejąc, że jako oficer stanowi ulubiony cel. Jego żołnierze zresztą zmykali już do okopu. Zajączkowski ciągnął Misiaka ze strzaskaną od kuli twarzą. Drugi ranny Majchrzak uciekał sam na rękach, unosząc w górze zakrwawioną prawą nogę.

Atak bolszewicki był odparty.

Coraz nowe jednak jego linie wyrwały się z mlecznych toni i waliły w okopy niby fale morskie, szturmujące wał ochronny portu.

Mgły osiadały wciąż niżej rozsnuwając się w coraz bardziej przezroczystą pajęczynę. Spoza niej widać było głęboko rojące się szeregi. Można też było rozróżnić grupki, podsuwające pod polskie stanowiska karabiny maszynowe. Rzeczywiście niedługo zaczął terkotać tuż za rzeką kulomiot bijąc piaskiem w twarz kompanii. Ponieważ ustawiona już poprzednio w lesie druga bolszewicka maszyna, która ostatnio milczała, zaczęła także zacinać z lewa — w okopie zrobiło się nieznośnie.

Kompania skuliła się i pochowała zupełnie, gdyż każdemu poruszeniu odpowiadały natychmiast wulkany pryskającego piasku i kamieni. Widocznie bolszewicy postanowili złamać opór kompanii ogniem. Nie uderzali już wprost, tylko kryli się w krzakach nadbrzeżnych i za wyniosłościami gruntu rwąc po prostu zasłony ziemne strasliwym huraganem kul. Nie podobna było wysunąć palca z okopu. Kompania też była rzadko, „Panu Bogu w okno”, nie celując zupełnie. Jedyne naprawione już kulomioty, przy których pozostawał Ludomski, poszcze kiwały od czasu do czasu bohaterko, uniemożliwiając bolszewikom swobodę ruchów.

W dodatku artyleria nieprzyjacielska, o której ogniu zapomniano już prawie, stale bowiem przenosił okopy, poprawiała się i zaczęła bić celniej.

Jeden granat pękł na zapleczu, drugi tuż koło gniazda karabinu maszynowego, umieszczonego na wzgórku nieco przed okopem. Na dalszych tyłach po staremu wypryskiwały ku niebu fontanny piasku, trawy i kamieni.

Widoczne z rowu wsie, jak Śmigalszczyzna i Chachulki, płonęły szeroko w ogromnych kłębach rumianego dymu.

Paprosiński stał oparty o zaplecze i lornetował przedpole. Starał się zdać sobie sprawę z położenia. Niewątpliwie wszystkie wysiłki bolszewickie, jak zawsze dotychczas, skierowane były ku opanowaniu wzniesienia Sokołowszczyzny. Uczyniłoby to ich panami całego terenu. Obsadziwszy bowiem wzgórze bronią maszynową można było uczynić jednym polem śmierci całą równinę, rozście-

lającą się u jego stóp od Śmigalszczyzny po Ugolniki i od Auty po gościniec, wiodący do Łużek.

Ale na przedmościu stało, licząc odwód, pięć wyborowych kompanii z dwunastu kulomiotami. Oprócz tego cała prawie artyleria dywizyjna koncentrowała na jego przedpolach swój ogień z krzywdą dla innych odcinków.

Paprosiński widział nad wysterczającą z mlecznych fał tumanu popielatą pierzają boru, pokrywającego jego wyniosłość, gejzery złotawych dymów, pryskających w górę niby skry gotującego się metalu. Były to szrapnele. Obok nich snuły się brunatne i leniwe dymy pożaru.

— Ciekawe, co tam jeszcze można było zapalić? — pomyślał sarkastycznie.

Pamiętał, że zabudowania Sokołowszczyzny stanowiły już od dawna jedynie kupy węgla i popiołu.

Osunął lornetę na skraj lasu, skąd od czasu do czasu odzywał się bolszewicki kulomiot. Nie dojrzał tam nic prócz przysłoniętych woalką mgły krzaków. Widocznie jednak porucznik Sawicki ze swego punktu obserwacyjnego musiał widzieć więcej, w jednej bowiem chwili bryznęły w tym miejscu pod niebo cztery czarne widma wyrwanej granatami ziemi i zarośla zadrgały od uciekających płowych postaci.

Paprosiński przesunął za nimi szkła na prawo, ale zaczęły one różowieć niby czysta woda dobrze ustałej kałuży, do której ścieka powoli krew ranionego żołnierza. Spojrzał tedy gołym okiem i zobaczył, że na bolszewickiej stronie niebo zaczęło się rumienić coraz bardziej, a na jego tle pośród mieniącej się aureoli szrapnelowych skierek świeciła nieruchomo nieulękła w swej przeczystej białości gwiazda.

Niby rozwarte jasne oko rozbudzonego dziewczęcia, które nie może otrząsnąć się z resztek snu ciepłego i czarownych marzeń sennych, patrzyła na zasnuty nocą i mgłami kraj, na szkarłatny wieniec pożarów, na kłębiącą się nawałnicę bitwy i szaleństwo mordujących się w niej ludzi...

Wschodziła Jutrzenka.

VI

Tymczasem mimo chwilowych niepowodzeń natarcie bolszewickie rozwijało się nadal.

Przeciwny brzeg rzeczki roił się coraz bardziej. Zwłaszcza stawało się to widoczne w krótkich przerwach ognia kulomiotów kompanii, które rozpalone zażartym bojem, zacięły się coraz częściej. Paprosiński dostrzegał wtenczas na ledwo uchwytnie momenty mgławie cienie przebiegających za krzewami grupek. Domyślał się, że nieprzyjaciół ciągle podsuwa swoje karabiny maszynowe. Zresztą porucznik Sawicki musiał ujrzyć to jeszcze wcześniej od niego, bo koło ukazujących się sylwetek zrywały się raz po raz słupy wyrzuconej granatami ziemi. Mimo to niedługo zaczął grać kulomiot tuż przed okopami. Przedpiersie zakurzyło się od roztrzępanego piasku. Żwir i kamyczki były bić w twarz i w oczy. Żołnierze przypadli do dna rowu nakrywając instynktownie rękami głowy. Plutonowy Zajączkowski, przykucnięty tuż koło Paprosińskiego, obejrzał się niepewnie, jakby rozważając, którądy by się można było wycofać.

— Niech się pan porucznik chowa! — zawołał do oficera widząc, że ten stoi, wystawiony na kule.

Paprosiński opuścił lometę i osunął się w rów niechętnie. Nie miał przekonania, żeby się to mogło na co przydać. Podświadoma wiara w przeznaczenie była u niego zbyt silna.

W nieprzerwany terkot bolszewickiej maszynki wplotło się szczekanie drugiej. Potem gdzieś na lewo, zagulgotała trzecia. Grzechot karabinowy stawał się coraz gwałtowniejszy. Gwizd kul zamienił się w pospieszne ćwierkanie jakby olbrzymiej kapeli świerszczów. Strzelcy przerywali swój ogień. W okopie uczyniło się strasznie. Paprosiński spostrzegł drugiego nieboszczyka, czającego się o parę kroków odeń na przedpiersiu. Widocznie śmierć spotkała go w czasie strzelania, leżał bowiem we wgłębieniu, jakie niektórzy strzelcy wykopywali sobie w zbyt płytkich rowach. Nad nim, niby ramię człowieka wzywającego pomocy, sterczała przekrzywiona jego upadkiem lufa kara-

binu. Dalej, koło stanowisk rzadko teraz i ostrożnie odzywających się kulomiotów, sanitariusz Kamasiński obwiązywał głowę leżącemu Chilkiewiczowi. Coraz większy kurz napełniał rozmiatane ogniwą nawałnicą nory. Zapach dymu prochowego wiercił w nozdrzach i szczypał w oczy.

Paprosińskiego zaczęła ogarniać groza. Miał wrażenie, że nerwy przerznęły mu się przez naskórek i drżały napięte na powierzchni ciała w męce oczekiwania nagłego ciosu rozszarpującego je pocisku.

Przypominał sobie rozmowę z Ludomskim o taktyce walki ze strachem.

— Myśleć o czym innym! — nakazał sobie ostro:

„Myśl, nim się w słowach złamie...” To nie ma sensu w tej chwili. Ale skąd mu przyszedł do głowy ten cytat? Ach, przecie to „Wielka improwizacja”. Jak można było zapomnieć. „Myśmy wszystko zapomnieli! Mego ojca piłą rżnęli...” Piłą? Jezus, Maria! Jakie jest uczucie człowieka rżniętego piłą?...

Wzdrygnął się. Obok niego Kamasiński obwiązywał rękę Paprotce. Ten rozglądał się na wszystkie strony w podnieceniu bojowym, a spotkawszy wzrok Paprosińskiego zawołał zuchowato:

— Dwa palce mi urwali te kozie syny! Ale jeszcze i tak mogą strzelać i swojego nie daruję!

Radość brzmiała w jego głosie. Widać było jednak, że mimo okazywanej brawury cieszył się na myśl, iż okaże się już niezdolny do służby liniowej i odejdzie na tyły, do cudownego świata, w którym nigdy prawie nie strzela się do człowieka.

— No, już możesz zmiatać — powiedział doń Kamasiński skończywszy opatrunek.

Paprotka żwawo wyrwał okaleczoną rękę, ale w tej chwili zawył i usiłował wpakować do ust grubo obandażowany kikut instynktownym ruchem zranionego zwierzęcia. Widocznie teraz dopiero poczuł ból.

Paprosiński odwrócił oczy. Nie mógł patrzeć na cudze cierpienie. Znowu starał się wysłać myśl tak daleko, by nie dognały jej odgłosy bitwy.

W pewnej chwili salwy bijących ogniem ciągłym baterii tudzież niezmienny rytm kulomiotów przypomniwały mu takt jakiejś zapomnianej melodii. Zaczął ją teraz wpla-

tać w hałas kanonady nucąc bezgłośnie. Bawił się tak często podczas długich i nudnych podróży koleją. Zawsze wtedy jakaś ulubiona piosenka wplątywała się w postukiwanie kół wagonu na połączeniach szyn.

Niedługo przypomniany motyw wypełnił cały świat jego odczuwań. Brzmiał w huku armat, w głuchym po-grzmocie granatów, skakał w trzasku karabinów maszynowych, kwilił w wyciu pocisków i w brzęczeniu przeciągłym kul... Przynosiło to znakomitą ulgę. Zaczął sobie uprzytamniać, skąd zna ten urywek. Porwane na strzępy myśli niełatwo dawały się wiązać.

Wreszcie znalazł. Był to „Taniec Anitry” Griega.

Wyobrażenia płynęły teraz spokojniej :

— Grieg — Norwegia — blade niebo północy — ciemna zieleń lasów na górach — skaliste ściany fiordów — białe i złowrogie rafy lodowe, płynące wolno po zielonym oceanie... W tym kraju żył twórca melodii, tam kiedyś w gorączce natchnienia usłyszał dzwon tych tonów we własnym mózgu... Jak daleko sięgała wówczas jego radosna wyobraźnia twórcy, który wypuszcza w szeroki świat swe dzieło?... Czy ogarniała także obraz polskiego oficera, kołyszącego nerwy jego utworem podczas mordczej bitwy?... Ale dlaczego znów ta bitwa?... Po cóż o niej myśleć?... Anitra tańczy. Jest smukła, giętka i ma skórę ciemną, wysuszoną wiatrami pustyni, a niesłychanie gładką i miękką. Przechyla się w tył, a jej młode stożkowate piersi bodą wyzywająco niebo...

To wyobrażenie podnieciło go erotycznie. Zdarzało mu się to zwykle po nieprzespanej nocy lub też kiedy organizm jego był wycieńczony pracą, cierpieniem czy grozą ciężącego nad nim niebezpieczeństwa. Tak samo teraz każdy szczegół otaczającej go widzialności budził w nim skojarzenia miękkich i lubieżnych linii kobiecego ciała.

Gładkie pagórki hełmów przypominały mu półkule kobiecych piersi; obłoki szrapnelowe wiły się leniwie niby białe kłęby niewieścich nagich kształtów...

Poczuł ulgę i zaczął rozmyślać z goryczą, że Stwórca dał swemu stworzeniu popęd płciowy, by odwrócić jego myśli od męki istnienia. Dwa zasadnicze tony bytu : instynkt samozachowawczy, źródło cierpień i walk, oraz instynkt utrzymania gatunku, źródło rozkoszy i wszela-

kich uczuć, stanowią przecie w rozmaitej formie jedyną treść przeżyć każdej świadomej istoty

Zdawało mu się, że wydarł tym odkryciem tajemnicę rządów Boga nad światem i zaczął myśleć o Nim z nienawiścią zbuntowanego niewolnika. Układał sobie w głowie swoje przyszłe szydercze rozmowy z Panem Wszechświata, gdy jako duch zetknie się z Nim po śmierci. Ale zarazem uświadomił sobie, że oto jest zabląkany w wirze walki i że jego życie zależy jedynie od łaski Tego, który rządzi mechanizmem przypadków i który wytycza tor każdemu pocisku.

— Trzeba te porachunki odłożyć do spokojniejszej chwili — powiedział sobie chytrze, zawierając jak gdyby rozejm, i znowu zaczął w takt brzmiającej mu w głowie kompozycji snuć wyobrażenia tańczącej Anitry.

Bolszewicki ogień karabinowy zaczął tymczasem słabnąć. Natomiast odezwały się nawoływania i klątwy. Głosy ludzkie w tym zgiełku maszyn brzmiały dziwnie nikle, ale tym bardziej niepokojąco, były to przecie głosy istot najbardziej krwiożerczych pod słońcem.

Widoczne było, że przygotowuje się nowe uderzenie na bagnety. Okop ogarniała coraz większa groza, a gdy nowy wrzask: „Ura! ура!” — zerwał się w nieprzenikliwych jeszcze mgłach dolinki, strzelcy wyskoczyli ze swych stanowisk i zaczęli tłoczyć się do swych oficerów z gwałtownością stada zwierząt, szukających ratunku u swych przewodników.

— Stać! stać! Na bagnety! — ryczał niehumanicznym głosem Zajączkowski.

— Stać! stać! — rozlegało się ze wszystkich stron w okopie.

Ale żołnierze zwinęli się jak stado spłoszonych koni.

Na Paprosińskiego wpadł z gwałtownością pocisku starszy strzelec Jagusiak.

— Dokąd to? — krzyknął oficer swoim jasnym, wyraźnym głosem, chwytając uciekającego za pierś.

Uśmiechnął się przy tym, jakby uważał wszystko, co się działo, za żart jedynie.

Żołnierz spojrzał nań nieprzytomnymi oczyma, z otwartymi białymi ustami i otrzeźwiał w jednej chwili. Uśmiechnął się również porozumiewawczo i znikło dotychczasowe napięcie w jego członkach i rysach twarzy.

— Na bagnety ! — zaczął teraz krzyczeć sam chwytając oszołomionych żołnierzy.

— Za mną ! — wołał Paprosiński wyskakując z rewolwerem w rękę na zaplecze rowu.

Nigdy dotąd nie brał udziału w walce na białą broń, wyobrażał więc ją sobie tylko na podstawie powieści wojennych, pamiętników oraz opowiadań frontowców, jako dwa rzędy szermujących przeciwników. Wskutek tego uznał za korzystniejsze pozostawienie między swymi ludźmi a nieprzyjacielem przegrody w postaci rowu strzeleckiego. Uważał za naturalne, że wyższe stanowisko powinno dać im przewagę. Przeliczył się z jednym. Jego pluton ujrawszy go wyskakującego z okopu naśladował go tak skwapliwie, że manewr zamienił się w zwykłą ucieczkę.

— Stać ! stać ! psiarew ! — wrzeszczał chwytając strzelców za rękawy, plecaki i osadzając ich siłą na miejscu.

— Maszynki ! — ryczał plutonowy Zajączkowski. — Maszynki, takie syny, zostały w okopie !

Na szczęście kapral Adamek oraz strzelcy Sitarek, Jagusiak, Piesik i Gajzler stanęli przy nim i zdołali stłumić w zarodku rodzącą się panikę.

Pluton sformował się o kilkadziesiąt kroków za okopami. Strzelcy dyszeli ciężko, jak ludzie, którzy przeżyli jedną z najstraszniejszych chwil w życiu.

— Cholery ! — chrypiał Zajączkowski nie mogąc złapać tchu — Zostawilibyście kolegów i majątek skarbowy !

Rzeczywiście reszta kompanii nie dała się widocznie ogarnąć popłochowi, oba kulomioty bowiem huczały, aż się ziemia trzęsła.

— Naprzód, chłopcy ! — skomenderował wobec tego Paprosiński i rzucił się w stronę opuszczonych przed chwilą rowów.

Pluton ruszył za nim. Gdy dobiegł do okopu, po drugiej stronie zobaczył naraz biegnący naprzeciw z kwiem łańcuch szturmujących.

VII

Nigdy dotychczas Paprosiński nie widział bolszewików na wolności z tak bliska. Skudłane papachy, pomiętoszone i przepocone kaszkiety, zakurzone i podarte czapki z nausznikami, zielonkawe koszulki, pomarszczone w tyśiące fałd od mocno ściśniętych pasów, zarzucone na ramiona lub niedbale zwinięte i przewieszzone przez piersi długie szynele, porozsychane buty, grube owijacze lub niezmiernie brudne bosc stopy i długie karabiny z trójkątnymi grotami bagnetów, nachylonych ku niemu, ukazały się naraz na mętym tle zamglonych zarośli niby wyskakujący na ekranie obraz kinematograficzny. Ława ich biegła nie prostopadle do okopu, a ukośnie z lewa, obchodząc lasem pole obstrzału polskich karabinów maszynowych : szturm więc skierowany był w pierwszym rzędzie na lewoskrzydłowy pluton.

Dzieliło ich od rowu kilkadziesiąt kroków zaledwie. Sadzili wielkimi susami wrzeszcząc nieprzytomnie, ale na widok ukazującego się nagle z zarośli zaplecza lodowego grzebienia bagnetów stracili swój rozpęd widocznie. Ich ruch, dotychczas zdecydowanie jednokierunkowy, zmienił się natychmiast w bieganie w różne strony. Łańcuch rozpadł się na szereg grup, ludzie bowiem — jak zwykle przed spotkaniem wręcz — łączyli się po kilku w obawie przed samotnością w ostatecznym momencie. Znać też było na nich wahanie. Może myśleli, że pluton Paprosińskiego jest pierwszym szeregiem nadbiegających do przeciwwuderzenia silniejszych odwodów, kryjących się jeszcze we mgle i w zaroślach, dość że pierwsze zastępy napastników wdarłszy się na wyniosłość, na której znajdowały się okopy, zatrzymały się na kilka lub kilkanaście kroków od nich podskakując w miejscu i wyjąc jak opętane. Pluton również wrzeszczał po drugiej stronie, jakby go obdzierano ze skóry. Nikt nie miał odwagi rozpocząć.

Ale bolszewików roilo się coraz więcej. Wysypywali się z lasu, gramolili się z rzeki i pędzili co tchu na pomoc towarzyszom.

Jakiś ich oficer czy komisarz, w czarnej skórzanej kurtce i takiejże czapce, lśniący od wody, przez którą się przeprawiał, biegł na łeb, na szyję z rewolwerem w rękę i krzyczał na całe gardło :

— Wpieriod, tawariszczy ! Wpieriod !

— Naprzód, chłopcy ! — zawołał wobec tego Paprosiński.

Zrobiło mu się jednak miękko koło serca na widok przemocy wroga i jego drapieżności. Był też pewny, że nerwy jego ludzi nie wytrzymają tego widoku. Postanowił więc sobie jak najbardziej twardo, że wycofa się ostatni, jak przystało na polskiego oficera. Postanowienie to zresztą powiększyło tylko jego zdenerwowanie.

— Żeby tylko dość wcześnie zaczęli wiać — myślał skrycie o swoim plutonie.

Nagle wśród tej obustronnej wrzawy buchnął karabinowy wystrzał. Paprosiński obejrzał się instynktownie i zobaczył Piesika. Klęczał on na lewym kolanie ze swym zwykłym uśmiechem roztargnienia na twarzy i palił raz po raz.

Dwóch biegnących bolszewików wywróciło się jeden po drugim, jakby się potknęli niespodzianie. Reszta skłębiła się niby dym ogniska, kiedy wiatr w nie dmuchnie.

— Stoj ! stoj !... waszu mać ! — wrzasnął dobiegający właśnie do pierwszego szeregu komisarz czy oficer.

Natknąwszy się na odwracającego się właśnie krasnoarmiejca strzelił mu niespodzianie prosto w twarz. Żołnierz wrzasnął nieludzko i chwyciwszy się oburącz za głowę potoczył mu się pod nogi niby spadający z wysoka tobół.

Paprosińskiemu na ten widok zęby ścierpły z nienawiści. Nie wiedząc nawet kiedy wypalił ze swego parabelum, aż mu rękę szarpnęło.

Czerwony oficer obejrzał się w jego stronę. Miał silnie opaloną twarz o niezwykle regularnych i drobnych rysach, wielkie błyszczące oczy i olśniewająco białe zęby. Paprosiński przypomniał sobie natychmiast ten pełen wdzięku skurcz warg tak pożądanych przez kobiety, nerwowych i zarazem jak gdyby zmęczonych. Poznał Horbaczewskiego.

Ten poznał go również i roześmiał się jednym z najczarowniejszych swoich uśmiechów.

— Ça va, monsieur ? — zawołał jasnym, wesołym głosem.

Jego nagan zadrgał przy tym szybko i trzy rude języczki zamigotały w wylocie.

Paprosiński roześmiał się również z całego serca. Śmieszne mu się wydało to niespodziane odnowienie paryskiej znajomości, jak również okoliczność, że od pierwszego wejrzenia wzięli się na muszki.

— Ça ira ! — odkrzyknął radośnie i szarpnął dwukrotnie za język spustowy.

Horbaczewski prasnął swoim naganem jakby to był kawał rozpalonego żelaza, zwinął się w jakiś skomplikowany kłęb i trzepnął całym swym ciężarem o ziemię, aż się zakurzyło.

W tymże momencie koło jednej z biegnących grupek bolszewickich błysnął w żółtej chmurze rudy płomień ręcznego granatu i pluton z przeraźliwym rykiem rzucił się na bagnety.

Nieprzyjaciele nie czekali na uderzenie. Dwóch z nich, dopadniętych w pierwszej chwili, padło pokłutych, a reszta rwała ku swoim mając ciągle na karkach rozjuszonych strzelców. Pościg jednak urwał się natychmiast, tuż bowiem nad rzeczką przyjął tak jedną jak drugą stronę wściekły ogień karabinów maszynowych. Widocznie zajadłość bolszewicka nie robiła różnicy między swoimi i wrogami. Wszyscy więc padli na ziemię przyciskając się do niej tak silnie, aż nie mogli oddychać. A serie siepały łąkę miejsce koło miejsca.

Wreszcie bolszewicy, którzy znaleźli się prawdziwie między młotem a kowadłem, zaczęli się wyczołgiwać w tył i brnąć przez Autę na drugą stronę nie znajdując w tym żadnych prawie przeszkód ze strony przygwożdżonych do ziemi zwycięzców.

Tych położenie było o wiele gorsze. Do nich to przecie skierowany był cały ten ogień, a lekka i naga prawie pochyłość, na której leżeli, podawała ich krwiożerczości zajadłych maszyn. Toteż zakrzepli w nieruchomości, jak ludzie, którzy widząc nieuniknioną śmierć wolą sobie oszczędzić bezcelowych wysiłków dla opóźnienia jej przyścia.

Martwotę tę przerwał Ławniczak, któremu kula urwała łydkę. Unosząc w górę krwawy kikut ze zwisającymi

strzępami poszarpanych owijaczy pomknął on na trzech łapach do okopów chyżo niby ścigana jaszczurka. Przykład ten zrobił swoje. Kto żyw, rzucił się za nim, stawiając życie na jedną kartę, byle wyrwać się z nieznośnego położenia.

Wbrew najśmielszym przewidywaniom wszyscy dostali się do rowu bez uszczerbku, choć Paprosiński — jak to był sobie zapowiedział — wrócił ostatni i z godnością, jakby starszy pan postępujący za gromadką rozdokazywanych uczniów, wracających z jakiejś niewinnej wy-cieczki.

VIII

Strasliwe chwile, przeżyte na łączce śmierci, nie pozostawiły długotrwałych śladów w psychice strzelców, cała bowiem kompania była upojona dzielnym odparciem trzeciego już ataku.

Nie było czasu na opowiadanie, gdyż ogień szedł nieprzerwanie, ale mimo to pokrzykiwano do siebie dzieląc się wrażeniami.

— Widzieliście Piesika? — wołał zatłuszczony i oberwany Gajzler przykucnąwszy w kącie i pakując naboje ze skrzynki do ładownic. — Taki cham z samego środka wsi, a jaki to fason trzymał.

— A Kotowski całe brzucho rozwalił bagnetem takim grojnemu Iwanowi — zauważył łaskawie kapral Dziduch ładując świeży magazynek.

— Widział pan kapral? — drwiąco zapytał Jagusiak. — Bo może ten bolszewik łopnął ze śmiechu, jak zobaczył taką krzywą mordę?

— A to nie było warto śmiechu, jak ten ryży kacap prysnął w krzaki przed panem plutonowym, a Jagusiak z drugiej strony siup go bez łeb?

Największym jednak bohaterem chwili został w powszechnej opinii podporucznik Paprosiński. Nie wspomniano o nim, ale oficer czuł, jak zaimponowała kompanii jego zimna krew, rycerski pojedynek z wodzem nieprzy-

jacielskim, a zwłaszcza francuska podczas niego rozmowa. Mimo to triumf psuło mu głębokie uczucie niesmaku. Nie wyrzucał sobie, że sprzeniewierzył się swojemu pacyfizmowi i że ranił ciężko czy nawet zabił człowieka, tylko rumienił się na myśl tego: „Ça ira”.

Co za sens miało to powiedzenie? Sam nie wiedział skąd mu je ślina na język przyniosła.

— Czy to miał być dowcip? — zapytywał się szyderczo. — Czy chciałem się w ten sposób popisać przed kompanią?

Pocieszał się, że na pewno nikt z żołnierzy nie zrozumiał tego dialogu, a Ludomski, Żyszkiewicz i może Cewowski, jeżeli znali język francuski, to nie na tyle, żeby zrozumieć tak pretensjonalny kalambur. Jedyńy więc człowiek, który mógłby szydzić z niego, dogorywał prawdopodobnie w tej chwili, powalony jego kulą. W ten sposób fakt uśmiercenia Horbaczewskiego wywoływał w nim jedynie uczucie ulgi.

Mimo to nie spojrział ani razu w stronę pobojowiska. A przedstawiało się ono dość ponuro. Już o kilkanaście kroków od rowu walało się na ziemi w różnorodnych pozach pięć trupów bolszewickich. Poza tym dostało się w ręce Polaków dwóch ciężko rannych. Jeden leżał nieruchomy z przymkniętymi oczami, postrzelono go bowiem w lewą pierś na tak zresztą bliski dystans, że kula uwięzła w płucu; drugi z rozerwaną od Piesikowego strzału pachwiną był wylekniiony jak schwytyany szakał. Przez cały czas, gdy Kamasiński opatrywał mu ranę jodynując jej brzegi, jęczał, płakał i tłumaczył się, że nie jest bolszewikiem, że go siłą wzięto do wojska i że zawsze czuł miłość i szacunek dla „panów”, jak nazywał Polaków.

— Jej Bohu, czestnoje słowo, czto ja nikagda, pany, was nie strielał! — zaklinał się, zalany łzami.

— To co z ciebie, chałuju, za żołnierz? — irytował się plutonowy Zajączkowski. — Dlaczegoś miał do nas nie strzelać, kiedy myśmy strzelali do ciebie?

— Ja nie strielał! — upierał się ranny — Ja nienawizu bolszewikow!

W żaden sposób nie można mu było wytłumaczyć, że nikt nie ma do niego pretensji za spełnianie jego żołnierskich obowiązków.

— Dać mu bulwy na przeczyszczenie ! — krzyknął z daleka Jagusiak odwracając od karabina swój wielki płowy łeb.

Zresztą nikt nie miał czasu na uspokajanie jeńca, ogień bowiem nie ustawał ani na chwilę. W okopie znów słychać było tylko huczenie maszynek, trzask karabinów, szczęknięcie zamków, suche głosy rozkazów, gwizdki sekcyjnych i przeciągłe brzęczenie kul.

Wnętrznosciami kompanii ciągle wstrząsały głuche uderzenia armat, wychodzące spod ziemi, niby bicie serca planety w gorączce. Pas szrapneli ponad mgłami mienił się nadal jak taśma niezmiernie szybko przesuwanych obrazków. Tylko że ich tło czerwieniało coraz jaskrawiej i coraz szerzej.

Granatowe do niedawna niebo bieleło z każdą chwilą. Żłota różowość wsiąkała w nie coraz szybciej i dalej, niby krew w bandaż opatrywanego żołnierza. Aż nagle szkarłatna kula wypłynęła sponad lasu i zaczęła wolno wznosić się nad tumanem, na kształt balonu, który zerwał więzące go liny i zawisł w cichym powietrzu.

Nastał dzień.

IX

W tej chwili zatrzeszczała w okopie długa seria kul karabinu maszynowego, aż się zakurzyło z tylnej ściany. Ogień szedł z prawa. Wszystkie głowy obróciły się w tę stronę.

Druga seria przewionęła wzdłuż rowu. Rozległy się krzyki, szlochanie, ktoś zwałił się na dno.

Kompania przerwała ogień. Strzelcy odskoczyli od przedpiersia i stłoczyli się wokół Paprosińskiego. Mimo grozy serce oficera wezbrało zadowoleniem. Wiedział, że w chwilach paniki żołnierze kupią się koło oficerów i podoficerów, których darzą największym zaufaniem. Ta świadomość władzy nad umysłami dodała mu pewności siebie.

— Rozejdźcie się, chłopcy ! — zaczął wydawać rozporządzenia. — Nie zbierajcie się w grupy, żeby nie da-

wać celu ! Nic się przecie jeszcze nie stało ! Trochę zimnej krwi !

Strzelcy nie słuchali go jednak. Krzyżowy ogień napełniał rów uporczywym bzykaniem. Na prawym skrzydle i na tyłach działo się coś niedobrego.

Wszystkie oczy skierowane były na płonącą Śmigalszczyznę. Była ona zasnuta mgłami i przywalona górami ciemnego dymu. Niemniej jednak można tam było chwilami dostrzec pochylone do samej ziemi postacie, przebiegające w różnych kierunkach. Widocznie bolszewicy — jak się to już niejednokrotnie zdarzało — obeszlili lewe skrzydło i stojąca we wsi kompania odwodowa podporucznika Myszenisa toczyła bój. Z wrzawy, dochodzącej stamtąd, Paprosiński wnosił, że nie był on dla niej pomyślny. Polacy bowiem nie lubią krzyczeć podczas natarcia, czyniąc za to wielki zgiefk w odwrocie, w przeciwieństwie do Rosjan, którzy zawsze umykają milczkiem, wrzeszcząc okropnie w czasie powodzenia.

Napięcie w okopach wzrastało coraz bardziej. Wszyscy byli bladzi i drżący, jak załoga tonącego okrętu.

Ludomski, który dotychczas trzymał się karabinów maszynowych, teraz przedzierał się zatłoczonym rowem ku Paprosińskiemu.

— W razie odwrotu będziesz nas osłaniał ze swoim plutonem — wołał zdyszany, jak człowiek, który całkowicie pojmuje grozę położenia.

Pośród płonących chałup zaczęły przemykać jeden po drugim cienie uciekających.

— Zimnej krwi, chłopcy ! Nie denerwować się ! — napominał Ludomski.

Paprosiński dostał duszności jak podczas ataku serca. Nie bał się tyle samego niebezpieczeństwa, ile straszliwego obrazu paniki, jaka mogła wybuchnąć lada chwila. Nie czuł w sobie siły, żeby przeżyć coś podobnego.

— Zatrzymaj swój pluton ! — krzyknął mu raz jeszcze Ludomski i skoczył z powrotem do kulomiotów.

Naraz z tamtej strony zerwał się piskliwy głos, tak zmieniony, że nie można było poznać, kto wołał :

— Ratujcie maszynki !

Tego tylko było potrzeba. Kompania rzuciła się w tył z taką siłą, że Paprosiński, który usiłował ją powstrzymać, został obalony w mig, jakby spadająca nań masa leciała

z czwartego piętra. Poczul jeszcze, że ktoś depta mu rękę, ale nie uświadomił sobie bólu. Nie wiedział też, kiedy również znalazł się na wierzchu. Tu pod nogi padł mu jakiś tłumok, aż usłyszał głucho a silne stuknięcie. Po zbielałej twarzy, a zwłaszcza po obandażowanej dłoni poznał Paprotkę.

Potem znowu mignęły mu przed oczyma nogi walącego się człowieka. Ktoś chwycił go za rękę. Szarpnął ją i nie oglądając się poczuł, że człowiek ów wali się za nim na ziemię...

— Śmierć ! — krzyknął głośno do siebie i oprzytomniał.

— Stać ! stać ! — zaczął wołać biegnąc jednak w dalszym ciągu.

— Trzeba przecie opanować sytuację ! — pomyślał. — Uciekamy jak bydło !

Obejrzał się, ale rozszerzone przerażeniem źrenice widziały wszystko jakby w stanie płynnym. Nie mógł nawet rozróżnić zostającej w tyle Śmigalszczyzny i zakrywających okopy zarośli. Wobec tego pędził patrząc jedynie pod nogi, żeby nie upaść.

Przeskakiwał jakieś krzaki, zagony, miedze, potem plątał się w zagonie owsa... Nie miał pojęcia, dokąd biegnie i dlaczego taką a nie inną wybrał drogę. Miał tylko poczucie, choć nie oglądał się już ani razu, że inni biegną obok. Ktoś widocznie prowadzi.

— Ludomski ! — przemknęło mu przez głowę.

Poczul morze wdzięczności dla tego człowieka, który myśli w tej chwili za niego.

— Nie pozwoli nam zginać — myślał z rozrzewnieniem.

Poczul zupełny spokój, chociaż teraz dopiero uświadomił sobie, że muszą przecie gonić lub strzelać za nimi. Zaraz też usłyszał przeciągły gwizd kul.

Zmusił się wobec tego do szybszego jeszcze biegu. Starał się również skręcać raptownie co pewien czas, aby nie przedstawiać zbyt dogodnego celu. Wreszcie poczuł na szyi swędzące strumyki potu. W piersiach mu rzeziło. Oddychał ustami plując zgęstniałą śliną.

— Jeszcze choć parę kroków ! — rozkazywał sobie w rozpacz. — Potem mogę umrzeć.

Mimo to zwolnił i przeszedł stopniowo z biegu w zwykły krok.

Pot zalewał mu oczy. Zdjął hełm i szedł przez zdeptane częściowo zboże z rewolwerem w dłoni dysząc szybko i spazmatycznie.

Przed nim nie było już nikogo. Czyżby uciekli w inną stronę? Nie. Owies się skończył, a za nim na granicy leżała cała kompania zziębnięta i spocona.

Ludomski klęczał na jednym kolanie i dysząc szybko lornetował okolicę. Na widok Paprosińskiego odjął na chwilę lornetę od oczu, ale nie odezwał się ani słowem. Spojrzawszy na jego fioletową twarz i otwarte usta łatwo można było poznać, że nie miał siły.

X

Paprosiński doszedłszy do granicy usiadł na niej w milczeniu i zaczął obciążać na sobie pokiereszowany mundur.

Bitwa huczała bez przerwy. Obłoczki szrapnelowe wiły się bezustannie pod niebem. Wybuchy granatów ukazywały się raz po raz wśród zagonów i pagórków. Wokół płonęły wioski. Ale Paprosiński zapominał o tym wszystkim. Tak podróżny w samolocie zapomina o szumie śmigła.

Cichy świst pocisków trwał ciągle monotonny a smętny.

Naraz grad kul zaszeleścił w owsach. Ludomski schylił się. Wraz przy kompanii zaczął szczeleć kulomiot. Paprosiński ujrzał Prejsa, jak leżał za kopcem granicznym i trząsł się od podrygów bijącego karabina maszynowego kompanii.

— A gdzie drugi kulomiot? — zapytał z wysiłkiem.

— Został — odrzekł beztrząsco plutonowy Żyszkiewicz.

— My go nieśli — tłumaczył się pokornie niezmiernie długi i chudy plutonowy Kasowski — ale Wójcik po-

legł, a na jednego było za ciężko, więc wyjąłem zamek, a resztę rozwaliłem handgranatem.

— Ładny interes !

Ludomski zdawał się nie zwracać na tę rozmowę najmniejszej uwagi, jakby go nic nie obchodziła hańba jego kompanii, ale widocznie zbierał w sobie tylko gniew, bo nie odwracając się zawołał syczącym głosem :

— Żyszkiewicz !

Wezwany zerwał się i podbiegł doń, kładąc się obok.

— Tak jest, panie poruczniku !

— Kazałem wam zająć się przeniesieniem maszynek ?

— Panie poruczniku, jak tylko pan kazał...

— Co za pan, do jasnej cholery ! Nie zdążyliście się jeszcze nauczyć mówić po wojskowemu czy co ?

Żyszkiewicz zaciął usta i uśmiechnął się drwiąco, jak człowiek, którego rozsądek zmusza do puszczenia obelg mimo uszu. Pochodząc z „dobrej” rodziny, w której miał szereg krewnych wyższych oficerów, a nawet dygnitarzy państwowych w stolicy, miał zwyczaj traktować wszystkich z pewnym lekceważeniem, ujętym wszelako w ramy starannego wychowania. Ludomskiego, który był synem konduktora kolejowego z Piotrkowa, zawsze drażniła ta jaśniepańska niedbałość, obrócił się więc ku niemu porywczym ruchem.

— Dlaczego nie odpowiadacie, kiedy was pytam ?

Żyszkiewicz milczał nadal patrząc wyzywająco w oczy oficerowi.

— Kazałem wam pilnować maszynek — dlaczegoście jedną zostawili ? — wybuchnął Ludomski całym gardłem.

— Chciałem to wytłumaczyć, ale pan porucznik nie pozwala mi mówić.

— Cóż to za odpowiedź, do jasnego pioruna ? Jesteście na froncie, a nie na kursach tańców salonowych ! Nie urządzajcie tu żadnych fochów, jak panna w połogu ! Jeśli się wam nie podoba, że się was traktuje na równi ze wszystkimi, to się wypiszcie z wojska do stu diabłów rogatych !...

Żyszkiewicz patrzył mu ciągle w oczy z wymuszonym uśmiechem lekceważenia, chociaż ciemne fale krwi przepływały mu po twarzy. Ludomski, który spostrzegł się wreszcie, że za bardzo dał się sprowokować, huknął nań na zakończenie :

— A teraz precz ! na swoje miejsce !

Plutonowy podniósł się niedbale i odszedł pewny siebie, szukając wzrokiem porozumiewawczych spojrzeń towarzyszy. Ale wszyscy odwracali odeń głowy. W kompanii nikt go właściwie nie lubił za jego wyniosłość i jaśniepańską łaskawość obejścia, a w tej chwili wszyscy — nie wyłączając Paprosińskiego — przyznawali słuszność raczej Ludomskiemu. Tylko wąsaty plutonowy Zajączkowski musiał widocznie głęboko odczuć tę naganę, udzieloną podoficerowi wobec całej kompanii, bo wybuchnął rozgoryczony :

— Bo to niektórzy ludzie to gorzej od bydła ! Jakby na świnie tak wołać ciągle : „Stać ! stać !” — to by wreszcie stanęły, a to wszystko leci i nie ogląda się, czy może drugiemu nie trzeba by co pomóc. Co robić z taką ciemną masą ? Ma być dobrze w Polsce, kiedy jedności nie ma. Woła się : „Stać !” — a taka cholera jedna z drugą wieje jak ostatni kozi syn.

— A bo w Polsce nigdy już porządku nie będzie. Wiadomo : naród nieświadomy — powiedział równie gorzko, utyskujący jak zwykle, gruby i czerwony Rudajewski.

— Tyś, ćwoku, świadomy ! Rycerz świętej Jadwigi ! — zadrwił z niego Jagusiak.

— Zamknij raz ten swój paskudny pysk ! — wrzasnął na kpiarza niepokieszony plutonowy Zajączkowski.

Te lamentacje musiały przypomnieć Ludomskiemu jeszcze jeden niezafałtowany rachunek, bo rozejrzał się z groźnym wyrazem na swej spoczonej twarzy i zapytał :

— Gdzie szef ?

— Nie ma go jeszcze, panie poruczniku — odpowiedział szybko plutonowy Zajączkowski.

— Jeszcze go nie ma ?

— Nie widzieliśmy wcale drugiego plutonu, panie poruczniku. Pewnie został w Chachulkach albo wycofał się w stronę ósmej kompanii, jakeśmy robili odwrót z okopów.

— Ich psie prawo było dołączyć do kompanii w czasie walki na bagnety albo zasłaniać nas w czasie odwrotu !

Nie było już co odpowiedzieć na tę uwagę, tym bardziej że w tej chwili zerwał się bliski gwizd i dwa granaty jeden po drugim bryznęły ziemią i kępami zboża tuż przed kompanią.

Żołnierze przypadli do ziemi i zaczęli strzelać z karabinów na oślep.

— Stój, psiarew! — krzyknął Ludomski. — Tam są jeszcze nasi!

Rzeczywiście przez cały czas do leżących dołączali nadbiegający pojedynczo śmiertelnie znużeni strzelcy, a niedługo wśród wielkiej wrzawy i strzelaniny ukazały się na prawo w skos figurki pochyłonych do ziemi i spiętrzonych plecakami żołnierzy. Sadzili przez zagony luźnym łańcuchem widocznie uciekając w panicznym popłochu. Wyglądali tak nieprzytomnie, że na pewno przebiegliby przed frontem kompanii, nie zwróciwszy na nią uwagi, ale Ludomski rozkazał:

— Zatrzymać ich tutaj!

Plutonowy Zajączkowski, kapral Dziduch i Piesik skoczyli ku nim wzdłuż granicy.

— Gdzie? Dokąd? Stać! stać! — ryczeli do uciekających.

— Uciekajcie, bo was zabiją! — zawołał szyderczo ze swego stanowiska starszy strzelec Jagusiak.

Biegący ujrawszy leżącą tyralierkę zaczęli się walić bezwładnie obok niej na ziemię charcząc z niehumanicznego zmęczenia.

— Co się tam stało? — pytał ich Paprosiński.

Nie odpowiadali. Mieli twarze granatowe. Z otwartych ust ciekła im ślina. Wszyscy patrzeli z przerażeniem w stronę, z której przybywali, gotowi do natychmiastowego otwarcia tam ognia.

— To szósta spod Śmigalszczyzny — zauważył krzywonogi kapral Dziduch.

Coraz nowe grupki dopadały między kładąc się obok towarzyszy. Na koniec ukazał się wysoki i szczupły oficer. Biegł w rozpiętym mundurze z hełmem w jednej a z rewolwerem w drugiej ręce.

W tej chwili cała tyralierka nie wiadomo czemu zaczęła grzmieć z karabinów, a i kulomiot rozpoczął na nowo swój głośny terkot.

Oficer dopadł swojej kompanii, padł przy niej na twarz i zaczął głośno szlochać.

Ludomski i Paprosiński skoczyli ku niemu.

— Panie poruczniku, na miłość boską, uspokój się pan! — wołali starając się go podnieść.

— Co mu się stało ? — zapytał Paprosiński zziębniętych żołnierzy jego kompanii.

Ale ci dyszeli pospiesznie wodząc wokół nieprzytomnymi oczami, tylko jakiś sierżant o wyglądzie inteligenta spojrział ku oficerom, przez chwilę łkał z trudem zalewając mu usta ślinę i wykrztusił z robionym po trosze, spokojnym tragizmem :

— Byliśmy w piekle...

Potem zaczął kaszleć, jakby chciał ducha wyzionąć, aż opanowawszy się nieco ciągnął urywanie :

— Poznaniacy puścili... Zobaczyliśmy wychodzących z lasu bolszewików i myśleliśmy, że to nasze odwody... Puściliśmy ich do samych okopów...

Granaty wokół leżących padały coraz gęściej. Nie wybuchały co prawda przeważnie, ale przelatywały tak nisko, że zboże kładło się od ich pędu długimi równymi smugami. Spadający co chwila na głowy gwizd i głośny syk zagłębiających się w ziemię pocisków denerwował przepłoszonych już dostatecznie strzelców.

Ludomski szarpał ciągle spazmującego oficera.

— Panie poruczniku, do ciężkiej cholery, niech pan wstaje ! Musimy zorganizować jaki kontratak, bo inaczej bolszewicy odetną trzeci batalion na przedmościu !

Drugi oficer na te słowa uspokoił się natychmiast i usiadł, przytomny zupełnie.

— Z czym będziemy nacierać na takie chmury ? — powiedział patrząc ponuro w ziemię. — Musimy przecie poczekać na jakie odwody.

— Gdzie drugi pluton ? — zapytał z nagłą wściekłością Ludomski. — Wysłać paru ludzi dla nawiązania z nim łączności !

Tymczasem zboże szeleściło jakby od silnej ulewy. Od strony Śmigalszczyzny szedł szybki ogień karabinowy. Linia jego rozszerzała się coraz bardziej w prawo, kule bowiem ćwierkały coraz bardziej ukośnie. Jasne się stawało, że bolszewicy parli coraz głębiej na tyły polskiego frontu zaginając swe lewe skrzydło w ten sposób, że groziło to zagarnięciem wszystkich oddziałów, jakie pozostawały jeszcze w trójkącie utworzonym przez Autę i las, ciągnący się za Śmigalszczyzną w kierunku Podlipek, gdzie stał w odwodzie pierwszy batalion. Z lasu tego były już zresztą ich ciężkie karabiny maszynowe.

XI

Położenie stawało się coraz bardziej niepewne. O poderwaniu do przeciwuderzenia znużonych i rozbitych nerwowo strzelców nie mogło być mowy. Zwłaszcza szósta kompania była tak pod względem fizycznym, jak i moralnym zdruzgotana zupełnie. Zostało z niej niewiele więcej nad trzydziestu śmiertelnie przerażonych morderczą walką na bagnety i doznanych w niej stratami żołnierzy, których skłonić do nowego wysiłku zdawało się być wręcz niemożliwe. Wielu z nich płakało opatrując swoje rany i skałeczenia, inni byli odrętwiali i nie rozumieli, czego się od nich wymaga.

Z ich dowódcą nie można się było w ogóle dogadać. Kiedy usłyszał, że ma z powrotem zdobywać Śmigalszczyznę, zaczął spazmować i miotać się rozpaczając nad swoją zmarnowaną kompanią oraz w krzykliwy sposób wyrażając pogardę dla wojska, przełożonych, wojny i Polski, wreszcie cisnął na ziemię swój hełm i rewolwer wrzeszcząc histerycznie, że nie poprowadzi swoich ludzi na pewną śmierć.

Kompania Ludomskiego nie przedstawiała się lepiej ani co do liczebności (zwłaszcza wskutek zaginięcia plutonu odwodowego Sołyszki), ani pod względem zapału bojowego.

Ludomski wściekał się, wymyślał podoficerom i strzelcom, ale nie udawało mu się jakoś sprawić szyków.

— Będziemy chyba wrywać — powiedział poufale do Paprosińskiego plutonowy Żyszkiewicz przycupnąwszy obok jego stanowiska.

Paprosiński nie raczył nań nawet spojrzeć. Żyszkiewicz wydał mu się naraz bezczelnym młokosem, który nie umie poznać się na delikatności zwierchnika i znaleźć odpowiedniej postawy w stosunkach z nim. Drażniła go jego pewność siebie i zupełne lekceważenie otrzymanej przed chwilą nagany. Przychwycił się natychmiast na tym nieznanym sobie dotychczas wojskowym sposobie odczuwania ale mimo to nie zdołał stłumić odrazy.

— Bądź co bądź — myślał o plutonowym — jakiegokolwiek jest jego stanowisko wobec wojny i Polski, nie ma

powodu być zadowolony z siebie i ze swojego upokorzenia.

Żyszkiewicz zauważył tę zmianę w stosunku oficera do siebie, ale nie zdradził się z tym umyślnie. Rzeczywiście bardzo dotkliwie odczuł otrzymaną naganę, a okoliczność, że wszyscy stanęli przeciw niemu, obudziła w nim dławiącą go nienawiść do całej kompanii. Nie mogąc dokuczać otoczeniu w inny sposób, starał się je drażnić umyślnie podkreślaną pewnością siebie. Ciągnął więc niedbale i drwiąco :

— Porucznik Ludomski (nie dodał : „pan”) chce atakować Śmigalszczyznę. Z czym ? Z tą wystraszoną hołotą ? Musiałby chyba czekać na jakie odwody, ale tymczasem okrażą nas do reszty i zafasują. Czym byśmy także osłaniali natarcie ? Tą jedną jedyną parszywą maszynką?...

— Mielibyśmy dwie, gdyby pan jednej nie zostawił — odciał podrażniony Paprosiński.

— Hi, hi ! — zaśmiał się Żyszkiewicz. — Więc i pan porucznik mówi to samo ? Przecie to pierwszy pluton pana porucznika miał osłaniać odwrót kompanii i umożliwić zabranie sprzętu...

Nie zdążył więcej powiedzieć, Ludomski bowiem, który dotychczas ciągle lornetował okolicę, dźwignął się właśnie z klęczek i podszedł do rozmawiających, wyprostowany, nie zważając na kule, które zawodziły dokoła, a nawet od czasu do czasu chrzęściły po ziemi.

— Będziemy chyba wycofywać się na Stomiki i czekać na jaki odwód — powiedział zmęczonym głosem ciągle patrząc w stronę nieprzyjaciela. — Żeby tylko ten sakramencki dziad Sołyszko znalazł się nareszcie !

— Właśnie biegnie tam za snopkami — wtrącił niedbale Żyszkiewicz.

W samej rzeczy w tyle za rozmawiającymi wśród szeregów kopic zżętego żyta ukazał się zziązany szef kompanii w mundurze, zarzuconym na ramiona rosyjską modą, i w furażerce, zsuniętej na tył czarnej pozlepianej od potu czupryny.

Ludomski powiadł nań z krzykiem :

— Gdzież to się szef włóczy jak stara kokota, do jasnej cholery ? Gdzieście podzieli swój sakramencki pluton ?

Sołyszko zatrzymał się oniemiały ze zmęczenia i przykrego zdumienia.

— Panie poruczniku — wykrztusił — melduję się na rozkaz.

— Na rozkaz ! na rozkaz ! Nie wiecie, jakie są obowiązki odwodu kompanijnego ? Gdzieście podzieli swoich ludzi ?

— Leżą okopani zaraz za Chachulkami. Zostawiłem ich, bo kapral Adamek zameldował mi, że mnie pan porucznik wzywa do siebie.

— A dlaczegoście nie dołączyli do kompanii podczas walki na bagnety ?

— Pan porucznik Paprosiński miał dać znak gwizdkiem, czekałem więc...

— Gwizdek ! gwizdek ! Co, do cholery, myślicie, że nikt nie miał nic lepszego do roboty, tylko myśleć o waszym głupim gwizdku ? Pluję trzy razy na wasz gwizdek ! Wasze psie prawo było wesprzeć kompanię w boju albo osłaniać jej odwrót ! A coście robili ? Gziliście się z dziewczkami po stodołach !

Sołyszko był blady i rozdygotany.

— Panie poruczniku — powiedział stanowczo — melduję, że w Chachulkach nie było żadnych dziewczek...

Ludomski posiniał z gniewu

— Co to ma znaczyć, do jasnej cholery ? Znowu jakiej uwagi ! Już się wszyscy w tej kompanii nauczyli odszekiwać ! Na drugi raz nic nie będę mówił, tylko z miejsca w łeb strzelę !

— Jeżeli jestem co winien, to może mnie pan porucznik zastrzelić, ale powiedziano mi, że mam dołączyć do kompanii na szereg długich i krótkich gwizdków pana porucznika Paprosińskiego...

— Dość ! — przerwał Ludomski.

— Leżeć na miejscu ! Nie ruszać się, psiakrew ! — wrzasnął na kompanię wygrażając pięścią.

Tymczasem bowiem na prawym skrzydle, gdzie leżały niedobitki szóstej kompanii, wybuchnął wyraźny niepokój. Wszystkie głowy skierowane były w stronę łanów żytnich na krańcu tyralierki, jakby stamtąd spodziewano się niebezpieczeństwa. Samorzutnie zmieniano stanowiska przygotowując się do otwarcia ognia w nowym kierunku. Zaczęły się też ukazywać pierwsze oznaki popłochu.

— Otoczyli nas ! Biegną tutaj ! Widać ich w życie ! — rozległy się strwożone głosy.

— Zostać na swoich miejscach! Strzelać tylko na rozkaz! — huknął Ludomski. — To mogą być nasi!

W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa na nowo zagrażającego kompanii odzyskał w mig całą swoją energię. Rozumiał, że jeśli nieprzyjaciół rzeczywiście zdążył już zająć jego drogę odwrotu, to udałoby mu się uratować najwyżej małą część swoich ludzi, a i to pod warunkiem, że nie dadzą się oni porwać panice. Nim jednak zdążył wydać jakiś rozkaz, szósta kompania zerwała się ze swoich miejsc... i zamarła w bezruchu...

Spośród zbóż z szybkością stada przepiórek wysunął się długi wąż biegnących gęsiego żołnierzy.

Byli to Polacy.

Na ich czele sadziło dwóch oficerów z rewolwerami w rękach. W jednym z nich po dokładnym oporządzeniu polowym i długich złotych wąsach Ludomski poznał dowódcę batalionu porucznika Leśniaka: drugim był jakiś młody major, elegancko ubrany, z jasnymi wąsikami i baczkami jak u księcia Józefa.

Ujrzawszy leżącą tyralierkę oddział zatrzymał się padając na jej przedłużeniu, tylko nieznajomy major rozejrzał się bystro i zapytał donośnie i twardo, jak zwierzchnik który nie wie, co to pobłażanie.

— Kto tu dowodzi?

Ludomski wyciągnął się i zaraportował jak na przeglądzie w garnizonie:

— Panie majorze, podporucznik Ludomski melduje się jako dowódca siódmej kompanii. Kompania po wycofaniu się z okopów — gotowa do przeciwdzierzenia.

Majora nie udobruchało to zupełnie.

— Co „gotowa”? — krzyczał. — Co pan tu w ogóle jeszcze z nią robi? Pańskie miejsce w Śmigalszczyźnie! Na jaką cholere pan tu jeszcze czeka, kiedy trzeci batalion może być lada chwila odcięty na przedmościu?

— Właśnie, panie majorze, chciałem ściągnąć pluton odwodowy, który został w Chachulkach...

— Gdzie?... Jak?... Z byka pan spadł?... W ten sposób rozpuścić kompanię na wszystkie wiatry?...

— Bo właśnie ten starszy sierżant nie zrozumiał rozkazu...

— Starszy sierżant?... Nie zrozumiał rozkazu? Zastrzelić na miejscu takiego sukinsyna!

— Witek, jak się masz ? — zawołał naraz w innym tonie zapominając o swoich ofiarach.

Energicznym ruchem wyciągnął dłoń do Paprosińskiego, który od pierwszego wejrzenia poznał w nim Świdierskiego, i odwracając się równocześnie prawie w stronę tyralierki ryknął donośnie :

— Naprzód, takie syny !

Strzelcy zebrali się w sobie i potoczyli po rżysku jak kłębki.

Drugi batalion ruszył do przeciwnatarcia.

XII

Zamiarem majora Świdierskiego było niespodziewanym uderzeniem odebrać Śmigalszczyznę, przez co spodziewał się sparaliżować ruch bolszewicki, dążący do rozszerzania wyrwy w polskim froncie. W tym celu, rozdzieliwszy kompanię Ludomskiego, jednej jej połowie pod samym Ludomskim nakazał zająć znajdujące się na lewym skrzydle Chachulki, aby w ten sposób nawiązać łączność z odwodowym plutonem Sołyszki, pozostającą jeszcze na swych stanowiskach ósmą kompanią oraz broniącym przyczółka trzecim batalionem; drugą zaś połowę pod Paprosińskim i szóstą kompanię pod porucznikiem Leśniakiem pchnął do ataku frontalnego. Sam został przy odwodzie, który stanowiła najsilniejsza liczebnie piąta kompania.

Na początku bitwy stała ona również jako odwód batalionu w Śmigalszczyźnie, którą opuściła po stracie swego dowódcy, śmiertelnie ранego porucznika Myszenisa. Świdierski, który, będąc szefem łączności sztabu dywizji, na pierwszą wiadomość o przełamaniu frontu zjawił się na linii bojowej, zawrócił ją po drodze i wraz z porucznikiem Leśniakiem poprowadził na nowo w ogień. Teraz zatrzymał ją przy sobie, aby móc czuwać nad ruchami lewego skrzydła bolszewickiego i wesprzeć w decydującej chwili działania batalionu.

Akcja ta jednak nie od razu nabrała rozmachu, jakiego wymagało zadanie. Jak tylko strzelcy przestali czuć na

sobie groźny wzrok Świderskiego, natychmiast oklapli i stracili cały rozpęd. Pomimo, że od pojedynku z Horbaczewskim powaga Paprosińskiego w kompanii stale wzrastała, trudno mu było poderwać osłabłych wskutek zmęczenia i przeżyć ludzi.

— Kierunek : płonąca wioska przed nami ! Grupkami naprzód ! — krzyczał obracając z trudem swe zbolące kości.

— Naprzód ! naprzód ! — ryczeli podoficerowie.

Żaden ze strzelców nie uważał, żeby to do niego miało być skierowane.

— Jazda, chłopcy ! Ruszać się trochę ! Gdzie są podoficerowie — irytował się Paprosiński.

— Nie słyszałeś, żłobie, co było powiedziane ? — wrzasnął Zajączkowski na Rudajewskiego, który rozłożył szeroko swoje grube cielsko nie zdradzając absolutnie żadnych drapieżnych instynktów.

— Sam polecę, jak kto głupi ? Pan plutonowy to tylko mnie zawsze widzi ! Niech inni też idą !

— Na innych się będziesz oglądał, bażancie ?...

— Bo ónemu trza by sprowadzić deróżkę, żeby go podwiezła. Za ciężki ma kałdun, panie plutonowy — wtrącił się Jagusiak, który nigdy nie tracił swego kpiarskiego usposobienia.

W tej jednak sekundzie sam ruszył naprzód jak oparzony : tak groźną twarz zwrócił ku niemu podoficer.

Za nim zaczęli posuwać się inni. Szło to z początku opieszale, gdy jednak osiągnęli szczyt fałdy ziemnej, oddzielającej ich od wioski, a gdzie ogień bolszewicki stawał się gęstszy i skuteczniejszy, ruchy strzelców nabrały tej niesamowitej zręczności i błyskawiczności, jaka cechuje wszystkie stworzenia w niebezpieczeństwie. Ukazywali się zawsze nagle i niespodzianie jak podrywające się na widok myśliwego kuropatwy; przemykali od zasłony do zasłony szybko i nieuchwytnie dla oka, niby spłoszone jaszczurki : aż wreszcie, gdy przebiegli łan stratowanego i splątanego owsa i gdy w oczy uderzył ich żar płonącej wioski — zamrowili się na łączce przed nią, jakby spod ziemi wyrosli i z ogromnym rykiem runęli do szturm.

Przez jeden tylko moment ustawiony pod jakimś płotem karabin maszynowy zabłyskał im w twarze pośpieszną serią, w tejże chwili Piesik nie wstrzymując pędu i nie

zamachnąwszy się nawet rzucił granat jajowy. Wykonał to tak słabo i niezręcznie jak pensjonarka z wstępnej klasy, niemniej trzech bolszewicy obsługi prysnęli w tył jak zdmuchnięci. Nim jednak opadł kurz po wybuchu, czwarty bolszewik w czarnej papasze dopadł opuszczonej maszynki i skierował ją znowu w twarz nadbiegających.

— Bij takiego syna ! Bij takiego syna ! — wrzasnął niehumanym głosem plutonowy Zajączkowski.

Gruby Rudajewski na swych krótkich i krzywych nóżkach wykonał nieprawdopodobny, nienotowany chyba w kronikach sportowych skok i całym swym ciężarem spadł na nieustraszonego czerwonogwardzistę. Reszta atakujących przemknęła nad nimi jak porwane wichrem liście.

Uciekający bolszewicy, którym drogę zagroziła ogniasta ściana płonącej wioski, porzucali karabiny i biegiem zawracali z podniesionymi rękami wrzeszcząc przeraźliwie :

— Pan wasz ! Pan, nie strielaj ! Pan, zdajus !

Fala atakujących wyminęła ich w pędzie, jak w kontredansie, nie spojrzawszy nawet. Jeden Piesik szturchnął w tył kolbą najbliższego.

Obie kompanie wpadły już między zabudowania. Chałupy i stodoły płonęły objęte płomieniami ze wszystkich stron. Czarno-czerwone grzywy ognia i dymu łopotały na strzechach, wysuwały się znienacka drzwiami i oknami, rzekłbyś : stado uwiecznionych potwornych węzów. Szrapnele nad nimi błyskały trupio blade, szybkie i bezgłośnie w tym ogólnym szumie i gwarze. Na zaciągniętej pajęczynami dymów ulicy szarzały rosypane dość gęsto trupy Polaków i bolszewików wypisując jak hieroglifami historię ataków i kontrataków, które przez wieś przechodziły.

Nowa grupka bolszewików zerwała się w opłotkach z podniesionymi rękami i krzycząc : „Nie strielaj, pan !” — przemknęła pomiędzy nacierającymi, byle jak najprędzej wyjść z tego piekła.

Zwycięzcy zatrzymali się rozglądając się z bystrością i czujnością zwierząt leśnych węszących niebezpieczeństwo.

Powietrze pełne było świstu i brzęczenia kul nadlatujących ze wszystkich stron oraz jęku i powarku pękających wysoko polskich szrapneli. Dalsze zapędy powstrzymywała ogniasta ściana, promieniująca tak silnie, iż zbliżającym się do niej zdawało się, że lada chwila roztopią się i rozleczą jak rozlutowane garnki. Już też „kombinatorzy i dekowni-

cy" zaczęli zawracać i wymykać się na tyły odprowadzając jeńców czy rannych towarzyszy.

Paprosiński, który dobiegł tu za swoim plutonem, stał w rozpiętym mundurze z pistoletem w dłoni, spocony i zziębnięty nie mogąc złapać powietrza w duszącym żarze.

— Naprzód, chłopcy! — Naprzód! — nawoływał bez przekonania, choć wiedział doskonale, że nie ma prawa spocząć na wawrzynach, dopóki przeciwległy skraj wioski nie znajdzie się w jego rękach.

Ale w tym celu należało przebyć ulicę, która w tej chwili wydawała się potwornych rozmiarów paleniskiem.

Zdecydował się wreszcie i skoczył.

W jednej chwili oślepl na oba oczy, które zaproszyły mu gorące sadze. Zasłonił lewą ręką rozbolale powieki i posuwał się naprzód patrząc jedynie przez szparę między palcami, zasnutą matową szybą łez. Nie oddychał zupełnie, jak przystało na nurka, zagłębiającego się w obcy sobie żywioł. Nie cofał się jednak, dostrzegł bowiem przedzierające się przez kłęby sinego dymu poskręcane postacie strzelców swojego plutonu. Niektórzy z nich strzelali po drodze i błyski wystrzałów ukazywały się upiornie białe.

Wreszcie wypadł na przestrzeń wolniejszą nieco od dymu. Mógł nareszcie odetchnąć.

Ulica rozwidlała się tu tworząc mały trójkątny plac. Górował nad nim stojący na rozstaju czarny popękany krzyż z daszkiem i z małym fartuszekiem uwiązany w połowie jego wysokości. Krzyż płonął. Rude ogniki wyskakiwały co chwila spoza niego niby goniące się po sośnie wiewiórki. Ocalały dotąd cudem fartuszek łopotał rozpaczliwie szybko. Było coś wstrząsającego w tym ruchliwym białym strzępie na tle szkarłatnych płomieni oraz brudnych zwałów dymu i w tym strachu przed zagładą martwego przedmiotu w obliczu rozsypanych na drodze trupów ludzkich.

Pod krzyżem stało nieruchomo paru bolszewików z podniesionymi pionowo rękami.

Strzelcy rozbiegli się wężąc na wszystkie strony niby stado wilków, plądrujących uśpioną wioskę. Było ich najwyżej dziesięciu.

— Komisarz! — wrzasnął naraz Piesik, który wysunął się pierwszy w kierunku prawej odnogi ulicy.

Na progu okazałej chaty ze strzechą, całkowicie już objętą płomieniem, siedziała jakaś skulona postać. Paru żołnierzy skoczyło ku niej z podniesionymi kolbami, jakby ujrzeli wściekłego psa. Palce i szczęki chwycił im nagły spazm pierwotnej nienawiści, nienawiści ptactwa dziennego do pułacza lub sowy. Nawet Paprosiński, patrząc na tę scenę, uczuł przez jedną zbiegłą mu spod kontroli chwilę w gruczołach ślinowych i trzewiach lubieżną radość oczekiwania momentu, gdy zacznie się miażdżenie i rwanie w kawały tego osobnika drapieżnego gatunku, krwiożerczego jak pantera, a nienawidzącego jak żmija pełnego jadu nienawiści. Takie bowiem wyobrażenie powziął o komisarzach rewolucji na podstawie gazet i sprawozdań uciekinierów z Rosji.

A ów siedział nadal, skulony, w obcisłych czarnych butach, w czarnej kurcie skórzanej i w czarnej czapce, którą zsunął w tył dłońią, podpierając mu skroń, jak człowiek, którego spotkało wielkie nieszczęście. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy zawisły nad nim kolby, niosących mu śmierć wrogów, ale za to jeńcy bolszewiczcy, którzy zazwyczaj sami wydawali zemście komunistów, teraz ryknęli w obłąkanym przerażeniu :

— Nie trogać jowo ! Nie trogać ! On ranienyj !

Polacy odskoczyli jak odminy, mającej wybuchnąć lada chwila. Teraz dopiero spostrzegli, że komisarz był ranny. Kula karabinowa czy szrapnelowa odłupała mu kawałek czaszki. Między palcami sączyła mu się krew i blade gruzelki mózgu. Jedno gwałtowniejsze poruszenie mogło spowodować opróżnienie tej dziurawej skorupy z substancji, która tworzyła z niej głowę człowieka.

Litość, zrodzona z obrzydzenia i grozy, wykrzywiła twarz.

— Może da się go jako odnieść do ambulansu ? — powiedział plutonowy Zajączkowski podchodząc ostrożnie do nieszczęśliwego.

— Nie ruszać go ! — wrzasnęła histerycznie Paprosiński.

Obserwował on pogrążonego w straszliwej zadumie komunistę z piekącą ciekawością. O czym może myśleć człowiek, któremu nagle do czaszki zajrzało światło wschodzącego słońca ? Co czuje, gdy mu w obnażone zwoje uderzy szum pożaru, trzask karabinów i huk pękających

szrapneli? Czy tą żalosną resztką okaleczonego organu świadomości obejmuje teraz bezsens swojego życia?

Tym swoim naganem, którego pusta pochwa zwisa mu u pasa, niejedną zapewne rozłupał czaszkę, w której snuły się inne niż w jego kombinacje urządzenia wspólnego życia ludzkości. Nieraz bez wątpienia tłumił w sobie litość i zgrozę na widok tchórzów, którzy wlekli mu się u nóg błagając o życie, szaleńców, którzy mordowani ryczeli o ratunek, bohaterów, czekających spokojnie na śmiertelny wystrzał jego rewolweru z nieludzkim wysiłkiem zamierającego serca. Nieraz miażdżył głos swojego sumienia na widok rodzin skazanych, spazmujących, mdlejących i przeklinających go, gdy nie mogły wyżebrać u niego życia najdroższych sobie osób — wszystko w imię nieomyślności i doskonałości tej obrzydliwej mazi, która teraz oto ściekała mu po brudnych palcach. Czy tak samo widzi te sprawy, gdy jego świadomość wyrzała na świat z tej łupiny, w której była dotychczas zamknięta?..

W tej chwili płonący nad głową siedzącego dach zapadł się z hukiem do wewnątrz chaty; dwa czarne ramiona dymu buchnęły oknami zasłaniając go zupełnie. Gdy ukazał się znowu, płonęło już na nim ubranie. Nie poruszył się mimo to, jakby nawet śmierć sama nie zdołała go wyrwać z jego ponurej zadumy.

Nikt też już nie skoczył, aby go wyrwać ze szponów ostatecznej zagłady.

XIII

Ludomski po połączeniu się z plutonem Sołyszki wziął kierunek na prawo od Chachulek, wprost na swe dawne obsadzone teraz przez bolszewików okopy.

Początkowo tyralierka posuwała się równo i swobodnie wśród nieszkodliwego świstu zabłąkanych kul i wysokich rozprysków nie wiadomo do kogo wystrzelonych szrapneli, gdy jednak minęła zasłonę, jaką stanowiła płonąca wieś, wpadła w tak wściekły ogień karabinów maszynowych, że runęła w miejscu, jakby ją piorun strzelił. Dal-

szy ruch wydawał się niemożliwy. Ale fakt, że ogień szedł z własnych okopów, obudził zawziętość strzelców. Wgrzali się po prostu w sypką ziemię czołgając się wciąż naprzód, bijąc z karabinów zza każdego krzaczka czy kopczyka, nawołując się i zachęcając wzajemnie, pomimo że wokół nich ziemia kipiała od siekącego ją z niesłychaną siłą gradu niklu i ołowiu.

Do stanowisk bolszewickich nie było więcej jak sto pięćdziesiąt metrów. Widać też już było wyraźnie czerwień wśród zieleni zgliszcza Sokołowszczyzny, a z zarośli olszynowych i boru, gdzie ciągnęły się okopy przedmościa, poprzez nieustanny warkot kulomiotów dochodził chwilami zgiełk walczącego tam batalionu. Niemniej jednak uderzenie na bagnety wskutek zbyt gęstego ognia bolszewickiego było wręcz niemożliwe.

Na szczęście zjawiała się tu niespodziewana pomoc. Pluton Paprosińskiego po zdobyciu Śmigalszczyzny skierował zabrany bolszewikom karabin maszynowy na lewy skraj wioski, natychmiast otwierając ogień wzdłuż Auty.

Kiedy załomotała długa i równa seria maszynowa, nieprzyjacielska obsada okopów widocznie straciła serce. Ogień jej osłabł wybitnie. Serie kulomiotów rwały się raz po raz. Skorzystał z tego Ludomski i rzucił się naprzód z okrzykiem.

— Hurra ! — zawyła za nim kompania.

Bolszewicy zatrzepotali się w zaroślach niby wypłoszone ptactwo. W obłąkanym pośpiechu wyskakowali z rowów, wyciągali swoje maszynki i zmykali milczkiem.

W ten sposób kompania znalazła się z powrotem w swoich dawnych okopach.

Zrobiły one teraz na niej niezmiernie ponure i przykre wrażenie. Przede wszystkim napełniał je nieznośny wraży smród. Dno rowu oraz świeżo przez bolszewików wykopane wnęki strzeleckie zaśmieczone były tysiącami okopconych łusek karabinowych, pokrwawionymi szarpkami i bandażami tudzież tekturowymi paczkami na ładunki. Gdziekolwiek czerniały krwawe plamy.

Sześciu poległych towarzyszy, jakich zostawiła kompania, obdartych było do naga. Jedyne na szyjach zostawiono im brudne tasiemki z „fasowanymi” krzyżykami z blachy czy też z przepoconymi szkaplerzami na dowód, że przedmioty te nie podlegają prawu popytu i podaży po

drugiej stronie frontu. Wszyscy leżeli w pozach rzeczy, które szarpano, obracano i wreszcie porzucono. Poza tym byli jacyś żółci, zakurzeni i umorusani zaschłą krwią, tak że ich zupełnie nie można było rozpoznać.

Uciekający bolszewicy pozostawili również dwóch swoich nieboszczyków, skulonych w jakimś wykrocie. Obaj mieli strzaskane głowy. Jednemu urwało całą dolną szczękę. Leżał z nogami sterczącymi nad rowem a głową w dół, tak że jego odsłonięte, szare z upływu krwi podniebienie sprawiało wrażenie rozdziawionej paszczy nieznanego gada. W ogóle egzotycznie obco czuli się strzelcy w tej siedzibie, stworzonej w części własnymi rękami, w której przeżyli przecie kawał swego życia, życia ludzi, wróconych do pierwotnego stanu.

Na sterczącym z boku chodnika palu przed schronem kancelaryjnym stał nadal zapomniany w odwrocie i nie wiadomo w jaki sposób ocalony od bolszewików czworokątny budzik pisarza Cewowskiego.

— Panie Czewowszki, panowy żegar! — zawołał Robak.

Ponury pisarz zwrócił ku niemu swą drewnianą twarz.

— Widzę — odrzekł z apatycznym spokojem człowieka, który w ostatnich czasach poznał bardzo wiele smutnych dziwów świata.

— Jak pan go nie bierze, to ja go wezmę — powiedział ostatni z Robaków i zaczął ładować instrument do chlebaka.

Inni żołnierze tymczasem darli się już na wierzch okopów i brnęli przez rzeczkę w ślad za uchodzącym nieprzyjacielem.

Gdy tylko pierwsi z nich ukazali swe twarze w nadbrzeżnych zaroślach, powitał ich ryk zachwyty, jaki nigdy chyba nie był udziałem najcudowniejszej primadonny, ukazującej swe olśniewającej piękności wdzięki publiczności, złożonej z jej najzarliwszych wielbicieli. To radował się trzeci batalion na widok odsieczy.

Zaraz też z okopów przyczołka zaczął się ciągnąć długi sznur biegnących gęsiego żołnierzy. Mknęli w stronę kompanii Ludomskiego nachyleni do samej ziemi pod siekącym stale deszczem kul, obarczeni plecakami, zwiniętymi płaszczami, kocami, chlebakami, menażkami... Dobiegłszy na kilkanaście kroków zwrócili się w lewo tworząc

w miejscu tyralierkę i otwierając ogień. Czynili to wszystko sprawnie i zwinnie, na kształt tanecznego korowodu dziewcząt kabaretowych, wykonującego wdzięczne obroty.

Najbliżsi zaczęli wołać w stronę kompanii Ludomskiego :

— Aleście też nogowali, psia wasza okopcona, piesze z wami tańcował!

— Po czemu font cykorii?

Podniecony Hajduś przyłożył dłonie do ust i odkrzyknął z miejsca :

— W piętę nas pocałujcie, żeśmy wrócili! Żeby nie my, już by tu z was był gulasz z papryką!

Młodziutki i różowiutki oficerek podbiegł do Ludomskiego i podał mu rękę z uroczystą powagą, która pozwalała się domyślać, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby to powitanie wodzów posłużyło za temat dla wspaniałego obrazu historycznego. Oświadczył mu przy tym, że został przysłany przez dowódcę pierwszego batalionu celem wsparcia go do czasu, gdy przedmoście zostanie opróżnione.

Tymczasem ogień karabinowy wzrastał się. Widocznie bolszewicy znowu przechodzili do natarcia. Z lasu za Autą zaczął terkotać karabin maszynowy omiatając okopy syczącą strugą kurzu. Zarazem wzrastał hałas i strzelanina za Śmigalszczyzną. Kule gwizdały z tej strony coraz bardziej natarczywie. Gdy zaś jeszcze zaczęły bzykać pospieszne serie kulomiotu, strzelcy pokucali w rowie bojąc się wystawiać nawet czubki hełmów. Widocznie sytuacja znowu się pogarszała i lada chwila przyczółek, a wraz z nim i kompania Ludomskiego mogły zostać z powrotem odcięte od reszty pułku.

Wobec tego Ludomski pozostawił w okopach młodziutkiego oficerka z jego ludźmi, a sam ze swoimi ruszył wzdłuż Auty na Śmigalszczyzną, aby wstrzymać ile możliwości parcie nieprzyjaciela z tej strony.

Kompania posuwała się pod takim ogniem maszynek, że ziemia podnosiła się przed nią i za nią.

Śmigalszczyzna rozbrzmiewała kanonadą. Wśród gęstych zasłon dymu i brudnoczerwonych grzebieni ognia płonących chałup i stodół widać było sylwetki przebiegających żołnierzy. Słychać też było ciężkie łomotanie karabinu maszynowego. W pewnej chwili Ludomski ujrzał na-

wet na moment wśród pożarnej zawieruchy jego sylwetkę pod jakimś ocalałym płotem. Zdawało mu się, że widział również przy nim Paprosińskiego, jak stał z lornetą przy oczach. Tymczasem, gdy dopadł wioski, okazała się ona zupełnie pusta, jakby to, co widział przed minutą zaledwie, było jakimś urojeniem jedynie. Dym, szum, trzask ognia, kłęby sadzy, nieznosne gorąco i przeciągłe zawrodożenie pędzących we wszystkich kierunkach kul karabinowych otoczyły kompanię, która zbitą gromadką posuwała się już wolniej nieco zamgloną i jakby rozplywającą się od żaru drogę.

XIV

Ludomski przestał się orientować w położeniu. Domyślał się, że Polacy zostali wyparci ze Śmigalszczyzny ponownie, ale skąd szło natarcie bolszewickie i w jakim kierunku wycofał się Paprosiński z resztą kompanii, nie wiedział zupełnie. Pierwszą więc jego myślą było wydostać się ze wsi, aby osiągnąć szerszy widnokrąg. Ruszył więc wprost między żarzące się opłotki i jakby wirujące w huraganie ognia i dymu stodoły.

Gorące sadze zawałyły mu oczy, nos i gardło. Rozpalone powietrze nie nadawało się do oddychania. Ogarneło go ono jak żywy płomień, tak iż miał wrażenie, jakby włosy i mundur już się na nim paliły. Nie cofnął się jednak. Obejrzał się w tył i zobaczył poskręcane od żaru postacie swoich ludzi, jak brnęli za nim zasłaniając rękawami twarze.

Przed nim kłębiła się sinoczerwona ściana dwóch płonących brogów. Chmura niesionych wiatrem płonących ździebeł obsiadła go niby rój podrażnionych pszczoł. Zakrył twarz obu pięściami.

Jeszcze parę kroków, i będzie mógł spojrzeć i złapać w piersi świeżego powietrza! Już!..

Przez chwilę spoza opalonych rzęs widzi tylko czerwone plamy i deszcz latających czarnych cętek. Uszu je-

go dochodzi hurkot bijącej artylerii, turkotanie karabinów i wielka pomieszana wrzawa głosów ludzkich...

Wreszcie oczy odzyskały zupełną zdolność widzenia. Pole przed wsią pokryte było nieprzejrzanym tłumem pędzących na wieś bolszewików. Kilku oficerów na koniach z rewolwerami w rękach wskazywało ukazującą się kompanię.

— Wpieriod, tawariszczi ! Wpieriod ! Ura !

Ludomski gwałtownym odruchem rozrzucił ramiona na boki.

— W tyraliery ! Hurra !

Kompania rozsypała się z ogromnym krzykiem i rzuciła na bolszewików jak gromadka wilków na nieprzejrzanego stado płochliwych owiec. Żadna siła ludzka nie zdołałaby wpędzić strzelców z powrotem do płonącej wsi.

Bolszewicy, zdumieni tym śmiałym ruchem, zaczęli się zatrzymywać. Kulisa dymu i ognia, zza której wychodziło przeciwuderzenie, nie pozwalała się im zorientować, jaka była jego siła. Tymczasem Polacy otworzyli ogień na bliską odległość. Paru krasnoarmiejców padło na ziemię, inni zaczęli się cofać.

Jeden z ich oficerów skrzył konia, aby ich powstrzymać, ale obalił się w miejscu. Wydobywszy się spod szamoczącego się rumaka jął go ciągnąć za cugle. Czapka spadła mu przy tym i widać było jego wąską czaszkę z długą zatoką łysiny.

Hajduś, będący najbliżej, podskoczył i wyrzucił go z góry kolbą, aż wywinął kozła.

Kompania przyjęła to gromkim śmiechem. Bolszewicy zmiatali już co sił. Strzelcy sadzili za nimi.

— Stój ! stój ! stój ! psiakrew ! — wołał za nimi Ludomski. — Nie łapcież, do cholery, tych durniów za fraki !

Żołnierze opamiętali się, że ich powodzenie w tych warunkach może być tylko chwilowe. Ludomski skierował ich na prawo w skos ku szczytowi fałdy ziemnej za wsią, spodziewając się nawiązać stamtąd łączność wzrokową z resztą batalionu. Zauważył przy tym, że jego oddział powiększył się znacznie. Dołączyła doń reszta kompanii.

— A gdzie pan porucznik Paprosiński ? — zapytał biegnącego obok plutonowego Zajączkowskiego.

— Nie widziałem go, panie poruczniku.

— Ale chyba nie poległ ?

— Nie wiem, panie poruczniku.

Pomimo straszliwego zmęczenia ożywieni świeżym triumfem strzelcy posuwali się równo i raźnie, gdy jednak wydostali się na wyniosłość, porosłą stratowanymi już zupełnie lichym owsem, wpadli znowu w potworny wir ognia.

Kule były tu ze wszystkich stron bzykając tak krótko i dobitnie, że na pierwszy krzyk padającego Piasty kompania wżarła się w ziemię i znieruchomiała, jakby ją paraliż tknął. Nic to jej nie pomogło. Teraz dopiero zaczął się nad nią prawdziwy taniec śmierci.

Powietrze napełniło się bezustannym gwizdem; ziemia syczała od bijących w nią kul niby żywa istota przypiekana rozpalonym żelazem; maszynowe serie przebiegały po niej znacząc swe drogi kurzem, który pienił się szybko jak przecinana grzbietem delfina powierzchnia oceanu. Dołączało się do tego wycie Piasty, któremu kula strzaszała ramię.

Wraz dało się słyszeć przejmujące w swej cichości puknięcie i drugi nieszczęśnik zaczął wrzeszczeć rozdzierająco :

— Jezu, zabili me, zabili ! Bracia kochani, ratujcie !

Gdy zaś jeszcze odezwał się szloch trzeciego rannego, groza, na kształt ciężkiego wieka trumny, runęła na zmartwiałą kompanię.

— Ratuj nas, Panienko Najświętsza, Królowo Korony Polskiej ! Pod Twoją obronę uciekamy się.. — modlił się głośno szary jak ziemia Rudajewski.

— Milcz ! — ryknął na niego Ludomski. — Chłopcy, do pioruna, trochę zimnej krwi przecie !..

— Taki żłób myśli, że Matka Boska będzie za niego z nieba kamieniami bolszewików prała ! — krzyczał równie zdenerwowany do ostateczności Jagusiak.

Ale płacz i lament nie ustawał.

— Moja mamó kochana, po coś mnie rodziła ? — zawodził dalej grubas.

— Pewnie, że więcej by Polska miała pożytku, gdyby porodziła cię ? — wybuchnął plutonowy Zajączkowski.

Ogień nie ustawał. Zdawał się raczej wzmacniać i zbliżać. Leżąca na pagórku kompania musiała stanowić wdzięczny i wyraźny cel. Ludomski myśląc o tym ścisnął zęby

tak, że lada chwila mogły mu się zacząć kruszyć, miał bowiem wrażenie, że gdyby im tylko popuścił, powylatywałyby mu chyba od gwałtownego dygotu, jaki trząsł całym jego ciałem.

Próbował ocenić położenie. Wiedział tyle, że ostrze-
liwują go z trzech stron, ale jakim cudem nieprzyjaciół znalazł się na prawo od Chachulek, nie mógł zrozumieć. Chyba że i trzydziesty pułk strzelców kaniowskich opuścił już swoje stanowiska. Ale w takim razie wszystkie oddziały odcinka dostałyby się w matnię bez wyjścia.

Najsilniejszy ogień wiał z drugiej fałdy ziemnej na prawo w skos od kompanii. Gdy Ludomski odważył się unieść nieco głowę, dojrzał tam przebiegające grupki. Stąd też szła widocznie nieunikniona zguba.

Za szczytem wzniesienia kłębiły się dymy Podlipek, płonących równie, jak wszystkie wsie okoliczne.

Zobaczywszy w ten sposób nieuchronną śmierć Ludomski poczuł natychmiastową ulgę. Źródłem męki bywa przeważnie wahanie i niepewność. Dreszcze w członkach spłynęły do serca, które stało się ciężkie od niepocieszonego smutku, jaki znają jedynie skazańcy i nieuleczalnie chorzy.

— Chłopcy ! — zawołał — już stąd nie wyjdziemy ! Tam od Podlipek idzie na nas atak ! Umrzemy jak żołnierze ! Celownik sześćset ! Prędzej strzelać !

Przemowa ta podziałała na kompanię jak nagły strumień lodowatej wody. Ucichły jęki, modlitwy i lamenty. Znikł nikczemny strach zagnanej w kocioł zwierzyny. Twarze ścięły się w marmurowym spokoju. Ręce sięgnęły do ładownic. Ogień w stronę nacierających szedł coraz bardziej gęsty i skuteczny.

Mimo to wróg parł naprzód niepowstrzymanie. Między krzaczkami przed zagajnikiem na lewo coraz ukazywały się biegnące grupki zawałając do reszty jedyny — o ile się można było zorientować — wolny jeszcze przesmyk. Zza wzgórza na prawo wyłoniła się gęsta tyralierka i szła ukośnie na stanowiska kompanii tyle dbając o jej rozpaczliwy ogień, co galopujący koń o brzęczące wokół niego muchy. We wzgórze tymczasem biła nadal silna i zaciekle ulewa pocisków.

Naraz ucichła.

Jak okiem sięgnąć krzaki i zagony zarośli się wokoło od ludzkiego mrowia. Po stokach pagórka zbiegały grupki niby postrącany końskimi kopytami żwir. Podniosła się wrzawa nieskładna, gorączkowa, pomieszana. Oddziałek Ludomskiego znalazł się nagle jakby w środku trąby powietrznej, która porwała z ziemi te masy wraże, niby śmiecie z drogi...

— Koniec ! — przemknęło wszystkim przez głowę.

Tylko dlaczego bolszewicy, zamiast uderzyć wprost na kompanię, przesuwają się przed jej frontem z prawa na lewo w jakiejś nieskładnej, a prowadzonej w zawrotnym tempie defiladzie ?... Ich ruch nie przypomina przy tym ruchu zwierząt drapieżnych, rzucających się na zdobycz : jest to raczej pęd porwanych szalonym wichrem liści...

Na szczycie pagórka ukazuje się nowy łańcuch rwących na łeb na szyję żołnierzy. Błyszczące w słońcu ich postacie o smukłych nogach, o szerokich od plecaków tułowjach, zakończonych gładkimi półkulami hełmów, przypominają zarysy żab, skaczących na tylnych łapach. Między grzbiet wzniesienia zlatują po jego stoku jeden przez drugiego, na kształt okruchów rozsadzonej dynamitem skały.

Nad głowami zaczęły im się strzępić białe puchy szrapneli. Przed i za nimi wyrwały się ku niebu czarne słupy wyrzuconej granatami ziemi, ale oni biegli ciągle, jakby bali się spóźnić na widowisko, które rozgrywało się na krwawym teatrze boju.

— Hurra ! — ryknął naraz Zajączkowski, i nie oglądając się na nikogo rzucił się naprzód z karabinem wzniesionym niby chorągiew nad głową.

— Hurra ! — zawrzała cała kompania zrywając się, jakby wysadzona w powietrze ładunkiem niespodziewanej a wielkiej radości.

Bolszewicy migali tylko przed jej oczami jak dziki zwierz, umykający z objętego pożarem stepu.

Szedł w bój batalion odwodowy.

PORAŻKA

I

Wystąpienie batalionu odwodowego nie mogło już zmienić ogólnego położenia. Powstrzymało ono tylko raz jeszcze parcie mas bolszewickich na lewe skrzydło pułku. Ale tymczasem nieprzyjaciół ukazał się również na prawym w ślad za cofającym się już dwudziestym dziewiątym pułkiem strzelców kaniowskich.

W ten sposób wokół Chachulek powstał nowy wir, groźniejszy o tyle, że utworzony przez dwa równoległe, rwące niepowstrzymanie naprzód prądy. Wszystko, co znalazło się między nimi, zostało wyrwane ze swych stanowisk i uniesione w tył. Nie podobna było utrzymać żadnej linii. Tyralierki zwijały się wskutek bocznych uderzeń, zanim zdążyły otworzyć ogień. Pole bitwy zamieniło się w plac wyścigowy, gdzie Polacy i bolszewicy mknęli bez wystrzału obok siebie, jakby zgodnie uciekając przed walącą za nimi grozą.

Bronione przez kompanię techniczną Chachulki wpadły w ręce bolszewickie, tak że pierwszy batalion, wrosły w zorany granatami pogórek Sokołowszczyzny, został ostatecznie odcięty od swoich.

Wywołało to niesłychane wrażenie na całym froncie. Hiobowa wieść biegła wzdłuż cofających się tyralierek budząc wszędzie grozę i rozpacz.

— Trzeci batalion otoczony! Trzeci batalion otoczony! — podawano sobie z ust do ust.

Uchodzące kompanie zatrzymały się porażone. Oficerowie kłękali i miotali się w bezsilnej wściekłości. Żołnierze płakali w poczuciu własnej bezradności.

— Nasze kolegi tam giną bez nijakiej pomocy! — biadali. — Tyle narodu zmarnuje się przez panów!

Skazany na zagładę batalion wydawał się tym droższy, im więcej trudów i ofiar poniesiono poprzednio, aby go uratować. Zbiorowa histeria opanowała cały odcinek. Szukano winowajców nieszczęścia przerzucając odpowiedzialność za nie jedni na drugich. Co dzielniejsi oficerowie i podoficerowie organizowali na prędkę przeciwdziałania z rozmaitych rozbitków i wiedli ich z powrotem w beznadziejny bój z niepowstrzymaną nawałą wroga.

Ale cała ta rozpacz była przedwczesna. Gdy tylko bohaterski dowódca przyczółka kapitan Kudaj zauważył, że wskutek ogólnego odwrotu zadanie jego batalionu było skończone, zarządził opuszczenie okopów. Ponieważ w Chachulkach byli już bolszewicy, rzucił tam przydzieloną mu jako odwód dziesiątą kompanię pod porucznikiem Topczewskim. Ten bez wahania runął przez most na dogorywającą wioskę. Nieprzejrzane masy bolszewików cofały się przed jego furią.

Raz jeszcze okazało się, że odwaga i zdecydowanie górują nad wszelkimi prawami taktyki. Droga była wolna.

Ruszył nią wreszcie trzeci batalion wśród wściekłego huraganu granatów i szrapneli, niechętnie opuszczając miejsce chwały i wiecznego odpoczynku wielu dziesiątków poległych towarzyszy.

Odwrót ten dopełnił miary chaosu, jaki ogarnął cały już front dziesiątej dywizji piechoty. Oddziały polskie i bolszewickie pomieszały się z sobą w jakimś zawrotnym tańcu. Nie można już było rozpoznać, gdzie są swoi, a gdzie nieprzyjacieli. Obie strony biegały w kółko wpadając niespodzianie na siebie, idąc w niewolę lub rozpraszając się, aby znów szukać wyjścia z tego niesamowitego „koła śmiechu”.

Wszyscy byli zmęczeni do ostatecznych granic. Sine twarze, piana, tocząca się z otwartych ust, zalane potem oczy... Rzęzące gardziele nie wydawały już okrzyków bojowych. Pękły wszelkie związki taktyczne. Każdy nieledwie walczył na własną rękę.

Przy Ludomskim zostało zaledwie paru ludzi. Paprosiński nie spostrzegł się nawet, kiedy został sam jeden. Większa część w jego plutonie przyłączyła się była do Ludomskiego jeszcze podczas uderzenia na okopy; reszta wraz ze zdobytym karabinem maszynowym brała udział w natarciu dziesiątej i technicznej kompanii na Chachulki, ale zaraz potem gdzieś się zapodziała. Paprosiński na próżno wypytywał o nich obłąkanych gorączką bojową żołnierzy z obcych kompanii. Zresztą nie starczyło mu już świadomości, aby pochwytać, ustalić i powiązać w umyśle wypadki, następujące po sobie w wariackim po prostu tempie.

Pomimo swej grozy miały one jeden i ten sam wygląd kolumn, wyrzucanej granatami ziemi; kurzu, pryskającego od ognia karabinów maszynowych; zrywających się z bruzd postaci idących na bagnety bolszewików; rozsypujących się i zwijanych tyralierek... Wszystko to było jakby wyrazy książki, czytanej przed samym zaśnięciem, kiedy znudzony umysł utracą zdolność śledzenia związków myślowych między obrazami i pojęciami.

Jedynie po wyglądzie żołnierzy rozpoznawał sytuację. Jeśli mieli na twarzach wyraz uwagi i zaciętości, jeżeli przebiegali od zasłony do zasłony pojedynczo i w milczeniu — wtedy wiedział, że idą naprzód: kiedy zaś stawali się roztargnieni i nerwowi, biegli wszyscy razem, gdy podoficerowie klęli i wymyślali — rozumiał, że znajdują się w odwrocie.

Pojał w końcu, że musi choć na chwilę wydostać się z tego kołowrotu, jeśli nie chce pętać się bezużytecznie pośród walczących. Dał się więc unieść prądowi biegnących żołnierzy, tak jak zbłąkany wśród nocy woźnica zdaje się na instynkt swych koni. Biegł więc wraz z nimi, rżąc i kaszląc, przez jakieś zboża, łąki i krzaki z ciężarem w sercu, że to on, oficer, ucieka z placu boju. Ale nie widział innej rady.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie, jak naiwne były jego młodzieńcze wyobrażenia o bohaterstwie. Zatrzymać się i walczyć?... Przecie zastrzelą go czy zakłują, zanim zdąży przyjąć heroiczną postawę. I to jak niedołęgę, który ze strachu czy z wrodzonej słabości stracił władzę w członkach.

Bolszewicy biegli po obu jego stronach. Kilka razy z łańców zboża, z grupiek zarośli wyskakiwali zziębnięci i upadający ze zmęczenia równie jak Polacy. Paprosiński zostawiał ich natychmiast w tyle, na jego widok bowiem zatrzymywali się, aby podnieść karabiny do strzału.

Dziwił się sobie, że ani na moment nie odczuwał obawy, żeby nie zostać trafionym. Rzeczywiście chybiali zawsze. Gwizdy kul miały go krótkie i silne jak pchnięcia szpady.

Co zacieklejsi zabiegali mu drogę dysząc i charcząc jak dobywające ostatka sił konie. Nie mogąc go dosięgnąć wołali za nim żałosnym, zamierającym z braku tchu głosem :

— Zdajśia, pan ! Nie ujdiesz !

Nie zatrzymywał się ani nie oglądał. Nie miał już wrażenia, żeby jego ruchy zależały od jego woli. Raczej zwolnienie pędu wymagałoby specjalnego wysiłku, jak zahamowanie walącego ze spadku wozu ciężarowego.

Patrzył tylko pod nogi. Kamienie, zielska, grudy ziemi wydłużały się na jego widok niby pełzające z błyskawiczną szybkością gaśienice i znikały w tyle. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie rżnący ból w piersiach, nieznosne łaskotanie w tchawicy i nie gorąco, rozsadzające mu twarz i gałki oczne, jakby lada chwila krew miała mu trysnąć wszystkimi porami skóry. Niemiły był też pot, zapelniający oczodoły, wślizgujący się słonymi strumykami do ust, i na kształt leniwych, chłodnych wężyków spływający po szyi, ramionach i piersiach. Dołączało się do tego ściśle przyleganie do pleców mokrej zupełnie koszuli oraz rozprażonych cholew od butów do omdlewających tydek.

Ale było mu już wszystko jedno. Postanowił biec, dopóki serce nie pęknie, co według jego obliczeń musiało nastąpić lada chwila. Tylko, że poprzez te wszystkie doskwierania przebił się dzięki swej ostrości ból w prawej stopie. Było to klucie zrazu ledwo odczuwalne, które jednak stale przybierało na przenikliwości i mocy. Widocznie jakiś ćwiek w podeszwie obluzował się wskutek ruchu i ranił mu ciało.

To już było nie do zniesienia. Stosował różne sposoby stawiania skaleczonej nogi, ale ból powiększał się i tępał obejmując powoli coraz większy obszar. Cała przed-

nia połowa stopy zdawała się pęcznić i drętwieć jak zgangrenowana. Należałoby zdjąć but i wyskrobać jego wnętrze. Ale była to operacja dość długa. Ściągnięcie i wżucie potem ciasnej i rozgrzanej cholewy bez niczyjej pomocy wymagałoby wiele trudu i cierpliwości. Gdzie tu znaleźć spokojny zakątek i czas na to wszystko? Biegł więc nadal sycząc i kulejąc.

Dla oszukania groźących wybuchem hysterii nerwów — stawiał sobie coraz inne mety:

Tylko jeszcze do tych zarośli... Już kopiec graniczny — połowa drogi... Jeszcze parę kroków...

Kiedy jednak osiągnął wskazany sobie punkt, rozważał, czy rzeczywiście nie może zrobić więcej nawet dwustu kroków. Na przykład do płonących zabudowań, wyłaniających się zza grzbietu fałdy ziemnej. Ale zabudowania okazywały się pod ogniem artylerii i karabinów maszynowych. A więc jeszcze dalej...

Wreszcie szara i długa ściana boru zaczęła płynąć ku niemu kołysząc się na falach mgieł, zasnuwających łąki. Postanowił, tym razem całkiem poważnie, zatrzymać się pod jej osłoną.

Tymczasem przed lasem napotkał cofającą się wśród strzelaniny i wrzawy tyralierkę. Żołnierze przebiegali wolno i ciężko jak wyganiane ze szkody spętane konie. Głowy mieli stale zwrócone w stronę nieprzyjaciela. Twarze były ciemne. Przystawali co chwila za grubymi sosnami, które z rzadka sterczały na łące, lub też wprost przyklekali na trawie i palili w mgłę. Błyski strzału migały różowo. Huk rozlegał się świeżo i rozgłosnie niby stuk walących się chojarów.

II

Paprosiński skręcił na lewo na tyły walczących ku widnej niedaleko, objętej pożarem wiosce.

Ciągle teraz zabiegał drogę wycofującym się z boju rannym, gońcom czy też po prostu dezterterom. Zatrzymał jednego z nich, który biegł z bladą twarzą i otwartymi

ustami dźwigając oburącz jakiś ciężar przy samym brzuchu niby pozbierane w sadzie gruszki.

— Stój! — wrzasnął z całego gardła, aby przekrzyć piekielny hałas kanonady. — Który pułk?

Żołnierz zahamował tak gwałtownie, aż mu podskoczył na hełm przewieszony przez plecy karabin. Paprosiński rozróżniał tylko niezmiernie czarną sylwetkę jego postaci o płonących czerwono brzegach, za nim bowiem rozlegała się oślepiająca jasność wschodzącego słońca. Długą chwilę stał, jakby nie mogąc zrozumieć, o co go pytają, wreszcie odrzekł szeptem człowieka zachrypniętego do ostatnich granic.

— Dwudziesty dziewiąty, panie poruczniku.

— Co to niesiecie?

— Do ambulansu, panie poruczniku. Potrafiło mnie.

Odwrocił się nieco do światła. Paprosiński zobaczył, że przytrzymywał własne wnętrzości, które wywaliły mu się na wierzch krwawym pękiem, na kształt kupy robaków przygotowanych do wędek. Czerwone pierścienie opasywały mu grube palce; zakurzone spodnie i owijacze zalane były ciemną posoką.

— Odlamek? — zapytał odwracając twarz od przykrego obrazu.

— Nie, panie poruczniku, kula karabinowa.

— To niemożliwe.

— Tak jest, panie poruczniku.

Odpowiadał zziębnięty patrząc wyczekująco w twarz oficera, widocznie spodziewając się jakiegoś pocieszenia czy rozwiania grozy, jaka opanowała jego serce, ale ten nie wiedział, co powiedzieć człowiekowi, który za parę godzin miał rozpocząć mękę konania.

— Idźcie, idźcie! — zawołał szybko chcąc się pozbyć denerwującego widoku.

Przez chwilę myślał, czy by niespodzianym strzałem swego parabellum nie oszczędzić nieszczęśnikowi oczekujących go godzin agonii, ale nie znalazł w sobie mocy do podobnego czynu.

Sylwetka biegnącego rozplynęła mu się we łzach litości, jakie napełniły mu oczy. Po dobrej chwili dopiero ruszył za nim.

Rozpacz chwyciła go za serce i gardło. Stopa co prawda nie bolała go już zupełnie, zdrętwiała mu tylko jakby

porażona przez prąd elektryczny, ale poczuł się niezmiernie opuszczony na cudzym terenie, z dala od swojego pułku. Wszystko tu było obce, nigdy nie widziane i przygnębiające. Obwieszone brylantowymi od rosy pajęczynami trawy, na pół wyschłe, a lśniące czarno kałuże sprawiały wrażenie szczegółów krajobrazu nieznanego planety. Słupy czarnej ziemi i kawałów darni, wyrzucanej przez pękające granaty; koziołkujące nad głową obłoki szrapnelowe; niezmiernie szybko migające ich gwiazdy w czarnobiałej chmurze płonącej wsi; świergotanie pocisków, nawet świst i brzęczenie kul karabinowych wydawały mu się inne, nieznanne i niesłychanie złowrogie. Cały ten chaos i szaleństwo walki nic go nie obchodziły. Czuł się jak cudzoziemiec zabłąkany wśród rewolucji nieznanego mu narodu. Jakże ponura byłaby śmierć w tym miejscu.

Nie biegł już, tylko szedł szybko, wytrzeźwiony z dotychczasowego zmęczenia, w kierunku wsi, rozciągającej się szeroką smugą brudnoczerwonych płomieni i kłębiących się dymów ponad mleczną tonią mgieł nad łąką.

Z prawej strony miał głęboką, zatopioną w mętnych oparach ścianę lasu. Pod lasem stał nieruchomy jakby zdrętwiały od zgrozy łąn żyta. Na jego skraju sterczały trzy grupki drzewek. Nienaturalnie poprzechylane pnie i zwiedłe liście na niektórych z nich wskazywały, że zatknięto je niedawno. Wielkie blade gwiazdy przebiegały je raz po raz pośród kurzu i zamętu zrywanych liści. Paprosiński poznał, że doszedł do stanowiska jakiejś zamaskowanej baterii.

Biła ona w szalenie szybkim tempie. Jasne kły ognia wyskakiwały ciągle spod ziemi, która dygotała niby pokład gruchotanego uderzeniami fal okrętu. Powietrze rozbrzmiewało chichotem i lamentem odlatujących pocisków. Umęczone po śmierci drzewka chwiały się i wstrząsały niby trupy ludzkie, sieczone ogniem karabinów maszynowych. Dziesiątki obłoczków od szrapneli wisiało nad nimi jakby chmara opalowych baloników na festynie. Coraz nowe wybuchały rudymi płomykami na sinym tle nieba. Całe serie granatów rwały piasek i zboże wokoło we wściekłym porywie zniszczenia. Ale bateria pracowała z pospieszną a fanatyczną zajądłością, niby wojownik indiański dręczony u pała męczarń, do ostatka bluzgający szyderstwem i niewiścią ku wrogom.

Chwilami nawałnica stawiała się tak wściekła, że Paprosińskiemu zdawało się, iż wraz z rozwiewającym się kurzem i dymem wybuchłej naraz gromady pocisków rozwieje się i cała działobitnia razem ze swoim fałszywym zagajnikiem, ale wnet przekonywał się, że światełka wystrzałów tańczyły jak dawniej szybkie i rytmiczne.

Było w tym zjawisku coś niespożytego i niewzruszalnego.

Na jakie sto kroków przed baterią sterczała na wilgotnej i zaćmionej tumanem łączce cienka tyka z trójkątną latarką, świecącą równo i niezmiennie wśród tego chaosu blasków i pożarów. Wokół niej bieleły dziwaczne plamy świeżo wypranej widocznie bielizny żołnierskiej. Wszystko to dawało wrażenie spokoju i bezpieczeństwa.

Paprosiński zeszedł z drogi warczącym pociskom baterii, obawiając się, że zostanie porwany w tył przez szalony ich pęd, i dobiegłszy do prawoskrzydłowego jej działu upadł przy nim, wyczerpany śmiertelnie.

Stało ono w szerokim dole, z którego wystawał między powieśle olszyny i zeszkłe świerki jedynie obciążony rolkami wylot. Suwał się on zresztą niezmordowanie w tył i naprzód wśród urywanych błysków i huków.

Głęboko w ziemi pod zwieszoną ukośnie niby zielony dach tarczą pracowała obsługa. Sześciu żołnierzy, przeważnie rozebranych do pasa, o barach lśniących od potu uwijało się jak w ukropie. Ich ruchy były błyskawiczne, ściśle dopasowane i niezawodne niby ślizganie się suwaków i tłoków dobrze naoliwionej maszyny.

Zamkowy, olbrzym z ciemnymi wąsami, silnym pchnięciem otwierał zamek naciskając oburącz białą lśniącą korbę; równocześnie prawie lewą ręką wyrzucał w tył dymiącą mosiężną łuskę. Widocznie lufa była tak rozgrzana, że wyrzutnik działał tylko częściowo. Czyhający na ten moment ładowniczy, z małą poparzoną mordką, jadowitym sztychem wrzucał do otwartej komory świeży pocisk i zamek zasuwiał się z cichym kłaśnięciem, aby w tejże chwili znów szarpnąć się w tył oddając wystrzelony ładunek.

Trzech klęczących kanonierów wkręcało długie zapalniki do tępych stożków granatów i podawało je łańcuchem do działu.

Najwyżej, na żelaznym siodełku przy kwadratowym wycięciu w tarczy siedział celowniczy, prawym okiem pa-

trząc w umocowaną przy lufie lunetkę i bezustannie poruszając obu rękami koła, śruby i walki. Prócz tego co dwie sekundy wznosił do góry prawą pięść i opuszczał ją z siłą krzycząc : „Pierwsze !... pierwsze !...”.

Był jedyny głos ludzki w tym piekle szczękań, zgrzytów i huku.

Armata wstrząsała się krótkimi drgawkami, lufa ślizgała się lekko nieuchwytnymi ruchami, setki żółtych, okopconych na tęczowo łusek piętrzyło się poza jej wbitym głęboko w ziemię ogonem. Wszystko to było szybkie, sharmonizowane i bezwzględnie celowe.

Paprosińskiego ten widok zahipnotyzował po prostu. Nareszcie wśród tego histerycznego chaosu biegań, wrzasków, klątw, szaleństwa i zwierzęcego strachu ujrzał zakątek równej i beznamietnej pracy. Czuł, że serce mu bije coraz ciszej i że krew coraz wolniej krąży w jego żyłach.

Przypodniósł się nieco i omdlałymi rękami zaczął ścigać rozgrzany but.

Wokół niespodzianymi podrzutami wyskakiwała wyrywana przez granaty ziemia. Wyszczypana przez gęsi i konie, jak świadczyły ślady nawozu, chłopska łąka podziurawiona była gęsto czarnymi lejami. W górze skomląc i warcząc przewalały się szrapnele. Wszystko to szukało wkopanej w ziemię baterii.

Ale ona nie widziała niczego, poza białymi krzyżakami na czarnych szkiełkach lunetek i poza tyką z latarką stanowiącą jej cel pomocniczy; nie myślała o niczym poza dziesiątki tysięcy razy powtarzanymi czynnościami.

Nie było to ani mniej, ani więcej niż człowieczeństwo: było to coś zupełnie obcego temu pojęciu, coś, co odbierało wojnie jej charakter skłębienia ludzkich namiętności, okrucieństwa, porywów i możliwości, zawartych w żyjących organizmach. Najbardziej zimny i opanowany człowiek musi się niekiedy mylić — maszyna ma zawsze rację. Nie zna strachu, nie ma nerwów i namiętności.

Miały rację te cztery działa, widzące jasno ukryte za lasami odległe cele, towarzyszące swymi uskrzydłonymi i śmiercionośnymi myślami posuwającej się gdzieś w oddali piechocie, czy też gruchocące spiżowymi słowy baterie czy umocnienia. Miały ją bezwzględną, nadludzką. Były silne, groźne i niewzruszone.

Co za rozkosz oddać się w służbę takim istotom ! Wyzbyć się własnych myśli, uczuć i odpowiedzialności za własne istnienie i rolę we wszechświecie ! Paprosiński z zazdrością patrzył na sforę giermków tych straszliwych rycezy.

III

Najwyżej siedział celowniczy — bazyliżkowe oko maszyny. Nie wyglądał na nie niski raczej i krępy młodzieniaszek o wielkiej głowie i szerokiej, lśniącej od czerwonej opalenizny twarzy.

Paprosiński obserwował go ściśle i szczegółowo. Przyniosło mu to niezmierną ulgę. Nareszcie udało mu się przestać myśleć o sobie.

Egotyzm jest bezustannym samoudręczeniem. Doszedł do tego od dawna. Stale sobie obiecywał zrobić wreszcie porządek we własnym świecie wewnętrznym; ustalić światopogląd i zasady etyczne; wykończyć wizerunek ideału, do jakiego dążył, wybrać zawód i cel; nakreślić plan swojej działalności na świecie, aby móc rozpocząć życie prawdziwe dla narodu i ludzkości — ale nie wiedział, jak się do tego wziąć. Na próżno studiował w wielkiej tajemnicy przeróżne podręczniki o kształceniu woli, przerabiał dziwaczne ćwiczenia oddechowe jogów, sugestionował się powtarzanymi regularnie formułkami, a nawet próbował autohipnozy przed lustrem — wiecznie paraliżowało jego zdolność do czynu niezadowolenie z osiągniętych wyników i przekonanie o swej niedojrzałości duchowej.

Raz przeczytał zdanie : „Nie ma życia — jest tylko przygotowanie do życia”. W pierwszej chwili wydało mu się ono jedynie dowcipnym paradoksem, później jednak wracało do pamięci natrętne jak tragiczna prawda o bycie. Teraz również przyszło mu na myśl i zamroziło szpik w kościach. Że to można zakończyć życie nie rozpoczynwszy go nawet właściwie ! Bo przecie trudno przypuścić, żeby w tym krwawym młynie, mielącym ludzkie istnienia, wśród tylu ludzi, dławiących się we własnej krwi, bryzgających

własnym mózgiem, dźwigających w dłoniach własne poszarpane wnętrzności — wszyscy ginący zdążyli już znaleźć i wypełnić treścią koryta swoich przeznaczeń. Wśród tylu setek konających w tej chwili muszą się również znaleźć organizacje psychiczne, stworzone na jego obraz i podobieństwo. Chyba że ponad teorią prawdopodobieństwa i ponad tablicami strzelniczymi, gdzie ściśle wyliczono, ile pocisków potrzeba do strącenia samolotu czy doszczętnego zniszczenia baterii, istnieje jeszcze Najwyższa Instancja, wskazująca pociskom, które duchy ukończyły już swą ziemską wędrówkę.

Natychmiast zawstydził się tego przypuszczenia. Uważał, że degraduje go ono ze stanowiska, jakie już był osiągnął w dziedzinie myśli. Najbardziej śmiałe umysły mają swoje straszaki. Zwłaszcza panicznie boją się odwrotu.

Granat pękł tuż za nim i plunął mu w pochylony kark zimną i wilgotną ziemią. Wzdrygnął się. Był to pocałunek Anioła Śmierci.

Nie ma czasu na filozofowanie pod nożem gilotyny. Wszelkie systemy mają sens tylko o tyle, o ile uczą umierać w spokoju i godności. A w życiu człowieka posiadają wartość absolutną jedynie te chwile, w których działał on, a choćby myślał tylko o innych.

Paprosiński wrócił tedy do swego kanoniera. Próbował odgadnąć, czy i w nim szamocą się w tej chwili podobne choćby w przybliżeniu myśli i nastroje. Nic jednak nie zdawało się na to wskazywać. Ruchy jego były doskonałe zautomatyzowane. Żadnych śladów wahania czy błędzenia, wskazujących na drganie świadomości. Tak, musiał to być jakiś uczeń-ochotnik, którego wybujałe uczucia patriotyczne tudzież rozplamieniona wyobraźnia pociągnęły do szeregów, a przykucie do armaty i długie miesiące nieprawdopodobnych udręk w kadrze zamieniły w nic nie myślącą i nic nie czującą maszynę.

Widać to było chociażby ze sposobu noszenia zielonej koszulki wojskowej, którą młodzieniec miał wpuszczoną w spodnie na sposób harcerski. Pod rozpiętym mundurem, który jednak miał na sobie, pomimo że reszta obsługi była na pół obnażona, można było dostrzec szary amerykański pas na ładunki, noszony najwidoczniej tylko dla jego efektownego wyglądu, drugi bowiem „fasowany” ze skóry z trzema połączonymi ładownicami miał przewieszony przez ple-

cy. Zaopatrzony w srebrne, ale poróżowiałe od słońca wężyki, obszyty czarną wypustką kołnierz oraz maciejówka z blaszanym okuciem daszka świadczyły o pewnej naiwnej pretensjonalności. To samo długie białe prawie buty, nie smarowane nigdy pastą, aby uczynić właściciela podobnym do konfederata barskiego.

Wszystkie te szczegóły obudziły sympatię Paprosińskiego : wskazywały bowiem, że punkt ciężkości zainteresowań wyrostka spoczywał jeszcze nie w świecie rzeczywistym, a w obrazach z przeczytanych książek i widzianych filmów z życia wszelakiego rodzaju awanturników. Jasne było, że jeżeli czuwa w nim jeszcze jaka komórka samowiedzy, kontrolującej przeżywanie w tej chwili zdarzenia, to może mieć ona wyłącznie postać ukrytej radości z niezwykłych doznań albo niepokoju, czy aby rozgrywające się wypadki w dostatecznej mierze odpowiadają swym pierwowzorom, zawartym w literaturze i kinie.

Bateria biła bez przerwy.

Armaty stały jedna za drugą w odstępach po trzydzieści kroków, ukryte w zbożu w ten sposób, że Paprosiński istnienia pozostałych trzech dział domyślał się jedynie po długich białych błyskach, wybuchających raz po raz wśród zamętu porwanych uderzeniami powietrza zwiedłych liści i kurzu, pomiędzy szarymi hieroglifami drzewek ciemniejących we mgle niby przebijające pod światło litery zapisanej na odwrocie karty.

Oddzielne dzwony pozycji powiązane były wydeptanymi w życie ścieżkami. Niektóre z nich biegły w głąb płowego obciążonego rosą łąnu. Cała ta sieć odgrywała rolę nerwów i arterii dziwaczного organizmu. Co chwila przemykały po niej zgarbione postacie żołnierzy, dźwigających niezmiernie ciężkie skrzynie z pociskami; to znów dobiegał do dział plutonowy o odstających uszach i szerokich zjadliwych ustach, nadających jego twarzy wygląd paszczy aligatora, albo też niezwykle długi i zgarbiony, jak zgięta od wiatru tyka, podporucznik w olbrzymich butach i z popielatą filigranową twarzą. Chwytając kurczowo za ramię celowniczego ryczeli mu w ucho wśród huku, trzasku i wycia bitewnej nawałnicy.

— Zmniejszyć celownik o pięćdziesiąt... Szrapnelami... Poprawiać osiemnaście !... Kośba podwójna w lewo!...

Kanonier nachylał się ku nim okoliwszy dłonią ucho :
— Co ?... Co ?... Pięćdziesiąt ?...

Kiwał głową i ręką w gwałtownym potakiwaniu i krzy-
czał do zamkowego chwytając go za głowę ponad suwającą
się w tył i naprzód lufą :

— Celownik osiemset pięćdziesiąt !... Kośba podwój-
na w lewo !...

I znów, zgiąwszy się w pałąk na wysokim siodełku,
przekręcał koła, kółka i śruby, nastawiał daty, sprawdzał
wycelowanie...

IV

Wszystkie chodniki zbiegały się gdzieś głęboko w tyle,
gdzie widocznie pracował mózg baterii. Paprosiński słyszał
stamtąd monotony głos, jakby pomruk organisty na po-
grzebie, podpowiadającego księdzu niezrozumiałe modli-
twy, albo też ucznia, który zatkawszy uszy pośród wrzawy
młodszego rodzeństwa przepowiada sobie zadaną lekcję.
Zaczął się wsłuchiwać, aż ucho, przystosowane do piekiel-
nego hałasu, zaczęło rozróżniać oddzielne wyrazy. A wte-
dy ciarki przebiegły mu po krzyżu i podniosły włosy na
głowie : ktoś — chyba obłąkany — wśród tego szaleństwa,
zgiełku i wyuzdanego cynizmu zagłady opowiadał bezbarw-
nie prześcigające się w błyskawicznym pędzie wypadki :

— Bateria znajduje się pod obstrzałem ciężkiej arty-
lerii... Granaty przenoszą... We wsi Sielco płonie kilka-
naście zabudowań... Piechota cofa się na działa... W lesie
na lewo słyszać karabiny maszynowe...

Lewe skrzydło działobitni dotykało lasu. Ostatnia ar-
mata stała już w naturalnych zaroślach. Poza tym — moż-
na się było domyślić, że odprowadzały tam swój postój przod-
ki i wozy amunicyjne baterii.

W pewnej chwili w otchłań boru zapadła rozchicho-
tana gromada pocisków. Rozległ się przeraźliwy trzask i
ustokrotniony przez potoczyste echa huk pękających gra-
natów tak rozgłośny i straszny, jakby sklepienie niebieskie
zaczęło pękać i walić się potwornymi kawałami na drzewa,

armaty i wątle głowy ludzkie. Powstał zgiełk i zamęt. Jacys ludzie ukazali się na skraju krzycząc coś i gestykulując w obłąkanym pędzie uciekających z płonącego chodnika górników... Wyprowadzono biegiem jakieś zestrachane konie, oglądające się za siebie, ze sterzczącymi niby różki uszami... Unoszono kogoś pośpiesznie na płaszczu...

Głos opowiadał :

— Cztery ciężkie granaty rozerwały się w lesie na stanowisku zaprzęgów baterii... Lewy szpicowy z pierwszego działonu i prawy dyszlowy z trzeciego ranne odłamkami... Kanonier Lewosiński ranny...

Beznamiętna monotonność tych komunikatów przypominała dzienniki zaginionych okrętów czy też zawianych śniegami wypraw polarnych. Tylko — kto, komu i w jakim celu powierzał te wszystkie ponure wieści ?...

But zszedł nareszcie z omdlałej i rozbolałej nogi. Co za ulga ! Paprosiński odwinął onuczękę i ruszał palcami oraz całą stopą na świeżym chłodnym powietrzu. Na przeproconej skarpetce czerniała spora plama krwi. Jednak rzeczywiście miał skaleczoną podeszwę. Zapuścił rękę w pełną dusznego gorąca cholewę. Na jej dnie namacał palcami wystający drewniany ćwiek. Jął go heblować muszką swego ciężkiego pistoletu.

Wskutek rozluźnienia bębenków miał wrażenie, jakby mu uszy zatkało olbrzymimi kłakami waty. Stalowy szum setek karabinów maszynowych, głuche wstrząsy pękających pocisków i przeciągłe dudnienie armat dochodziły doń jakby spoza grubego muru szczelnie zamkniętej celi klasztornej. Tylko huk baterii wbijał się krótkimi uderzeniami kołu w jego lewe ucho. Mimo to ciągle dochodził go ten sam głos ludzki, skrzeczący wśród wrzawy, niby w marnie działającej słuchawce telefonu :

— Dwie granaty rozerwały się o dziesięć metrów na prawo od centrali.... Jedna granata pękła na trzy metry przed trzecim działem... Piechota walczy na bagnety na czterysta metrów przed stanowiskiem baterii...

Podniósł głowę.

Ujrzał znowu zasnutą gęstymi pajęczynami mgieł łąkę. Nad nią w oddali śmiały się w czystym już i złotym powietrzu zielone parasole rzadko rosnących sosen. Ich proste długie pnie szarymi cieniami tonęły w błękitnych oparach. Pomiedzy nimi roily się smukłe jakby mrówcze sylwetki żołą-

nierzy w płaskich hełmach i z dziwaczными garbami plecaków. Różowe iskierki wystrzałów błyskały krótko i szybko jak płonące igły sosnowe. Aureola pękających szrapneli połyskiwała w górze niby mieniający się w blasku elektrycznym kryształowy żyrandol. W chwilach względnej ciszy dochodziła daleka wrzawa ochrypłych głosów ludzkich.

Paprosiński wiedział już, co to oznacza: piechota cofała się.

Strach podniósł mu włosy na głowie. Za chwilę na baterii powtórzy się scena z okopów. Zerwał się z murywy i zaczął naciągać but. Szło to jeszcze trudniej niż ze zdejmowaniem. Noga rozleniwiała się na swobodzie, onuczka była źle zawinięta. Trzęsła nim febra. Trawa musiała być przemoczona od rosy, bo na spodnach czuł przenikliwe zimno wilgotnej plamy.

Granaty zaczęły pękać tuż przed działami. Świergot ich przechodził w przeraźliwy świst jakby hamowanego na nagłym zakręcie tramwaju i kończył się tuż przed wybuchem pospiesznym sykiem zanurzonego w zimnej wodzie zarzewia. Zaczęły też brzęczeć karabinowe kule na kształt chciwego krwi roju komarów, krążącego nad głową zabłąkanego na moczarach wędrowca.

Piechota zbliżała się do baterii. We mgle coraz bliżej przebiegały cienie i błyski. Zaczęły się też wyłaniać postacie rannych, wlokących się do wsi. Przechodzili oni między działami, obojętni na ich ogień, umęczeni i z otwartymi ustami, nadającymi im wygląd ryb, zdychających w obcym sobie żywiole. Przybywało ich coraz więcej. Sprawiało to już wrażenie ucieczki. Plutonowy o odstających uszach zabiegł jednemu drogę z gołą szablą w garści.

— Dokąd, psiakrew! — zaryczał swoją szeroką gębą. — Inni mogą wytrzymać, a ty nie możesz?

— Uciekaj, bo cię zabiją! — krzyczała szyderczo obsługa.

Żołnierz stanął na baczność zwracając się bokiem do słońca. Na prawym ramieniu i na piersiach zabłysnął różowy pancerz krwi. Podoficer opuścił głowę i w milczeniu powrócił do baterii.

— Cel numer dwa! — Trzy pociski — ogień ciągły! — zawołał tajemniczy głos z głębi.

Paprosiński zrozumiał. To dyżurny telefonista rozmawiał z obserwatorem baterii.

Długonogi podporucznik ukazał się przy działach. Celowniczy pierwszego działu podbiegł do niego. Starannie przybrał postawę, zasalutował przepisowo i wygłosił uroczyste :

— Panie poruczniku, melduję, że pierwsze działo rozgrzało się do czerwoności. Oddałem przeszło trzysta strzałów.

— Niech odpocznie. Szykować się do zmiany pozycji. Łuski pobierać w próżne skrzynie albo zakopać. Pamiętać, żeby nic nie zostawić bolszewikom.

— Rozkaz !

Z tumanu znowu wybiegł piechur z karabinem na plecach. Był amarantowy z wysiłku. Pot wielkimi kroplami spływał mu po grubym nosie i otwartych tłustych wargach.

Zatrzymał się przed oficerem.

— Panie poruczniku..., strzelec Dłużak... melduje... jako pan porucznik Grzebczyk kazał zameldować... jako bateria musi zjeżdżać z pozycji... bo pan porucznik... nie utrzyma bolszewików dłużej jak pięć minut...

Działa umilkły. Paprosiński mocował się ze swym bu-tem.

Długonogi oficer biegiem zawrócił do telefonu.

Piechur ruszył z powrotem do boju oglądając się na baterię, jakby pomimo groźnej sytuacji spodziewał się objawów zachwytu dla swego występu oratorskiego.

— Piechota melduje, jako nie może już powstrzymać naporu nieprzyjaciela na baterię — skandował monotony głos.

V

Rozpalone działa dyszały z otwartymi zamkami. Obsługa w niesłychanym pośpiechu pakowała narzędzia i manatki. Czarne zarysy walczących kłębiły się już koło bladego światelka latarki na tyce, pośród białych płatów rozłożonej na łące bielizny. Kule brzęczały, gwizdały i ćwierkały coraz gęstsze i bardziej zajadłe.

Oficer ukazał się znowu.

— Zwiększyć celownik o czterysta. Prędkiej, chłopcy! Artyleria bolszewicka wyjeżdża na odkryte pozycje, aby razić naszą piechotę!

Kanonierzy kręcili koła mechanizmów, aż im się głowy trzęsły. Ciężkie wyloty dział podnosiły się majestatycznym ruchem do góry.

Grupka żołnierzy w szalonym pędzie wyniosła z lasu karabin maszynowy i ustawiała go pośpiesznie na łące przed działobitnią. W tej chwili w tyle, jakby we wsi, odezwała się hałaśliwa seria jakiegoś innego kulomiotu. Grad kul syczał po zbożu jak deszcz rozżarzonych węgielków.

— Obchodzą nas! — zawołał jakiś głos.

Nowy goniec dopadł oficera baterii.

— Niech pan porucznik natychmiast zdejmie się z pozycji.

Długi podporucznik jakby nie dosłyszał.

— Pięć pocisków — ogień ciągły!... Zmniejszyć celownik o pięćdziesiąt!

Obsługa zwijała się jak w ukropie.

Pomiędzy hełmami cofającej się piechoty zaczęły ukazywać się olbrzymie papachy. Wrzask głosów ludzkich zagórował nad hukiem bijących we wściekłym tempie armat.

— Bateria zjeżdżać! Bateria zjeżdżać!

— Zmniejszyć celownik o pięćdziesiąt! Trzy pociski — kośba w lewo!

Karabin maszynowy łomotał z tyłu, jakby kto potwornych rozmiarów arkusz blachy poruszał na wicherze.

Głos w głębi dał się wniebogłosy:

— Obserwator! Bateria jest zmuszona opuścić pozycję!... Obserwator!... Obserwator!... Tu pierwsza bateria!... Obserwator!...

Oficer znowu pobiegł do telefonu.

— Panie poruczniku, obserwator nie odpowiada! — meldował mu ktoś przerażony.

— Dajcie słuchawkę!

— Obserwator! Obserwator!

Działa znowu umilkły, jakby je nagła lawina przywalila śniegiem.

— Obserwator! Obserwator!

Bateria targnęła się w rozpaczliwej konwulsji oślepiętego cyklopa. Pozycja zamrowiała się ludźmi, którzy wy-

skakiwali z dołów przy armatach. Karabin maszynowy na łące zaczął huczeć nie zważając, że może też razić własną piechotę. Od wszystkich dział czerwone wystrzały ręcznych karabinów obsługi rozdzierały mgły. Ale nad wszystkim górował wrzask pomieszanych głosów :

— Obserwator nie odpowiada !

Długonogi podporucznik przybiegł spocony i blady. Obrócił się w stronę lasu, wyprostował się, jakby urósł w dwójnásób, obie dłonie przyłożył do ust i zapiał histerycznym kobiecym głosem :

— Przodki do dział !

Zaprzęgi wypadły spomiędzy drzew, nim pierwszy wyraz zawył na kształt syreny fabrycznej w pełnym łoskocie i wrzawy powietrzu. Przywiązane do ich lewych boków wierzchowce podoficerów i oficerów cwałowały na wskos wierzgając w napadzie szału. Armaty zachybotały się w swych dołach jak w paroksyzmie febry. Zaczęła się stokroć straszliwsza od ludzkiej panika maszyn.

Paprosińskiemu pięta nie chciała w żaden sposób wejść w obcas. Ciągnął za naprężoną cholewę ześlizgującymi się palcami, tupał pomimo bólu nogą o murawę...

Zaprzęgi dopadły swoich dział. Konie zamarły jak posągi. Tylko skóra na całym ciele drgała im i latała jak w obawie przed ukąszeniem bąków.

Walka na bagnety toczyła się już wokół baterii. Bol-szewicy darli się na nią jak stado wygłodniałych i nieustępliwych wron do oczu konającego żołnierza. Ich wrzaski : „Ura ! ura !” — nawoływania i klątwy Polaków zamieniły w piekło ten niedawny zakątek równej, wytężonej pracy.

Ale ze zbóż ode wsi wysunęła się tyralierka w świeżo wysmarowanych wazeliną niebieskich hełmach i błękitnych mundurach, jakie nosiła armia polska we Francji. Szła szybkim i lekkim krokiem z karabinami na pasach. Prowadzący ją oficer z paskiem pod brodą i z rewolwerem w garści rozglądał się przymrużonymi oczami jak myśliwy, śledzący, skąd ciągną stada słońek. Żołnierze mieli stężale twarze ludzi wyspanych i wypoczętych, których wezwano do niezmiernie ważnej pracy. Przechodząc między wyciąganymi na gwałt z dołów działami, oglądali się na nie z rozumną ciekawością specjalistów, którzy wszystko rozumieją i wszystkiemu umieją zaradzić. Niektórzy z ner-

wowym pośpiechem kończyli palić papierosy. Na krótki niezrozumiały rozkaz swego dowódcy zaczęli niedbale ściągać z ramion karabiny i błyskać szybkimi strzałami w stronę bitewnej zawieruchy.

Była to ostatnia kompania odwodu.

VI

— Zaczep ! — zapiął znowu rozpaczliwy głos. Konie działonowe obejrzały się w tył. Ich krwawoczarne wypukłe oczy błyszczały najwyższą inteligencją, jaka rozjaśnia wzrok każdego stworzenia w obliczu zagłady. Rozumiały, że to przyszła upragniona chwila ucieczki. Okrągłe zady, oplecione promienisto rzemieniami, niby globusy siatką południków, wsparły przodkary tak wprawnie, że tylko chlasnęły zaczepy i armaty wyprysły ze swych dołów, jak wystrzelone przez maszyny oblężnicze ciężkie kłody, miażdżące mury zdobywanego miasta.

Paprosińskiemu obtarta i rozbolała pięta wślizgnęła się wreszcie do swego łóżyska. Z szerokim westchnieniem opuścił rozdygotane z wysiłku i zniecierpliwienia ręce odrzuciwszy w tył głowę, jak człowiek, który zakończył niesłuchanie żmudną i denerwującą a zarazem pilną pracę.

Działa niosły się ponad miedzami, rowami i płotami, każde w inną stronę.

Paprosiński porwał się z początku za nimi, ale zaraz pohamował rozdygotane nerwy i napięte ścięgna. Postanowił być przecie nie opuszczając swego kanoniera. Ten rozglądał się tymczasem po opuszczonej pozycji, wreszcie chwycił karabin i przyklękawszy zaczął szukać celu we mgle, rojącej się od postaci Polaków i bolszewików.

Był to zapewne jego pierwszy odwrót. A nie tak wyglądały czyny wojenne Leonidasa, Zawiszy Czarnego czy obrońców reduty Ordona. Musiał więc przynajmniej wyczerpać wszelkie środki walki.

Ale Paprosińskiemu brakło już cierpliwości. Wiedział już, jak trudno nadrobić w ucieczce każdą straconą minutę. Skoczył więc za najbliższym, działem, które wprost

przez łączkę i opłotki waliło do płonącej wioski. Przebiegł jakieś podwórko. Strzecha niskiej chałupy dymiła już od iskry czy może nawet granatu. Pusta stodoła otwarta była na przestrzał. Wokół posiekanego siekierą pieńka zalegała warstwa drzazg, wiórów i odłamków czerwonej kory sosnowej. Z budy obok błyszczało dwoje oczu psa, który odurzył się już szcekać na obcych i teraz w niezmiernym zdumieniu przetrawiał w sobie zdobyte doświadczenia oczekując swej zwierzęcej śmierci bez zmartwychwstania. Jego świat odziedziczonych i zdobytych wyobrażeń, wszystko, co czcił i w co wierzył, dawno już obaliła wojna. Jego groźnego i potężnego pana bito po mordzie i zabrano wraz z koniem na podwodę; w obejściu rządziły się złe, wrzeszczące i klnące, a coraz zmieniające się gromady obcych; przez podwórko powierzone jego pieczy waliły w sześć koni hałaśliwe kupy żelaza — a teraz przy bezobłocznym poranku huczała jak świat długi i szeroki, wyrrywająca ziemię, obalająca domy wśród ognia, dymu i kurzu, nie widziana dotychczas ani nawet nie zaznaczona przez żadnego psiego pradziada w zwojach podkorowych jego mózgu — wyuzdana i nienasycona burza zagłady. Miał więc o czym rozmyślać wygłodniały, przez całe swoje życie głupi o skołtunionej sierści kundel chłopski w swojej ostatniej godzinie.

Wieś płonęła. Chichotały nad nią granaty i szrapnele. Na jej ulicach, podwórkach i sadach tryskały niby bąble gotującej się kaszy żałobne fontanny wyskakujące pod niebo ziemi.

Paprosiński przypominał sobie, że był już kiedyś w płonącej wiosce. Nawet nieraz. Ale było to już dawno, dawno temu. Wiele już przeżył od tego czasu. Tyle, że miał jeszcze w pamięci te same chmury sinego i żółtego dymu, te same belki, żarzące się w tumanach, te same zwichrzone płomieniami strzechy i stogi, ten sam wreszcie żar i sadze, walące się gwałtem w wyschłe i pękające z przeraźliwego gorąca gałki oczne.

Biegł przez powystrzępiane płoty z sitowia z zapomnianymi garnkami na kółkach, przez opuszczone, zmartwiałe i poszarzałe z przerażenia sady.

W jednym z nich zobaczył leżącego we krwi brodatego chłopa w popielatej sztywnej kapocie i z nagą koł-

tuniastą pierśią. Żył jeszcze, bo miał przymknięte oczy i poruszał rękami. Kto i kiedy go tu odnajdzie ?...

Wydostał się wreszcie na drogę, prowadzącą do szosy. Przed nim pędziła samotna armata. Właściwie fruwała raczej ponad wybojami i lejami po świeżo wybuchłych granatach. Nad nią, niby sokół nad pomykającym szarakiem, płynął okrągły obłok szrapnelowy. Jezdni leżeli na karkach rozszalałych koni rozglądając się na strony, czujni na otoczenie, grożące im śmiercią w każdej sekundzie. Zaprzęg miotał się na boki przy każdym bliższym wymiocie pękającego pocisku i ruch tej potwornej masy ludzi, zwierząt i żelaza przypominał bezradny lot chwyconego w trąbę powietrzną kłaku zeschłej trawy.

Na środku ulicy leżał strzaskany wóz. Koń siedział przed nim na zadzie w sterczących ku niebu hołoblach i stękał okropnym z głębi niezmiernych czeluści wydobywanym a zupełnie podobnym do ludzkiego szlochu głosem.

Nie było czasu nim się zajmować. Byle prędzej wydostać się z tego diabelskiego pieca na otwartą, czystą przestrzeń.

Zaprzęg zatrzymał się naraz, jakby w ziemię wkopany. Jezdni unieśli się w strzemionach i patrzyli przed siebie.

— Co to ?...

U wylotu wsi, gdzie prowadził gościniec do Łużek, jak okiem sięgnąć, kipiała niby otwarta świeżo szczelina wulkanu, sięgająca najwyższych topoli ciemnobrunatna chmura. Nad nią kłębiły się setki złotych gwiazd w okrągłych perłowych obłoczkach; w jej łonie błyskały rude ognie, tryskały czarne gejzery, przewalały się jakieś cienie... Paprosiński dopiero teraz sobie uprzytomnił, że zapomniał zupełnie o huku, który przecie ciągle przesuwiał się nad jego głową jak nieprawdopodobnych rozmiarów magiel wyglądający miarowo wszystko, co jeszcze pozostało na tej połaci planety. A łoskot ten miał główne swoje źródło w tej nieprzejrzanej, kipiącej i płonącej zarazem zaporze.

Zaprzęg już oprzytomniał i zaczął posuwać się ku buzującej ścianie twardym, nieustępliwym ruchem skoczka, dobiegającego do krańca zawieszanej na niezmiernej wysokości odskoczni. Paprosiński ruszył za nim, ale przedtem spojrzał jeszcze na zegarek na lewym przegubie. Wskazywał punktualnie godzinę siódmą.

Po szosie bębnił huraganowy ogień.

PO KLĘSCIE

I

Bolszewicy długo i wytrwale przygotowywali się do swej pierwszej zwycięskiej bitwy z Polakami. Wreszcie o północy czwartego lipca w dwadzieścia dywizyj, wypoczętych, uzupełnionych w nadmiarze, rozkołysanych krwawymi zwycięstwami w wojnie domowej, uderzyli na sześć polskich, wyczerpanych i zdziesiątkowanych długimi miesiącami bezustannych walk, a w dodatku rozciągniętych szeroko nad Autą i Berezyną.

Uderzyli nie wprost. Naprzód połamali im oba skrzydła : prawe i lewe. Dopiero objawszy w ten sposób jakby o morderczy uścisk cały wąły polski front północny wyrznęli główną masą niby twardym a potężnym łbem w jego serce, które stanowiła dziesiąta dywizja piechoty generała Żeligowskiego.

Kiedy zaś wreszcie jej oddziały zaczęły się cofać pod parciem nieprzejrzanym rojowisk natarcia — w myśl zasady o wyzyskaniu zwycięstwa cała ich artyleria przerzuciła swój straszliwy ogień na jedyną drogę odwrotu Polaków. Był to gościniec prowadzący z Dżisny do Głębokiego.

Na całej przestrzeni aż do wsi Sielca ciągnął się on równolegle do linii bojowej : dopiero od folwarku Ułina skręcał leniwie na zachód.

Paprosiński orientował się w tym wszystkim doskonale. Ujrawszy zaporę ogniową rzucił się w nią na trzeźwo z idealnie wyraźnym rozmysłem. Bo nie znał innego wyjścia... Bo gorzej niż śmierci obawiał się samotnej tu-

łeczki wśród rzadziej co prawda, ale wszędzie tłukących się po polach granatów i szrapneli... Bo w tym kierunku biegli wszyscy... Bo wreszcie, skoro już poszedł na front, to po to chyba, żeby zaznać wojny we wszystkich jej przejawach.

Mimo to wszystko, kiedy wypadł na szosę, serce w nim zamarło. Znalazł się w samym żołądku jakiejś nieprawdopodobnej trąby powietrznej. Ogarnęła go na pierwszą chwilę zupełna ciemność. Kurz, żwir, szaber i piasek fruwały w powietrzu zasłaniając widnokrąg. Nad głową po brunatnym od dymów niebie płynęły stada okrągłych obłoków. Coraz nowe błyskały gwiazdami i wytryskały z nicości, niesamowite i przeraźliwe w swoim samoródtwie. Wokół migały cienie pojedynczych ludzi, koni, wozów lub długich a rozwichrzonych zaprzęgów działonowych.

Granaty i szrapnele były tak wściekle i gęsto, że zupełnie nieprawdopodobne było wyjść żywcem z tej nawałnicy. Wziąwszy pod uwagę, iż rozprysk pocisku armaty polowej obejmuje przestrzeń do stu metrów w głąb i trzydziestu do czterdziestu na boki, nie podobna było przypuścić, by przy tak przeraźliwej gęstości setek i tysięcy pękających granatów rozmaitego kalibru mysz nawet zdołała się przemknąć przez ten napęczniony piorącymi we wszystkie strony odłamkami obszar. Mimo to biegł. Ścisnął w kłęb rozdygotane nerwy, zadławił wszelkie uczucia, zatałmował płynące myśli — i biegł.

Był najzupełniej przytomny. Miał głowę jasną i otwartą. Widział wszystko, co można było dojrzeć w tym przerażającym mroku.

Przede wszystkim zaobserwował, że wrażenia odbiera w niesłychanie zwolnionym tempie. To, co w innych warunkach byłoby dlań mgnieniem oka, obecnie rozciągało się i rozczłonkowywało w skomplikowane obrazy i zdarzenia. Widział, jak przelatujące granaty ciągnęły za sobą po drodze długie treny kurzu, jak pękały po kilkanaście na raz na szosie i ponad rowami w rudych błyskach, jak podnosiły się ciężko ku niebu ponure słupy ziemi na kształt stojących na ostateczny sąd zmarłych, jak opadając zostawiały w powietrzu sine i przezroczyste „dusze” niby obeliski komarów nad oparzeliskami. Porwani ich pędem ludzie i całe zaprzęgi przewalali się wolno, rzekłbyś: kłęby —

dymu pośpiesznego pociągu, znoszone wiatrem na pola i łąki.

Naraz zajaśniała w nim myśl, że i on jest przecie człowiekiem. I jego tkanki, tętnice, nerwy i mięśnie może porywać pędzący z wściekłą siłą odłamek granatu. Gorzej jeszcze : w jego plecy, a nawet w niezmiernie czułą i prześwieconą świadomością czaszkę może ugodzić zlatująca z nieba przeraźliwie ciężka masa żelaznego pocisku. Jego woła pękła. Lepiej konać godzinami, niż pograżyć się w niebycie nie zauważywszy nawet kiedy.

Ale dlaczego tego właśnie tak się obawia ? Przecie śmierć, dla której każdy człowiek się rodzi, jakkolwiek wygląda i skądkolwiek przychodzi, jest zawsze przerwaniem procesu myślenia. A gdzie kończy się myśl — tam kończy się cierpienie. O tym, żeby wyjść jeszcze na świat z tego kosmicznego chaosu, nie może być w ogóle mowy, trzeba więc przyjąć zagładę z jak najbardziej rozstrzeloną uwagą i zaćmioną świadomością.

Jakaś pieśń kołatała w jego wstrząsanym bezustannym hukiem mózgu. Była to zapomniana melodia „Tańca Anitry”. Zaczął ją śpiewać całym gardłem, pełen radosnej pewności, że nikt go tu nie usłyszy. Sprawiało mu to niewysłowione zadowolenie, kiedy rytm wybuchów akompaniował jego pieniom. Równocześnie jego oczy, jak oczy kierowcy, w najszybszym biegu prowadzącego samochód wśród ruchliwej i zatłoczonej ulicy, biegały na wszystkie strony, czułe na każde niebezpieczeństwo i każdą przeszkodę.

A przeszkód tych było coraz więcej. Na drodze leżały jakieś ciała, obalone wozy wraz z konającymi końmi, pogubione skrzynie i sprzęty... Sznury biegnących wymijały go jak z rozmaitą szybkością obracające się pasy transmisyjne. Przemykały po obu stronach rozbiegane powózki, cwałujący jeźdźcy... Nawet jakiś pies, wieszający się widocznie przy kuchni polowej, pędził w skok z ogonem wciśniętym pod brzuch i uszami złożonymi na szyi. On sam mijał maruderów. Jakiś piechur prowadził ранnego przyjaciela objawwszy go wpół, inny ciągnął rowem pękatą maszynkę na kółkach. Sprawiali oni wrażenie mrówek, unoszących poczwarki z rozgrzebanego przez chłopców-swawolników mrowiska. Wszystko to pędziło, galopowało, wlokło się, wpadało na siebie i ginęło w tym brudnordzawym tuma-

nie, rozbłyskanym setkami krwawych, śmiercionośnych światełek, ukazujących się wszędzie i zawsze niespodzianie.

Tak musiała wyglądać ucieczka mieszkańców prażonej deszczem ognistym Sodomy czy zasypywanej rozpalonym popiołem Pompei.

II

Paprosiński śpiewał. Bieg nie sprawiał mu żadnego trudu. Serce miał lekkie i spokojne. Myśl o zgubie chwylała go tylko chwilami jak nagły i krótki wstrząs elektryczny. Dusił ją natychmiast, jak się depcze iskrę w stodole, z której lada chwila mógłby wybuchnąć pożar. Świadomie marzył, że wyjdzie cało z tej katastrofy. Może sam jeden — ale i takie cuda zdarzają się na świecie.

Jaką maskę przywdzieje na swoje oblicze człowiek, który był w piekle za życia? Oczywiście będzie to kamien-na maska Dantego, pełna zastygłej grozy i niezmiernie mądrej wszechwiedzy o najdalszych krańcach ludzkich doznań.

Ale po co ma kłamać przed sobą? Przecie to, co w tej chwili przeżywa, nie jest tak straszne, jak sobie wyobrażał. Przecie czuje się zupełnie spokojny i znacznie mniej lęku czai się w jego sercu niż na przykład w sercu młodzieńca, który po raz pierwszy staje do pojedynku i oczekuje jednej jedynej, bardzo zresztą niepewnej kuli przeciwnika.

...To będzie na niezmiernie wytwornym i eleganckim balu. Olbrzymia i wysoka sala o ogromnych, zasłoniętych ciemnoczerwonymi draperiami oknach. U rzeźbionego sufitu jaśnieją grona lamp elektrycznych, okrągłych i białych jak pęki niezmiernie regularnych i zamarłych w bezruchu obłoczków szrapnelowych. Szerokie jasne tafle błyszczącej posadzki mają delikatne rysy po ruchach tancerzy. Kobiety w sukniach lśniących o delikatnych odcieniach wszelkich barw z nagimi złotaworóżowymi ramionami i plecami oraz mężczyźni w czarnych frakach a białych gorsach i krawa-

tach, o ciemnych spokojnych twarzach... Wszyscy się uśmiechają. Bezwzględny spokój i bezwzględne bezpieczeństwo. Nie ma mowy, żeby ktoś wyskoczył w górę wyrwany w powietrze niespodziewanym wybuchem, żeby ktoś zaczął konać z wywalonymi na wierzch bebechami. Przytulone do siebie pary posuwają się w leniwym, sennym ruchu tanga czy one stepa. Na podwyższeniu gra czarno odziana orkiestra zerkając ciekawie ku sali. Dyrygent, błazeńskimi ruchami wybijający takt pałeczką i całą swoją osobą, ogląda się w tył z rozbawioną twarzą...

„Ach, ta noc, cudna noc! Można mieć wrażeń moc!”...

O jakiej to nocy mowa?... W każdym bądź razie nie o tej, która właśnie minęła! Ci ludzie przecie przeżyją cały swój wiek i umrą, rozkapryszeni wśród zastawionych butelkami i słoikami stolików, otoczeni współczującą rodziną i rojem zatroskanych lekarzy i pielęgniarek, nie dowiedziawszy się nigdy, co to jest właściwa atmosfera śmierci i walki o własne istnienie!

...Wszyscy tańczą, on tylko jeden stoi oparty o kolumnę i przygląda się tłumom ponurym i tajemniczym wzrokiem bajronowskiego Lary.

Kobiety już go zauważyły. Trzeba im przyznać, że wydane na pastwę zawodowych bawidamków i uwodźcieli, zawsze są wrażliwe na każdy przeblysłk męskiej indywidualności.

Oto dwie jasne blondynki, oplecione nagimi ramionami, podchodzą do niego. Chwytają go za ręce. (Tak dawno nie czuł dotyku kobiecych ciał) Uśmiechają się doń cudownie umiejętnie naróżowanymi wargami i zaglądają mu w oczy.

— Pan nie tańczy?

— Nie.

— Woli pan obserwować?

— Tak.

(Będzie odpowiadał monosylabami).

— A o czym tak się pan zamyślił?

W tym miejscu roześmieje się szeroko.

— To nie jest temat balowy. Przypomniał mi się pewien epizod z frontu.

— Niech go pan opowie.

Uśmiechnie się znowu — i zacznie opowiadać o tym, jak bębnił huraganowy ogień po szosie nad nieznaną ni-

komu strugą Autą pod równie nieznanym miasteczkiem Łużkami.

Kobiety go słuchają z rozchylonymi ustami i z szeroko otwartymi oczami. Miło jest czuć ten wzrok na swoich wargach. Kobiety w ogóle są ciekawe cudzych przeżyć i umieją słuchać i współczuć...

Nie! Głupio! To nie tak będzie wyglądało!

...Otoczy go rój strojnych, wysmukłych i gibkich kobiet.

— Czy był pan kiedy w huraganowym ogniu?

Uśmiechnie się lekko, jak się uśmiecha do dziecka, które zadało naiwne pytanie.

— Zapewniam panie, że nie jest on ani w drobnej części tak straszny, jak się o nim opowiada na tyłach.

— Dlaczegożby się więc tak opowiadało?

— Istnieje wiele takich odwiecznych umownych kłamstw. Całe instytucje opierają nierzadko na nich swe istnienie. Co by się stało na przykład z ideą państwa, gdyby wszyscy obywatele, dla których jest ona niewygodna lub choćby obojętna, mieli odwagę głośno przyznać się do tego?... Co by się stało z ideą miłości ojczyzny, gdyby każdy ni stąd ni zowąd szczerze i bez ogródek opowiedział: co myśli o swoim narodzie, o jego kulturze, możliwościach i roli jaką odgrywa w świecie; o dobrodziejstwach klimatu swego kraju i o jego pięknie?... Co by się stało z takim kościołem katolickim, bezsprzecznie najświetniejszą i najtrwalszą korporacją religijną, ale opartą o niezmiernie długi płot najdziwaczniejszych dogmatów, jeśliby każdy wierny poczynawszy od samego Ojca Świętego zaczął ogłaszać swoje wątpliwości i grzechy przeciwko Duchowi Świętemu? Wszędzie i zawsze jedni kłamią świadomie dla interesu, a inni z lenistwa, snobizmu czy tchórzostwa. Na tym stoi świat. Tak samo przedstawia się sprawa z wojną i jej romantyzmem niebezpieczeństwa, odwagi i poświęcenia. Na mnie osobiście sprawiła ona wrażenie komedii, gdzie robi się wiele huk, dymu i kurzu, aby przerazić pocziwych cywilów i co naiwniejszych rekrutów...

Jeszcze nie tak! Za bardzo to trąci pretensjonalnym nihilizmem, jeśli nie wprost ordynarnym bolszewizmem...

Instynktownie uskoczył w lewo. Wyminął go w szalonym pędzie olbrzymi, piętrowy furgon, zaprzężony

w cztery równie olbrzymie konie Potworna, rozstrzęsiona jego masa otarła się prawie o jego ramię.

...Nie ! Nie będzie demaskował grozy wojennej ! Poprzestanie tylko na tym, że w swoje krwawe opowieści postara się włożyć jak najwięcej lekceważącego humoru.

Ale i taki sposób „podejścia do tematu” nie zawiera w sobie oryginalności. Stosują go już od wieków z niezmiennym powodzeniem wszyscy frontowcy i nazywa się brawurą...

Objął go pęd jakby sfory wichrów piorunowym skokiem zlatujących z nieba na ziemię. Nowe grzywy kurzu poderwały się wokół na szosie. Głęboka seria granatów pękała w mrokach równocześnie prawie wznosząc czarne, niebotyczne pióropusze ziemi, żwiru i kamieni. Mknący przed nim furgon zwinął się jak ugodzony śmiertelnym ładunkiem szarak. Sam on, silnie podany wprzód, leciał niepowstrzymanie, jak wyrzucona torpeda. Ciemna, zwichrzona rafa obalonego zaprzęgu rosła z przerażającą szybkością. Nie zdołała się zatrzymać ani jej wyminąć.. Wyciągnął przed się ręce i runął w rumowisko kół, skrzyń, desek, orczyków i sterczących ku niebu silnych a wysmukłych nóg końskich. Trafił rękami i twarzą na ciepły i wydęty jak bania brzuch wałacha. Jasnogniada sierść porysowana była wężykami podskórnych żył. Grube a wąskie, drobnutko popękane od słońca rzemyki uprząży miały szeregi głębokich otworków i lśniące białe klamerki.

Leżący nieruchomo koń zaczął się naraz rzucać jak pochwycony w dłonie olbrzymi karp. Paprosiński dostrzegł skręcone nienormalnie mięśnie zadu i białą ostrą jak grot piszczel, sterczącą z przebitej skóry, gładko wyczesanej a zbryzganej czarnymi ciężkimi kroplami krwi. W następnym momencie zaczęły mu błyskać w oczach srebrne półksiężycy podków. Wałach prał go kopytami z całej siły jako domniemanego sprawcę swego nieszczęścia — w rękę, w udo, w brzuch, w rękę...

Zabije !

Oderwał się wreszcie z obrzydzeniem. Przerażone bydlę przy tym wszystkim oddawało w powietrze ciepły spieniony mocz. Poczul jego bryzgi na dłoniach i szyi. Ale nie doznawał żadnego bólu po uderzeniach. W szale bojowym zapomina się o ranach.

Tylko, że to przecie nie jest bój ani też nie może być mowy o jakimkolwiek oszołomieniu...

Dwóch żołnierzy we francuskich mundurach i furażerkach dźwiga obalone konie. Trzeci odciąga spod kół do rowu konającego piechura. Nieszczęsny ma mundur sfałdowany pod pachami, hełm zsunięty na tył głowy i leży z zadartym, niebieskawym od zarostu, przepołowionym podbródkiem, poruszając palcami przy piersi, jakby oczyszczając się z oplątującej go pajęczyny. Obok miota się ciągle wałach z pogruchotanymi kośćmi. Jest coś wspańskiego w tym kontraście pełnego szlachetnej godności konania syna człowieczego obok dzikiej i bezwstydnej agonii bezmyślnej bestii...

III

Paprosiński mknął dalej. W głowie miał zupełną pustkę. Nucona melodia rozchwiała się wśród huku. Rozproszyły się tak przyjemnie snute wyobrażenia. Próbował je przywołać z powrotem, ale zawstydził się sam siebie. Wydały mu się teraz niemieckie i głupie.

Człowiek jest przecie organizmem psychofizycznym. Jego myśli i nastroje zależą od rozmaitych bodźców świata zewnętrznego i od działalności gruczołów o wydzielaniu wewnętrznym. Jakież zmiany musiały w nim zajść przez tę chwilę, gdy zdychający koń bił go swoimi błyszczącymi podkowami. Zresztą, czyż w ogóle istnieje jaźń?... Przecie człowiek zmienia się co godzina. A co kilka lat nie zostaje w nim ani jednego atomu z tej materii, z jakiej był utkany. Jedyne, co stanowi o jego życiu indywidualnym, to jakieś zbyt wolno odmieniające się komórki kory mózgowej, które jeszcze przez jakiś czas zachowują wspomnienia o dniu dzisiejszym.

A może nie tylko tkanki... A może to jest wryte gdzieś w o wiele trwalszym materiale... Może jeszcze po wiekach jego kościotrup z zawałoną prochem, pożyłką paszczką, z rojącymi się w pustym czerepie robakami

będzie marzył o tym, jak bębnił huraganowy ogień na szosie między wsią Sielcem a folwarkiem Ulinem...

Tylko że on nie chce teraz umierać. Może kiedyś, gdy wyschnie jego mózg, zwiędłą mięśnie i zamgli się świat wyobrażeń... Byle nie teraz!

Znowu dojrzał leżącego na skarpie żołnierza. Trup!

Tak. To wszystko zostało przecie dokładnie wyliczone przez zimnych i rozważnych ludzi, pracujących w zupełnej ciszy i pokoju. Tyle i tyle pocisków potrzeba na każde ze stu czy dwustu dział, aby żywa noga nie przebyła takiego a takiego odcinka szosy. Nie chodzi o amunicję. Zawsze można dla większej pewności dodać jedną czy drugą setkę granatów. Nie ma co sobie w tych warunkach zaprzętać głowy myślą o jakimkolwiek ratunku, tak jak na śmiech chyba naraziłby się człowiek, który by liczył na możliwość ocalenia w wypadku zderzenia ziemskiej planety z zabłąkaną gwiazdą.

Ale ponad sztabami, teorią prawdopodobieństwa, wszystkimi prawami matematyki i fizyki jest jeszcze podobno Pan Bóg Wszechmogący...

Nie ma co ironizować na ten temat. Bóg — jeżeli istnieje — jest najbardziej nieomylnym matematykiem, najlepiej poinformowanym szefem sztabu, najdokładniej obejmującym umysłem swój resort kierownikiem ruchu tej niezmierzonej stacji, której imię Wszechświat, a gdzie krzyżują się tory gwiazd, planet, komet i meteorów, okrętów, pociągów, granatów, kul oraz żyjących stworzeń, unoszących troskliwie swe wątle istnienia wśród chaosu cierpienia i zagłady. Na tablicy wszechzdarzeń, którą ma zawsze przed swymi światowidnymi oczyma, może zawsze regulować, a nawet przedstawiać wypadki, nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Nie ma dlań nic bezwzględного i niecofniętego. Najstraszniejsze przeżycie może zawsze przerobić. Chociażby w marzenie senne. Bo czymże się różni sen od jawy? Jakaż analiza, jaka metoda naukowa może tu uchwycić istotną różnicę? Kto wie, czy śmierć nie jest po prostu wstrząsem, jaki przeżywał niejednokrotnie przy budzeniu się z ciężkiej i dręczącej mary do właściwego — w jego rozumieniu — żywota?... Może dlatego dzieci, które nie umieją jeszcze różnić tych dwóch bytów, zawsze płaczą, gdy się je kła-

dzie do łóżka i boją się wtedy samotności jak ludzie umierający...

Tylko że to są rojenia filozoficzne, dobre do snucia na plaży podczas rozleniwiającego upału letniego poranka lub w ciepłym i miękkim łóżku, gdy klejące się oczy zaczynają gubić litery w czytanej książce — ale nie teraz, nie teraz, nie teraz !... Jeżeli nawet istnieje kilka rzeczy-wistości, to zaprawdę, śmiertelnie poważna jest tylko ta, która huczy, wyje, dymi i błyska w tej chwili wokół jego bezbronnej, zagubionej w huraganie zagłady istoty.

Zaczął znowu rozglądać się dokładnie. Miał dziwne przeświadczenie, że dopóki jego świadomość będzie czuwała w swej całkowitej przytomności — nic mu się złego nie stanie. Przecie w pewien sposób skoncentrowana myśl posiada moc poruszania przedmiotów na odległość, a nawet utrzymywania tygodniami życia u zakopanego w trumnie fakira.

Droga była zatłoczona ludźmi, końmi i zaprzęgami, ale zamiatające ją ciągle tumany sprawiały, że widzialność jej w brunatnej mgłę ograniczała się do kilkunastu czy nawet kilku kroków. Sprawiało to przygnębiające wrażenie zamknięcia i pustki zarazem. Spoza ruchomej kurtyny wyłaniały się co chwila tragiczne grupy obalonych wozów, jeźdźców wraz z końmi czy splątanych gromadek piechurów. Wzrok Paprosińskiego chwycił je zawsze w jedynym tylko mgnieniu, że sprawiały wrażenie szarych, lecz zarazem nazbyt realistycznych w ujęciu rzeźb, utrwalonych w jakimś jednym momencie ruchu.

Dopiero rozejrzawszy się na boki przekonał się, że obok niego biegą lub galopują wierzchem także inni ludzie, unoszący w sobie wśród tej zawieruchy ognia, ołowiu i żelaza równą co do swej grozy nawałnicę rozpaczliwych myśli...

Mimo, że od kilku już godzin biegał ciągle jak koń wyścigowy, czuł się lekki na kształt unoszonego wiatrem piórka. Musiał się do tego przyczyniać pęd powietrza, bezustannie poruszanego w jednym kierunku przez całe eskadry prujących je pocisków — niemniej było coś niepokojącego w tej najzupełniej niespodziewanej wytrzymałości serca. Widocznie jednak naprawdę atmosfera bitwy wprowadza każdego człowieka w stan jak gdyby narкотycznego oszołomienia. Sam słyszał opowiadania o żoł-

nierzach, którzy śmiertelnie ranni podczas szturm na bagnety przez dłuższy czas jeszcze biegli i walczyli nic nie wiedząc o swoim nieszczęściu. Może i on jest w podobnym stanie...

Jał ostrożnie obmacywać miejsca, ugodzone kopytami konającego konia. Wszystko było całe, tylko — gdy dotknął palcami piersi, wyczuł w nich jakiś silny prąd jakby drżenie rozśpiewanych słupów telegraficznych, do których lubił przykładać ucho, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Dopiero, położywszy dłoń na równie grającym a szorstkim od niegolonego zarostu gardle — poznał, co to było.

Krzyczał.

Krzyczał wniebogłosy nic o tym nie wiedząc, bo głos jego ginał najzupełniej, nawet dla niego samego, w najokropniejszym huk, jaki może istnieć na ziemi.

W każdym bądź razie odkrył niespodzianie lukę w swojej świadomości. Zaczęła ona widocznie pękać i rozpadać się. Już go to nie przerażało. Roześmiał się tylko z zaprawioną szyderstwem goryczą, jak skazaniec, któremu by w ostatniej przed kaźnią chwili ogłoszono dodatkowy wyrok niewielkiej grzywny za jakieś drobne wykroczenie.

Rozejrzał się raz jeszcze. Wszyscy biegnący mieli usta otwarte szeroko. Wszyscy krzyczeli Z objętej drapieżnym oddechem śmierci i zawałonej dymami zagłady drogi bił w niebiosy bezsilny i bezgłośny, niedosłyszany chyba przez samego Boga — psalm ludzi ginących.

IV

Jedyne zadowolenie sprawiał Paprosińskiemu jego szalony, rekordowy chyba pęd. Tymczasem spostrzegł, że na prawo mijał go krępy żołnierz z długim karabinem na plecach, w maciejówce z blaszanym okuciem daszka i czarnymi wypustkami artylerzysty. Jego amarantowa z wysiłku twarz pokryta była gęstymi kropelkami potu. Przymrużone oczy wypatrywały czegoś w dali. Podniesionym wy-

soko prawym ramieniem dawał jakieś znaki. W ogóle wyglądał na człowieka, któremu niezmiernie ważna sprawa nie pozwalała interesować się tym, co się wokół dzieje.

Paprosiński poznał swojego kanoniera. Sprawilo mu to niezmierne zadowolenie. Nie czuł się już tak samotny. Poza tym znalazł rozrywkę w pewnego rodzaju totalizatorze.

— Jeden z nas dwóch wyjdzie stąd cało — zdecydował od razu. Dobrze odżywiony kanonier ciągle machał ramieniem. W swojej niezmiernej naiwności próbował nawet — jak się zdawało — nawoływać. Co najdziwniejsze jednak — pantomina ta odniosła swój skutek. W brunatnej mgie zaczęła rosnać jakaś czarna masa. Była to armata zaprzężona i stojąca wśród ogólnego szaleństwa ruchu.

Kanonier dopadł przodka z prawej strony, chwycił ręką za barierkę kozła, postawił nogę na spłaszczonej osi olbrzymiego koła i stał dysząc gwałtownie, jak człowiek, który stracił już zdolność do najmniejszego wysiłku.

Paprosiński minął go w pędzie. Poczul się znowu samotny. Nie na długo zresztą, bo działo wnet go dogoniło. Mijało go zwolna, rozbiegane i roztrzęsione.

Sześć karych koni, wyrudziały od słońca, o zakurzonych chrapach oraz nogach migających nieuchwytnie tak samo jak obracające się za nimi szczeble kół. Trzech jezdnych, podanych nieco wprzód, siedziało wysoko dzierżąc mocno szarpiące się rytmicznie cugle i wywijając batami. Jeszcze wyżej siedział pękaty kanonier na podłużnej oliwkowej masie fruwającego po wybojach i rozszczękanego żelastwa. Lewą ręką przytrzymywał stojącą obok na siedzeniu niebieskawą skrzynię z amunicją, prawą obejmował z góry spoczywającą mu na kolanach mniejszą skrzynkę z heblowanymi deskami. Podskakiwał przy tym od wstrząsów z widoczną skłonnością wypadnięcia między konie.

Paprosiński podwoił bieg pragnąc jak najdłużej utrzymać się równolegle do zaprzęgu. Przyszło mu też na myśl, że przebiegł już przecie szczęśliwie dobry kawał drogi, a zaporą ogniową musi się wreszcie gdzieś kończyć...

Po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja ocalenia.

Przecie Bóg jest rzeczywiście wszechmocny, a zarażem — jak naucza Kościół — miłosierny bez granic. Jeśli

więc śledzi pełnym dobrej troski okiem wszystko, co się dzieje w umęczonych sercach i skołatanych mózgach swego stworzenia, to zna również wszystkie myśli, jakie dzisiaj przewalały się przez jego głowę. Ponieważ przy tym — według nauki Kościoła — stworzył człowieka, aby ten Go znał, kochał i Jemu wiernie służył — nie będzie zbyt pochopnie uśmiercał takich, którzy jak on, Paprosiński, nie zdążyli jeszcze przemyśleć swego stosunku do świata i jego Stwórcy.

Rozumowanie to wydawało się słuszne, choć trąciło tchórzostwem i upokarzającą szacherką ze względu na położenie, w jakim zostało podjęte. Za bardzo przypominało rubaszne przysłówie kaznodziejskie: jak trwoga, to do Boga.

— Ale z mojej strony wszystko jest zupełnie uczciwe — zastrzegał się wobec własnego sumienia. — Jestem z natury myślicielem i jeżeli dotychczas nie przemyślałem do głębi tych najważniejszych zagadnień świata, jakimi są Bóg i cel istnienia, to tylko dlatego, że nie czułem się dostatecznie przygotowany. Nie robię więc żadnych przyrzeczeń poprawy, jakie praktykujący katolicy zwykli składać po parę razy na rok przed konfesjonalem, aby po paru dniach zupełnie o nich zapomnieć, tylko sumienne i trwałe postanowienie.

Po tym oświadczeniu poczuł się pokrzepiony na duchu i radośnie uspokojony, jak gdyby po przebyciu bolesnego a skutecznego zabiegu lekarskiego, na który był długo i z lękiem oczekiwał. Stany podobne przeżywał niejednokrotnie w latach chłopięcych po szczerej spowiedzi lub żarliwej modlitwie. Teraz uważał ten nastrój za zadatek przymierza, jakie zawarł z odwiecznym Jehową. Przyszło mu co prawda na myśl, że starożytni Żydzi wcale tak świetnie na podobnym sojuszu nie wyszli — ale stłumił to w sobie natychmiast. Nie wątpił, że Pan Zastępów więcej się będzie liczył z nim niż z jakąś tchórzliwą i przewrotną hordą.

— Wyjdę stąd cało, wyjdę stąd, ach, wyjdę!... — zanucił na melodię z operetki „Księżniczki czardasza”.

Śmieszył go i radował ten nastrój naiwnej radości podlotka.

Dwaj jeźdźcy w olbrzymich skokach przesadzili rów z prawej strony drogi i cwałowali obok niego. Był to po-

rucznik artylerii z trębaczem. Leżeli prawie na karkach rozszalałych koni.

Paprosiński zdążył spostrzec ich dzikie oczy utkwione w kipiącej od pocisków dali i jasną mosiężną trąbkę na czarno-czerwonym sznurze, skaczącą po plecach drugiego z nich. Równocześnie świat mu zakrył wysoki jak topola słup czarnej ziemi, który wytrysnął niespodzianie na parę kroków przed nim. Potem poznał, że pędzi z taką szybkością, iż nie może nadążyć przebierać nogami.

Z występujących coraz wyraźniej pod jego oczami odcisków kopyt i śladów żołnierskich butów podkutych gęsto gwoździami, poznał, że pada na twarz. Wyciągnął wobec tego ramiona i zaczął jechać na rozpostartych dłoniach.

Przez rozjaśniony niby błyskawicą mózg przelatowały mu pioruny myśli :

— Ciężki granat !... Porwał mnie pęd powietrza ! Czy aby nie jestem ranny ?... Jak się zahamować ?... Najlepiej usiąść...

Opuścił się na ziemię lewym pośladkiem i jechał jeszcze parę kroków w ten sposób.

Jednocześnie widział, jak obaj jeźdźcy turlają się w kozłach do prawego rowu, jak migają przy tym na przemian to ich czarne buty z ostrogami, to śmigłe kopyta końskie, jak inne kolumny ciężkich granatów wznoszą się jedna po drugiej na przedzie drogi, jak szpicowe konie pędzącej armaty stanęły naraz po cyrkowemu na tylnich nogach, aby zaraz osunąć się na ziemię, jak jadący na przodku kanonier zawisł wysoko w powietrzu przebierając rękami i nogami na kształt podrzuconego w górę kociaka...

Siedział nieruchomo bojąc się oderwać nabrzmiałe ręce od chłodnej i ostrej powierzchni szosy. Obawiał się stwierdzić, że skórę na nich ma zdartą zupełnie. Wreszcie, poruszony nową myślą, podniósł się swobodnie i poszedł zdecydowanym, twardym krokiem w kierunku obalonego zaprzęgu.

Nie obtarł z kurzu rąk, nie obejrzał ich wcale, nie poprawił i nie otrząpał pokiereszowanych spodni.

Czuł się oszukany, wyszydzony i zupełnie rozbity moralnie. Jeżeli Bóg istnieje, nie powinien był tak z nim postąpić bezpośrednio po akcie wiary i ufności z jego

strony. Powinien był przerwać huraganowy ogień, a przynajmniej zupełnie go unieszkodliwić. Tymczasem wyglądało na to, że umyślnie uśpił jego czujność, aby go znie-nacka kopnąć.

Ciągle miał przed oczyma siebie samego, sunącego na czworakach po szosie, i kanoniera, którego był wziął pod swoją duchową opiekę, jak fruwał w sposób uwłaczający ludzkiej godności.

A jeśli Boga nie ma?... W takim razie wszystkie te obłudne szacherki o życie skompromitowały go na długo wobec własnego sumienia, najwyższej instancji, jaka by wobec tego dlań istniała.

Posiadał dotychczas jedyny nakaz etyczny: postępować tak, żeby nie stracić szacunku dla samego siebie. Obecnie ten szacunek został zachwiany. Obudziło to w nim bunt człowieka niewinnie skazanego. Postanowił zdegradować się ze swego stanowiska myśliciela i zacząć żyć jak zwykle zwierzę ludzkie, bezwzględnie podlegające instynktom i rządzące się jedynie zmysłami.

W jednej chwili poczuł się całkowicie dojrzały dojrzałością dzikiego zwierza lub pierwotnego człowieka, który wszelkie zjawiska otaczającego go świata ocenia wyłącznie z punktu biologicznego i broni się przed śmiercią nie zastanawiając się, na czym polega jej istota. Jego zmysły wyostrzyły się, jak nigdy dotąd. Jego oczy chwyciły szybko i dokładnie każdy wybuchający granat. Mentalnie oceniał przy tym jego odległość i stopień niebezpieczeństwa, jakim mógł zagrażać jego osobie. Po- przez żałobne zasłony osiadającego kurzu i dymu zawsze w porę dostrzegał i wymijał zapory i przeszkody w postaci leżących wozów, koni i ludzi. Jego uszy, jakby teraz dopiero odetkane, wyławiały spośród tysięcy każdy huk bliskiego wybuchu, każdy świst opadającego przed nim pocisku...

Zaczął znowu biec.

Było to jedyne, co można było robić w danej chwili. Nawet regulaminy nakazywały podczas ognia huraganowego nie zatrzymywać się i nie padać, aż dopóki nie przebędzie się zagrożonego obszaru.

Zrównał się z obalonym działem.

Przodek i armata zwaliły się siłą rozpędu na wężowisko sześciu splątanych koni. Dyszel i lufa sterczały jak

drzewca oszczepów tkwiących w upolowanym niedźwiedziu. Spod olbrzymiego kłębu dyszlowej klaczy wyglądała blada z otwartymi ustami twarz celowniczego. Olbrzymi zamkowy z ciemnymi wąsami i żalosną troską w obliczu dźwigał przy pomocy jednego z jezdnych bezwładne cielsko leżącej kobyły. Trębacz i oficer z jasnymi baczkami i wąsikami, nadającymi mu pozór sprytnego i wyrobionego życiowo austriackiego urzędnika, siedzieli już z powrotem na swych koniach badając z góry rozmiary katastrofy.

— Zabity! — zawołał wąsaty kanonier wyciągając przygniecionego towarzysza za kołnierz od kurtki

— Mniejsza z nim! Ratować konie!

Olbrzym odciągnął poległego do rowu. Paprosiński widział uniesioną nad szosą krótko ostrzyżoną głowę o niewielkich uszach, ściągnięty pod pachy mundur i porwane w strzępy wskutek upadku spodnie, z których wyzierała niespodziewanie czysta bielizna.

— Czy to mnie kto tak będzie chronił przed strato-
waniem, gdy upadnę? — pomyślał. — Do kompanii! — zadzwoniła w nim tęsknota.

Nie zmniejszając pędu wyminął grzebiący się za-
pręg.

Po tym widoku musiał na nowo przywoływać świeżo
zdobytą równowagę. Ogarnął wzrokiem otoczenie.

Wszystko było po staremu. Czarne fontanny ziemi
tryskały szybko i zawsze niespodzianie w głębokich szeregach. Ludzie, zwierzęta i sprzęty toczyli się i koziółkowali wśród świstu i wycia targanego bez przerwy powietrza. Pospieszne serie głuchych uderzeń zdawały się go-
nić jedna drugą...

Po szosie bębnił huraganowy ogień.

V

Paprosiński poczuł, że chyba mu się nie uda powstrzy-
mać od płaczu. Nic się nie zmieniło w jego życiu od tych
zamierzchłych czasów, kiedy z płonącej wioski wypadł

na kipiącą niby krater wulkanu drogę. Złocisto-barwne wrażenia dzieciństwa, niezmierzone krainy chłopięcej wyobraźni, nienasycone płomienie przyjaźni, czarowne udręki pierwszej miłości, piekące pieszczoty kochanek, rozkosze obcowania ze sztuką, nadzieje i rozpacz, triumfy i klęski, wszystko było tylko krótkim i zapomnianym już wstępem do tej nieskończonej długiej a przeraźliwie jednostajnej epoki obłąkania i grozy, po której mogą tylko nastąpić dłuższe jeszcze i bardziej przeraźliwe wieki konania wśród kopyt, kół i butów oszalałej zgrai, gdy świadomość rozpaczliwie broni się przed zapadnięciem w czarną, zimną i nieznaną otchłań nicości, a zaleknionym sercem coraz rzadziej wstrząsa wysychający strumień uciekającej przez poszarpane ciało krwi.

Miał świętą rację ponury asceta średniowieczny. Memento mori! Żywot jest wędrówką, w czasie której należy zawsze pamiętać o jej kresie i do niczego nie przywiązywać się po drodze. Błogosławieni ubodzy duchem. Najwyższą mądrość posiadał ten ciemny i obdarty niewolnik starożytnego Rzymu, który ze śpiewem na ustach i radością w sercu szedł w kły i pazury cyrkowych zwierząt. Do takich rezultatów prowadzi jedynie wiara. „Kto we mnie wierzy, ma żywot wieczny, a Ja go wskrzeszę w on dzień ostatni”. Oto przyszedł ostatni dzień

Ale w jaki sposób teraz wtłoczyć z powrotem swój umysł, tak rozrośnięty od stałego pokarmu najbardziej wyborowej wiedzy, wyczulony najsubtelniejszymi metodami myślenia, w ciasny i ciemny garnek naiwnych przesądów i rozumowań? Jak uwierzyć, że Bóg, najmądrzy prawodawca i wszechwiedzący zarządca wszechświata, wydzielił część swej jaźni dla dziwacznej wizytacji wśród jakiegoś niechlujnego, szachrajskiego i najtwardziej zmateralizowanego narodu; że żył w zatęchłej atmosferze cudacznego i mętnego dorobku umysłowego zapadłego kraiku i że zginął zaplątany w niezrozumiałe do dziś dnia dla reszty świata spory społeczności doktrynerskiej i odciętej od głównych źródeł cywilizacji?

A jednak tu gdzieś właśnie leży tajemnica pogodnej i wolnej całkowicie od nikczemnej trwogi śmierci.

Jeżeli nie potrafi uwierzyć — będzie się modlił. Trzeba pokazać przynajmniej dobrą wolę.

— Ojcie nasz, wszystkiego stworzenia, które czuje, myśli i cierpi, Ojcie, mej udręczonej do ostatnich granic świadomości, któryś policzył wszystkie włosy na mojej głowie i bez którego nie zabłyśnie we mnie ani jedna myśl, nie wślizgnie się do mojego serca żadne uczucie czy namiętność, jedyny Władco i Kierowniku mojego organizmu, Szafarzu bodźców i nastrojów, źródło wszelkich moich postępów, wejrzyj na mnie dzisiaj ze Swych wysokości, odszukaj mnie Swym miłościwym okiem wśród tego przeraźliwego wiru ziemi, ognia, żelaza i obłąkanego tłumu..

Nie tak. Nie można mówić wyłącznie w swoim imieniu. Tylko solidarność z resztą swego rodzaju może się podobać Stwórcy wszechistnienia. Od początku.

Ojcie nasz.. któryś jest w niebie, krainie szczęścia i doskonałości... i stamtąd patrzysz na Swe dzieci, miotające się w sidłach przesądów, fałszywych doktryn i niedołęstwa poczyną, jakieś narzucił na planetę od chwili jej powstania... któryś wlał w serca ludzkie namiętności i żądze, a umysły napełnił pychą i zaborczością... Któryś dał kły i pazury tygrysom, a jagnięta pozostawił bezbronne...

Nie to. To nie jest modlitwa, tylko bluźnierstwo.

Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, imię Prawdy, Dobra i Piękną na tym padole głupstwa, propagandy wzajemnej nienawiści i złośliwej nikczemności w walce o byt tak jednostek, jak i narodów... Przyjdź królestwo Twoje harmonii, miłości i pokoju do chaosu rozbieżnych dążeń i niedołęstwa naszych władcyków, do tego piekła, gdzie wszystko, co żyje, pożera się wzajemnie, gdzie jedynym grobem każdego stworzenia czy nawet narodu jest zawsze żołądek silniejszego i bardziej brutalnego... Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi, albowiem Ty jeden masz być Sprawiedliwością i Miłosierdziem bez granic, więc cokolwiek postanowisz, będzie dyktowane najczulszą miłością i troską o najlichszego nawet robaka... Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... A przede wszystkim daj żyć, żyć, żyć... W Twojej mocy jest przecie obdarzyć w tej chwili nieśmiertelnością nie tylko nasze dusze, ale nawet nasze ciała... Nie ma nic niepodobnego dla Twojej wszechmocy...

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Nie... Ukaż nam nasze winy i błędy, oświeć nasze zbłąkane umysły i wyrwij z naszych serc pychę panów świata... Ratuj nad od nas samych. Dałeś nam rządy na planecie i oto zamieniliśmy ją w rozszalałe piekło zguby. Bądź nam miłościwym panem, Boże wielki, potężny i łaskawy... Zlituj się nad naszą nędzą, głupotą i złością...

Chwycił go radosny spazm oderwania się od ziemi i jej potocznych spraw... Pomyślał, że modlitwa jest najlepszym narkotykiem. Żaden trunek nie daje sercu takiego wesela; żaden zastrzyk morfiny nie złagodzi tak cierpienia, nie rozproszy niepokojów. Gwałtem usiłował zatrzymać w sobie ten nastrój wiary, który zniknął natychmiast, gdy tylko padł nań zimny promień samoobserwacji.

Równocześnie zauważył ze zdumieniem, iż ruch na drodze zaczął się zmniejszać. Zaprzęgi zwalniały, biegnący hamowali swój pęd obracając swe blade ze zmęczenia i zalane brudnymi strugami potu twarze. Obejrzał się w tym kierunku. Ciągnęły się tu szeroko lekko sfalowane, świeże rżyska, gęsto znaczone równymi szeregami złocistych kopic żyta. Jak okiem sięgnąć pękały wśród nich czarne bąble granatów, niespodziane i obce w tym krajobrazie jasnych barw i świętego spokoju ukończonej pocziwej pracy.

Miedzy dwoma omdlałymi w rozkosznym rozwichrzeniu snopkami gorączkowo ustawiało się do boju działo polowe.

Paprosiński poznał powaloną przed chwilą na drodze armatę. Obracało ją z wysiłkiem w miękkiej roli czterech ludzi: porucznik z jasnymi baczkami, widocznie dowódca baterii, trębacz, olbrzymi zamkowy i poległy rzekomo celowniczy z dokładnie obdartym pośladkiem. Drugi oficer, który sprowadził na pozycję zaprzęgi, stał na przodkarze mocując się z żelaznym wiekiem skrzyni, zawierającej ładunki.

Był to widok rzeczywiście oszałamiający w swym nieprawdopodobieństwie. Wśród tego uciekającego w panice tłumu grupka ludzi przypominała sobie naraz, że znajduje się tu nie tylko po to, żeby ratować swoje żywoty, lecz przede wszystkim, żeby zadawać straty nieprzy-

jacielowi. Było to wspaniałe i porywające jak każdy obraz z zaparciem się siebie pełnionego obowiązku.

— Tak wygląda cud — pomyślał Paprosiński, olśniony i z gardłem zdławionym od wdzięczności.

Widział, jak wreszcie oficer zaprzęgowy zeskoczył z przodka i pobiegł do działa, jak błysnął w czeluści zamkowej mosiężny walec łuski nabojoywej, jak krępy kanonier pociągnął za sznurek — i zaraz frunął szerokim łukiem w górę kopnięty podskakującą od wystrzału armatą.

— Zabity! — pomyślał.

Ale nie. Dźwigał się znowu z wystraszoną miną człowieka najzupełniej nie stworzonego do wielkich wzlotów.

Armata po jednym wystrzale szykowała się do dalszego odwrotu. Zrobiła swoje. Ruch na szosie stał się bardziej przytomny i rozumny. Ludzie stracili wyraz obłąkania w oczach.

Paprosiński biegł bardzo wolno i ciężko jak koń roboczy zaprzęgnięty do silnie naładowanego wozu. Przestał się dręczyć lękiem i nadzieją. Przyjmował bezmyślnie wszystko, co mu rzeczywistość przynosiła. Żył jak wszyscy ludzie nie myśląc, co go może spotkać za chwilę. Zresztą zaczęło go kłuć w boku tak silnie, że z ledwością mógł oddychać. Chwilami zanosił się od rozrywającego wnętrzości kaszlu. Spluwał gęstą i ciągnącą się jak babie lato śliną.

Mijał grupę wysuniętych z lewej strony na drogę zabudowań.

— To dopiero pewnie folwark Ulino — pomyślał z bolesnym zdziwieniem.

Spoza ruchomej kolumnady pękających granatów tudzież gęstej pajęczyny dymu i kurzu dostrzegał zaledwie pękate strzechy i niskie ściany nędznych chałupinek

Jakiś chłop z płową grzywką zwisającą mu na oczy, z rękami w kieszeniach spodni stał nad rowem w ciężkiej i niezgrabnej postawie człowieka bezustannej pracy fizycznej. Jakiś chudy piechur, wyrzucający w biegu na boki swe szerokie stopy w sposób charakterystyczny dla mętów wielkomiejskich, zatrzymał się przed nim.

— Co taki synu, cieszysz się, że nas pobili?

Chłop uśmiechnął się dziecięcym, naiwnie dobrodusznym uśmiechem rasy pierwotnej. Żołnierz krótkim ruchem uniósł nieco trzymany oburącz karabin. W ciemnym tu-

manie Paprosiński spostrzegł rudy błysk wystrzału. Sylwetka Białorusina czerniała jeszcze parę sekund i zasunęła się w mroki.

VI

Zostało popełnione morderstwo.

Paprosiński zaczął grzebać w pochwie z rewolwerem. Żeby ścierpły mu od nienawiści. Miał jedną myśl: wpakować cały magazyn w wąskie suchotnicze plecy tego rynsztokowego bakcyła, który pomykał przed nim rozklekotanym ruchem uciekającej żyrafy.

Przypomniało mu się jakieś patetyczne zdanie, że po to Pan Bóg dał siłę mężczyźnie, aby bronił sprawiedliwości. Tylko że sprawiedliwość wymaga pewnych dekoracji. Morderca biegł prędzej od niego, musiałby więc strzelać za nim jak policjant za uciekającym aresztantem. Nie ostrzegłszy go nawet, bo nie było o tym mowy wśród wodospadu huków, gwizdów i wycia. Nie było to w jego guście. Musiał więc zrezygnować ze słusznej zemsty obrażonego sumienia i zgodzić się na triumf nikczemności i zbrodni.

Zdarzało mu się to już niejednokrotnie. Kiedy wyruszał na front, radował się nadzieją, że pośród wszelkich niewygód, trudów i grozy znajdzie tam cenne i czyste jak brylant poczucie pełnienia najcięższego obowiązku. Tymczasem rozczarował się zupełnie. To, co ze swojej strony uważał za najwyższe poświęcenie, było naturalnym i radosnym żywiołem dla bardzo wielu jego towarzyszy broni, wśród których — jak się przekonał — co najmniej tylu było łotrów, co bohaterów, tylu wyrzutków społeczeństwa, co jego obrońców. Wszystkie zbrodnie cieszyły się tu bezkarnością z wyjątkiem nieposłuszeństwa i tchórzostwa. Nie mogło być inaczej. Ochrona słabszych, sprawiedliwość i miłosierdzie są zbytkiem społeczeństw żyjących w pokoju i dobrobycie. Przecie jego własny żywot był także bezustanną krzywdą biednych chłopów obcego i bezbronnego szczepu, którym zabierał izby na kwatery,

słomę na postłania, bydło i ziemniaki na prowiant, a ich samych pędził na podwody w dalekie i nieznane dla nich strony. Tak już Pan Bóg urządził świat w swojej wielkiej mądrości zostawiając sobie monopol na dobroć i litość bez granic — myślał nie bez sarkazmu. Trudno. Trzeba się z tym pogodzić. Jest to właściwość wszystkich wysoko postawionych osób. Prawo łaski może mieć naczelnik państwa, ale nie policjant. Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. A więc on sam jako pierwotwórca musi posiadać te same namiętności i uczucia, jakich udzielił rodzajowi ludzkiemu. Nieobca jest mu więc dumna, żądza władzy i nienawiść do wrogów. Stąd też zapewne płyną nakazy pokory, miłości i posłuszeństwa, jakie stawia ludzkości na wzór wszystkich władców świeckich.

— Diabeł mnie kusi — przerwał sobie niewczesne rozmyślania.

Żał mu było tego radosnego stanu porozumienia ze Stwórcą. Próbował się znowu modlić, ale nie udawało mu się skupić rozhasanych myśli.

Minęła go w galopie para siwych koni z dwukołową biedką. Na wózku siedział żołnierz, nakryty na hełm białą płachtą namiotową i z kosą na ramieniu. Na rozum wzięwszy nie było w tym zjawisku nic nadzwyczajnego. Co sprytniejsi i bardziej dbali o konie woźnice zaopatrywali się na wsiach w kosy, aby móc robić zapasy z trawy i owsa. Ale w tej chwili wyglądało to na jakąś komiczną pantominę śmierci, objeżdżającej na rydwanie swoje królestwo. Stanowczo wielki reżyser świata ma swój humor. Jest on zresztą dość przykry i ponury jak humor Cervantesa.

Tak, ten wypadek nadaje się do dowcipnych i głębokich zarazem uwag towarzyskich na temat mechanizmu świata.

— Czy patrzyłeś kiedy śmierci w oczy? — zapyta go kiedyś jego kochanka.

Będzie miała ogromną puszystą czuprynę ciemnych niespokojnych włosów, delikatny podgolony karczek i smagłą cerę o ciemnych rumieńcach i wargach. Mówiąc będzie migotała oczami i zębami niby usiany brylantami klejnot. Będzie siedziała mu na kolanach w miękkim różowym szlafrocuku, będzie wierciła się jak niecierpliwe

dziecko podczas lekcji z guwernantką, przebierając nóżkami w czerwonych pantofelkach z pomponikami i ocierając się gorącą lubieżną szyją o jego wargi

— Po pierwsze, co ci naraz strzeliło do twej rozwichrzonej głowiny? — po drugie: śmierć nie ma oczu tylko oczodoły i spróchniałe zębiska, a po trzecie nim zdąży się na nią spojrzeć — już ścina swoją potężną kosą.

Rozkoszne stworzenie uda nadąsanie i będzie usiłowało niby wyrwać się z jego objęć. Nie będzie brał tego poważnie. Na tym polegają igraszki miłosne. Zresztą kobiety lubią, żeby je lekceważyć.

— Ja nie żartuję. Opowiem ci, jak naprawdę zobaczyłem śmierć w całej okazałości...

W tejże chwili jakby czarne skrzydło spadającego z zenitu orła mignęło mu w prawym oku. Przeraźliwy ciężar zwałił mu się na hełm i barki przybijając go do ziemi jak błyskawiczne uderzenie ogromnego młota. Zdawało mu się, że olbrzymia stopa rozdeptała go znienacka niby plugawego robaka. Ostatnie przerażone myśli mignęły na kształt sfory błyskawic. „Zemsta Boga! Ciężki granat! Trafił mnie całą swoją masą! Jestem rozerwany na strzępy! Zaraz zgaśnie moja świadomość! Jak to wygląda?... A może nigdy nie zgaśnie...”

Spróbował otworzyć oczy. Zobaczył czerwoną mgłę i błyskawicowo szybki deszcz iskier, niby nieprzejrzany rój gwiazd spadających. Wzrok przestawał działać. Słuch również, bo w uszach miał jednostajny szum, raczej gwizd, jakby rozpędzonego koła nieprawdopodobnej maszyny. Przebiegł myślą wszystkie swoje członki. Zdawały się być na miejscu. Niczego to nie dowodziło. Słyszał od znajomego podoficera, któremu odjęto nogę, że istniała ona nadal w jego świadomości. Odczuwał nawet podobno swędzenie poszczególnych palców. Tak samo może być i z nim w tej chwili. Nie wiadomo po prostu, czy nie jest on już tylko wiankiem krwawych ochłapów, rozrzuconych po szosie i potrącanych przez biegnących

W tymże momencie zamigotała w nim myśl: „Stratuję mnie!” Zerwał się. Siedział na ziemi. A więc żył. W głowie szumiało mu jak po zawrotnym tańcu. Przed oczyma miał duszącą ciemność niby wieko zabitej świecami trumny. Ach, to tylko hełm opuścił mu się na sam nos! Przez szczeliny pomiędzy skrzydełkami nosa a po-

liczkami widział białe od kurzu cholewy swoich butów, sterczące jabłka drżących kolan i prawą rękę brudną i startą do krwi, spoczywającą bezwładnie na udzie. Zegarek na przegubie miał strzaskane szkiełko i połamane wszystkie wskazówki. Skądby się teraz dowiedzieć, która godzina? Wspaniale czerwone krople spadały w proch szosy, na grube fałdy spodni oraz na posiekany wierzch dłoni rozpryskując się w złociste i foremne gwiazdy. Skąd krew? Nowym odruchem uniósł hełm na tył głowy. To z nosa! Zresztą poza paru zadrapaniami twarzy i ręki nic mu nie było. A granat?... Granat owszem trafił, ale w jakiś wóz o kilka kroków w prawo od niego. Widać było świeży lej, rozrzucone szeroko deski, szmaty i części rozniesionych kół oraz dwie leżące z dala od siebie kupy krwawego mięsa z białymi drzazgami strzaskanych kości tudzież sinyimi pióropuszcami wywalonych na wierzch wnętrzości. Były to konie. Woźnica, również poszarpany czał się w rowie opodał. To, co on sam wziął za pocisk, było po prostu odprysniętym odłamem deski.

Powstał powoli prostując się ostrożnie. Stanowczo nic mu nie było. Był tym rozgoryczony. Skoro już raz przeżył taką chwilą, lepiej żeby był zginął lub przynajmniej został poważnie ranny. I tak będzie musiał kiedyś przeżywać to samo. A poza tym, czyż jest na świecie człowiek, który by wysłuchawszy opowiadania o tym wypadku i o jego przy tym wrażeniach nie wybuchnął śmiechem? Tak wygląda Boży dowcip. Wszystko mu jedno zresztą. Jeżeli przeżyje dzień dzisiejszy i całą wojnę, nigdy nikomu nie wspomni o swoich przeżyciach. Nigdy też więcej nie będzie się modlił. Nie potrzeba mu ani ludzi, ani Boga. Zamieszka gdzieś w małym pokoiku na poddaszu najwyższej kamienicy, skąd będzie widział jedynie dachy z pustymi wylotami dymników i dziurkowanymi na kształt dziecinnych organków kominami. Jeśli kiedy wyjedzie, to tylko w puste i skaliste góry, gdzie będzie patrzył, jak parują oślizgłe szczyty po długotrwałych deszczach, lub też na pustynny wysoki brzeg morski, aby śledzić równy, niezmienny, jęklivy i spieniony oddech zamierających na mieliźnie fal. Tak będzie żył i tak umrze cicho i samotnie zabierając z sobą do grobu tajemnicę dnia, gdy bębnił huraganowy ogień po nieznaney szosie w smutnym, szarym i dalekim kraju ludzi milczących.

W brunatnej kurzawie zamajaczył jakiś cień i zaczął rósć przeraźliwie szybko jak wypadający z zadymionego tunelu parowóz. Był to człowiek, który sam jeden biegł przeciwko ogólnemu prądowi paniki. Paprosiński nie zdążył już skrócić i wpadł nań chwytając go wpół. Poznał Ludomskiego, w rozpiętym mundurze, z rewolwerem w ręce i z bladą twarzą, umorusaną smugami zmieszanego z potem kurzu, niby brudna zaciekająca wilgocią ściana.

— Gdzie reszta kompanii? — krzyczał ochrypłym głosem, bez żadnego wstępu, jakby umyślnie wpadł na spotkanie Paprosińskiego, aby go o to zapytać.

— Nie wiem! Mój pluton rozbity!

— Zbieraj, co się da, i kieruj do zabudowań na lewo! Zaraz na pewno zacznie się nasz kontratak!

Wyszarpnął się z objęć przyjaciela i pobiegł dalej. Paprosiński stał oszołomiony.

Kontratak?... Zbierać kompanię?... Więc nawet w tym chaosie pracowała jasna myśl i kształtująca wola ludzka... Więc wszystko to, co się działo, należało do normalnych zjawisk, objętych doświadczeniem i przewidzianych przez regulaminy i instrukcje...

Rozglądał się jak człowiek przeniesiony niespodzianie do zupełnie obcego środowiska. Zauważył, że ruch na szosie zdawał się powoli zamierać. Uciekający albo biegli bardzo wolno jakby przytłoczeni niezmiernym ciężarem, albo szli dysząc otwartymi ustami, zalani potem i w rozpiętych mundurach. Jakaś bateria, przybywająca widocznie dopiero na front, sterczała w tumanie twarzami do nieprzyjaciela niby nieruchomy zasnuty nawałnicą grzebień górski. Jej dowódca na koniu z zakłopotaną twarzą człowieka, o świeżym umyśle i normalnych nerwach, który naraz trafił na wyuzdaną orgię pijacką, rozmawiał ze stojącym przy nim grubym i fioletowym ze zmęczenia majorem.

— Nie ma już frontu! — ryczał grubas — Trzymaj pan swoją baterię w pogotowiu! Zaraz rozpoczynamy kontratak!

Z oszołomienia wyrwało Paprosińskiego silne, choć miękkie uderzenie w hełm jakby mokrej ścierki, ale rzuconej z ogromną siłą. Jakiś ochłap zsunął mu się pod nogi. Spojrzał i wzdrygnął się. Wyglądało to na kawał wyrwanego świeżo ludzkiego mięsa. Mimo wszystko nic się

nie zmieniło. Wokół niego skakały pod niebo wytryski kurzu i kamieni, koziołkowali ludzie, konie i wozy, prze-walały się kłęby czarnego i siniego dymu oraz białe obłoczki szrapnelowe...

Po szosie bębnił huraganowy ogień.

VII

Wszystko na świecie ma swój kres : tak szczęście, jak niedola, tak rozkosz, jak cierpienie, tak radość, jak i ból po stracie drogiej osoby, zarówno błogi spokój serca, jak i najsroższe obawy. Po jasnym dniu następuje noc ciemna, po złotym i radosnym lecie — szara i zapłakana jesień. Wieczna zmiana jest istotą nie tylko świata, ale i duszy ludzkiej.

Paprosiński wiedział o tym. Ale prawdę tę uzmysłowił sobie dopiero, gdy skręcił z pełnej szalejących mroków drogi na roześmiany w słońcu różnobarwny wachlarz zagonów. Biegły obok siebie seledynowe łany nie żżętego żyta i srebrzyste smugi owsa, ciemnozielone płachty koni-czyny i białe promienie gryki, szerokie pasy żółtego łubinu i błękitne wstęgi kwitnącego lnu. Wszystko to, ponaszywane wzorzyste rubinowymi paciorkami makówek, szafirowymi gwiazdkami chabrów i różowymi perełkami powojów, zdzierzgało się niby olbrzymia rozeta w sinej gałęci dalekiego lasu.

Granaty szalały jak okiem sięgnąć. Raz po raz wyrywały się ku niebu z cienistych bruzd ich czarne pióropusze. Ale Paprosińskiemu było już wszystko jedno. Jakaś niezauważalna zmiana zaszła w jego nastrojach. Po prostu nie mógł sobie przypomnieć, jak wygląda uczucie lęku. Stało się ono czymś nierealnym i niezrozumiałym jak strachy dzieciństwa.

Szedł w kierunku zabudowań, które wskazał mu Ludomski. Przesuwały się przed nim korowody niedobitków niby ostatnie fale kończącej się nawałnicy. Wlekli się ranni z krwawymi bandażami na głowach, o nagich piersiach

i ramionach. Wielu kulało podpierając się kijami lub karabinami. Niektórych prowadzili lub nieśli towarzysze. Wszyscy mieli wyraz cierpienia w nabrzmiąłych wargach i oczach zasuniętych do połowy powiekami.

Grupka telefonistów przebiegła męczeńskim krokiem z ogromnymi szpulami czarnego drutu na plecach i maszynowymi sześcianami aparatów polowych pod pachami.

Potem dwóch kulomiotaczy wstrząsało się od szarpającego ciężaru karabina maszynowego, niesionego w rękach na kształt skrzyni z wapnem.

To znów samotny piechur o długich i cienkich jak u komara kończynach biedził się ciągnąc maxima na kółkach, opierającego się na bruzdach i kamieniach niby widziony do rzeźnika cielak.

Inni dźwigali na ramionach bębniaste chauchardy, części miotaczy min, skrzynki z taśmami nabojów, pudła z amunicją i wszelaki sprzęt wojenny.

W oddali kołysały się na zagonach biedki i wozy amunicyjne, jaszczce, pojedyncze armaty oraz same przodki bez dział, które widocznie pozostały strzaskane na pozycjach.

— Tak wygląda rozbita armia — zanotował sobie Pa-prosiński w umyśle nowe doświadczenie z przenikliwym zadowoleniem nałogowego zbieracza, który wzbogacił swoje zbiory o trudny i ciekawy okaz. — Co ten dureń Ludomski mówił o kontrataku? Przecie to pogrom, jakiego Polska nie zaznała od czasu Ostrołęki.

Myślał o tym nie bez pewnego rodzaju złośliwej radości.

— Co by to było, gdyby tak nie udało się zatrzymać bolszewików aż do samej Warszawy?

Wydawało się to nieprawdopodobne, zaczęło go jednak bawić to przypuszczenie. Wyobrażał sobie popłoch wśród polityków kawiarnianych, ich wymyślania na wojsko, rząd i sejm. Rozpalało mu przy tym wyobrażnię, że gdyby front przysunął się do samej stolicy, znalazłby się znowu w bardziej cywilizowanych stronach, stykałby się z ludźmi swojej sfery, dyskutowałby z nimi świeżo narosłe w jego mózgu zagadnienia imponując swoją frontowością i ogromem przeżyć...

Ze zdumieniem przychwycił się na tak powszechnej wśród frontowców fałszywej pogardzie i nienawiści do

tyłów. Jak wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Widocznie i on zaczął nasiąkać klasową zawiścią ludzi pola do uprzywilejowanych osobników, którzy żyją pod dachami, na noc rozbierają się i układają do snu, a za dnia zajmują się sprawami o wiele wyższej natury niż ochrona przed śmiercią, kalectwem czy poniewierką niewoli nie mytego i zawstydzonego cielska.

Zawstydziło go to odkrycie. Czyżby zaczynał tracić nadzór nad odruchami swoich uczuć i woli? Czyżby rzeczywiście pod wpływem trudów i niedoli zaczynała się degradacja jego niezależnego ducha? Przecie nic nie miał wspólnego z drapieżnością uderzających na bagnety strzelców, chamstwem podoficerów, mizerną pychą i tyranią oficerów... Jego serce spoczywało nadal wśród ludzi spokojnych, usposobionych życzliwie do całego świata, którzy swoje żywoty spędzają w zacisznych gabinetach, pracowniach naukowych, bibliotekach czy urzędach powiększając i organizując duchowy dorobek ludzkości... Dla czegożby miał ich nienawidzić?

Próbował przy pomocy jasnowidztwa nawiązać z nimi utraconą łączność duchową. Nie udało mu się to. Uświadomił sobie, że jest to przecie dopiero wczesny poranek. I w dodatku niedziela. W tej chwili więc muszą jeszcze spoczywać w rozkosznych łóżkach, jeśli nie we śnie po wieczornych rozrywkach, to przynajmniej w błogim rozleniwieniu spokoju i beztroski. Gdy on od tylu godzin najstraszliwszych wysiłków zdążył już wyczerpać wszystkie siły mięśni i nerwów...

„Do sypialni zapukała nieśmiała i pełna wdzięku pokojówka.

— Czy można już podać panu śniadanie?

— Nie. Za jaką godzinę. Możesz mi tylko przynieść gazetę i czego się napić”.

Och, pić! Jak dawno męczy go pragnienie!

Doszedł wreszcie do rozsypanych z rzadka zabudowań, które sterczały wśród gładkich łąnów niby zielony archipelag. Jakiś instynkt skierował go do złocistoszarej roześmianej w słońcu zagrody.

Wątlý i stratowany płótek z wikliny tonął we włochoatej zieleni pokrzyw i wśród opuchłych płatów łopianu. W różowym cieniu zawałonych pękami niedojrzałych jabłek drzew sadu owocowego spoczywało kilkunastu zziaja-

nych piechurów. Ich burakowej barwy twarze i dłonie odbijały silnie od białych od kurzu ubrań.

Paprosiński poznał swoją kompanię. Uznał za całkiem naturalne, że trafił do niej od razu. Stał nad leżącymi z rękami w kieszeniach i przyglądał się im ze swym zwykłym dobrotliwie ironicznym uśmiechem. Rozpoznał tłusty pysk Rudajewskiego z fioletowymi plamami na policzkach i granatowymi jak u wisielca wargami, płową i sterczącą niby włosie twardej szczotki czuprynę Jagusiaka, szeroką i wykrzywioną zmęczeniem gębę kaprala Dzikucha, smagłą zamkniętą twarz starszego sierżanta Sołyszki, roztargniony, jakby wstydlivy uśmiech Piesika, zadzierzyste kędziory Sitarka...

— Gdzie reszta kompanii? — zapytał.

Nikt się nie poruszył na jego głos.

Nie powtórzył zapytania. Usiadł na kamieniu obok szerokiego wylomu w płocie. Zauważył, że ręce mu drżą, chociaż czuł zupełny spokój. Nie ten co prawda błogi spokój bezpieczeństwa i beztroski, tylko tragiczny bezruch myśli i uczucia, zwany rezygnacją, która jest nie czym innym, jak zakrzepłą rozpaczą.

— To już koniec — pomyślał. — Cała armia północna musi się znajdować w podobnym stanie. A z drugiej strony wali na nią rozpęd nieprzeliczonych mas i zapal zwycięskiego proletariatu. Powtarza się historia rewolucji francuskiej. Tam także z początku zwyciężała koalicja. A przecie w końcu trójkolorowy sztandar przemierzył cały kontynent. Cóż dopiero teraz, gdy zamiast sprzymierzonych potęg stanął do boju jeden jedyny naród bez ustroju, wojska i pieniędzy, któremu sto lat przemocy i poniewierki odebrało wiarę we własne siły i pamięć o świetnej przeszłości, mający wreszcie zamiast oparcia w zagrożonym przez nową wędrówkę ludów Zachodzie, jeśli nie nienawiść socjalistycznych snobów, to pogardę najbardziej nawet nikczemnego i kłamliwego pismaka kierującego opinią po obu stronach oceanu.

Znowu przychwycił się na zdradzie swego dotychczasowego stanowiska. Jak trudno jest rozumować bezstronnie człowiekowi wyczerpanemu fizycznie. Nie ma przecie zamiaru odgradzać się nienawiścią od świata, do którego należy ciałem i duszą i którego czuje się być może jedynym przedstawicielem wśród tych obcych mu zupełnie

walczących zgraj. Nic go nie obchodzą żadne interesy narodowościowe, przesady rasowe czy doktryny społeczne. Ktokolwiek zwycięży on zawsze pozostanie sam ze swą górującą ponad dziejami świadomością, ze swym niepodległym duchem i sercem bezpańskim...

W tej chwili wyobraźnia zaczęła przesuwając mu obraz bolszewickiego zwycięstwa. Jeżeli nie zamordują go na miejscu jako osobnika skazanego na zagładę gatunku, to czeka go straszliwa poniewierka niewoli, a potem żywot wśród kultu fizycznej przemocy i okrucieństwa, nienawiści wszelkiej niezależnej myśli oraz najmniejszych przejawów ludzkiej godności. Gorzej jeszcze: on, który nie chciał nagiąć swego umysłu do wykutych przez pokolenia świętych mędrców ram dogmatów katolickich, będzie go teraz musiał poddać zjadłej kontroli tępych antropoidów; on, syn narodu Dymitrów Wiśniowieckich i Samuelów Koreckich, pójdzie niezadługo z tym samym rewolwerem w garści podbijać resztę niepodległych ludów pod sprośną i wyuzdaną tyranie azjatycką nowych Temudżynów i Tymurów... Trudno. Takie jest prawo dziejowe. Po okresach cywilizacji następują mroki barbarzyństwa. Za jakie tysiąc lat te tak przezeń dzisiaj pogardzane hordy stworzą nową kulturę, być może wspanialszą od dzisiejszej. Tylko on tego nie doczeka, tak jak nie doczekało epok odrodzenia wielu pokrewnych zapewne mu duchem Rzymian, którzy poginęli w walkach z Hunnami czy Go-tami.

Śmierć!... Nie odczuwał już na tę myśl trwogi ani żalu. Znużenie jest najlepszym hamulcem instynktu samozachowawczego.

Tymczasem spoczywająca grupa wciąż się powiększała. Coraz nowi żołnierze przebywali porozrywany płótek i układali się na murawie na kształt zbierającego się po popłochu stada owiec. Paprosiński spojrzawszy znowu na leżących zauważył drewniane oblicze Cewowskiego, blade rysy Kaczmarka, czarną i umorusaną sylwetkę Pracla, pełne i opiekłe kształty plutonowego Ertla... Chwy-ciło go zdumienie nad tą niespotykaną nigdzie prężnością polskiej rasy, nie znoszącej karności, ale też zawsze powracającej do swych znaków; nienawidzącej wszelkiej władzy, ale też nigdy nie hołdującej obcej przemocy; kłóliwej i niesfornej, lecz nie znającej w swych dziejach

przewrotów i terroru wobec przeciwników politycznych; niecierplivej i niewytrwałej w dziełach zwycięstwa, ale zarazem nie rozumiejącej wyrazu : „klęska”; bezsilnej wobec zdrady, ale niezwalczonej w polu; która zawsze na Cecorę odpowiadała Chocimem, na Piławce — Beresteczkiem, na Ostrołękę — rozbiciem Rozena i bohaterską obroną Woli... Przypomniawszy sobie, że wszystkie najazdy Duńczyków, Niemców, Czechów, Litwinów, Krzyżaków, Tatarów, Turków i Szwedów zostały wepchnięte do swych łożysk i że nawet po straszliwej katastrofie rozbiorów na pięćdziesiąt lat można mierzyć ziemie wydarte panowaniu polskości od czasów samego Mieszka Pierwszego. Zaczęła wien wstępować otucha. Może popełnił jakiś błąd w swym poprzednim rozumowaniu. Może prawa dziejowe są bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał... Zresztą jest przecie oficerem, i jakkolwiek wygląda rzeczywistość — jego rola jest ściśle określona i jasna.

Tylko że nie miał siły się podnieść. Stan, jaki odczuwał, graniczył z rozkoszą. Zaczął stygnąć i czuł na rozgrzanym ciele wilgotny chłód przepoconej odzieży. Lekkie powiewy głaskały jego obnażoną szyję i wsuwały się łaskotliwie luźnymi rękawami aż pod pachy. Z rozwartej na piersiach koszuli unosiły się kwaskowate opary, które by były wstrętne jego nozdrzom, gdyby pochodziły od innego człowieka. Bezsilne kolana i nabrzmiałe stopy masowały mu bez przerwy prądy znużenia krążące jak pęcherzyki gazów błotnych. Na grzbiecie, brzuchu i udach czuł lekkie swędzenie wędrujących leniwie wszy, tak opitych potem, że straciły zdolność kąsania...

Żeby usprawiedliwić swą beczynność, zaczął liczyć swoich podkomendnych. Myliły mu to zajęcie granaty, które ciągle świergotały i szumiały pod niebem i zagłębiały się z gwałtownym sykiem w roli nie wybuchając przeważnie. Naliczył jednak wreszcie trzydziestu siedmiu ludzi.

VIII

Ciężki pocisk zaczął świergotać i kwilić gdzieś nieziemnie wysoko. Paprosiński nie mógł opanować zwykłego w takich wypadkach wrażenia, że spada mu wprost na głowę. Obrócił się nerwowym ruchem. Padł ze sto kroków przed zabudowaniami. Wyglądało to, jakby olbrzymi krater otworzył się w jednej sekundzie pośród równych i cichych pól. Strugi ziemi trysnęły w niebo na wiele pięter. Cała połać widnokregu zaćmiła się od gęstej zasłony wirującego kurzu.

O kilkadziesiąt kroków w prawo płonęła stojąca w pustym polu stodoła. Trzepotała się rozpaczliwie w rudosinych skrzydłach dymu jak olbrzymi ptak, pożerany przez równie olbrzymiego drapieżnika. Błyskające raz po raz krwawe kły płomieni powiększały jeszcze to podobieństwo.

W przerwie pomiędzy pożarem a rozwiewającą się ścianą wybuchu ukazała się sylwetka biegnącego człowieka. Po pewnym czasie Paprosiński poznał Zajączkowskiego. Plutonowy był w stanie niezwykłego opuszczenia. Miał zupełnie obwisłe swe szerokie wąsy, otwarte usta, zagasłe oczy, hełm zsunięty na tył głowy i rozpięty mundur. W prawej ręce niósł skrzynkę od amunicji, która zresztą wydawała się nadmiernie lekka. Na widok oficera zwolnił kroku, zapiął pochwę nieodłącznego rewolweru tudzież jedną haftkę kołnierza i zasalutował dość wstydliwie, jakby nie był pewny, czy podobnie czcze formy życia wojkowego mają jeszcze rację bytu w tej chwili. Zatrzymując się wymamrotał zwykłą formułę :

— Panie poruczniku, melduję swój powrót do kompanii.

Paprosiński zerwał się skwapliwie, odsalutował i usiadł bez słowa. Zajączkowski zresztą patrzył już na leżącą gromadę wzrokiem pełnym drapieżnej wściekłości.

— Robak Michał !

— Jest.

Z wysokiej trawy uniosła się wystraszona i umorusana twarz zahukanego wyrostka z pomarszczonym czołem i nadąsanie nabrzmiałymi wargami.

— Kazałem ci zabrać wystrzelone łuski ?

— Kiedy pan plutonowy Kaszowski kazał mnie znowyź dźwigać maszynkę...

— Ale kazałem ci zabrać, czy nie ?

— Tak jeszt, panie plutonowy, ale...

— Co za „ale” ty, świński ryju ?... — wybuchnął podoficer rzucając skrzynką o ziemię... — Gdzieś je zostawił, bażancie ? To biedni ludzie oddają na podatki swój ostatni krwawo zapracowany grosz, żeby Polska miała się za co bronić, a tu przyjdzie taki wyskrobek, taki bażant, taki brzdyl zapowietrzony, taki dzbuk śmierzający i wyrzuci sobie kilkaset łusek, bo mu się nie chciało nieść ? Żeby były twoje, to byś zębami zbierał ty, cepie połamany ! Przecie jak takie łuski oddać do fabryki, to tylko nasypią w nie prochu, założą spłonki i znowu będzie można z nich strzelać. A czy ty wiesz, cholero, ile kosztuje jeden nabój karabinowy ? Czy ty wiesz, głupi ćwoku, ile to się porządni ludzie namęczą, zanim go zrobią ?... Ady, żebyś sto lat myślał, to byś tylko zdechł i zaśmiergł, a tego byś nie zrozumiał !...

Ludzie leżeli tak pomęczeni, że nikt z wyjątkiem zainteresowanego specjalnie Robaka nie zwracał uwagi na to wzniosłe przemówienie. Tylko Paprosińskiemu przypomniało ono znowu o jego obowiązkach. Był przecie, jakby nie było, dowódcą tych ludzi, powinien by więc wreszcie coś z nimi zrobić. Ale co ? Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł strategiczny. W dodatku bał się jak ognia możliwości, że znużeni śmiertelnie i rozdrażnieni klęską ludzie mogą po prostu zignorować jego zarządzenia. I co wtedy ? Improwizować wybuch obrażonego despoty ? Nie czuł do tego ani zdolności, ani powołania.

Z kłopotu wyratowało go ukazanie się porucznika Leśniaka. Z rozwaloną na całej piersi kurtką tudzież koszulą, z maciejówką w rękę, ociekający strugami potu, wyszedł zza chałupy i stanął przed kompanią. Paprosiński skoczył, aby mu złożyć meldunek, ale nie spojrzał nawet w jego stronę.

— Siódma kompania ? — zapytał ochryple. — A gdzie porucznik Ludomski ?

Nim znowu Paprosiński zdążył się odezwać, zerwał się spod płotu niewidoczny dotychczas plutonowy Żyszkiewicz.

— Nie wiemy, panie poruczniku.
— Powinniście wiedzieć.
— Był tu, ale poszedł w stronę miasteczka Łużki —
wtrącił starszy sierżant Sołyszko.

— Po co ?
— Nie mówił. Rozmawiał tylko z sierżantem Dereniem.

— A gdzie jest sierżant Dereń ?

Paprosiński teraz dopiero zauważył ponurego podoficera, jak siedział milczący i obojętny w opuszczonym na oczy hełmie na progu szczelnie zamkniętej chaty. Nie poruszył się na dźwięk swego nazwiska, jakby wszystkie te sprawy dawno go już przestały obchodzić.

Porucznik Leśniak tymczasem dziwił się w sposób aż nadto widoczny.

— Odszedł od kompanii i nie wydał żadnych rozkazów ?

Zwrócił się naraz do Paprosińskiego, który ciągle wyczekująco patrzył na Derenia.

— Prowadź pan kompanię za mną — rzucił.

Sołyszko zerwał się na te słowa.

— Powstać !

Ludzie zbierali się bardzo opieszale pomagając sobie w dźwiganiu ociężałych korpusów. Potem zaczęli ściągać rozluźnione pasy z ładownicami, zapinać sobie nawzajem rzemienie plecaków, podawać karabiny...

Porucznik Leśniak stał obojętnie na uboczu wachlując się czapką i śledząc pojedyncze i rzadkie już wybuchy granatów na zagonach. Wreszcie poszedł wolno nie czekając końca tej toalety.

Paprosiński ruszył za nim, bynajmniej nie zachwycony zaszczytem dowodzenia kompanią.

— Wszystko to był dopiero początek, a teraz dopiero zacznie się naprawdę ganieć po polach i lasach. Zwłaszcza jak słońko jeszcze lepiej przygrzeje — myślał z gorzkim sarkazmem.

— Maszerować ! — rozległo się za nim.

Obejrzał się. Kompania już ciągnęła polną drożyną gęsiego, zgarbiona pod plecakami oraz pełna lamentu, utyskiwań i klótni.

Sołyszko zrównał się z nim sprężysty i ożywiony.

— To pan porucznik będzie nami teraz dowodził ? — zapytał z widocznym celem okazania w ten sposób swojej nieoficjalnej radości z tego obrotu rzeczy.

— Będę, dopóki nie wróci pan porucznik Ludomski.

Dogonili ich inni podoficerowie. Na wszystkich twarzach widniało zadowolenie, wywołane przesileniem w ich mniemaniu na najwyższym w kompanii stanowisku. Paprosińskiemu łechtało to dumę w bardzo przyjemny sposób, zarazem jednak jak zwykle u ludzi o nasyconych ambicjach obudził się w nim żal Ludomskiego.

— Cóż on im zawinił, że go tak nienawidzą ? — myślał z podziwem dla kobiecej bezmyślności tłumu.

Zorientował się, że on sam zresztą nie jest w tym wypadku w zupełnym porządku. Dlaczego nie opowiedział dowódcy batalionu o spotkaniu na szosie ? Dlaczego wreszcie nie zmusił do odpowiedzi Derenia ?...

Obejrzał się znowu szukając oczyma sierżanta. Człapał przez kartofle na boku pochodu z opuszczonym łbem.

— Co mówił pan porucznik Ludomski ? — zapytał go wprost przystając.

Dereń łysnął ku niemu swymi małymi oczkami.

— Żeby kompania czekała na niego albo na pana porucznika.

— A jeśliby się nikt nie zjawił ?

— Miałem połączyć się z batalionem zostawiając Piesika, żeby powiedział, gdzie nas szukać.

— Dlaczegoście więc o tym nie zameldowali dowódcy batalionu ?

Dereń zamilczał pogarliwie, jakby dotychczasowe odpowiedzi i tak już wyczerpały jego pobłażliwość.

Paprosiński wysunął się z powrotem na czoło oddziału pełen troski. Oglądał się ciągle na wlokących się za nim strzelców, jak początkujący dowódca, który nie wie jeszcze dokładnie, czego odeń jego obowiązki wymagają.

Dwa szrapnele zachichotały nad głowami i wybuchły w powietrzu jakby z rozgłośnym powarkiem pękających sprężyn.

— To do nas — pomyślał. — Stanowimy cel zbyt widoczny. Trzeba by może rozsypać ludzi albo zbić ich w ciaśniejszą gromadkę.

Nic z tego nie wykonał, tym bardziej że nikt oprócz niego nie zainteresował się tym faktem.

Porucznik Leśniak odwrócił się do niego. Stojąc z pochyloną głową zbierał bokiem dłoni pot ze skroni i szyi oraz strząsał go na ziemię.

— Ilu pan ma ludzi? — zapytał nie przerywając swej czynności.

Paprosiński zająknął się nieco.

— Czterdziestu, panie poruczniku.

— Zostawił pan kogo dla powiadomienia porucznika Ludomskiego, gdzie ma nas szukać.

Paprosiński zaczerwienił się, o ile to przy jego rozgraniu było możliwe.

— Miał się tym zająć sierżant Dereń.

— Trzeba było przypilnować.

— Sądzę, że trafi bez tego. Spotkałem go na szosie. Ponieważ zbliżamy się do niej, rozpozna chyba kompanię z daleka.

— Czy aby stamtąd wyjdzie?

— Ja wyszedłem.

Porucznik Leśniak spojrzał mu w twarz ciekawie.

— Musiało pana skaleczyć, bo ma pan krew na policzku i na szyi.

Paprosiński uśmiechnął się i zaczął obcierać się chusteczką do nosa.

— Granat rzucił mnie o ziemię.

Strzelcy wlekli się w zupełnej apatii z opuszczonymi głowami, co rańniejsi jednak przystuchiwali się rozmowie dowódców i zaczęli się wtrącać.

— Panu porucznikowi to wszystko zarówno — zawołał z pochlebnym uznaniem Jagusiak

— Ja tylko nigdy nie zapomnę, jak pan porucznik fajnie pocelował z braulinga tego grojnego Iwana bolszewickiego w okopach — dorzucił Praceł z szerokim uśmiechem na swej czarnej twarzy.

— Żeby nie to, już by nas wtedy zafasowali jak cholera.

Prześcigano się w pieniach pochwalnych. A Paprosiński nie umiał ukryć swego zakłopotania. Przekonywał się, że na sławę jak i na chleb można zarabiać w nieuczciwy sposób. To wszystko przecie nie tak było. Prawda mieszka w nim. I nie może jej wyjawić, bo i tak nikt

by nie uwierzył w jego zupełną niedojrzałość umysłową, tchórzostwo a nawet nikczemność w obliczu niebezpieczeństwa. Bo nawet teraz, jak wskazuje uśmiech zainteresowania na twarzy porucznika Leśniaka, biorą za chwalebłą skromność bohatera jego słuszne zmieszanie. Okazuje się, że jedynie sprawiedliwym na świecie trybunałem ludzkich poczynań i wartości jest własne sumienie. Że jest to jedyny dokument posiadający jakąkolwiek wagę w obliczu Boga...

Spostrzegł w łańcuchu idących Piesika i zaczęło go trapić, że jednak zapomniał całkowicie o swych obowiązkach wobec Ludomskiego. Łatwo było to naprawić wysyłając kogo do zabudowań, ale nie mógł się przecie przyznać w tej chwili do swego niedbalstwa. Nazbyt słodki jest chleb uznania.

Tymczasem porucznik Leśniak zaczął go wtajemniczać w sytuację :

— Pułk zajmuje obecnie stanowiska wyjściowe do przeciwnatarcia, które powinno się rozpocząć za jaką godzinę... Ma pan zegarek ?

— Mam, ale nie chodzi.

Pokazał z uśmiechem strzaskany cyferblat.

— To nic. Ponieważ pańska kompania znalazła się najpóźniej, więc będzie stanowiła odwód batalionu. Zatrzyma pan tymczasem ludzi za tym pagórkiem przed nami. Dalsze rozkazy przysłę panu przez łącznika.

— Tak jest, panie poruczniku.

— No, to dobrze.

Podał mu rękę i pomknął granicą wśród zbóż na lewo.

IX

Paprosiński zatrzymał oddział na wskazanej fałdzie ziemnej i sam się położył w stanie zupełnego rozdrażnienia. Bynajmniej nie był zadowolony z zaszczytu, który go spotkał. Zdarzał on mu się zresztą niejednokrotnie przedtem. Za każdym razem zyskiwał sobie sławę ofice-

ra obdarzonego niezwykle zimną krwią i zdolnością orientowania się w każdej sytuacji. Zwłaszcza w bitwie pod Mariampolem podczas kontrofensywy majowej, kiedy pod nieobecność Ludomskiego śmiałym uderzeniem na bagnety miał według opinii ogólnej uratować otoczoną na przyczółku mostowym kompanię, jeśli nie cały batalion. On sam jednak wiedział co innego. Uderzył wtedy, bo tak nakazywały w podobnych wypadkach regulaminy, a o niebezpieczeństwie, które miał jakoby zażegnać, dowiedział się dopiero po bitwie. Z całego tego epizodu pamiętał jedynie beznadziejnie szybki i chaotyczny potok wydarzeń, których jego wiedza i doświadczenie nie były zdolne związać w żaden możliwie rozsądny obraz, oraz niezmiennie upokarzające dla jego myślicielskiej ambicji przeświadczenie, że jego decyzje i czyny wyprzedają myśli. Stanowczo wojna nie była jego właściwym rzemiosłem. Zresztą nigdy, od lat chłopięcych przynajmniej, nie pożądał laurów zwycięskich. Owszem do pracy w zacisznym gabinecie sztabowym może by się jeszcze nadawał, ale przedtem musiałby się porządnie wykapać, oczyścić z robactwa, wypaść i najeść.

Ten jego nastrój zmieniał się w przynębienie, gdy z wyniosłości, na której spoczywał, objął wzrokiem okolicę.

Rzyska, miedze i drogi roły się od cofających się oddziałów. Żołnierze wlekli się zupełnie bezsilni z rozpaczą i przerażeniem w oczach. Wielu płakało głośno jak dzieci pokazując oficerom swoje rany. Oficerowie byli zupełnie zdezorientowani. Nie odpowiadali na skargi swoich podkomendnych, tylko wodzili osowiałymi oczami po rojących się od ludzkiego robactwa polach. Co dzielniejsi stali na drogach i kupili wokół siebie maruderów ze swoich kompanii. Widać było jednak, że całe to pokrywające widnokrąg mrowisko przestało być wojskiem, a stało się bezsilną miazgą rozpacz, tłumem, w którym nieszczęście zabiło wszelką myśl i zerwało wszystkie więzie organizacyjne.

— Jakież ciasne i zaskorupiałe mózgi mogą jeszcze roić o kontrataku w tych warunkach? — Po raz trzeci pomyślał z nerwowym szyderstwem bezsiły Paprosiński. — I to jedna rozbita i wyczerpana do ostatnich granic dywizja ma atakować, być może, kilkanaście zwycięskich i pełnych zapału?...

Wycie i trzask śmigła nappełniło czyste i błękitne niebo. Jakiś samolot przesunął się nisko nad ziemią warcząc, to znów ścichając wśród letnich powiewów.

Strzelcy Paprosińskiego przywarli ściśle do ziemi pod groźnym wzrokiem ptaka zagłady. Ale zaraz niektórzy zaczęli się zrywać z radością wymachując rękami. Inni, bardziej zmęczeni i o słabszym temperamencie, obracali się na wznak, aby nasycić swoje oczy rzadkim widowiskiem. Na szerokich skrzydłach latawca zamiast codziennie widzianych gwiazd pięcioramiennych czerwieniały po dwa stykające się wierzchołkami kwadraty.

Paprosiński również zaczął wysupływać lornetę z futerału. Nigdy jeszcze nie widział polskiego aparatu na froncie, podczas gdy bolszewickie dzień w dzień krążyły ponad bliskimi tyłami obrzucając bombami sztaby i baterie oraz plując z kulomiotów w ciągnące drogami kolumny. Ponieważ z drugiej strony wiedział na pewno o istnieniu polskiego lotnictwa wojskowego, gdyż niejednokrotnie mógł obserwować całe eskadry unoszące się ponad Warszawą i Wilnem, doszedł w prostocie ducha do przekonania, że albo było ono niedostatecznie wyszkolone, albo też dzielni lotnicy z o wiele mniejszą przykrością znosili osamotnienie w przestworzach wśród ścigających ich trwożliwych damskich spojrzeń niż pośród wstrząsów wybuchających szrapneli i w poświście serii karabinów maszynowych. Teraz dopiero przekonał się, że nie miał racji w obu wypadkach. Z tym tkliwszym więc zadowoleniem wodził szklami za srebrzystym zjawiskiem, tak bardzo przypominającym olbrzymią ważkę, gdyby nie spotykany w żywej przyrodzie zdecydowanie prostolinijny i równy lot. Radowało go przy tym, że widocznie jakieś wyższe dowództwo zainteresowało się wreszcie losami zagubionej na dalekiej północy armii. Może samolot był zwiastunem zbliżających się rezerw...

Skrzydlate widziadło sunęło tymczasem w stronę zwycięskiego wroga malejąc coraz bardziej. Potem długo czerniało nieruchomym punkcikiem ponad dalekim lasem, aż wreszcie całkiem wsiąkło w roztopiony od letniego słońca złoty błękit nieba.

Paprosiński oderwał lornetę i rozejrzał się. Jakiś konny orszak podążał przez rżysko, obok jego stanowiska. Na czele stał pełen hetmańskiej powagi mężczyzna z roz-

czochraną brodą, w furażerze i oliwkowej koszulce, bez odznak i bez broni. Jedynie pas koalicyjny przez prawe ramię znamionował oficera. Ale na pochylonym czole chwiał się z rozpostartymi szeroko skrzydłami orzeł władzy. A wyżej w powietrzu niosła się również skrzydlata Nike z groźnymi płomieniami w oczach i z wieńcem laurowym w dłoniach. Paprosiński poznał go na pierwszy rzut oka. Był to generał Żeligowski.

Leżący strzelcy poruszyli się na jego widok jakby dotknięci prądem elektrycznym.

— Patrzcie, Dziad ! Dziad jedzie !

— Żeby go cholera ! Żeby go jasne pioruny zatrasnęły !

Nikt się nie zerwał. Nikt mu nie salutował. Podoficerowie prześcigali się z szeregowcami w pogardzie i obelgach.

— Dali mu bolszewiki w gwadelupę.

— Aż nie śmie teraz nikomu w oczy spojrzeć.

— Pewnie go za wcześniej obudzili, bo ma jeszcze ślepiea zaropiałe.

— A brodę to ci ma wyleniała, kiej parszywy Żyd.

— Jakby z nią tak usiadł na odpuszcie, to więcyk by miał z tego prefitu niż z wojowania.

— No nie ?

Nikt się nie krępował : każdy wykrzykiwał głośno swoje uwagi i dowcipy, jakich by nie śmiał wypowiedzieć publicznie o najmniejszym z kaprali ; każdy popisывał swoją obelżywą poufałością w stosunku do najwyższego przecie zwierzchnika wszystkich krociów, rojących się w tej chwili na polach.

Ale Paprosiński wiedział, że ta rzekoma pogarda kryje niezdarnie najwyższe uwielbienie, jakie tylko może czuć żołnierz do swego zwycięskiego wodza. Bo przecie prawie wszyscy podoficerowie i co starsi szeregowcy dywizji przebyli z nim pożar światowy, przebrnęli morze krwi i zwierzęcej nienawiści rosyjskiej wojny domowej, przetrwali wszystkie zmiany kierunków politycznych, wszelkie zwroty wydarzeń dziejowych, szacherki dyplomatów, zdrady sprzymierzeńców i stanęli wreszcie zbrojni w płonących granicach własnej ojczyzny jedyni ze wszystkich oddziałów, jakie walczyły w czasie wojny światowej na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Inne brygady, dywizje i korpusy szły do obozów internowanych, składały broń przed wrogami, przechodziły pod obce dowództwa, ginęły wreszcie w beznadziejnych bitwach — ostatnich; oni jedni wyszli cało w najczystszej glorii rycerskiego honoru.

I nie było wątpliwości, że ci wszyscy szydercy stawiliby się zawsze na każdy jego zew jak apostołowie porzucając domy, warsztaty, żony czy narzeczone, bo jak apostołowie w zmartwychwstanie — wierzyli, że otrzymają odeń najświeńtniejszy podarek, jaki można otrzymać na tym smutnym i nikczemnym świecie. Zwycięstwo...

Paprosiński wiedział o tym i czuł, jak każdy włos na jego głowie pęcznieje mu i wypręża się od tego samego uniesienia, jakie było udziałem jego podkomendnych. Drapieżnym wzrokiem rzeźbiarza badał każdą zmarszczkę na twarzy tego człowieka-posagu, jakie znaczą drogi historii. Ale nie odkrył w niej nic pomnikowego. Była zatroskana bezsilną troską czcigodnego ojca, którego dzieci wymknęły się spod opieki i poszły swoimi nie licującymi z honorem domu drogami. Nabrzmiące powieki zasunięte były na oczy, które nie zdawały się widzieć niczego oprócz rysujących się w pamięci hieroglifów map sztabowych, raportów i suchych obliczeń.

Doznał rozczarowania. Zawstydził się, że po raz pierwszy poddał się ślepym nastrojom tłumu

— Taki człowiek jak inni — pomyślał i odwrócił się z niechęcią.

I wtedy ujrzał cud.

Jak okiem sięgnąć poza budynkami, ogrodami i łałdami ziemi albo też wprost na odkrytych rżyskach, obłożone tylko świeżymi snopkami, czały się płowe jak lwy lub pręgowane jak tygrysy stada wysmukłych cielsk zatoczonych baterij. Niektóre pędziły jeszcze w cwał przez barwne zagony i z szerokim rozmachem narodowego mazura zajeżdżały na stanowiska. Czarne różańce tyralierek opasywały pagórki. Nieskończone łańcuchy karnych batalionów piechoty przemykały się złodziejsko rowami na kształt niezliczonych stad wędrujących na wyraj przepiórek.

W pewnej chwili długie lufy dziesiątków armat zaczęły się ślizgać w tył i naprzód krótkimi wstrząsami. Diademy złotych błysków zamigotały łamaną rysą na szarej tarczy widnokręgu. Mrowiska piechoty rozsypały się

po polach niby z nagła otwarty wachlarz z czarnych koronek salonowej modnisi. Biały puch szrapneli zaczął się strzępić niezmiernym pasem ponad siną linią borów...

Dziesiąta dywizja piechoty szła do przeciwnatarcia.

X

Główny kierunek polskiego przeciwuderzenia poszedł wzdłuż gościńca. Prowadził je właściwie jeden tylko dwudziesty dziewiąty pułk strzelców kaniowskich z bohater-skim swoim dowódcą majorem Walterem na czele. Pa-prosiński wraz ze swoją kompanią pozostał biernym widzem tej nowej odsłony dziejowego dramatu.

Jak wszyscy frontowcy przyglądający się beczynnemu bitwie był do ostatecznych granic rozstrojony i rozdrażniony jej przebiegiem. Pomijając, że ochłonałszy z chwilowego uniesienia wywołanego widokiem wodza, uważał on za typowe polskie szaleństwo rzucanie się z małą, rozluźnioną przebytą porażką i skrwawioną garścią na zbity taran kilkunastu być może dywizji sowieckich — wydawało mu się jeszcze, jak zwykle żołnierzom w podobnych sytuacjach, iż działania prowadzone są opieszale i całkowicie niedołącznie i że dopiero jego osoba czy jego kompania mogłaby coś zaważyć na szali wypadków. Jak mógł, hamował swoje nerwy przypominając sobie, że krytyka jest zawsze tylko nikczemnym i bezpłodnym cieniem czynu — ale rzeczywistość zdawała się przywtarzać jego rozgoryczeniu.

Przed wszystkim w całej pełni ognia polskiej artylerii zauważył na polach małe figurki telefonistów z czarnymi, rogatymi szpulami rozwijającego się drutu na plecach.

— Aha, więc nawet łączność nie została jeszcze przeprowadzona.

Rzeczywiście na trzęsących się od kanonady bateriach oficerowie mocowali się z targanymi wiatrem płachtami papieru.

— Biją według map. Nie ma co : ładne współdziałanie.

Szum i wrzawa bitwy oddalały się tymczasem. Szrapnele tłukły się po całej przestrzeni niebios jak wypłoszone z płonącego folwarku gołębie. Czasami na dalekich pagórkach ukazywały się kropkowane linie tyralierek. Natychmiast, gdy tylko osiągały szczyty wyniosłości, wykwitały wśród nich czarne krzaki wyrwanej granatami ziemi. Potem zawierucha dymu i kurzu porywała wszystko niby pędząca niepowstrzymanie trąba powietrzna. Gdy się rozwiała, znikaly wraz z nią snujące się figurki, aby ukazać się znowu na dalszej wyniosłości. Wszystko to odbywało się wolno i leniwie niby jakiś wyłącznie dla specjalisty zrozumiały proces chemiczny.

Ale Paprosiński był już takim specjalistą. Wiedział, że składnikami tego procesu byli ludzie i granaty, a jego syntezą — śmierć. Wiedział o tym i gardło wyschło mu boleśnie od grozy, oczy pałały jak w gorączce, a latające w drżących dłoniach szkła lornety gubiły ciągle swoje cele. Myślał przy tym, jak jałowa i tragicznie beztreściwa jest wszelka wiedza badająca zewnętrzną stronę zjawisk. Co mógłby powiedzieć o istocie bitwy, jej rytmie i jej sensie człowiek, który by obserwował ją tylko z tej odległości?... Chociaż... Może właśnie oddalenie i spokój są koniecznymi warunkami trafnej oceny spraw tego świata... Przecie Bóg nie ma nerwów... A Jego wszechmocne miłosierdzie godzi się dziwnie z istnieniem bóleści, rozpacz, najwyższego przerażenia i niewysłowionych mąk konania...

Jakiś spocony wywiadowca z rozerwaną podpinką od rogatywki oraz z długim karabinem na plecach przygalał od szosy na stękającym z wysiłku i śmierzdzącym potem o miłą wałachu.

— Panie poruczniku, która bateria strzela plutonami?

— Nie wiem. Tu stoi jakaś na prawo, ukryta w snopkach. Bo co?

— Bije we własną piechotę. Nasi zajęli już Sielco i walczą teraz o Bogdinoje.

Paprosiński poczuł w nosie i pod powiekami łaskotliwy spazm radosnego zdumienia. Dotychczas oburzał się pełen pogardy dla dowództwa, które nie orientując się najwidoczniej w sytuacji pchało na pewną zgubę garść przeciw krociom. Z historii wojen napoleońskich wiedział, że naczelną zasadą sztuki wojowania jest uderzanie większymi siłami na mniejsze. Wszelkie Kircholmy, Kłuszyny

i Chocimy uważał za przejawy typowo polskiej bezmyślności i głupiej brawury, która czasem w specjalnych okolicznościach mogła nawet zyskać powodzenie. (O ile historia mówiła prawdę). Ale w każdym bądź razie nie w dwudziestym wieku. Tymczasem widocznie polskie szaleństwo może być metodą.

Po raz pierwszy uczuł radosny szacunek dla własnego narodu. Ogarnął go przyjemny rodzaj rozczarowania hipochondryka, który biorąc pewne lekkie niedomagania za objawy nieuleczalnej choroby przekonał się naraz o swej komicznej pomyłce. Niepotrzebne były wszelkie trwogi, rozpacz, tragiczne rozważania, upokarzające modły: cały ten straszny poranek był tylko drobnym epizodem, jakich wiele na wojnie. I znów po nim wróci się do dawnych okopów, aby z powrotem rozpocząć pełen wygód i bezpieczeństwa okres walk pozycyjnych. Tylko że przez ten czas nauczył się cenić to życie, na jakie uskarżał się wczoraj jeszcze.

Nie można zbyt wiele wymagać od świata. Jeśli tylko człowiek czuje się wypoczęty i najedzony, jeśli przy tym ma jeszcze jaką taką zasłonę przed pociskami — to już wygrał wielki los na loterii. Tego rodzaju przypadków, jak wybuch granatu w samym rowie lub niespodziany atak nocny, nie można brać zupełnie pod uwagę. Żaden przecie mieszczuch warszawski nie będzie zaprzętał sobie głowy możliwościami katastrofy ulicznej, pożaru jego mieszkania czy najścia bandytów.

Pomyślne wieści przychodziły jedna za drugą. Dwudziesty dziewiąty pułk zdobył Bogdinoje i Dworzyszczę; niektóre jego oddziały doszły podobno do Auty. Bolszewicy zmiatali na sam widok niezwyciężonych dotąd polskich zastępów.

Kompania Paprosińskiego ożywiła się naraz, jakby dostała zastrzyk cudownego eliksiru życia. Zaczęły się ożywione i hałaśliwe rozmowy, śmiechy, przekpiwania i dowcipy Jagusiaka, kunsztowne przekleństwa plutonowego Zajączkowskiego, flegmatyczne drwiny Kaczmarka... Powrócił zwykły radosny nastrój „polskiej wojny”.

Sam Paprosiński leżał na wznak bez hełmu, z rozluźnionym kołnierzem i pasem. W plecach i tyle głowy czuł twardy chłód zeschniętej skorupy ziemi. Starał się nie poruszać, gdyż nie złamane jeszcze jego ciężarem ko-

rzonki rżyska kłuły go w dłonie i w uszy. Patrzył w szafirową otchłań niebios.

Gdzieś w jej stukilometrowej głębi przywarły przezroczyście fale nieruchomych obłoczków. Rozpatrując je ciekawie zaczął powoli zatracać świadomość, czy leży pod nimi, czy też wisi przylepiony do niezmiennie wysokiego stropu. Przycisnął się silniej do ziemi, bo szpik w kościach zmroził mu szybki dreszcz lęku: co by się z nim stało, gdyby tak planeta-matka utraciła w tej chwili swą siłę przyciągania. Było to zresztą uczucie raczej przyjemne, podobne do tego, jakiego doświadcza chłopiec huśtający się „równo z drągiem”. Poza tym sprawiało mu zadowolenie zagubienie wzroku i uwagi w zimnej i obojętnej przestrzeni. Głosy rozmawiających strzelców wydawały mu się bliższe, niż były w rzeczywistości; to samo było z grzmotem armat bijących wokół lekkich i ciężkich baterii: mimo to czuł się im obcy i daleki, jakby siedząc zamknięty w swoim pokoju słyszał wrzawę i odgłosy kłótni w sąsiednim mieszkaniu.

Naraz jednak wydało mu się, że ktoś idzie wprost na niego. Nierozsądny lęk załaskotał go po brzuchu, że skurczył szybko wyprostowane kolana i uniósł głowę.

Plutonowy Żyszkiewicz kładł się obok na łokciach. Patrzył przed siebie obracając w ustach zielone żdźbło, które łamał we wszystkie strony pracowitymi ruchami szczęk.

— A pan porucznik Ludomski przepadł — powiedział wydmuchując z siłą zmiętoszoną i zaślinioną trawkę.

— A co? Nie widać go?

— Nie. I gdyby żył, to już by się chyba odnalazł.

— Może się dostał do niewoli.

— Może.

— E — odezwał się pełen przekonania głos Piesika — pan porucznik Ludomski nie taki, żeby się dał zafasować.

— Jeżeli był ranny...

— Kiedy bolszewiki nie biorą w plen oficerów.

Paprosiński zamknął oczy. Nie chciało mu się rozmawiać i zdumiewająco mało obchodził go w tej chwili los Ludomskiego, chociaż przyjaźnił się z nim przecie od tylu miesięcy. Aż go zastanowiła ta niezwykła nawet u niego oschłość. Widocznie zwolennicy wojen przedstawiają

kłamliwie nawet tę dodatnią ich stronę, że obok patriotyzmu rozwijają one uczucia przyjaźni. Okazuje się, że koleżeństwo zawarte w polu nie stoi wyżej od znajomości z podróżnym jadącym tym samym okrętem czy pociągiem. Nie ma w nim nic poza narzuconą formą współżycia ludzi, skazanych na jednakową dolę. Oczywiście nie wyklucza to wyjątków. Choćby taki Dereń...

Wzbudziła się w nim ciekawość tajemniczego sierżanta. Chciał zobaczyć, co porabia, ale rozleniwienie nie pozwoliło mu nieść głowy.

Patrzył ciągle w czysty i gładki błękit. Wskutek natężenia wzroku zaczęły na nim migotać szybko niknące isierki niby drobnutkie bańki mżącego niewidzialnie deszczu na nieruchomym zwierciadle stawu. To znów rozgałęziona żyłka, złożona z okrągłych przezroczystych komórek z jąderkami w środku, ślizgała się w powietrzu opadając w dół. Śledził ją, dopóki nie zniknęła mu z pola widzenia, a potem podnosił źrenice i ukazywała się znowu w górze. Domyślał się, że przyczyny tego zjawiska tkwią w jego własnych narządach widzenia, ale bawił się tym jak dziecko, dla którego własny organizm jest niewyczerpaną skarbnicą wrażeń.

Kompania tymczasem urządziła uroczyste wspominki ku uczczeniu swojego zaginionego bez wieści dowódcy. Odbywały się one w dwóch grupach: podoficerowie bowiem oddzielili się prowadząc rozmowę bardziej fachową i zupełnie przyciszonym głosem. Za to strzelcy rozprawiali swobodnie, jak ludzie, których opinii nie krępują żadne obawy ani względy podagogiczne czy solidarności klasowej.

— Dobry był oficer, tylko jeszcze bardzo młody — zawyrokował protekcjonalnie zawsze apodyktyczny Sitarek.

— Niepotrzebnie polazł na tę drogę — powiedział z żalem Piesik. — Kompania i tak, co się miała zebrać, to się zebrała.

— A bo też nigdy nie frasował się o siebie tak samo jak o naród — rzucił zuchwale Rudajewski

— O ciebie to chyba dbał, boś się wypaśł jak wieprz w karmniku — zadrwił Jagusiak.

Grubas puścił zaczepkę mimo uszu.

— A pana kaprała Górnego kto posłał na zatrąę ?
— usprawiedliwiał swoje twierdzenie.

— Ża to go też Pan Bóg szkarął — odezwał się poważnie Michał Robak.

Wszyscy umilkli, jak ludzie roztropni, którzy wiedzą, że nie wszystkie prawdy, nawet zupełnie stwierdzone, można wygłaszać otwarcie. A przysłuchującemu się Paprosińskiemu mięśnie sprężyły się od oburzenia. Omal nie zerwał się z okrzykiem: „Głupcy, to właśnie ja posłałem Górnego na patrol”. Pamiętał to przecie dokładnie, dowodził bowiem wtedy kompanią, tak samo jak dziś. Ludomskiego również nie było, został bowiem wezwany do dowództwa batalionu, gdyż tego właśnie wieczoru batalion obejmował odcinek...

Nie odezwał się jednak ani słowem. Zawsze czuł się bezsilny wobec wojującej głupoty, zwłaszcza gdy przybierała ona formę ponurego mistycyzmu.

Zamknął powieki, Otoczyła go teraz otchłań żółtawej czerwieni. Przezroczysta gałązka unosiła się wśród niej niezmiennie. Ale zarazem z pomidorowej toni zaczęły się wyłaniać niby pęcherze na powierzchni bagniska jakieś groteskowe twarze, niknące szybciej, niż zdążył skierować na nie swą uwagę.

Słońce piekło go w nos i powieki, zasłonił się więc rękawem, który wydzieliał kwaśną woń stygnącego potu. Było mu teraz chłodno i błogo. Dziwaczne fantazje snuły się leniwie w jego mózgu, na kształt niezrozumiałego filmu, wyświetlanego bez muzyki w pustym kinie. Ukazywały mu się jakieś biegnące tyralierki, ustawiane karabiny maszynowe, baterie, zamasyście zajeżdżające na stanowiska. To znów szedł nocą po opustoszałej ulicy i mijał go rzęsiście oświetlony tramwaj. Otwierał oczy, aby przekonać się, że nie śpi. Sztywna fałda rękawa łaskotała go wtedy w drgające rzęsy.

Nie spał. I nie było mowy, żeby zasnął. Odpocznie tylko trochę i musi zaraz wstawać do kompanii.

XI

Bitwa zdawała się ucichać. Karabinów maszynowych nie było słyszeć zupełnie, prawdopodobnie wskutek oddalania się linii walczących. Stojąca niedaleko na rżysku bateria zamilkła również. Tylko pod ziemią przechodziły głuche grzmoty, może nawet od innych dywizji. Najwiśdoczniej wojna wracała do swego dawnego trybu, do swej szarej codzienności wydarzeń, trosk, radości i obaw. A przede wszystkim straszliwej nudy. Zresztą nawet na tyłach życie nie jest barwniejsze.

Przypominał sobie, że nieraz, zwłaszcza w latach młodości, marzył o wojnie, która by pozwoliła mu odetchnąć szeroką przestrzenią pól, wypróbować siłę nerwów, rozwinąć zawiązki nieznanych uczuć. Okazuje się, że nie ma szczęścia na ziemi. A jedyną klapą bezpieczeństwa dla wezbranej rozpaczki rodzaju ludzkiego jest marzenie, matka wszelakich sztuk, wiedzy, religii i doktryn społecznych. Zaczął więc marzyć...

Po tej bitwie, która szerokim echem rozlegnie się po kraju, a uczestnikom swoim zyska sławę bohaterów Chocimia, Zbaraża czy Żórawna, nastąpi zawieszenie broni.

Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego. Nieudana próba bolszewików przełamania polskiego frontu uczyni ich skłonniejszymi do ustępstw. A rokowania pokojowe toczą się już przecie od dawna...

Dowództwo dywizji szczególnym trafem wyśle go w sprawach służbowych do Warszawy. Oto już jedzie rozparty na miękkim siedzeniu przedziału drugiej klasy, zaciąga się chciwie papierosem i przegląda całe pęki gazet. Każdy rozkoszny wstrząs wagonu, każde stuknięcie kół na połączeniach szyn oddala go od krainy szarej, jednostejnej grozy.

Nie jest sam. Na przeciwległym siedzeniu leży jakiś kolejarz w zakurzonych i pozsypanych buciarach, całkowicie nakryty żółtym cuchnącym kożuchem. Nie razi go to zupełnie. Raduje go raczej, że Polska stała się państwem tak dalece demokratycznym, iż wygody cywilizacji dostępne są dla wszystkich jej klas społecznych.

Naraz tobół zaczyna się poruszać i przeciągać. Spod okrycia wężowym ruchem wysuwa się noga. Paprosińskiemu ściska się serce. Zamiast grubej kończyny kresowego proletariusza jest to cudownie kształtna nóżka dziewczęca w czarnym wysokim buciku i w ciemnej ażurowej pończoszcze. Przez drobniotkie oczka przędzy przeziera gorąca biel nagiej skóry. Nadaje to smukłej łydce odcień oksydowanego srebra.

Zjawisko manewruje w dalszym ciągu. Paprosiński czuje chłód pod piersiami. Serce przestaje mu bić zupełnie. Ukazuje się idealnie krągłe i gładkie kolanko. W jego zgięciu gromadzą się delikatne zmarszczki pończochy. Błysnęła podwiązka...

Jątrzące ciepło pożądania zaczyna napełniać mięśnie Paprosińskiego. Wtem — energiczny ruch i okrycie spada, a spod niego niby diablik z pudełka wyskakuje czarny Żydek z kędzierzawą czupryną i w rosyjskiej rubaszce, zapinanej z boku szyi. Chwytając Paprosińskiego za rękę zaczyna doń szwargotać niesłychanie szybko.

Ten obruszył się.

— Nie rozumiem! — wykrzykuje z gniewem.

W tej chwili słyszy tupot wielu nóg. Wokół niego gromadzi się cały tłum. Ale nie jest to już w wagonie, tylko na peronie jakiejś spalonej stacji. Jakaś gruba baba z kobiałką na ręce woła: „Złapali dezterter!” Paprosiński ogląda się z rozpaczą i widzi, że obok niego stoi kapral Górny. Rzuca mu w twarz krótkie spojrzenie, potem odwraca głowę i mówi ponuro:

— Ona ma rację. Porucznik Ludomski wrócił i wysłał do Warszawy Derenia.

— Ale ja mam już dokument podróży!

Wyciąga z kieszeni papier.

— To nie jest dokument podróży — mówi ponuro — To jest wyrok śmierci.

Rzeczywiście Paprosiński widzi teraz trupią główkę ze skrzyżowanymi piszczelami i wyraźny nagłówek: — „Wyrok śmierci”...

Otwiera oczy. Dosyć tego. Po kiego licha wprowadzać takie dziwaczne pomysły do swoich rojeń.

W kompanii coś się stało. Słysząc biegania, głośnie rozmowy, jakby skrzypienie kół... Może przyszedł rozkaz

odmarszu. Wszystko jedno. Nie wstanie, dopóki po niego nie przyjdą.

Przenosi się myślą wprost do Warszawy. Wychodzi z dworca. Jest wieczór. Wysoka pierzaja kamienic patrzy nań tysiącem oświetlonych okien. Wachlarz szyn tramwajowych łśni nieruchomo na skrzyżowaniu ulic. Bliźniacze pary latarni samochodowych snują się we wszystkich kierunkach. Na chodnikach tłoczą się roje ludzi. Jest wśród nich sam. Nikt go nie zna ani on nikogo. Co za rozkosz! Nikt mu nie narzuca obowiązków, nikt mu nie rozkazuje. Może iść, gdzie mu się podoba, bo jego osoba nie jest związana z żadnym odcinkiem, nie stanowi części żadnego zespołu: jest samą w sobie. Idzie więc do cukierni, w której zawsze zbierali się jego przyjaciele.

Siny dym papierosów w powietrzu. Wszystkie stoliki obsadzone. Kelnerzy przewijają się między nimi z błyszczącymi tacami nad głową. W głębi na estradzie odpoczywa orkiestra. Żeby tylko nie zaczęła grać, bo rozplącze się na pewno jak dziecko.

Są wszyscy. Siedzą pod ścianą przy dwóch zsuniętych stolikach. Patrzają przed siebie milcząc, jak ludzie, którzy właśnie wyczerpali temat rozmowy, gdy nowy nie narzucił się jeszcze ich zainteresowaniu.

Tylem do niego siedzi panna Wisienka, pełna temperamentu szatynka o drapieżnej urodzie stepowej. Pociągała go kiedyś silnie i sama oświadczała mu się ze swoim uwielbieniem dla jego inteligencji oraz doskonałości męskiej równowagi, ale może właśnie dlatego nic się jakoś między nimi nie zawiązało.

Widać teraz z profilu jej szczupłą twarz z pełnym wyrazu lekko garbatym noskiem i z energicznie zaciśniętymi ustami. Jest w białym płaszczu sportowym, który siadając odwinęła na lewą stronę krzesła tak, że odsłoniła cały prawy bok błękitnej sukienki. Małutkie nóżki w zamszowych pantofelkach oparła swobodnie na poprzecznym drążku stolika.

Obok jest nie zajęte miejsce. Paprosiński zajmuje je cicho dziwiąc się spokojowi serca w tej chwili. Wszyscy nie wyłączając Wisienki spoglądają na niego. Ale nikt się nie dziwi ani nie raduje. Odwracają obojętnie głowy, jakby to wrócił ktoś z ich towarzystwa wyszedłszy na chwilę kupić papierosów czy wybrać ciastko przy

bufecie. Paprosińskiemu zbiera się na płacz z rozczarowania i goryczy. Tylko Jerczyński, tłusty blondyn w rogowych okularach, który zawsze przewodniczy na wszystkich zebraniach, powstaje z miejsca i woła na całą salę :

— Kawę dla pana porucznika !

Paprosiński chce coś powiedzieć, lecz nie wie co. Tymczasem stary i pomarszczony kelner przynosi mu kawę, ale nie jak zwykle w szklance, tylko w szarej polewanej menażce żołnierskiej, którą trzyma oburącz.

Tego już za wiele. Paprosiński zrywa się z oburzeniem.

— Ja nie chcę takiej kawy !

Na to kelner przysuwa twarz tuż do jego nosa, otwiera szeroko bezzębną gębę i wybucha śmiechem jak grzmot :

— A-ha-ha-ha !

Paprosińskiego zbija to z tropu. Bezradnie ogląda się na swoich przyjaciół, ale ci najwidoczniej nie zauważyli zajścia. Natomiast Wisienka powstaje z płomieniem oburzenia w oczach.

— Musi pan wypić. Ja tego żądam, a dobrze wychowany mężczyzna nie odmawia kobiecie.

Paprosiński przygląda się jej z zadowoleniem. Odzyskał całą swą zwykłą swobodę. Odpowiada z pobłażliwym uśmiechem, który tak się zawsze podobał kobietom :

— Dziewczyno, stój, stój ! Two słowa jak brzytwy — jam z pola, jam z bitwy...

Jest olśniony własnym dowcipem. Rozgląda się, aby sprawdzić, jakie wywołał wrażenie, ale widzi, że znowu wszyscy są zajęci czym innym.

Jerczyński, który jest zapalonym radykałem, wyspecjalizowanym w demaskowaniu wszelkiej obłudy i kłamstw narodowych czy Kościoła, opowiada drwiąco :

— Wiecie, że podobno wojna już się dawno skończyła, tylko zarówno nasi, jak bolszewicy udają, że się biją, żeby nie utracić dodatków polowych ?

Paprosiński chce odeprzeć z pogardą ten niecny wymysł, ale naraz całe towarzystwo zrywa się jak rząd marionetek i wybucha straszliwym śmiechem :

— A-ha-ha !

Czyżby powariowali ? Odwraca się i spogląda na salę. Tuż za nim przy okrągłym stolicku marmurowym

siedzi para wytwornych staruszków. Są zatopieni w rozmowie. Nagle jednak oglądają się na niego, powstają jak na komendę i wybuchają potwornym rechotem :

— A-ha-ha !

Zrozumiał wreszcie. To sen. Z całej siły szczypie się w rękę. Natęży całą wolę, żeby się obudzić. Poczul wstrząs wszystkich nerwów... i obudził się.

Stoi przy wyjściu z cukierni, między stolikami. Pomarszczony kelner ściska go silnie za ramię.

— Musi pan stąd iść ! — woła. Bo za godzinę zacznie się trzęsienie ziemi !

— A-ha-ha ! — wybucha znowu na sali.

Wisienka znowu podbiega do niego i zaczyna mu wymyślać przeraźliwie piskliwym głosem. Mówi tak szybko, że nie podobna rozróżnić ani słowa. Słyszać tylko niemilknący terkot : te-te-te-te-te-te-te.

— A-ha-ha ! — wtóruje tłum.

Stary kelner ciągle szarpie jego ramię. Próbuje mu się wyrwać. Wśród szamotania otwiera oczy i zaraz je zamyka, oślepił go bowiem nieznośny blask. W każdym bądź razie jest przynajmniej pewny, że obudził się już naprawdę. Leży na ziemi. W oczy świeci mu słońce. Ktoś go szarpie za ramię. Wybuchy śmiechu potęgują się do krótkich łoskotów bijących armat, paplanina Wisienki przechodzi w jednostajne huczenie karabinu maszynowego.

Jest na froncie. Nad nim stoi Ludomski i ciągnie go za rękę. Słyszać jego jasny dźwięczny głos :

— Wstawaj ! Za minutę wyruszamy. Masz tu kawę. Ten bydlak Dereń zapomniał zupełnie o kuchni i ludzie zostali bez śniadania. Dobrze, że ją spotkałem.

Paprosiński nie może jeszcze odemknąć oczu, bo słońce oślepia go nawet przez powieki. Mimo to siada na ziemi i mówi udając całkowitą przytomność.

— To ty żyjesz ? Wróciłeś ?

— Martwiłeś się o mnie ? Naprawdę ? Co ty powiesz ? No, pij kawę i zbieraj się do wymarszu.

Słysząc, że odszedł. Paprosiński powoli otwiera oczy, ale nie widzi prawie nic, jak na prześwietlonej fotografii.

Nie pamięta tak przykrego przebudzenia. Czoło, nos i policzki pieką go nieznośnie, widocznie poparzone na słońcu. Oddycha z trudem jak w łaźni. W ustach ma pełno gorzkiej wodnistej śliny oraz jakichś paprochów czy

muszek, które wypływa z obrzydzeniem. Serce wali mu jak młotem. Cały tonie w gorącym pocie. Bola go wszystkie zadrapania na twarzy i rękach, skaleczona stopa, stłuczone kolano i ramię. Lewa ręka ścierpła mu tak, że przy każdym poruszeniu czuje w jej palcach tysiące niezmiernie przykrych ukłuć. Nogi ponad kolanami ma zupełnie jakby poprzetręcane. Palce u obu stóp są pokryte pęcherzami. A przy tym wszystkim chce mu się spać straszliwie i czuje się tak słaby, że nie może się poruszyć.

Wreszcie rozgląda się. Świat pokrywa czarna mgła. Rozróżnia już w niej jednak oślepiająco białe kamienie polne oraz grudy zeschłej ziemi na rżysku.

Wokół toczy się bitwa. Na sto kroków przed nim pękają granaty jeden przy drugim. W kartoflach na prawo trzeszczy karabin maszynowy. Kompania siedzi za grzbietem wzgórza z plecakami na ramionach i z karabinami w rękach, gotowa do wymarszu. Niektórzy pospiesznie dopalają papierosy. Podoficerowie nawołują ostrym, rozkazującym głosem. Ludomski lornetuje ścianę boru po drugiej stronie szosy.

Obok niego stoi menażka z kawą. Przykłada ją do ust, ale łyka napój z wielkim trudem. Jest kwaśny, cuchnie pomyjami i zawiera mnóstwo utopionych owadów oraz śmieci.

Podnosi się wreszcie i idzie, ostrożnie stawiając swe odparzone stopy.

Widzi teraz, że z drugiej strony drogi postępuje naprzód tyralierka. Wśród niej wyrastają raz za razem czarne krzaki granatów. Po jednym z wybuchów tworzy się wyrwa w ludzkim łańcuchu. Na tle nieba zamajaczyła sylwetka wyrzuconego w górę żołnierza. Drugi zawraca i biegnie w tył tuż przy ziemi jak wypłoszony zwierz.

— Uciekaj, bo cię zabiją! — ryczy wśród śmiechu kompania.

Dezerter nie zważa na to.

Plutonowy Zajączkowski, Rudajewski i Piesik wybiegają mu naprzeciw.

— Na linię, taka twoja mać! Inni mogą wytrzymać, a ty nie możesz?

Piesik zamierza się kolbą. Uciekinier spogląda nań nieprzytomnie, wreszcie zatrzymuje się i zawraca wolno do swoich.

— Siódma kompania — maszerować ! — woła naraz Ludomski.

Paprosiński podbiega do niego.

— Powiedz mi, co się właściwie dzieje ?

— Bolszewicy obesзли znowu nasze lewe skrzydło. i wychodzą z lasu na lewo od gościńca.

W ODWROCIE

I

Po nieludzkim i zaiste krwawym trudzie całodziennego boju dziesiąta dywizja oderwała się wreszcie od nieprzyjaciela i zajęła nową linię obronną nad rzeczką Mniutą.

Purpurowa kula słoneczna opadała wolno za czarny szaniec boru niby zboczona krwią głowa konającego żołnierza. Zawieszony w powietrzu kurz miał ceglastą barwę rozpylonej posoki. Niezmiernie długie cienie pojedynczych drzew, krzaków i ocalałych budynków uciekały daleko w tył szerokimi pasmami. Była cisza.

Bolszewicy byli tak wyczerpani kilkunastogodzinnym bojem, że zdawali się nie wierzyć we własne zwycięstwo. W każdym bądź razie nie mieli już siły go wyzyskać. Oba wojska przywarowały naprzeciw siebie jak zziajane psy.

Kompania Ludomskiego okopała się na piaszczystym wzgórku nad samą rzeką, niedaleko miasteczka Łużek. Żołnierzom zaledwie starczyło sił na wygrzebanie sobie płytkich wnęk strzeleckich, w których pozasypiali kamienym snem wojowników, natychmiast zapominających o przeżytych niebezpieczeństwach i nie zaprzatających sobie głowy tymi, które przyjsć mają za chwilę. Jedyne co dzielniejsi wymościли swe doły wyrwanym z korzeniami owsem z pobliskiego łąnu.

Kuchnia polowa znów się gdzieś zapodziała. Inne kompanie trawiły już błogo dobrze zasłużony posiłek, a o

Kardasiku wieść zaginęła. Podporucznik Ludomski osztorcował z tego powodu starszego sierżanta Sołyszke wobec całej kompanii jak święty Michał diabła. Był on właściwym szefem kompanii, ale dotychczas obowiązki jego prawem kaduka pełnił stale Dereń. Sołyszko przystawał na to tłumacząc innym swą uступliwość wrodzoną delikatnością, nie pozwalającą mu na brutalną obronę swoich uprawnień, sobie zaś — specjalnym charakterem swego stanowiska, które, będąc niejako cudzoziemcem, zajmował w wojsku polskim. Teraz jednak, gdy ponury sierżant na kształt zagniewanego Achillesa odsunął się uroczyście od wszelkiego wpływu na losy znienawidzonego oddziału, obowiązki te powróciły doń i to w takich okolicznościach, że nie podobna było nawet uszeregować ich w pamięci. Czuł się nimi po prostu zavalony i nie wiedząc, co właściwie do niego należy — nie zajmował się niczym. Naturalne jego rozdrażnienie z tego powodu powiększyły jeszcze obelżywe pretensje Ludomskiego. Poczuł do niego nienawiść, którą rozciągał na cały naród polski. Przypisywał mu najgorsze cechy, jakie zaobserwował u Polaków: głupią zarozumiałość, krzykliwość i nadmiar wyobraźni.

— W żadnym innym narodzie taki szczeniak nie mógłby zajmować podobnego stanowiska — myślał z zacisniętymi zębami.

Przypomniął sobie wszystkie upokorzenia, prawdziwe i urojone, jakich doznał w tym kraju, gdzie każdy dureń czuł się powołany do krytyki wszystkiego, nie biorąc za nic odpowiedzialności niby zdezonizowany władca obskurujący z wygnania konwulsje rewolucji, w jakich tarza się jego niewdzięczny lud. Czuł się obcy i samotny wśród tej skłóconej i shisteryzowanej doznanej porażką zgrai.

Rzeczywiście, żołnierze byli wściekli z głodu, jak przystało na prawych Polaków. Rudajewski głośno odgrażał się i buntował po otrzymaniu rozkazu umocnienia stanowisk.

— Żreć nie dadzą, a pracować każą! — pyskował. — Kto głupi, niech robi!

Rozwalił swój tłusty kałdun na piachu i żuł trawę patrząc przed siebie z zajadłą obojętnością.

Reszta kompanii przywodziła mu gorąco, podziwiała jego wysokie poczucie własnej godności oraz konsekwencję rozumowania, a zwłaszcza krzykliwość, która za-

wsze u Polaków budzi głęboki szacunek — ale w nikczemny sposób zastosowała się do rozkazu zadowolając się jedynie tym, że wykonywała go demonstracyjnie wolno i niedbale.

— Jakbym się nie bał, że mnie jaki kozi syn bolszewik potraci, to bym wcale nie kopał — ze złośliwą ironią podkreślił to powszechne stanowisko Jagusiak.

Inni zawrżeli takim na niego oburzeniem, że natychmiast schował w dole swój ogromny łeb pod gradem najwymyślniejszych obelg. Widać było jednak, że nie zamięciło mu to zadowolenia z udanego w jego mniemaniu dowcipu.

Jeden tylko jeszcze Michał Robak wziął poważnie do serca rozumowanie Rudajewskiego. Ponieważ nie stać go było na hałaśliwe demonstracje, położył się więc tylko za krzaczkiem jałowca zerkając ciągle ku zuchwałemu grubasowi i naśladując go we wszystkim. Dojrzał go jednak kapral Dziduch i skoczył w jego stronę na swych pałakowatych nogach na kształt jastrzębia, który spostrzegł zacząłonego w gałęziach wróbla.

— Co ty, żłobie, nie będziesz się okopywał?

— Pan kapral to ino mnie widzi !...

— Rozewrzyj jeszcze raz swój parszywy pysk !

Cofnął nieco nogę, jakby do kopnięcia. Ale starszy sierżant Sołyszko, który obserwował dotąd w milczeniu zachowanie się kompanii, teraz uznał, że jego powaga nakazuje mu wystąpić :

— Kapral Dziduch, zostawcie go. Chce, to niech leży jak bażant na półmisku. Jak mu bolszewicy przypieprzą, to zębami będzie rył !

Przerażony nieoczekiwanym zajściem Robak pochwycił za łopatkę, ale Sołyszko wrzasnął nań w gniewie :

— Nie ! Będziesz tak teraz leżał, taka twoja mać !

Na to jednak wystąpił z kolei Paprosiński, który leżał niedaleko Rudajewskiego na przyniesionej przez Piesika słomie.

— Tak nie można, szefie — powiedział stanowczo powstając. — Był rozkaz, że wszyscy mają umocnić swoje stanowiska.

Sołyszko odwrócił się najwidoczniej zaskoczony tym wkroczeniem, ale Paprosiński nie zwracając już nań uwagi zwrócił się ostro do Rudajewskiego :

— Dlaczego nic nie robicie ?

Grubas zerwał się zmieszany.

— Melduję, panie poruczniku, jako jestem głodny — odezwał się jednak wyzywająco.

— Wszyscyśmy jednakowo głodni. Jak przyjedzie kuchnia, to wydadzą wam obiad.

— Tak jest, panie poruczniku.

Nieporozumienie zostało wyjaśnione. Rozhisteryzowanej kompanii nie chodziło o nic innego, jak tylko, żeby kto poważnie wziął do serca jej dąsy. Paprosiński zyskał całkowite uznanie graniczące z uwielbieniem.

— Morus-chłop — mówiono o nim. — Jeden, co potrafi człowieka wyrozumieć.

— A kto by się był spoźdzał, że z tego kacapa taki pies. Swojego żołnierza chciał wydać bolszewikom na zatracenie, chachłacka jego mać! — dodawano o Sołyszce.

W ten sposób wszystko skupiło się na nieszczęsnym Ukraińcu, który nie miał już siły przełknąć śliny z rozgoryczenia. Największy żal czuł do Paprosińskiego, którego wdanie się w nic w gruncie rzeczy nie znaczący targ uznał za bezwzględnie pozbawione taktu i mocno trącające tanią demagogią. Oburzało go to tym bardziej, że szczerze wierzył w istniejące między nimi porozumienie.

— Już mnie żaden Polaczek więcej nie nabierze — postanowił sobie z mściwą zawziętością.

Nawet Żyszkiewicza, który zbliżył się doń z poufałym uśmiechem, odepchnął swą sztywną i czysto służbową postawą.

II

Tymczasem atmosfera w kompanii wyjaśniła się powoli. Ludomski, który podczas zajścia wybierał stanowiska dla karabinów maszynowych, powrócił i paru energicznymi a grubo obelżywymi uwagami przywrócił prężność mięśniom rozkapryszonych strzelców. Równocześnie

prawie zjawiała się kuchnia. Zelżony w nieprawdopodobnie fantastyczny sposób Kardasik, któremu nie dano nawet możliwości usprawiedliwienia się, zasiadł na majestacie ponury jak gradowa chmura i z wściekłością bryzgał chochlą w nadstawiane menażki brunatną zupę z amerykańskiej fasoli, w niesłychanie grubiański sposób zbywając wszelkie pretensje o zbyt małą ilość wielkich jak pięść skwarków czy zalecanki o przylewkę. Wybaczano mu wszystko, jak wybaczają się pożądaney piękności wszelkie dasy i humory.

Paprosiński, przed którym Jagusiak jednym ze swoich najwykwintniejszych ruchów postawił pełną menażkę, piętrzącą się białą pianą kostek gotowanej słoniny, przypiął się do niej żarliwie bez przekonania zgarniając od czasu do czasu łyżką grube warstwy malutkich, czarnych robaczków, których coraz nowe gromady wypływały na powierzchnię cieczy na kształt zgrzędów w źle ugotowanej kawie.

— Kto powiedział, że człowiek nie jest zwierzęciem owadożernym? — rzekł do siadającego obok ze swoją porcją Ludomskiego.

Ten puścił dowcip mimo uszu. Nie zrozumiał go nawet widocznie, jedząc bowiem rozglądał się badawczo wokoło nie rzuciwszy ani razu okiem na potrawę.

— No, zasłużyliśmy sobie dzisiaj rzetelnie na zupę i dniówkę — sapnął, jak człowiek, który skończył nareszcie swoje codzienne zajęcia.

— Niby czym? Żeśmy dostali w skórę, aż w niebie było słyhać?

— Dostaliśmy, ale i daliśmy. I to przy jakim stosunku sił! Rany boskie! co się działo na tej piekielnej szosie!....

Paprosiński, nie przestając chlipać strawy, przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— Kto ci kazał tam iść? — zapytał.

Ludomski z zapalczywym rozmachem klapnął się w czoło, aż się rozległo.

— Moja własna przyrodzona głupota! — wykrzyknął w wybuchu nagłej złości.

Paprosiński nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ten szczery gniew na samego siebie wydał mu się niezmiernie sympatyczny.

— Miałeś pietra, co ?

Ale Ludomski nadal rozprawiał się z sobą :

— We wszystkich korpusach oficerskich wojsk całego świata — wykrzykiwał — nie znajdzie się taki drugi bałwan, który by w czasie bitwy opuszczał własną kompanię, żeby szukać wiatru w polu ! Nie !... Nie można nawet tego nikomu opowiadać, bo nikt nie uwierzy !...

— No, nie przejmuj się znów za bardzo. Nawet geniusz mógłby zrobić głupstwo w takich warunkach. Gdyby wyłącznie rozsądek rządził światem nie byłoby ani tej bitwy, ani w ogóle wojen.

— Kto tam robi wojny, to mnie nie obchodzi, Odpowiadam tylko za siebie. I muszę stwierdzić po raz nie wiem który, że postąpiłem jak ostatni kretyń, jak zdiociałe i ponure bydlę.

Wymachiwał szeroko rękami nad opuszczoną ku ziemi głową, jak człowiek w stanie najgłębszego upokorzenia i rozterki i duchowej. Paprosiński badał go w dalszym ciągu z całkowitym współczuciem.

— Długo byłeś w tym ogniu ?

— Nie ! Gdzie tam ! Zaraz wpadłem na jakąś cholerną kuchnię, potłukłem się, zdarłem sobie kolano, dostałem odłamkiem w łokieć, aż mi świececzki w oczach stanęły, i wywiałem na pole. Trafiłem na dziesiątą kompanię, która jeszcze walczyła, diabli wiedzą o co, więc podniosłem jakiś karabin i zacząłem walić Panu Bogu w okno, bo mi ręka zdrętwiała jak dwie cholery.

— Toś ranny ?

— Gdzie tam ?

Rzucił z wściekłością opróżnioną menażkę i odwinął rękaw ukazując sino-żółtą plamę na ramieniu.

— A ty ? Długo byłeś w tym piekle ?

— Przeszło kilometr biegłem w największym ogniu.

— Co ty powiesz ? No i jak ?

Paprosiński roześmiał się z udaną ironią.

— Tyle ci powiem, że odmówiłem wszystkie modlitwy jakie tylko zdołałem sobie przypomnieć. I do świętego Floriana od ognia, i do świętego Antoniego od rzeczy zgubionych, i do świętej Apolonii od bólu zębów, i do świętego Józefa, opiekuna kobiet ciężarnych... Co tylko umiałem.

Mówiąc, śledził podejrzliwie twarz przyjaciela, o ile ten zrozumie to zamaskowane wyznanie. Ale Ludomski pojął je w sposób nieprawdopodobnie naiwny :

— A wiesz — podchwycił z ożywieniem, jak odkrycie, nad którym pracował od dawna — że ja właściwie codziennie rano i wieczorem mówię pacierz z przyzwyczajenia raczej, bo nie mogę powiedzieć, żebym był zupełnie wierzący — i akurat dziś zapomniałem ! Z początku byłem rozespany, potem nastąpił atak...

— Ha, ha, ha ! — nie wytrzymał już Paprosiński — to codziennie się modliłeś, tylko akurat dzisiaj zapomniałeś ?...

Ludomski zaczerwienił się.

— Nie śmieję się tak ze mnie. Właśnie chciałem ci opowiedzieć, co zaobserwowałem jeszcze w szkole. Że ilekroć wyszedłem zbyt późno z domu i nie zdążyłem przed rozpoczęciem lekcyj wstąpić do kościoła, zawsze tego dnia musiała mnie spotkać jakaś przykreść. Tak samo dziś...

— To dobre ! Ha, ha, ha ! Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa — tak mawiali starzy. Gdy pomocy Boskiej wezwiesz, wszystko ci się darzy.

Ludomski również się zaśmiał, jak człowiek, który palnął głupstwo i usiłuje obrócić je w żart.

— Ubawiłem cię, co ? — zapytał

Był czerwony i zmieszany.

Paprosiński poczuł wyrzuty sumienia za swoje zachowanie się, chociaż nie było w tym jego winy. Po prostu dostał jakiegoś napadu hysterii.

Nie gniewaj się — przeproszał pokornie. — Ja wcale nie z ciebie się śmiałem, tylko z siebie. Może ci to kiedyś wyjaśnię.

— Nie gniewam się, ale muszę zobaczyć, czy ten piekielny Kasowski ustawił nareszcie maszynki. W jaki sposób taką ofermę mogli zrobić plutonowym, jeszcze w dodatku przy karabinach maszynowych ? Jak wybrał stanowiska, to takie, że miał akurat dziesięć metrów obstrzału.

Zerwał się i odszedł.

Że wrażliwość ludzka jest wyczerpalna, o tym wiedział Paprosiński od dawna. Że pamięć posiada ograniczoną pojemność — sprawdzał to już niejednokrotnie. Dopiero jednak trzeba mu było przeżyć cały długi dzień następny najstraszliwszych wysiłków, najbardziej wstrząsających wrażeń, aby przekonać się, że jest ona podobna do tablicy wykresów kolejowych czy arkusza krojów, jakie bywają zwykle dołączane do pism kobiecych, a gdzie widzi się tylko bezładną płataninę przecinających się lub zlewających się z sobą linii. Wyłącznie te odcinki można w niej odróżnić, które posiadają odrębny kształt czy kierunek.

Gdy druga bitwa nad Mniutą wreszcie się skończyła, nie znalazł już w swym zmęczonym sercu siły do odczucia ulgi z tego powodu. Nerwy były nieczułe i zwiotczałe niby przemoczone i zwisające bezwładnie liny. Mięśnie oklapły bezsilnie na kształt nasiąkłych wodą żagli. Kości i ścięgna rozkręciły się i obluźowały jak wiązania okrętu, który długo walczył z szarpiącym go orkanem. W mózgu kłębił się chaos różnorodnych niepowiązanych z sobą wrażeń. Przypomniiał sobie wycie wiatru w uszach, gdy pędził na łeb na szyję z jakiegoś pagórka. To znów nieznośne uczucie grzeźnięcia stóp w sypkiej ziemi podczas jakiejś ucieczki. Pamiętał jakieś białe od kurzu postacie o dzikich, spoconych twarzach, biegnące ku niemu z nastawionymi igłami czworokańciastych bagnetów. Pamiętał, że jego pistolet błyskał ku nim szybko targając dłoń krótkimi wstrząsami. Ale gdzie i kiedy to było?...

Pod przymykającymi się ze znużenia powiekami roily się niknące błyskawicznie ułamki widzianych obrazów niby urywki nieznanego filmu, niepotrzebnie rzucanego na ekran podczas naprawy zepsutego aparatu kinowego.

Dwóch czołgających się żołnierzy popycha przed sobą maszynkę, pękają niby opitą krwią pijawkę... Jakiś oficer artylerii osadzając na miejscu rozpędzonego konia gwałtownym ruchem wzniesionej niezmiernie wysoko szabli zatrzymuje cwałującą w rozwiniętym szyku baterię...

Długonogi plutonowy Zajączkowski mknął wśród krzyków, podany naprzód niby wypłoszony z gęstwiny diabeł... Przylepiony do swego karabinu Piesik sunie zdecydowanym ruchem rzucającego się na zdobycz szczupaka... Krótco ostrzyżony łeb Jagusiaka miga w wysokim łanie niezżętego żyta... Gruby Rudajewski skacze niezgrabnie po skibach na swych krzywych nóżkach...

Potem widział uśmiechniętą złośliwie twarz Żyszkiewicza, który krzyczał mu w ucho :

— Panie poruczniku, noga !... Wyrrywamy !

Ludomski z płomieniami wściekłości w źrenicach ryczy ochryple :

— Stać ! Stać ! Pierwszy pluton pozostaje na stanowisku !...

Wszystko to widział, wszystko to przeżył i wszystko to runęło w otchłań niepamięci, skąd nie wygrzebie tych zdarzeń żaden choćby najsumienniejszy trud dziejopisa, żadna najcudowniejsza intuicja najbardziej genialnego powieściopisarza. I tak jest dobrze. I tak widocznie być powinno. Życie jest ruchem, walką, bezustanną zmianą, a hamująca je myśl — objawem rozkładu woli, cuchnącą zastoiną energii psychicznej, rakiem, toczącym siedlisko wszelakich naturalnych instynktów. Stwierdzali to zresztą wszyscy nieomal myśliciele i poeci. Nawet Mickiewicz i Słowacki zginali swe wyniosłe głowy przed głupim podchorążakiem, żgającym bagnietem w Belwederze bezbronnego generała. Błogosławieni ubodzy duchem, błogosławieni cichego serca, albowiem oni posiadają ziemię... i królestwo niebieskie...

Nareszcie posiadał tę wspaniałą wiedzę. Jakże była łatwa i niezłożona. Ściągała się właściwie do jednej tylko zasady : zapominać. Nie analizować tego, co minęło, nie dręczyć się przyszłością, tylko zawsze świeżym umysłem chłonać chwilę obecną, napełniać nią komórki tkanki kojarzeniowej i zaraz wydalać je ze swego organizmu na równi z kałem i moczem.

Zmierzch zapadał niby pokrywa okrągłej bombonierki, do której grzeczne dziecko poskładało swoje zabawki. Tam daleko, między czarnym wrębem boru a równym brzegiem ciężkiej fioletowej chmury, świeciła jeszcze bezdeń złocistej jasności, był nieogarniony wszechświat, pełnia ruchu i zdarzeń, tylko ten padół napełniał się mro-

kiem i martwością — do jutra. Na dziś dosyć zabawy. Jutro znów ustawi się żołnierzy, wioski, miasteczka, będzie się strzelać z armat, obalać i palić...

Ale nie ma co się nad tym zastanawiać.

Cicha rzeczulka przybrała barwę modrofiołkową. Jej fale z delikatnym pluskiem całowały brzegi rozgrzanej i wyczerpanej upałem ziemi. Jakaś gałąź utkwiała na mieliźnie i gwarzyła z nurtem uszczęśliwionym szeptem kobiety, spoczywającej w objęciach kochanka. Przezroczyście tumany przewalały się nad tonią lubieżnym ruchem rusałek, rozpoczynających swe nocne płasy. Poza tym jednak był zupełny spokój i cisza. Może czasami drgnęło powietrze od dalekiego wystrzału działowego czy zabulgotała w mrokach krótka seria kulomiotu — ale nie można za wiele wymagać. I tak wszystko jest mądrze urządzone na tym najlepszym ze światów. Po pracy następuje odpoczynek, po walce spokój, po trudach żywota — śmierć. Im bardziej jest się strudzonym, tym więcej rozkoszy sprawiają chwile wytchnienia. I to jest sprawiedliwe.

Paprosiński nie mógł usnąć pomimo zmęczenia, ale czuł się tak błogo jak po zastrzyku morfiny. Niewymowne szczęście wypełniało mu mózg i omdlałe członki. Marzył z otwartymi oczami. Z niezmiernych wysokości patrzyły nań nikłe i chłodne gwiazdy. Zapalały się dopiero na bladym niebie. Widział, jak wybłyskiwały jedna po drugiej z nieruchomo gładkiej toni ustawiając się w wiecznie te same konstelacje. Te, które lśniły martwo niby drobnutkie okienka w kadłubie olbrzymiego okrętu, to były planety takie same jak ziemia. Rozpościerały się na nich lądy, falowały oceany, wznosiły góry, czerniały przepaście, być może nawet szumiały dziewicze lasy... Całkiem prawdopodobne, że niektóre z nich wytworzyły własną ludzkość. Tylko że musi ona wyglądać zupełnie inaczej. Całkowicie różne warunki bytu musiały odmiennie ukształtować jej organa, innymi zmysłami związać ją ze światem. Kto wie zresztą, czy świadomość nie zakwitła tam u ptaków, owadów czy nawet ryb?... Wszystko jedno, nigdy chyba ci ludzie nie zetkną się ze swą bracią ziemską. I lepiej. Jakaż nienawiść musiałyby się rozpalić między tak odmiennymi gatunkami, jeśli drobne różnice w odcieniach naskórka, rysach twarzy, czy tylko językowe potrafiły stwo-

rzyć z maleńkiej Ziemi bezustanne piekło walk... A jak strasznie wyglądałaby wojna światów...

Te zaś różnobarwne iskierki, migocące szybko niby drgające brylanty, to są przeraźliwie wielkie masy płomienia, wirujące i toczące się w mroźnej i czarnej przepaści. Przeszywająca wszechświat myśl napotyka coraz nowe ich rojowiska bez końca, bez końca... Nie, wreszcie musi nastąpić miejsce, „gdzie graniczy Stwórca i natura”. W nieogarnionej pustce wiruje samotny i jedyny On, Duch Światłości. W Jego promieniejącym wszystkich barwami tęczy łonie świeci płomienna żrenica wszechświadości. Oto jest Silnik świata, jego Mózg, Serce i Wola. To było na początku i pozostanie na wieki wieków. Stamtąd spływa na świat nieskończony ocean wszechogarniającego miłosierdzia. Gloria, gloria in excelsis Deo...

Paprosiński czuł, jak zalewa go ciepła fala radosnej pokory. Tak wyglądają narodziny wiary. Raczej pojednania, bo nie można powiedzieć, żeby kiedykolwiek przestał wierzyć w istnienie Boga. Próbował tylko obchodzić się bez Niego. Prawdziwy ateizm jest rzadki i zawsze dowodzi zwierzęcej bezmyślności. Podobno znaleziono w głębi Afryki jakiś lud nie posiadający żadnej religii. Byłoby to więc brakujące ogniwo w łańcuchu ewolucji od małpy do człowieka.

Myśli płynęły mu szybkie i radosne niby wyzwolone fale strumienia, któremu wreszcie udało się zerwać długo więżącą go tamę. Szczęście sprężyło mu muskuły. Cieszyło go, że ten akt wezbrał w nim właśnie w chwili bezpieczeństwa i spokoju. Przynajmniej Bóg nie będzie go mógł posądzać o interesowność.

Szybkim odruchem usiadł na słomie, jakby ze wszystkimi chciał się podzielić swoją radością. Ale kompania spała, otulona w ciemności. Gdzieniegdzie tylko gładkie półkule hełmów odbłyскиwały cieniutkimi igłami gwiazdom, patrzącym z niedosiętych przestworzy. Jedynie poniżej jego legowiska, nad samą rzeką zmatowiałą od nieruchomych oparów, poruszał się jakiś tobół. W granatowej topieli mroku majaczyło jego drganie. Dochodziły też odgłosy drobnutkiego szczekania zębami. To Dereń przechodził swój codzienny napad febry. Paprosiński, który dotychczas traktował go jako w miarę interesujące

zjawisko natury, po raz pierwszy poczuł dlań litość. Zwykle współczucie człowieka dla człowieka. Tak było w porządku. Jeżeli Bóg, Najwyższy Rozum świata, wejrzał na niego łaskawie — i on powinien obrócić swój wzrok nia istoty o słabszej umysłowości. „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Przyszło mu na myśl, że należałoby może pomóc w czym choremu, ale bał się narazić na jakie grubiaństwo ze strony nieobliczalnego sierżanta. W tej chwili zresztą za bliskim horyzontem zajaśniała szeroka kopuła światła. Wybuchala raz po raz w równych odstępach. Wśród ciągłego szumu pocisków uderzały krótkie grzmoty pojedynczych wystrzałów działowych. Zaczął też terkotać równo karabin maszynowy na kształt bociana odmawiającego na gnieździe swój pacierz wieczorny. To jakaś placówka czuwała nad spoczynkiem swojej dywizji.

Paprosiński wyobraził sobie zaraz stężale w bezsenności twarze oficerów i żołnierzy, w skupionym milczeniu obsługujących bojowe maszyny. Rzewna wdzięczność zwilżyła mu powieki. Wszystkimi tętnicami rozplynęła się po nim nieznana dotychczas miłość do wszystkich ludzi, tych słabych i kruchych istot, tak jak on szamocących się ze swymi instynktami, tak jak on obdarzonych jednym tylko stale zagrożonym życiem, którym jednak starczyło rozsądku i solidarności, aby wspomagać się wzajem w beznadziejnej walce o swe istnienie.

Położył się znowu, zwinięty w kłębek. i ufny jak dziecko, zasypiające pod drapieżnie czujnym okiem matki. Odgłosy walki drgały nad nim dalekie i obojętne niby czytane przez urlopnika w kawiarni komunikaty bojowe. Dziś wy — jutro ja. Odtworzył mu się w pamięci pozbawiony sensu urywek z nieudolnego przekładu „Hamleta”, który wyśmiewał kiedyś złośliwie w gronie przyjaciół: „Niech ryczy z bólu ranny łos; zwierzę zdrów przebiega knieje. Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś; to są zwyczajne dzieje!”

Zaczął płakać cichutko i w największej tajemnicy po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

IV

Zacięty opór dziesiątej dywizji nie miał właściwie żadnego sensu. Bolszewicy bardzo małą wagę przywiązywali do natarcia frontowego, które mogło przeciwnika złamać czy w najlepszym wypadku rozbić, gdy im chodziło o całkowite zniszczenie. Toteż podczas gdy główne ich masy, linia za linią, fala za falą, biły w stanowiska Polaków — dwie ich armie przedarłszy się na obu skrzydłach sunęły w głąb frontu na kształt węzowych ramion ośmiornicy, oplatającej swoją ofiarę. Dążeniem ich było zetknięcie się na tyłach, aby zdusić wszystko, co znajdzie się w ich objęciu.

W tych warunkach nieustępliwość dywizji szła tylko na rękę jej wrogom, bohaterskie przeciwnatarcie tym głębiej wsunęło ją w zastawioną matnię, a konieczny po zupełnym wyczerpaniu odpoczynek dla sztabu sowieckiego był jakby błogim wyczekiwaniem na zasłużony plon skrzętnego i przewidującego rolnika.

Polskie dowództwo w chaosie porażki dość późno zorientowało się w położeniu, natychmiast jednak wydało rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i jak najszybszego odwrótu w kierunku południowo-zachodnim, gdzie mogła jeszcze znajdować się zbawcza luka w zaciskanej sieci.

Z wielką ostrożnością i w zupełnej ciszy pobudzone rozespane tyralierki tudzież baterie. W nieprzeniknionym mroku bezksiężycowej nocy zaskrzypiały cicho rzemienie, zabrząkały tarcze dział, zaszeleściły miażdżone tysiącami butów i kół rżyska, owsy, kartofliska i lny — dziesiąta dywizja była w odwrocie.

Koncentracja nakazana była w Łużkach. Gdy pobladłe niebo i ziemia przybrały jednolicie błękitną barwę, uśpione miasteczko napęłniła powódź płaskich hełmów, otulonych zwiniętymi kocami tornistrów, oplecionych wachlarzami rzemieni zadów końskich oraz obłych zakapturzonych łuf armatnich.

Nikłe i słabe domki nie dawały znaku życia. Żadne drzwi się nie otworzyły, żadna twarz nie zamajaczyła w

brzęczącym od hurgotu dział okienku. Na pierwszy odgłos walącej ku nim niszczącej wszystko lawy ludzi wojny — ludzie dobrej woli i cichej zbożnej pracy usunęli się z powierzchni z jedną jedyną myślą-nadzieją — przetrwać.

Tymczasem szare kolumny przesuwaly się wszystkimi uliczkami przypominając nieskończone szeregi świeżo wylęgłego w porzuconym ściervie robactwa. Żołnierze wlekli się w zupełnym milczeniu i z opuszczonymi głowami. Po prostu spali męczeńskim snem ludzi, dla których wieczny trud mięśni stał się czynnością równie odruchową jak oddychanie. Powoli jednak zaczęły ich budzić najrozmaitsze dolegliwości pochodu: źle zawinięte onuce, opadające owijki, uwierające części oporządzenia...

Marsz był nad wyraz uciążliwy, między piechotę bowiem wpleciono dla bezpieczeństwa baterie i oddziały taborów. W ten sposób strzelcy maszerowali w kurzu tak straszliwym, że chwilami w jego tumanach niemożliwe było rozróżnić przytroczonej do tornistra menażki idącego w przodzie towarzysza broni. W dodatku wskutek pośpiechu łańcuch idących rozciągał się nadmierne, tak że musiano zatrzymywać czoło kolumny, aby jej reszta mogła się doń dołączyć. Było to najgorszą z udręków, najbardziej bowiem tyłowe baterie i bataliony musiały co pewien czas przechodzić w klusa, żeby wypełnić otwierające się nagle przed nimi przerwy. Kiedy więc jeszcze oślepiające słońce wylupiło się spod widnokręgu i zaczęło bezlitośnie przypiekać w pochylone kariki oraz w spocone i obolałe od ciężarów plecy, raz wraz zaczęły się podnosić narzekania i lamenty wyczerpanych.

Paprosiński, jako oficer, miał ten przywilej, że nie potrzebował tłoczyć się środkiem drogi. Zależnie więc od tego, na jaką stronę wiatr zwiewał tumany kurzu, przechodził na lewo lub prawo idąc ponad rowami. Za nim postępował starszy sierżant Sołyszko, plutonowy Żyszkiewicz i — w pewnym oddaleniu — sierżant Dereń. Ten ostatni człapał swym rozkołysanym chodem kaczora, z rozpiętym płaszczem na grzbiecie i z opuszczoną nieco żółtosiną twarzą.

Podporucznik Ludomski i plutonowy Zajączkowski szli na czele kompanii. Paprosińskiego drażniła tylko ta

zbyt według niego przesadna obowiązkowość i demonstracyjna, jeśli nie zgoła demagogiczna, solidarność z podwładnymi.

— W jakim celu dręczyć się, kiedy można iść swobodnie? — powiedział z przekąsem odwracając się do Sołtyszki.

Ten uśmiechnął się z leciutką ironią i odrzekł jaskając się nieco, jak człowiek, który z trudem formułuje dawno przemyślaną prawdę :

— Bo Polacy, panie poruczniku, uznają jakiś dziwny nakaz niepotrzebnego cierpienia. Nazywa się to poświęceniem czy ofiarnością, ale zdaje się być raczej narzucone przez dość powszechną u nich zawiść.

Paprosiński obejrzał się z sympatycznym podziwem.

— Ma pan rację — przywodził z zapalem. — Przecież my stąd łatwiej nawet możemy czuwać nad kompanią niż porucznik Ludomski.

W rzeczywistości nie to było powodem jego postępowania. Znalazszy się w przywalonej ciężką chmurą pyłu ciżbie miał przeraźliwe uczucie zagrzebanego żywcem człowieka, a dusząco słodki zapach kurzu przyprawił go o mdłości.

Zresztą i tak cierpiał niewymownie wskutek potęgującego się bezlitośnie upału. Pot lał się zeń strumieniami. Zdjął rozpalony hełm, rozpiął zupełnie koszulkę na piersi i raz po raz ocierał rękawem parującą twarz tudzież czuprynę. Nic to wszelako nie pomagało : natychmiast z poparzonego od słońca czoła znów wytryskały mu nowe fontanny zalewając oczy i otwarte z pragnienia usta. W dodatku bolał go prażony słońcem kark oraz odparzenia między palcami u nóg i w pachwinach.

Ale na to wszystko nie było rady. Przede wszystkim więc skończył wreszcie tylekroć już zawodzące obliczenia, kiedy może nastąpić odpoczynek lub kiedy przynajmniej napotkają jaką wieś, gdzie by można było napić się wody. Nie rozglądał się też na strony, nie patrzył nawet przed siebie, tylko toczył wolno swój umęczony i zamglony od potu wzrok, niby koło naładowanej taczki, po oślepiająco białej ścieżynce, wijącej się wśród zakurzonej murawy, zręcznie wymijającej krzaki, drzewa i kamienie, wznoszącej się, to znów opadającej niespodzia-

nie... Kiedyś się to przecie skończy musi, a jeśli inni wytrzymują, dlaczegożby on nie potrafił?...

Niestety, nie wszyscy wytrzymywali. Coraz więcej żałosnych maruderów zalegało rowy. Byli to odparzeni, chorzy na krwawą biegunkę oraz łżej ranni, którzy pozostali w szeregach, ale teraz nie mogli już dłużej znosić trudów pochodu. Wielu płakało jak dzieci skarżąc się i lamentując. Niektórzy zaczepiali przejeżdżające baterie i tabory pokazując swe rany i żebrząc, żeby ich zabrać na wozy.

V

Rudajewski, granatowy ze zmęczenia, chlipiąc i pociągając nosem włókł się za Ludomskim.

— Panie poruczniku — skamlał — melduję, jako już dalej nie mogę iść, bo jestem ranny w głowę za pomocą odłamka od granaty.

Zniecierpliwiony oficer popatrzył na jego obandażowaną głowę i zabрызgany krwią kołnierz pociemniałej od potu koszulki.

— Zgłóście się do ambulansu — powiedział.

— Tak, do ambulansu. Jak poszedłem, to mi sanitariusz owinął łeb i kazał wracać do kompanii. A mnie huczy w uszach jak w diabelskim młynie — i w ogóle nie mogę już wcale chodzić, tak mnie kulasy bołą.

— Więc cóż ja na to wszystko poradzę?

— Po pierwsze, panie poruczniku, to ja wcale nie powinienem służyć w piechocie, bo mam płatus i bez to nie mogę maszerować...

Podporucznik Ludomski szarpnął się w tył w ostatniej pasji i targnął łopatkami, jakby usiłował rozwinąć nieistniejące skrzydła archanielskie:

— Do cholery! — ryknął. To zapiszcie się do sztabu generalnego albo do kolumny dezynfekcyjnej, ale po co mnie głowę zawracacie?

Rudajewski cofnął się przed tą furią i wrócił do

oddziału chlipiąc i łkając jak kapryśna kobieta po swej pierwszej sprzeczne z małżonkiem.

Nikt nie okazał mu współczucia, nikt nie odezwał się ani słowa. Kompania wlokła się rozmamłana, biała od kurzu i świecąca od potu, w zupełnym ośpieniu, jakie daje człowiekowi długotrwałe i beznadziejne cierpienie. Tylko Paprosiński nie odwracając głowy powiedział do postępującego za nim Sołyszki :

— Dziwna rzecz, jak wiele cech — zdawałoby się wrodzonych — zawdzięczamy kulturze. Kto by powiedział, że większość duchowych różnic między kobietą i mężczyzną wynika jedynie z umowy towarzyskiej czy z wzajemnych złudzeń, które w końcu stają się rzeczywistością? Dopiero wojna, uwalniając mężczyznę od bezustannej idealizującej obserwacji kobiecej, pokazuje, że histeria, śledziennictwo i płaczliwość, wady tak pobłażliwie pielęgnowane przez nas u płci pięknej, w tej samiućkiej mierze są udziałem i naszego rodzaju...

Sołyszko przyspieszył nieco kroku :

— Pan porucznik co mówił ?

Paprosiński obejrzał się, rozczarowany swym mimowiednym monologiem. Sierżant był tak zakurzony, że nawet brwi i rzęsy miał siwe jak oblepione popielatym szronem. Spod ledwie uchylonych powiek błyskały posiatkowane czerwono białka męczennika.

— Ten człowiek cierpi — stwierdził jakby niespodziewane odkrycie.

Cierpieli wszyscy. Kolumna rozciągała się coraz bardziej, coraz częściej też trzeba było doganiać czoło. Pochód jej przypominał wskutek tego falisty ruch pełzającej gąsiennicy czy dżdżownicy.

Droga biegła teraz po dość wysokiej grobli, pośród wyschłych moczarów, porośłych rozwichrzoną ostrą trawą. Na bokach nasypu coraz spotykało się zdechłe konie o wydętych jak banie białych od grubej warstwy kurzu brzuchach, sztywno wyciągniętych kopytach i czarnych, jak lakierowane guzy, wyschłych na słońcu ślepiach. Rojem z gniewnym brzęczeniem zrywały się z nich za zbliżeniem ludzi. Porzucone skrzynie od amunicji, wystrzelone łuski armatnie, nawet jakiś pogruchotany wóz z porąbanymi widocznie szprychami kół świadczyły wyraźnie,

że już dawniej przeciągała tu jedna z chmur burzy dziejowej.

— Jakaś dywizja szła tędy wczoraj — zauważył Sołyszko. — Nie można tylko poznać — nasza czy bolszewicka.

Ale teraz na Paprosińskiego z kolei przyszedł okres apatii.

— Aha — wykrztusił tylko.

W tej chwili na przodzie drogi odezwały się przeciągle okrzyki, ręce woźniców i jeźdźców zaczęły podnosić się coraz bliżej na kształt nieprzejrzanego szeregu semaforów kolejowych, idący zaczęli się tłoczyć i wpadać na siebie niby wagony zwalniającego pociągu towarowego, ustał pracowity szelest nóg, szczekanie broni i tarcz armatnich, skrzypienie uprząży i oporządzenia żołniergo — kolumna stanęła.

Nastąpiła cisza, że słysząc było tylko dalekie pogrzmyty dział i niemilkący klekot kulomiotów tylnych i bocznych czy nawet przednich straży. Kurz osiadał ciężkimi kłębami na prawym boku wykopu w niewielkiej fałdzie ziemnej, która trafiła się niby wysepka wśród olbrzymiej zatoki niskich łęgów.

— Co tam się znowu stało? — pytali niespokojnie oficerowie.

Żołnierze ze zwykłą obojętnością ludzi, za których myślą i martwią się inni, pokładli się na stokach, wsparci na tornistrach, z karabinami na brzuchach, z głowami odrzuconymi w tył. Niektórzy dobywali z chlebaków resztki białego i kwaśnego chleba z amerykańskiej mąki, wysączaali ostatnie krople wody z manierek lub palili papierosy. Zaczęły się skamlania i prośby mniej przezornych czy mniej wstrzemięźliwych, którzy zdążyli już poprzednio spożyć swoje zapasy. Nastąpiły targi i gorące obietnice.

VI

W pewnym miejscu pod kępą zakurzonych olszyn wszczął się ruch szczególny. Kupili się tam strzelcy niby gapie uliczni podczas wypadku. Paprosiński przysunął się również zaciekawiony. Gawiedź rozstała się przed nim z szacunkiem.

Nad rowem rozkrzyżowany szeroko leżał na wysokiej skarpie trup żołnierza w rozpiętej kurtce i onucach, bez czapki i butów. Był tak spuchnięty, że zamiast twarzy widać było tylko dwa wielkie żółtawe pęcherze silnie naciągniętej skóry policzków. Dawno niegolony zarost sterczał bardzo rzadkimi pojedynczymi włoskami. Zamiast oczu czerniały głębokie szparki. Gruba warstwa pyłu pokrywała go w całości, że wydawał się raczej nieudolnie wykonanym bałwanem kamiennym o jednolicie szarej barwie. Roje zniecierpliwionych much krążyły nad nim w oczekiwaniu, kiedy znów będą się mogły zabrać do przerwanej czynności składania jajeczek.

— Nasz czy bolszewik? — zapytał Paprosiński.

— Kiedy nie można poznać, panie poruczniku — odpowiedzieli najbliżej stojący.

— Nasz! — zawołał z triumfem plutonowy Zajączkowski. — Znać wężyki!

Rzeczywiście na kołnierzu poległego miękką powłoka kurzu układała się w pewne regularne zygzaki.

— Jakaś nasza dywizja przechodziła tędy wczoraj — utwierdził się w przekonaniu Paprosiński.

Otoczający nachylili się, aby sprawdzić dokonane odkrycie, gdy naraz zimny prąd przerażenia szarpnął ich nerwami. Nieboszczyk drgnął, uniósł się nieco ze sztywno rozpostartymi ramionami i sunął w dół błyskawicznie jak rozbudzony gad.

— Rany boskie! — wrzasnął ktoś nieładzko.

Okrzykowi zawtórował rechot Jagusiaka, który ukazał się z zarośli wyciągając spod trupa kolbę swego karabinu.

— Co za śmiechy urządzasz sobie, draniu jeden ? !
— ryknął nań Zajączkowski. — Nie widzisz, że pan porucznik tu stoi ? !

Jagusiak stropił się niezmiernie opuściwszy na piersi swój olbrzymi płowy łeb. Wszystkie oczy zwróciły się na Paprosińskiego w widocznym oczekiwaniu jakiegoś strasznego aktu sprawiedliwości z jego strony, ale ten przyglądał się delikwentowi ze swym zwykłym dobroduszniezagadkowym uśmiechem na ustach. Nie wiedział, jak właściwie powinien postąpić. Jagusiaka lubił szczególnie za niezmienną bez troską wesołość. Jeśli zaś chodziło o jego winę, to czymżeż była ona wobec zbrodni zabójstwa człowieka lub choćby porzucenia jego zwłok bez pogrzebu ?... A wszystko to było jedynie naturalnym następstwem pierwotnego grzechu ludzkości i w ogóle wszelkiego stworzenia, jakie napelnia ziemię — wojny.

— Przyjemnie by wam było, gdyby was tak kto poniewierał po śmierci ? — powiedział więc, aby coś powiedzieć.

Jagusiak pojął widocznie umyślną naiwność morału, bo podniósł natychmiast śmiało rozradowane oczy.

— Melduję, jako nie, panie poruczniku — korzył się skwapliwie.

Jego koledzy przyglądali mu się trącając się łokciami, śmiejąc się i ciesząc nie wiadomo z czego.

— Prawa wolna ! — podniosły się naraz wołania na wozach.

Przeciwnym rowem pędziła konnica.

Ułani mknęli jeden za drugim nie kończącym się sznurem. Postępujące konie tupotały pospiesznie po spalonej od słońca trawie. Migały szybko ich zakurzone i rozwarte od wędzideł pyski, wytarte i pozsychane buty jeźdźców, pogięte blaszane pochwy szabel, obłączne walki pozwijanych koców przy siodłach.. Różowe lampasy okrągłych czapek były zupełnie wyblakłe od słońca. Proporce u lanc przypominały bezbarwne ścierki. Karabiny podskakiwały na przepoconych grzbietach.

— Który pułk ? — goniły ich zwykłe pytania.

— Trzynasty.

Przeraźliwy smród odparzonych koni zawisł nad drogą.

Jezdni od dział robili głośno szydercze uwagi z wysokości swych siodeł.

— Nie ma co — śwarne chłopaki ! I o konie dbają !

— Mało kłóren swojego odparzył.

— A bo jak go dzieucha nie chciała wypuścić spod pierzyny to nie miał czasu się nim zająć.

Niektórzy przypominali sławny wjazd trzynastki wileńskiej do Mejszagoły na rumakach tak pokrytych parchami, że nie miały po prostu jednego włoska na skórze.

Piechota wołała :

— Te, ułan, oddaj lancę !

Ale wszystkie te docinki i prowokacje odbijały się od niezmiernie szybko przeciągającego łańcucha niby zerwane liście od boków pędzącego pociągu. Pułk brał pęd coraz większy. Długie rozwiane ogony i wyciągnięte niby dzioby bocianie szyje końskie migwały na przemian coraz nieuchwytniej. Wreszcie ostatni jeździec zamigotał w cwał białym zamkiem od karabina oraz przytroczoną do siodła menażką i została tylko złocista kurzawa, stojąca na rowem przezroczystą ścianą w oślepiającym blasku południa.

Znowu nastała cisza, tylko maszynki terkotały coraz spieszniej i coraz zajadlej.

I wtedy nie wiadomo skąd rozniosła się wieść, która kazała natychmiast zapomnieć o zmęczeniu, przywrócić powagę rozbawionym gromadom oraz prężność rozleniwionym odpoczynkiem członkom :

— Jesteśmy otoczeni !

Oficerowie i podoficerowie biegali zdenerwowani z rewolwerami w dłoniach.

— Powstać ! Bagnet na broń !

Kompanie w mig ustawiły się na drodze. Kolumna ruszyła wolno, zwarta, groźna i zjeżona srebrzystymi ostrzami bagnetów niby zarosła tatarakiem łacha rzeczna.

Rozkazy nie ustawały :

— Trzymać się swoich oddziałów ! Nie odłączać się od kolumny ! Uważać na komendy !

Do Paprosińskiego zbliżył się Żyszkiewicz.

— Podobno jakieś masy kozackie dostały się na nasze tyły — powiedział ze źle ukrywaną złośliwą radością.

— Co pan powie ? — zbył go zimno podporucznik.

— Słyszałem, jak dowódca pułku rozmawiał o tym z majorem Świderskim. Podobno ich wódz nazywa się Gaj-Chan.

Paprosiński roześmiał się z wyraźną drwiną.

— Pewnie pan podsłuchiwał jakiś kawał z czasów Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszchówny!

Żyszkiewicz usunął się zbity z tropu.

Wyżsi oficerowie objężdżali konno toczące się ciężko szeregi napominając spokojnym, nauczycielskim głosem:

— Chłopczy, będziemy się przebijać. Trzymajcie się mocno, a przede wszystkim — zimna krew. W razie spotkania z kozakami strzelać tylko na rozkaz. Nie wrywać się za wcześnie, nie spieszyć się, celować uważnie i pamiętać, że kawaleria jest groźna tylko dla uciekających. Jak najwięcej zimnej krwi. Zimna krew i jeszcze raz zimna krew.

Żołnierze słuchali tych wskazówek w zarozumiałym milczeniu doświadczonych rzemieślników, którzy aż nadto wiedzą, czego można się po nich spodziewać. Postępowali naprzód pewnie i zbrojnie, rozglądając się na boki.

VII

Jak okiem sięgnąć, pola roiły się od ciemnych figurek patroli i ubezpieczeń. Czasami wysunął się wysmukły pocąg baterii, migocącej w słońcu wytartymi z barwy ochronnej lufami dział. Obsługa kroczyła zawsze sznurem na zagrożonym boku z karabinami w rękach, aby w każdej chwili móc bronić armat przed zaskoczeniem.

W pewnej chwili, kiedy droga wspięła się na dość wyniosłe wzgórze, okrzyk wydobył się ze wszystkich piersi. Na lewo i prawo od kolumny marszowej ukazały się w słonecznych dalach dwie inne rzeki płaskich hełmów, niebieskich i płowych, z osłepiająco błyszczącym rojem stalowych iskier.

Po raz pierwszy żołnierze ujrzeli swoją dywizję w całej okazałości.

— Co narodu ! — wykrzyknął Piesik w najwyższym podziwie. — Jak te bolszewiki mogły ruszyć taką cholerną gromadę ?

— Jeżeli ich jest może parę razy tyle... — zauważył Sitarek w zamyśleniu, równie zapatrzony w rojące się w dali mrowiska.

Wszyscy podziwiali te nieprzejrzane strumienie leniwie płynącej lawy ludzkiej z rozsadzającym serca poczućmocy i bezpieczeństwa, jakie zawsze udziela się na widok zbrojnych i karnych mas. Z łatwością rozróżniano na odległość poszczególne oddziały, nawet kompanie bowiem różniły się niejednokrotnie pomiędzy sobą barwami i formą umundurowania. Obok szarych kurtek „z pokrzyw” łódzkiego wyrobu, zieleniały niemieckie i „wehrmachtowe”. Obok żółtych „frenczów” angielskich czy oliwkowych koszulek amerykańskich błękitniały mundury, jakie nosili żołnierze polscy we Francji. Podobnie, jeśli chodziło o nakrycia głów. Szare maciejówki widniały pośród zadzierzgotych rogatywek poznańskich, miękkich i bez daszków błazeńskich czapeczek hallerczyków, małych pierożków amerykańskich... Falowały zielonawe i niebieskie hełmy koalicyjne obok ciemnych baniastych saganów pruskich... Gdziekolwiek ukazywały się już pretensjonalne czapy oficerskie ostatniej mody z białymi tasiemkami na krzyż. Baterie różniły się umyślnie dobraną maścią koni.

W ten sposób robiono przegląd udzielając sobie nawzajem uwag i wiadomości.

Szedł więc najdzielniejszy i najbardziej zajadły pułk dwudziesty ósmy „Dzieci Łodzi”, „złego miasta”, gdzie zaborca nigdy nie mógł zasnąć spokojnie ani zdjąć palca z bezpiecznika swej broni. O jednym z jego batalionów złożonym w większości z „antków” bałuckich krążyły legendy, że podczas walki na białą broń pod Lwowem nie nakładał bagnetów na karabiny, tylko chwycił je w garść jak noże... Szedł dwudziesty dziewiąty kaliski ze swoim bohaterskim dowódcą młodzieńskim majorem Walterem na czele... Szedł trzydziesty sieradzki... Szedł trzydziesty pierwszy... Szły zdziesiątkowane i pokrwawione pułki poznańskie, które schroniły się pod opiekę niezwyciężonej dywizji...

Naraz pełen przerażenia okrzyk w szeregach przerwał ten homerycki przegląd :

— Rany boskie ! co to ?

— Gdzie ? gdzie ?

— Na niebie !

Zaczęto podnosić głowy — i groza powiała wzdłuż kolumny, która jeła się płatać, tłoczyć, aż wreszcie stanęła.

Ponad czerniącą się na widnokręgu palisadą boru przyległa ciemnoruda rozbłyskana setką błyskawic chmura, a wysoko ponad nią wisiała jakaś bezpromienna kula, mieniąca się straszliwą barwą krwawej cuchnącej ropy. Było to słońce, a raczej jego trup, jaki według przepowiedni miał się ukazać w dniu sądu ostatecznego.

— Co to się dzieje ? — pytano się wzajemnie.

Nikt nie umiał odpowiedzieć. Nie było to zaćmienie, nie był to choćby najdziwaczniejszy zachód o tak wczesnej godzinie, nie był też chyba jakiś niesamowitej barwy a niewidoczny obłok...

Daleki klekot karabinów maszynowych stawał się coraz śpieszniejszy i coraz bardziej rozpaczliwy...

Jakiś wywiadowca pędził galopem wzdłuż znieruchomiałej kolumny. Miał zupełnie rozpiętą koszulkę, rozerwaną podpinke u rogatywki, otwarte grube usta i świecącą od potu amarantową twarz. Jego chudy koń o wyrudziałej czarnej sierści stękał głęboko i paraskał gubiąc miękkie białe płaty piany.

Podporucznik Paprosiński zabiegł mu drogę z rozkrzyżowanymi rękami.

— Stój ! stój ! — krzyczał. — Co tam się stało ?

Jeździec zahamował tak gwałtownie, że aż padł na grzywę swojego wierzchowca. Potem spojrzał na oficera przekrwionym wzrokiem obłąkańca, wreszcie poderwał się w strzemionach jak śmignięty batem, wyprostował wysoko niby herold ogłaszający rozkaz królewski i zaczął krzyczeć przeraźliwym głosem człowieka wzywającego pomocy dla swej napadniętej przez zbójów rodziny :

— Głębokie spalone !... wszystkie tabory wysiekane do nogi !... cała armia kozacka idzie na nasze tyły !...

W tej chwili kolumna dźwignęła się znowu, cicha, spokojna i skupiona w jedną machinę śmierci, zjeżoną tyśiącami morderczych noży. Paprosiński również uczuł spokój w swoim sercu. Co mogło przyjść najgorszego, już przyszło — i oto patrzy w jego oczy w całej potędze grozy. Trzeba więc wyjść na jego spotkanie.

Hardo spojrział w twarz nadciągającej burzy, która omiatała swe boki smagnięciami piorunów niby uderzeniami ogona szykującego się do skoku tygrysa. Zagasłe słońce mieniło się nad nią brunatnymi blaskami na kształt bezrzesnej źrenicy rozwścieczonego drapieżnika. Paprosińskiego jednak przestało już niepokoić i to zjawisko. Wiedział, co oznaczało.

Płonęły lasy.

VIII

Dywizja posuwała się w ten sposób jeszcze parę wiorst, aż do wsi Mosarza.

Robiło się coraz bardziej parno i gorąco. Ludzie pławili się w pocie, który mimo porozpinanych do ostateczności koszul nie wysychał już zupełnie w przesyconym wilgocią powietrzu. Czuli się tak, jakby w ubraniu weszli do silnie ogrzanej łaźni. Coraz częstsze były odparzenia nóg i pośladków. A przy tym wszystkim ani na chwilę nie opadał kurz, potęgowany jeszcze przez przelatujące raz po raz bokami baterie, oddziały ułanów i konnych wywiadowców.

Coraz nowe rozkazy przebiegały z ust do ust wzdłuż posuwającej się kolumny :

— Piechota w tył — artyleria naprzód !

— Tabory naprzód !

— Lewa wolna ! Kompania techniczna naprzód !

Na drodze kotłowało się bezustannie wśród ciężkiego kurzu, wiszącego nieruchomo niby sucha i dusząca mgła. Co pewien czas od czoła kolumny ku jej tyłowi jeżył się grzebień rąk oficerów, wywiadowców i woźniców, podnoszonych na znak, że droga została zatarasowana, i łańcuch wozów zatrzymywał się wśród przekleństw i kłótni, aby za minutę ruszyć w dalszy pochód.

Wśród tej męki chaosu wróciło dawne rozprężenie. Rowy gościńca roily się od maruderów, poprawiających owijki, opatrujących odparzone stopy, pijących wodę z niezupełnie wyschłych kałuż, a najczęściej chorujących na krwawą biegunkę, która wybuchła we wszystkich oddzia-

łach naraz, równocześnie z rozpoczętym odwrotem. Spoza krzaków przydrożnych wszędzie wyglądały twarze wyniszczone chorobą i pobladłe, a szeroko otwarte oczy ścigały cofającą się kolumnę pełnym niepokojem spojrzeniem zwierząt, które czują się zupełnie bezbronne podczas załatwiania swych potrzeb życiowych.

W Mosarzu kolumna zatrzymała się ostatecznie.

Wioska siedziała na piaszczystym wzgórzu za błękitnym jeziorem, rozlewającym się w kształt olbrzymiej kałuży wśród ciemno zielonych moczarów. Znużeni żołnierze próbowali po drodze znaleźć w nim ochłodę, ale dostępu do brzegów broniły trzęsawiska. Musiano więc zadowolić się paru łykami cuchnącej błotem wody z samotnej studzienki sterczącej pośród podmokłej łąki.

Bataliony, baterie i tabory stłoczyły się wśród labiryntu szarych zabudowań. Zrobiło się tak tłoczno, że wozy wjeżdżały na siebie. Zerwały się kłótnie, klątwy i wrzaski :

— Jadź ! jadź ! cholero ! Jadź ! jadź ! pierunie !

Pozbawieni zwykłego posiłku żołnierze plądrowali po ubogich chałupach. Raz wraz rozlegał się huk wystrzałów do wypłoszonych z jakiego chlewika owiec czy prosiaków. Wyżsi oficerowie kręcili się na koniach spoceni i wściekli. Ale o stworzeniu jakiegokolwiek porządku nie było mowy. Jedynie tylne straże dywizji w ciszy i karności okopywały się przezornie na stoku wzgórza nad śpiącym nieruchomo jeziorem.

Paprosiński, wciśnięty wraz z kompanią w jakiś zaułek, patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczyma.

Miał tragiczne przeświadczenie myśliciela, że on jeden jedyny jasno i dokładnie ocenia położenie. Bolszewicy musieli już okrążyć dywizję z trzech stron, a teraz z czwartej zaszła jej drogę armia kozacka. Dochodzące poprzez zgiełk dalekie postukiwanie armat i klekot kulomiotów świadczyły, że musiało już nastąpić spotkanie się obu przednich straży. Tu więc, nie gdzie indziej, powinna nastąpić zagłada.

Nie zaskoczyły go też nowe rozkazy dalszego marszu, które znów zamieniły w regularne wojsko rozwrzeszczaną hałastrę rabusiów. W odrętwieniu wydostał się wraz z kompanią na drugi koniec osiedla.

Na prawo i lewo od drogi ciągnęły się piaszczyste rżyska i ugory, pokryte rzadkimi plackami mizernej trawy.

Spływały one ku dymiącym już wyraźnie lasom i dolinom. Na tle czarnej chmury, zalegającej niebo po południu, tworzyły one niesamowity trupio blade krajobraz królestwa Grozy.

W prawej stronie widnokregu bieleły jakieś zabudowania. Po pagórkach snuły się tyralierki. Na ołowianym niebie błyskały nikłe gwiazdki szrapneli. Po polach snuły się węże samotnych baterii. Na drodze jak okiem sięgnąć tłoczyły się bezradne tabory.

Drugi batalion zatrzymał się na rżysku obok baterii polowej, na gwałt ustawiającej swoje działa w kierunku nadciągającej burzy. Jej dowódca, porucznik z jasnymi baczkami, którego Paprosiński już był raz widział podczas huraganowego ognia na szosie do Łużek, rozmawiał z siedzącym na koniu krótkim i grubym kapitanem o niebieskiej cerze apoplektyka. Przed oczyma obaj trzymali mapniki.

— Jeszcze jedno, panie kapitanie — mówił porucznik w widocznym zdenerwowaniu. — Ta wioska na prawo — nasza czy bolszewicka ?

Grubas westchnął głęboko, jak człowiek, którego zapas cierpliwości jest już na wyczerpaniu.

— Właśnie o nią walczy nasza piechota.

— A ten las, płonący przed nami ?

— Stamtąd właśnie wyjdzie na pana kawaleria nieprzyjacielska.

— No, a ten wawóz, z tyłu ?

— Tam właśnie miały być widziane przed chwilą patrole kozackie.

— A ta wioska w wawozie ?

— Mówilem panu przecież, do cholery, że powinien być w niej jeszcze jakiś szwadron trzynastki !

— Tak jest, panie kapitanie.

— No, to zrozumiał pan nareszcie ?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Więc czegoż pan jeszcze czeka ?

Artylerzysta zasalutował z miną obrażoną i odszedł do swej baterii.

Spojrzał jeszcze na drogę, gdzie panowało piekło. Wozy tłoczyły się, płatały i piętrzyły wśród przekleństw i wrzasku. Oficerowie przepychali się przez ciżbę bezradni i zrozpaczeni nawołując ochryplymi głosami.

— Lewa wolna ! — ryczała jakaś ciężka bateria, usiłująca wydostać się ze wsi.

Od czoła niebo czerniało coraz okropniej. Burza zbliżała się coraz bardziej. Dwa granaty pękły z głuchym łoskotem nad samą drogą. Widocznie bolszewicy zdążyli już ustawić swoją artylerię.

— Klęska — powtórzył w duchu Paprosiński.

I w tejże chwili ucichły wszelkie wrzaski, nawoływania i klątwy. Droga znieruchomiała jak pełna wirów rzeka, ścięta mrozem w jednym mgnieniu oka.

Na pagórku pod Mosarzem ukazał się orszak konny, stąpający wolno. Na jego czele jechał pełen powagi mąż w oliwkowej furazerce i koszulce bez odznak. Miał rozczochraną brodę człowieka znękanego i pochylone czoło myśliciela. Puścił wolno cugle swego konia, który mimochodem skubał pozostawione na rżysku kłosa.

Za nim sunęli oficerowie ściągając co chwila wędzidła swych wierzchowców, aby żaden z nich nie ważył się wyprzedzić wodza.

A ów mąż stąpał zamyślony, obojętny na wszystko, co się wokół działo, jak gdyby nic na świecie nie było warte jego spojrzenia i ciężkiej, ważnej myśli.

— Żeligowski — pomyślał Paprosiński.

I w tymże momencie niezmierny podziw zawierał mu w nosie i przemknął rozkosznym dreszczem po czole i czaszce. Oto ujrzał, jak z gęstwy taborów, stłoczonych na drodze, zaczął się wysnuwać, niby nic z motka, regularny łańcuch wozów, który zaczął zajeżdżać szerokim na kilometr łukiem na rozległą równinę, ścielącą się po prawej stronie gościńca. Niby urzeczony patrzył, jak wśród turkotu i chrzęstu furgony stawały obok siebie, koło przy kole, buda przy budzie, tworząc olbrzymi czworobok; jak z luk między nimi wyjrzały na wszystkie strony świata odkapturzone i szeroko rozwarte paszcze ciężkich baterij...

Spojrzał w lewo i zobaczył, że po zboczach wzniesienia, na którym się znajdował, lecą, niby na skrzydłach, baterie polowe w rozwiniętych szykach; że rozbijają się na dzwona i zawijają w miejscu ogonami błyskawicznie odczepianych dział; że zaczynają błyskać pośpiesznie szerokimi jezorami białych ogni ku zadymionym lasom... Widział także, iż wszystkimi granicami i miedzami suną pochylone do ziemi łańcuchy strzelców, że rozlatują się naraz

w nieogarnione wzrokiem tyralierki i że pną się na coraz dalsze wzgórza wśród pióropuszków pękających nad nimi szrapneli... Nie spostrzegł się nawet, jak i jego porwał ten wir odśrodkowy, jaki począł miotać batalionami i bateriami na wszystkie strony od Mosarza. Nie pamiętał już o zmęczeniu i niedawnej rozpacz, tylko parł naprzód, prężny i radosny, z piersiami pełnymi nieznanej dotychczas radości.

— Zdaje się, że nasz Dziad myśli z tymi naszymi dorożkami naśladować hetmana Żółkiewskiego czy innego starożytnego Polaka — zaśmiał się doń całym gardłem biegnący obok Ludomski.

Paprosiński nie odpowiedział, ale czuł na pewno, że choćby zginął, choćby całe ciało jego zgniło i rozpadło się w proch, to jeszcze przez wieki będzie marzył w swojej namiętności i zwiędzłej czaszce, jak to Dziad-Zeligowski zawinął gniewnie swoją dywizją, gdy mu pod Mosarzem zaskoczyły drogę kozackie watahy Gaja.

IX

Paprosiński nie brał w bitwie czynnego udziału, jego kompania bowiem pozostała w odwodzie, przeznaczona na osłonę baterii polowej tej samej, z którą Paprosiński cofał się spod Sielca i przy której podsłuchiwał był przed chwilą rozmowę jej dowódcy z konnym kapitanem.

Bateria zaraz po tej rozmowie otrzymała rozkaz zajęcia nowego stanowiska ogniowego na prawo od wąwozu, w którym leżała ukryta wioska.

Nim Paprosiński zdążył się spostrzec, już zerwała się ona w pełnym galopie, zawinęła zaprzęgami tuż nad wąwozem i zaczęła błyskać strzałami wśród nieprzerwanego krzyku komend, złączonych w jedną monotonną tyradę :

— Bateria stój — w lewo odczep — do boju — cel pomocniczy : krzyż w parowie przed nami — krąg : zero — bęben : sto — celownik : tysiąc dwieście — szrapnelami — poprawiacz : osiemnaście — pierwsze działo — ognia !

— Zmniejszyć celownik o dwieście — bateria — trzy pociski — kośba podwójna — w lewo !...

Jednocześnie w różnych od niej kierunkach pędzili na przelaj przez pola piesi i konni telefoniści z ogromnymi szpulami rozwijającego się drutu na plecach. Inni, klękawszy ciasnym kręgiem poza działami, zwilżali moczem ziemię, aby uziemić centralę.

Tymczasem, póki nie nawiązano łączności, punkt obserwacyjny urządzono na przodkarze, na której stanął jeden z podoficerów z lornetą przy oczach.

Kompania leżała beczynn timer obok działobitni przypatrząc się równej, spokojnej, choć błyskawicznie szybkiej pracy obsługi.

Naraz wśród strzelców powstało podniecenie. Z lasu naprzeciw wyskoczyła szeroka nawała jeźdźców niby pas zarośli porwanych huraganem. Iskierki szabel błyskały nad nią jak bryzgi piany nad falą morską. Aż do baterii dochodził zgiełk i kwik szarżującej watahy.

Prawie równocześnie jednak nad głowami cwałującego kozactwa zakłębił się wieniec szrapneli i fala odpłynęła równie szybko, jak się była ukazała.

Nim jednak artylerzyści zdążyli zdać sobie sprawę ze swego zwycięstwa — tłuszcza wracała już z lasu, sformowana na nowo, żeby znowu pierzchnąć przy pierwszych błyskach śmiercionośnych obłoczków.

Na świecie ściemniło się, jakby ciężki zmrok zapadał. Nagły wichur zasłonił widnokrąg tumanami piasku i śmieci. Coraz gęstsze błyskawice oślepiały ludzi zielonymi błyskami.

Bateria pracowała coraz zacieklej. Na wioskę w wozie szły szarże, jedne po drugich.

Wtem pośród strzelców znowu zerwały się krzyki. Z tyłu baterii, na polach poblądłych od nadciągającej burzy, zaczerniła się nowa ściana galopującej watahy. Nim zdolano obrócić w jej stronę karabiny maszynowe, ława rozleciała się na cztery grupki, zaryła się w miejscu i błysnęła groźnymi płomykami.

Metalowy świst przewiercił niebo i obłoki szrapneli zakłębiły się nad polską baterią.

Oficer, dowodzący nią, obrócił się w stronę nowego niebezpieczeństwa i zawołał donośnie :

— Obrócić pierwszy pluton w kierunku baterii nieprzyjacielskiej !

Obsługa rzuciła się do dwóch prawoskrzydłowych armat i wczepiwszy się w szczeble wysokich kół jęła wyciągać je z ziemi.

Szło to niezmiernie ciężko, działa bowiem wskutek wstrząsów przy strzałach zaryły się głęboko w sypkiej ziemi. Kanonierzy kładli się niemal na rzysku wpijając obcas w piasek.

Tymczasem nad ich głowami ciągle świergotały i pękały w kłębach dymu kozackie szrapnele.

Szerokogęby plutonowy o odstających uszach komenderował pchając jedno z dział za tarczę :

— No, chłopcy, dla ojczyzny ! Hoop-siup !

Zaczął kropić gruby ciężki deszcz.

Pluton zajął wreszcie nowe stanowisko, rozkraczył się potężnie, pochylił łby wylotów i ryknął targając lufami w tył i naprzód.

Paprosiński patrzył na ten pojedynek armat z oddechem zapartym od jakiegoś dzikiego, żywiołowego zadowolenia. Tak musiało wyglądać w czasach Grunwaldu, gdy żelazny rycerz gromiący lichy zbrojną i płochliwą zgraję ciurów zobaczył naraz jej pana, równie jak on zbrojnego rycerza...

Potoki deszczu zatopiły świat mętnym szklivem. Szeregi błyskawic zlały się w jedną drgającą lunę zielonawego światła. Całe salwy piorunów biły z suchym traskiem w broniącą się baterię padając jeden za drugim tuż przed wylotami dział po każdym wystrzale w wytworzoną przez pociski próżnię. Zwijający się jak w ukropie kanonierzy położyli uszy po sobie. Zdawało się, że Bóg rzeczywiście — według cynicznego powiedzenia Fryderyka Wielkiego — stanął po stronie silniejszych batalionów i niby okrutny Assur czy Ares ryczący rzucił całą swoją potęgę na otoczoną działobitnię, żeby pomóc ją zniszczyć atakującym bolszewikom.

Ale ta trwała. Jej cztery armaty, odwrócone ogonami do siebie, tworzyły jakby czworobok plujący ogniem na wszystkie strony. Na przodkarze między nimi stało teraz plecami do siebie dwóch obserwatorów, lornetujących wroga na obie strony. A działa huczały; niby uwiązane

brytany targały się w tył i naprzód; ryły ziemię na kształt walczących byków...

Najszybciej skończył się pojedynek armat. Kozacka bateria tylko przez kilka minut zdołała wytrzymać ogień dwóch siedemdziesiątek piątek francuskich. Po paru celniejszych wystrzałach jej oficer zaczął tańczyć wokół swego spłoszonego konia z lewą nogą uwięzioną w strzemieniu. Reszta obsługi uznała to za hasło do odwrotu. Nim jednak zdążono zaczepić działa, już jeden zaprzęg zwałił się na ziemię od bliskiego wybuchu. W obłąkanym pośpiechu popodnoszono zestrachane konie i cała bateria znikła, jakby ją wiatr zdmuchnął.

Z innej strony działobitni wszystkie szarże kozackie zwiły się w ogniu drugiego plutonu i zawracały do lasu na kształt gromad płoszonych wystrzałami wróbli.

Aż wreszcie zapadająca noc, purpurowa od szerokiego wieńca pożarów, położyła koniec tym zapasom.

Dywizja dźwignęła się ciężko niby śmiertelnie znudzony koń i ruszyła wolno rozmytymi przez burzę drogami na kształt pociągu pancernego, który przedziera się przez linie bojowe bezsilnej wobec niego piechoty.

Nikt jej już nie śmiał zaczepić.

NA UBEZPIECZENIU

I

Lewa strona nieba krwawiła już szeroko od suchego i przesyconego chłodnym kurzem świtu, gdy kolumna po kilkunastogodzinnym marszu zatrzymała się wreszcie na odpoczynek pod wsią Sawicze.

Żołnierze zwalili się, jak który stał, na spieczoną od słońca i pokrytą grubą warstwą pyłu łąkę rozkładając się na kształt trupów z półotwartymi oczami i ustami. Nikt nie myślał o wyszukaniu słomy na spóźniony nocleg, nikt nie zdjął rozpalonego obuwia, nie odwinął przepoconych onuczek z odparzonych nóg, nie przepłukał zawałonego smrodliwym prochem gardła... Nie było namiotów ni ognisk na tym ponurym biwaku. Zmęczenie wszystkich doszło do ostatecznych granic zwierzęcej wytrzymałości. Strzelcy nie spali nawet, tylko zapadali w stan pewnego rodzaju odrętwienia, jakby po otrzymaniu śmiertelnej rany. I leżeli tak nieprzejrzaną gromadą spodłałych wojowników, w których zamarła już szlachetna nadzieja zwycięstwa, a pozostało nikczemne marzenie o śmierci, jedynej wybawicielce z nadludzkich trudów bojowych. Tylko w znoju wojny mogło powstać pojęcie zagłady jako wiecznego spoczynku.

Nie upłynęło chyba nawet pół godziny od chwili przerwania pochodu, gdy do leżącego jak bez duszy Ludomskiego przybiegł łącznik z rozkazem zajęcia wioski Michnicz, w okolicy której mogli kręcić się kozacy.

Podporucznik siedząc na ziemi długo kiwał się nad napisaną ołówkiem kartką zasypiając kilkakrotnie w cza-

sie czytania, nim pojał treść zlecenia. Z niesłychanym wysiłkiem wyciągnął spod siebie wiszącą na biodrze mapkę i równie ospale, ocykając się na krótkie jedynie momenty, szukał wymienionej w rozkazie nazwy. Wreszcie znalazł coś podobnie brzmiącego i zerwał się gwałtownie, jakby udało mu się uchwycić niespodzianie przelotny moment przyływu woli.

— Siódma kompania maszerować — oznajmił niby mało interesującą nowinę i nie czekając na skutek swej komendy powlókł się ciężko ku drodze.

Staął tam, rozkraczony szeroko, z opuszczoną głową, z zamkniętymi oczyma, i zaczął drzemać oddychając głośno i głęboko oraz kiwając się jak pijany.

Minęła dobra chwila, zanim kompania zaczęła się poruszać.

Najpierw dźwignął się Paprosiński, za nim Piesik, Zajączkowski, Żyszkiewicz... Gramolili się na niską groblę i zasypiali natychmiast obok swego dowódcy. Trwało to wszystko co najmniej trzy minuty. Wreszcie Ludomski przebudził się znowu, objął sennym wzrokiem ustawiony oddział i nie zważając na kilku ociągających się jeszcze i zarzucających plecaki powiedział nosowym wskutek rozespania głosem ?

— Drugi pluton pójdzie ze mną zaraz. Pan porucznik Paprosiński zaczeka na karabin maszynowy, który ma tu nadejść, i wyruszy również w odległości wzrokowej.

Wymieniony zastęp dźwigał się z wysiłkiem śpiąc w dalszym ciągu.

Paprosiński otworzył szeroko piekące od bezsenności oczy i rozejrzał się wokoło. Oświeciła go nagła myśl, że przeżył wszystko, na co stać było jego fizyczny organizm, mózg, nerwy i wolę i że porusza się jeszcze jedynie na podstawie prawa bezwładności, dzięki popędowi, który już dawno przestał w nim działać.

— Przede mną może być tylko śmierć — pomyślał i był z tego prawie zadowolony.

Rozumował bowiem, że jeśli życie na ziemi jest okresem próby dla duchów, które Bóg zsyła z innego świata i od których potem wymaga sprawozdania na kształt ewangelicznego pana rozliczającego się ze sługami z powierzonych im talentów — to on może być spokojny, wyczerpał

przecie wszystkie możliwości z instrumentu cielesnego, jaki mu był dany.

— Błogosławiona wojna — dumał — bo tylko na niej ma się sposobność poznać granice swego ducha i zepchnąć w parę miesięcy żywot, który inaczej włóklby się z pół wieku może.

Snując te rozważania, dziwił się sam sobie, że nie znajdował w nich ironii. Rozglądał się przy tym ciągle, jak człowiek, który znalazłszy się w nieznanej okolicy usiłuje ją sobie zapamiętać, aby móc trafić do niej z powrotem; albo też jakby chciał czym prędzej wyczerpać do reszty ten zapas zdolności do wrażeń, jaki mu jeszcze pozostał.

Na lewo od niego amarantowa łuna świtu, okolona złocistym półpierscieniem światłości, wspinała się zwycięsko na coraz bardziej blednący błękit chłodnego i surowego nieba. Fioletowe smugi niby ostatnie strzępy śmiertelnego całunu zmartwychwstającego dnia spływały nad tą otwierającą się krainą jasności, ciężkie, obce i ponure jak wydłużone balony wojenne uciekające sponad nieprzyjacielskich posiadłości.

Różany blask sunął po zamroczonej ziemi malując po drodze wszystkie napotkane przedmioty. Krzaki, drzewa, kamienie, bruzdy przypominały świeżo ustawione dekoracje teatralne. Jak i one miały teraz dwie strony. Jedną, rumianą, obracały ku wschodowi — drugą, ciemną, chowały za sobą. Na kształt drewnianych podpórek czerniały za nimi ich długie i wąskie cienie.

Droga zstępowała ku rzeczce, która srebrzyła się z lekka przymglona a nietknięta jeszcze promieniami zorzy. Tylko skupiona w parowie siną gromadą wioska miała czubki drzew i kominów zaróżowione pierwszą jej falą.

Oddziałek Ludomskiego odpływał szary i cichy w błękitną senność wczesnego poranka nie mącąc niczym harmonii barw i uroczystej nieruchomej ciszy.

Paprosiński patrzył za nim śpiąc jak wszystko dokoła, tylko że z otwartymi oczyma i świadomością. Melancholia leciutka, niby ostatnie mgiełki nad wodą, jeszcze otulała mu serce.

Początkowo nie wiedział, skąd się wzięła, dopiero w miarę ocykania się z drzemki, która stopniowo ustępowała z jego kości i głowy, przypomniawszy sobie, że źródłem

jej był sen, jaki przeżył przed chwilą. Śnił mu się nieboszczyk kaprał Górny. Szedł drogą ku wsi i zatrzymał się obok niego. Ale nie spojrzał nań zupełnie. Jego oczy utkwione były w dal, jak oczy człowieka, który już dawno przestał się interesować otaczającym go światem.

Paprosińskiego zdumiało to widzenie. Nawet przez sen pamiętał, że kaprał zginął nad Autą jeszcze przed przełamaniem frontu. Powstał więc i przysunął się ku stojącemu, aby przyrzeć mu się z bliska. Nieboszczyk nawet teraz nie obejrzał się na niego. Paprosiński miał tuż przed oczyma jego policzek, ucho i przyszyty jasny wąsik. Widział je tak dokładnie, że rozróżniał poszczególne włoski zarostu oraz pory w skórze — jakby patrzył przez szkło powiększające. Gdy Górny nadal nie zwracał nań uwagi, obrócił wzrok w stronę, w którą on spoglądał. Ku swojemu zdumieniu zamiast spodziewanego widoku wioski i rzeczutki zobaczył zupełnie obcy krajobraz, oglądany w dodatku jakby z wysokiej góry. Były tam ostre grzbieńce czerwonych skał, krzyżujące się głębokie doliny, kręte strumienie, kaskady i przepaście jak na tłach starych włoskich portretów.

Nagle Górny, ciągle pochłonięty tym zjawiskiem, odezwał się spokojnie :

— Musimy iść do kompanii.

Paprosiński chciał odpowiedzieć, że kompania znajduje się przecie tuż za nimi, ale niesamowity nastrój, jaki go opanował, nie pozwolił mu ust otworzyć. Poszedł więc posłusznie za kapralem.

Posuwali się niezmiernie szybko i lekko. Zwłaszcza ta lekkość dziwiła Paprosińskiego. Przywiodła mu nawet myśl, że mógłby fruwać. Nim się nad tym zdołał zastanowić — zaczął unosić się nisko nad ziemią. Płynął tak coraz prędzej i coraz wyżej ponad nieznanymi krainami, aż ocknął się sam wśród niezmierzonej łąki, a raczej wyschłych moczarów, usianych kępami pożółkłych ostrych traw. Kępy te miały kształt maleńkich kopulek i rozciągały się w nieskończoność w równomiernych odstępach jak deseń olbrzymiego dywanu. Oko gubiło się w tych przestrzeniach nie znajdując żadnego oparcia. Budziło to niezmiernie bolesną tęsknotę, tęsknotę zabłąkanego dziecka.

Naraz znów zobaczył przed sobą Górnego. Tym razem nieboszczyk patrzył nań uporczywie niezmiernie su-

rowym wzrokiem. Nie wiadomo dlaczego Paprosiński zorientował się, że jest na „tamtym” świecie.

— Czy ja już umarłem? — zapytał.

— Tak — odrzekło groźnie widziadło. — Cała kompania musi zginąć za to, że dopuściła do mojej śmierci.

Wtedy Paprosińskiego ogarnęła nieutulona żałość skazańca, ostateczny nieogarniony smutek cieni elizejskich. Obudził się, lecz nastrój pozostał. Wywnioskował z tego, że był to sen proroczy. Nie poprawiło mu to humoru. Słyszał bowiem, że pojawienie się we śnie osoby nie żyjącej, która zabiera śpiącego z sobą, oznacza bliską śmierć. Dotychczas nie wierzył w podobne przesady, teraz jednak nie wątpił, że jest to ostatni poranek, jaki ogląda w życiu. Roztkliwiło go to tak, aż łzy zaczęły mu się kręcić w wyschłych i swędzących oczach.

Przypominał sobie, że od kilku tygodni nie był ani razu pod dachem, że zapomniał już, jak się sypia w łóżku i w czystej bieliźnie, że od wielu dni nie zdejmował nawet butów. Wydawało mu się potworną niesprawiedliwością losu, że ma ukończyć tę ziemską wędrówkę nie zaznawszy już ani przez jeden dzień rozkosznego życia na tyłach, gdzie zawsze robi się tylko to, na co się ma ochotę, gdzie nikt nie zmusza człowieka do śmiertelnych wysiłków i nie strzela doń, gdy ten ma nieostrożność wychylenia się na otwartą przestrzeń.

Wspomnienia podobnych warunków bytu były tak odległe, że aż nieprawdopodobne. Jak to? Więc istniał czas, gdy nie wiedział, co to senność, głód i strach? Gdy nigdy nie czuł tak strasznego zmęczenia jak teraz? Gdy nigdy nie gryzły go nieodstępne dzisiaj wszy? Gdy — o rozkoszy — co dzień wieczorem kładł się do czystego łóżka i jeśli zmuszał się do czuwania, to tylko dla osiągnięcia większej sumy przyjemności w wesołym towarzystwie lub przy czytaniu zajmującej książki?... Owszem, był taki czas, ale już nigdy nie wróci. Cokolwiek bowiem znajdzie po tamtej stronie grobu, nie będzie to już to, do czego tęskniło jego serce.

Rozrzewniał się coraz bardziej, chociaż zarazem zdawał sobie sprawę, jak bardzo schamiały jego tęsknoty i marzenia.

— Wojna stanowczo nie wpływa na większe uduchowienie człowieka — zauważył drwiąco.

W tej chwili przyskoczył doń Piesik tak żwawo, jakby nic nie słyszał o kilku dobach bezustannych bojów i pochodów. Stuknął obcasami, zasalutował sprężysto i zraportował z przejęciem :

— Panie poruczniku, starszy strzelec Piesik melduje, jako przydzielony do naszej kompanii kulomiot już nadciąga.

Zasalutował ponownie, zrobił w tył zwrot i odszedł krokiem ćwiczebnym głośno człapiąc całkowicie rozlazłymi butami. Widać było, że jest zupełnie zadowolony z dobrze odegranej roli żołnierza, jaką narzucał mu jego los.

Paprosiński patrzył za nim, jakby dopiero rozbudzony. Teraz dopiero spostrzegł, że był on niesłychanie oberwany, zarośnięty na twarzy i zakurzony, że reszta plutonu wygląda bodaj jeszcze gorzej. Paru zaledwie miało buty na nogach, tak zresztą podarte, iż noszone były chyba wyłącznie jako szczegół mody. Co do Hajdusia, to ten nie miał nawet spodni, które zastępowały mu zakurzone do niepoznania gacie, ozdobione postrzępionymi owijkami przy bosych zupełnie stopach.

— W jakim celu w takich warunkach odgrywać jeszcze komedię wojskowości ? — zapytał się w zdumieniu.

„Totus mundus agit histrionem” — przypomniał sobie naraz w odpowiedzi hasło teatru Szekspira i oświeciła go nagle myśl :

Tak jest. Cały świat gra komedię. Bohaterstwo czy poświęcenie jest tylko zręcznym odegraniem wyuczonej przedtem roli. Człowiek jest takim, jaką maskę przywdzieje przed wejściem na scenę życia. To, co pod maską, jest tylko cuchnącą kloaką instynktów, pożądań i wiecznego lęku. Wobec tego należy i mnie odegrać jak najprawdopodobniej rolę oficera, jaką lekkomyślnie przyjąłem.

Objął wzrokiem stojącą obok niego i drzemiącą gromadkę swojego plutonu, a stwierdziwszy, że wzdłuż linii uśpionego nad drogą pułku rzeczywiście ciągnie kilku żołnierzy, dźwigających podłużny kształt karabinu maszynowego, przeciągnął się i powiedział rozgłośnie :

— W takim razie ruszamy.

II

Droga spływała ku wsi, która bezładną czeredą wypełniała dno parowu, przecinała ją w połowie i szerokim żółtym wachlarzem wyżłobionych w mokrym piasku kolein wpadała do rzeki, mającej widocznie bród w tym miejscu.

Ale oddział Paprosińskiego skrzył opłotkami na prawo odnogą gościńca, ciągnącą się równolegle do brzegu. U wylotu tej ulicy można było dojrzeć oczekujących dwóch łączników, którzy na widok ukazującej się kolumnienki szybko podążyli za przednim plutonem.

Osiedle było jeszcze całkowicie pograżone we śnie. Tylko jeden i drugi kundel przebudzony z drzemki targał się na łańcuchu przy pustej obórcie i ujadął świecąc zielono gniewnymi ślepiami ku przechodzącej gromadzie.

Żołnierze spali także. Wlekli się z opuszczonymi głowami oddychając przeciągle, potykając się o kamienie, przystając nagle i wpadając na siebie co chwila. Dopiero za wsią, gdzie piach stał się bardziej głęboki i uciążliwy, jęli się ocykać, obudzeni przez wysiłki marszu tudzież kurz zatykający nosy i gardła. Kolumna zaczęła się rozpraszać i rozciągać niby snujący się po polu dym parowozu.

Paprosiński ciągle jeszcze rozmyślał nad świeżo dokonanym odkryciem wielkiej tajemnicy życia.

— Że też każdą ideę, z którą inni nieledwie się rodzą, ja jeden muszę wykuwać całymi latami w niesłychanym trudzie i bólu — dziwił się gorzko.

Z zadumy wyrwało go dwóch niezmiernie wysokich żołnierzy, którzy dognali go truchcikiem z końca kolumny.

— Panie poruczniku — zawołał jeden z nich — melduję, jako trzeba będzie zmienić moich ludzi przy maszynie. Nie mogą jej przecież taszczyć sami przez całą drogę.

Paprosiński dopiero teraz poznał w mówiącym plutonowego Kasowskiego.

— To pan znowu do nas trafił? — zawołał z grzecznie udanym radosnym zdziwieniem. (Zawsze przestrzegał

w stosunkach z ludźmi niekosztownych objawów życzliwości). — Dobrze, niech pan powie Sołyszce, żeby wyznaczył kilku ludzi do pomocy.

Kasowski zasalutował sprężysto z miną wielce zadowoloną, a Paprosiński zwrócił uwagę na jego towarzysza. Tak kołkowatą figurę i długą smętną twarz mógł mieć jeden tylko człowiek. Toteż wykrzyknął ponownie :

— I pan tutaj, panie Cewowski ?

W tej chwili uprzytomnił sobie, że pisarz zniknął był jeszcze w czasie bitwy nad Autą. Mówiono powszechnie, iż zadekował się w taborach. Bardzo to było doń podobne, tym bardziej więc zdumiewało, co mogło przygnać go z powrotem do kompanii. Że nie był to nagle obudzony zapal bojowy czy przywiązanie do towarzyszy broni — o tym nie podobna było wątpić. Zresztą ponury pisarz sam rozwiął wszelkie co do tego wątpliwości. Łypnął spode łba ku Paprosińskiemu swoim ogromnym, czarnym okiem i uczyniwszy rękami jakiś miękki i gładki ruch pływaka zaczął tłumaczyć się niskim i monotonnym głosem :

— Pan porucznik się dziwi, że faktycznie człowiek z pojęciem może woleć front niż tyły, ale to dlatego, że pan porucznik nigdy zapewne nie był w taborach. Wskutek naszej defensywy, czyli odwrotu, zapanował tam zupełny defetyzm, tak zwana cykoria. Ogólna dezorganizacja zatoczyła tak szerokie kręgi, że faktycznie zrobił się — jak to mówią — zupełny bałagan.

Paprosiński z trudem odcyfrował w swoim mózgu stylowe hieroglify Cewowskiego. Tego zaś najwidoczniej rozpalało własne krasomówstwo, wbrew zwyczajowi bowiem gestykulował szeroko podnosząc od czasu do czasu swoje nieruchome oczy polipa, przy czym jego gesty miały charakter całkowicie bezsensownych miękkich półkoli jak przy rozgarnianiu wody. Sprawiało to na Paprosińskim wrażenie, jakby ramiona pisarza były znacznie późniejszym dodatkiem do jego stanowczo zbyt niedbale przez Opatrzność wykończonych figury oraz że posiadały własny zupełnie samodzielny napęd, za pomocą którego się poruszały. Tak go rozbawił ten pomysł, że aby upozorować uśmiech zapytał skwapliwie.

— Ale przynajmniej miał pan bezpieczniej ?

Cewowski znowu łypnął ku niemu swymi nic nie wyrażającymi, nieruchomymi oczyma i puścił w ruch długie ramiona.

— Właśnie, panie poruczniku. Ja też pierwsiastkowo tak proponowałem. Tymczasem faktycznie kawaleria nieprzyjacielska, czyli tak zwani kozacy, ciągle budzili niepokój intelektualny. A definitywnie dokonali na nas zbrojnej agresji, czyli napadu.

— Co pan mówi? Napadli na was kozacy? No i co?

— No co? Czyż takie druciki i dorożkarze, czyli tak zwani telefoniści i jezdni taborowi, mają poglądy na racjonalną akcję zbrojną? Faktycznie zachowali się absolutnie defensywnie. Dopiero ja i pan major Świderski, który przybył do taborów, czyli do trenów, wyjaśniliśmy zdeorganizowanym masom zasady sytuacji taktycznej.

— Co to znaczy? Mielście czas na wyjaśnianie?

— Faktycznie nie było czasu. Więc pan major skłonił ich do zorganizowania kontrakcji za pomocą rewolweru, a ja opanowałem, można nawet ewentualnie powiedzieć po prostu złapałem maszynkę i otworzyłem skoordynowany ogień w dyrekcji nacierającego przeciwnika...

— No i odparliście tę szarżę?

— Faktycznie można powiedzieć, że odparliśmy. Bo jak mnie ten czerwonogwardzista, czyli tak zwany bolszewik, chwycił za kołnierz, to ja sobie pomyślałem: „Co dla mnie za satysfakcja, czyli przyjemność, być prowadzonym za pomocą kołnierza jak jaki kryminalista?” — więc mu to wyraziłem. A on mnie puścił i dopiero ja wtedy zastosowałem intensywny ogień seryjny...

— Co pan opowiada? Powiedział mu pan i zaraz pana puścił?

— Faktycznie, panie poruczniku, to nie chciał. Bo czego można się spodziewać po takim — że się tak wyrażę — ćwoku. Jak mnie schwytał za kołnierz, tak powiedział: „Zdaj się, pan”! A ja sobie myślę, jakim prawem on mnie będzie aresztował. Więc — z przeproszeniem pana porucznika — rzuciłem w niego pudełkiem z nabojami, a on się wywrócił na zasadzie prawa równowagi...

— E... — oburzył się Paprosiński odwracając się tyłem od wymownego kancelisty.

— Plutonowy Zajączkowski, trzeba wysłać szperaczy do tych zarośli na prawo — zawołał przerywając bezna-

dziejną rozmowę, która go zniecierpliwiła do ostatecznych granic. Nie spodziewał się już wydobyć od Cewowskiego czegoś więcej oprócz steku bezsensownych frazesów. Poza tym niezbyt prawdopodobne wydało mu się niespodziane bohaterstwo pacyfistycznego pisarczyka, pomimo że ten opowiadał o nim jakby z niesmakiem i jak o czymś, co się dostatecznie tłumaczy szczególnymi okolicznościami.

Cewowski nie zdał się wcale być dotknięty tym odruchem. Zamknął się natychmiast w swoim zwykłym tęposennym nastroju i siedł obok oficera długi, drewniany, z nieruchomą twarzą i wyłupionymi jak u ośmiornicy oczami.

III

Droga szła pod górę. Po obu jej stronach ciągnęły się jakieś szare spalone od słońca ugory z kępami kolących traw i ciernistych krzaków. Długie cienie wlokących się strzelców falowały po nich jak ruchliwe słupy ciemnego dymu. W pewnym miejscu wśród splątanych krzów zabielił się nagi trup. Kolumna minęła go obojętnie. Tylko niektórzy mniej rozespani oglądali się nań od niechcenia.

Był to najwidoczniej jakiś zarąbany przez kozaków łazik. Wskazywał na to błyszczący na piersi zabitego płaski krzyżyk typu wojskowego, jakie wydawano w Polsce jadącym na front żołnierzom. Był to jedyny przedmiot, którego nie zrabowali zwycięzcy czy okoliczni nędzarze, dla których nawet stara poprzecinana szablami i zakrwawiona koszula musiała jeszcze stanowić przedmiot godny pożądania. Poległy leżał pokurczony w niesamowitej pozycji ciała zastygłego w przypadkowym odruchu konania. Roje much krążyły nad ciemnymi plamami krwi, zakrzepłej na ramionach, karku i krótko ostrzyżonej głowie.

Paprosińskiego również nie przejął ten widok szczególnie. Był już przyzwyczajony do podobnych zjawisk. Nie pierwszy i nie ostatni. Ale teraz dopiero uprzytomnił sobie, iż jego zobojętnienie wynikało z zapomnienia, że to ludzie przecież poniewierają się w ten sposób po rowach, bruzdach i kałużach, że i w tym skrwawionym i zakurzo-

nym ochłapie, stanowiącym żerowisko dla rozmaitego plugastwa, wczoraj jeszcze jaśniała pełnym swym światłem ludzka świadomość. Kiedyś o tym pamiętał, ale teraz już zapomniał. Nie podobna przetrwać bez końca tych samych wrażeń i myśli. Melancholia znowu zaczęła wylewać mu się z serca jak krew ze źle obandażowanej i urażonej rany. Gdzieś w najciemniejszym kątku podświadomości czaiła się tragiczna pewność przeczucia, wywołanego ostatnim snem. Ten napotkany obecnie żałosny szczątek ludzki zdawał się być jednym jeszcze sygnałem zbliżającego się końca.

— Niedługo i ja będę tak leżał gdzieś w bruzdzie — pomyślał i ciepło nieutulonych łez nappełniło mu nozdrza i powieki.

Opuścił głowę i odwracał ją w bok na pole, aby ukryć swe rozrzewnienie. Przeszedł na lewą stronę drogi. Za nim pociągnęli gęsiego Cewowski, Kasowski, Zajączkowski oraz kaprale Sitarek i Adamek. Uniknęli w ten sposób kurzu, który lekki wietrzyk znosił na prawą stronę drogi spod rozkładanych butów maszerujących strzelców. Cała kolumna tonęła w jego obłokach. Ludzie szli rozproszeni w długi łańcuch, zgarbieni pod plecakami, z hełmami zsuniętymi na oczy, z podpinkami w ustach lub pod nosem, dźwigając karabiny w najromaitszy sposób : na pasach, plecakach lub nawet wlokąc je za sobą jak dziadowskie kije.

Już zielona wyspa drzew, okalających zabudowania Michnicz, ukazała się za pagórkami, gdy dwaj łącznicy, ciągnący na staję przed oddziałem po obu stronach drogi, wpadli naraz do rowów, jakby ich wiatr zdmuchnął.

W świeżym powietrzu poranka wybuchnęło rozgłosnie kilkanaście wystrzałów karabinowych. Pluton Paprosińskiego zatrzymał się klękając.

— Bagnet na broń ! — rozkazał podporucznik.

Żołnierze byli już rozbudzeni całkowicie. Nakładali błyszczące ostrza na lufy rozglądając się czujnie i szybko po barwnym wachlarzu pól owsa, łubinu, koniczyzny i maków, niby stado dzikich koni, które zwierzyły niebezpieczeństwo. Łącznicy tymczasem powstali z rowów i ruszyli do wsi podnosząc pionowo ręce.

— Maszerować — powiedział Paprosiński.

Pluton osiągnął wreszcie zabudowania michnickie. W wiosce panowało ogólne poruszenie. Gromada bab i starszych chłopów kupiła się na drodze. Nawet dziewczyny, zazwyczaj starannie ukrywane przed wojskiem, wyglądały przez drzwi i furty zabudowań.

Przy wejściu kolumny tłum rozsunał się nieco i ukazał leżącego na ziemi bolszewika. Był on tak zlany wodą, że wokół utworzyła się kałuża czarna i zakurzona po wierzchu niby brudna szyba piwniczna. Żołnierze Paprosińskiego uważając, że marsz się już skończył, ogarnięci poza tym właściwą olbrzymiej większości ludzi namiętnością do porad lekarskich, poprzystawali przy leżącym niby przechodnie wielkomiejscy na widok wypadku ulicznego. Z ożywionych opowieści świadków okazało się, że we wsi przed paru minutami było trzech kozaków, którzy wchodzących szperaczy Ludomskiego przywitali strzałami. Strzelcy odpowiedzieli tak celnie, że jeden z bolszewików spadł z konia, przestrelony jakoś dziwnie przez rękę do łokcia i przez bok. Pluton Ludomskiego ruszył za uciekającymi, a mieszkańcy wioski wraz z dwoma przybyłymi zaraz łącznikami zajęli się ratunkiem porażonego. Ponieważ kozak stracił przytomność, wylano nań parę kubłów wody. Ale hydropatia nie okazała się w tym wypadku metodą właściwą, ranny bowiem konał widocznie. Leżał nieruchomy z przymkniętymi oczyma, jedynie od czasu do czasu otwierał usta i przeciągał się wolno chrapiąc przeciągle.

— Bożeż ty mój, jak się to męczy! I młodzieńki jaki! — roztkliwiały się baby przy każdym ruchu nieszczęśliwego.

— A to bez to, że go tak żałujecie! — zawołał ze złością gruby Rudajewski. Według przesądów ludowych nie wolno żałować konających. Przedłuża to agonię.

W tej chwili zerwał się szybki łoskot kulomiotu i chmura kul z przeraźliwym gwizdem wionęła nad drogą. Strzelcy runęli pod płoty tak błyskawicznie, że obalono i potratowano kilka bab, które będąc nieprzyzwyczajone do tak szybkich obrotów nie zdążyły usunąć się w porę. Powstał pisk, lament, wyrzekania, ale ulica opustoszała w jedną sekundę. Kulomiot huczał jeszcze przez jakiś czas roztrzepując piasek drogi i łupiąc deski płotów, aż wreszcie umilkł tak samo nagle, jak się był odezwał.

Wieś zdążyła tymczasem zmienić zupełnie swój wygląd. Ludność cywilna jakby pod ziemię zapadła, u strzelców zaś niebezpieczeństwo usunęło wszelkie ślady senności i zmęczenia. Przylegali do płotów i ścian budynków rozglądając się szybko i czujnie jak ptaki, nad którymi krąży jastrząb, oraz błyskawicznymi skokami dopadali pewniejszych zasłon.

Paprosiński ukrył się za węglem jakiejs chałupy i bez przekonania obserwował pustą drogę z leżącym na niej mokrym i zmiętoszonym, by utopiony szczur, bolszewikiem. Nie odzywał się nic do stojącego przy nim Zajączkowskiego i Cewowskiego, gdyż wewnątrz kipiał ze złości na cały świat i jego porządek. Spodziewał się, że w Michniczach będzie mógł trochę wypocząć, a może nawet dokończyć przerwane snu, rozkaz bowiem wyraźnie mówił o obsadzeniu wioski; tymczasem zanosilo się na jakieś bezna dziejne ganiecie po polu za kozakami. Wskazywały na to rzadkie strzały karabinowe, jakie rozlegały się co chwila za wioską. Łudził się jeszcze, że jest to drobne zajście z patrolem bolszewickim; jego ludzie dzielali widocznie to mniemanie, bez ceremonii bowiem pozasypiali na swych stanowiskach pod płotami i ścianami, gdy na drodze ukazał się biegnący truchtem łącznik. Rozglądał się na wszystkie strony szukając widocznie Paprosińskiego. Ten wyszedł zza węgła. Goniec w tej chwili podbiegł ku niemu.

Był to ostatni z Robaków. Jego jasne włosy i blade łuszczące się wargi odbijały od prawie czarnej, opiekłej twarzy. Był tak zmęczony, że pot perlił mu się na nosie i bezwąsej wardze. Mimo to rażno stuknął obcasami i zaraportował donośnie :

— Panie poruczniku, strzelec Michał Robak melduje jako pan porucznik Ludomski kazał, jako pan porucznik ma się do niego przyłączyć.

— A co wy tam robicie ? — zapytał Paprosiński, niezadowolony z rozkazu.

— Melduję, panie poruczniku, jako szpotkali my kozaków i tera ich gnamy. O mało czo nie zabrali my jeich maszynki na czmentarzu, ino że wywiały.

— Czego oni tam chcą od tych bolszewickich durniów ? — wybuchnął Paprosiński nie umiejac już ukryć swego rozgoryczenia.

— Bo pan porucznik Ludomski to juszť je taki, że nie może patrzeć, żeby wiara choć ździebko posiedziała — wyjaśnił zuchwale Robak.

Paprosiński spojrział na niego z roztargnieniem. jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jego istnieniu, i odwrócił się szybko do Zajączkowskiego.

— Wobec tego — maszerować ! — rozkazał krótko.

IV

Na pół wiorsty przed wioską rozpoczynał się las sosnowy, który okalał ją z dwóch stron. Prawe ramię kąta, jaki tworzył, oddalone było od zabudowań dwa razy bardziej niż lewe.

Pluton Ludomskiego leżał okopany niedbale na wzgórzu koło cmentarza, który znajdował się po prawej stronie drogi. Strzelcy mieli czujny wygląd ludzi oczekujących niebezpieczeństwa. Ludomski klęcząc na obu kolanach lornetował skraje boru.

— Spędziliśmy tu jakąś placówkę kozacką z maszynką, ale musimy zrobić jeszcze dalsze rozpoznanie, bo jeśli mamy do czynienia z poważniejszymi siłami, to nie będzie sensu tu pozostawać — powiedział do klękającego przy nim Paprosińskiego nie odrywając lornety od oczu.

— Dlaczego ? Nie stanowimy przecież przedniej straży, tylko raczej placówkę. Tak przynajmniej zrozumiałem rozkaz — zaoponował rozdrażnionym głosem Paprosiński.

Ludomski rzucił nań krótkie spojrzenie zezem i wrócił w milczeniu do swojej czynności.

Na lewym skraju lasu znowu odezwało się parę strzałów karabinowych. Kule niosły się z przeciągłym brzęczeniem. Strzelcy odpowiedzieli natychmiast i zaczęła się obustronna strzelanina. Grzechot karabinowy to wzmagał się, to urywał, co nadawało wrzawie charakter denerwującej monotonii. Z obu stron strzelano widocznie na chybił trafił, bo powietrze napełniło się całą gamą fałszywych świstów, brzęczeń i pogwizdywań błakających się w nim kul.

— Szlak człowieka może trafić! — wykrzyknął Ludomski opuszczając lornetkę i oglądając się na Paprosińskiego roziskrzonym od gniewu wzrokiem.

Nie wiadomo było, do czego się to miało stosować.

Nie czekając odpowiedzi wynalazł na ziemi jakieś suche źdźbło i zaczął nim dłubać w zębie ssąc głośno językiem i spluwając co chwila.

— Jeszcze mnie do tego wszystkiego potrzebował zać rozboleć, psiakrew! — wykrzyknął zrywając się na równe nogi.

— Plutonowy Kasowski, znajdźcie tam, do cholery, jakie stanowisko dla swojej maszynki i ostrzelajcie miejsca, skąd idą strzały!

Kasowski zerwał się natychmiast.

— Rozkaz, panie poruczniku!

Cewowski, który trzymał się dotychczas Paprosińskiego podniósł się również i powiedział w formie usprawiedliwienia:

— Przekonałem się, że faktycznie najbezpieczniej jest przy maszynce, czyli cekaemie.

Paprosiński zapadał w pewien rodzaj odrętwienia, tak że nawet go nie rozśmieszyła ta naiwna uwaga. Po chwili jednak zobaczył ze zdumieniem, iż kiedy ustawiono kulomiot, ponury kancelista sam przysiadł się do niego. Okraczył go tak, że jego długie spiczaste kolana sterczały po obu stronach grubej i obłej lufy, nachylił nad zamkiem swoją wąską drewnianą twarz i zaczął bić pojedynczymi strzałami wykrzywiając dziwacznie kręgosłup, jak gdyby naciśnięcie bezpiecznika wymagało Bóg wie jakiego wysiłku. Wyglądał przy tym, jak człowiek, który nie umiejąc grać na fortepianie próbuje jednak wybrzdąkać na nim jednym palcem jakąś melodię pomagając sobie przybieraniem rozmaitych min, ruchami głowy, drugiej wolnej ręki oraz całego tułowia. Obrazek ten podkreślał tylko odczuwany przez całą kompanię bezsens całej strzelaniny.

Jeden jedyny Ludomski traktował rzecz poważnie i ku ogólnemu zdumieniu, które wszelako dalekie było od podziwu, rozpoczął natarcie wzdłuż prowadzącej do lasu drogi.

— Po co my tam idziemy? — zapytał odruchowo Paprosiński plutonowego Żyszkiewicza, który nie wiadomo skąd znalazł się przy nim.

— Po to chyba, żeby Cewowski miał okazję do kontynuowania swoich wprawek — odpowiedział ten szyderczo patrząc na tyralierkę, która podnosiła się ociężale i wlokła się w nakazanym kierunku.

Na widok tego zaczepnego ruchu ogień z lasu wzmógł się nieco, skuteczność jego nie wzrosła jednak bynajmniej, tak że kompania idąc spacerkiem prawie bez wystrzału osiągnęła skraj boru. Widocznie bolszewicy albo byli w znikomej liczbie, albo też czuli się tak niepewnie, że nie starczyło im odwagi, aby stawić czoło nacierającym. Paprosińskiemu przyszła do głowy trzecia jeszcze możliwość, iż przygotowali oni jakąś zasadzkę czy niespodziankę, nie wypowiedział jednak swego przypuszczenia obawiając się podać w wątpliwość własny zapal bojowy. Zresztą z Ludomskim nie możliwe już było mówić, skoro bowiem kompania zagłębiła się między chojary i leszczynowe zarośla, strzelcy pogubili się w tym ciemnym labiryncie, co wywołało w nim atak wściekłości. Jakie tylko przekleństwa wyległy się w gębach podoficerów i ekonomów, jakie tylko obelgi zdołały wymyśleć ulicznice i andrusy wszystkich miast Rzeczypospolitej — wszystkie rozbijały się stokrotnym echem o spokojnie szumiące sosny. Wspomagali go przy tym dzielnie Zajączkowski, Dziduch i inni podoficerowie.

Wśród tego wrzasku, któremu wtórzyły szeroko huczące wystrzały oraz gwizd i stukanie kul w pnie drzewne, kompania wydostała się niespodzianie na drugą stronę lasu.

Otworzyła się przed nią wiorstowej szerokości polana, obrzeżona ze wszystkich stron murami zbitych chojarów. Na środku tej polany niby szarozielona wyspa na jeziorze śmiała się w słońcu niewielka skupiona wioska.

— To będą na pewno Kuryłowicze? — powiedział do Paprosińskiego Ludomski.

— Pewnie — kiwnął głową zapytany. Nigdy w życiu nie słyszał tej nazwy i ani razu nie spojrzał jeszcze na mapkę tej okolicy.

Bój przybrał teraz nieco poważniejszy charakter. Widocznie bolszewicy widzialne osiedle uważali za punkt o tyle ważny, że warto było on nastawić karku, Ogień karabinowy stał się na tyle żywy, iż nie podobna już było defilować pod nim jak dotychczas. Kompania padła wobec te-

go na ściernisko i posuwała się pojedynczo skokami, bo Ludomski ciągle jeszcze nie ustawał w natarciu.

— Plutonowy Kasowski, wybrać stanowiska dla karabinu maszynowego, żeby można było ostrzelać wioskę. Pan porucznik Paprosiński poprowadzi swój pluton w kierunku krzyża przydrożnego na lewo od zabudowań. Tylko nie psuć ładunków i być przygotowanym do odparcia szarży kawaleryjskiej — rozkazywał donośnie.

— Po co właściwie to wszystko? — zapytał go Paprosiński, który nie mógł już dłużej ukrywać swojego niezadowolenia.

Ludomski odwrócił się doń porywczo, jak człowiek, który tylko czeka na sposobność do wybuchu:

— Po to, po co się w ogóle prowadzi wojnę — żeby bić nieprzyjaciela, gdziekolwiek się go napotka.

Paprosińskiego, który po raz pierwszy w stosunkach ze swym dowódcą kompanii spotkał się z podobnym tonem, rozdrażniło to jeszcze bardziej.

— Wojna tym się różni od łobuzerskiej bijatyki, że posiada swoje racjonalne zasady skupiania energii do osiągnięcia określonych celów.

Było to powiedziane ze świetnie udanym spokojem, który tym bardziej wyprowadził Ludomskiego z równowagi. Nie licząc się już więc z niczym odrzucił z miejsca podniesionym głosem:

— Porozmawiamy sobie o tym w spokojniejszym a zwłaszcza swobodniejszym czasie. Teraz musimy tylko jak najdokładniej wykonać swoje zadania.

Paprosiński w tej chwili poczuł, jakby fala gorącego jadu, którym napęczniało jego serce, rozlała się po jego wnętrznościach i napełniła gorącymi oparami jego mózg i policzki. Bez namysłu odpalił:

— Owszem, jeśli tylko taki czas jeszcze się może zdarzyć. Bo tymczasem możesz zmarnować nas wszystkich, jakeś już zmarnował kaprala Górnego.

Nim zdążył to wypowiedzieć, już przeraził się wrażeń, jakie wywołał. Ludomski obrócił ku niemu wzrok pełen najwyższego przestachu. Twarz skurczyła mu się w jednej chwili jak u dziecka, które za chwilę ma wybuchnąć płaczem. Jak dotknięty rozżarzonym żelazem skoczył na równe nogi i z całej siły wyrzwał się silnie zaciśniętą pięścią w policzek.

— O cholera ! jak mnie ten ząb boli piekielnie ! Naprzód, psiakrew !

Bliżej leżący strzelcy i podoficerowie zerwali się również w tej samej sekundzie, skuleni i pokorni, jakby usłyszeli straszliwe słowo, za którego usłyszenie samo Bóg karze piorunem.

— Skąd się we mnie wzięło tyle nikczemności ? — korzył się wytrzeźwiony z gniewu Paprosiński.

Obejrzał się odruchowo i zobaczył stąpającego za nim jak cień Derenia.

— Słyszał czy nie słyszał ? — zapytywał się z trwogą.

Ale szarożółta twarz sierżanta nie wyrażała niczego, a zapadłe oczy były do połowy zasunięte powiekami jak u człowieka ciężko chorego lub takiego, który już dawno przestał żyć życiem otaczającego go świata.

V

Tak więc upór Ludomskiego zwyciężył. Kompania rozpoczęła natarcie na wieś. Pluton Paprosińskiego posuwał się ku prawemu skrzydłu nieprzyjacielskiemu, między lewym skrajem zatoki polnej a drogą. W tym miejscu wznosiło się wzgórze, którego opanowanie mogło Polakom dać przewagę nad równiną wraz ze sterczącą na niej wioską. Na prawym zboczu wzniesienia czerniał trójkącik nakrytego daszkiem krzyża. Na ten właśnie krzyż skierowane było natarcie plutonu. Szło ono niedbale i ociężale skokami pojedynczych strzelców wśród klątw i nawoływań ku bardziej ociągającym się. Widocznie kłótnia zwierzchników źle wpłynęła na stan moralny żołnierzy.

Początkowo posuwanie się utrudniał jeszcze dość zaciekły ogień ode wsi, kiedy jednak ustawiono karabin maszynowy, bolszewicy mocno spokornieli. Okazało się, że Cewowski (on to bowiem znowu zasiadł do kulomiotu) nie był znów takim partaczem. Bił on krótkimi seryjkami, ale wtedy tylko, gdy widział jaki cel. Widocznie w ten sposób prowadzony ogień musiał być skuteczny, bo bol-

szewików ogarnęła wyraźna groza. Toteż pluton parł coraz śmieiej ku pewnemu zwycięstwu.

Naraz po prawej stronie wioski pod lasem zaczęły się ukazywać między zaroślami i na wyniosłościach ziemnych jakieś szybko poruszające się figurki, które natychmiast niknęły w kłębach kurzawy.

— Kozaki ! — krzyknął ktoś w tyralierce.

— Kawaleria nieprzyjacielska na wprost ! Celownik siedemset ! — biegło z ust do ust.

Strzelcy przerwali ogień i z ciekawością, bez śladu obawy śledzili obroty ruchliwych sylwetek. Niektórzy podnosili się na klęczki lub nawet całkowicie, nie zważając na ogień od wsi. Czuli się zupełnie bezpieczni ze swymi naładowanymi karabinami i pod opieką równie naładowanej maszynki.

— Szykują się do szarży ! — ogłosił Piesik, odznaczający się najlepszym wzrokiem w kompanii.

— Nie strzelać jeszcze ! Nie strzelać ! Puścić ich bliżej ! — wołali rozgorączkowani podoficerowie.

W tym momencie na rośłonecznionym widnokręgu wykwitła szeroka chmura kurzu, w której coś ciemnego a roziskrzonego rośło z błyskawiczną szybkością. Nim zdążyło się nabrać powietrza w płuca, połknęła ona trzy czwarte przestrzeni, dzielącej ją od kompanii.

„Za późno” — zdążył pomyśleć Paprosiński, który w tejże chwili poczuł lód we wszystkich kościach.

Ale jednocześnie wybuchnęły dziesiątki pospiesznych wystrzałów, załomotał gwałtownie kulomiot i ława jeźdźców zahamowała w miejscu nieledwie. Niektóre konie stanęły dęba i wykręciły się jak w tańcu, aż wreszcie, gdy jeden obalił się wraz ze swym panem, cała linia pierzchnęła równie szybko, jak się była ukazała.

Piechota wpadła w szal.

— Jeden dostał ! Widzieliśta, jak się wywrócił ?

— Ale też dali chodu ! — wołano do siebie rechoząc głośno, lecz zarazem jakby nieco wymuszonym śmiechem i oklaskując kulomiot, któremu głównie przypisywano odparcie szarży.

Drugi pluton Ludomskiego, który zajmował prawe skrzydło, bliższe kozaków, zauważywszy ich załamanie się zerwał się ze swych stanowisk w gorączce zwycięstwa i biegł strzelając i krzycząc w stronę ustępującego wroga.

Pierwszy pluton chciał pójść za jego przykładem, ale na pierwsze jego poruszenie się Paprosiński wrzasnął odruchowo :

— Zostać na miejscu !

Nie udzielał mu się nigdy zarówno zapal jak i panika, a położenia kompanii nie uważał bynajmniej za wyjaśnione. I miał słuszość, bo w tejże chwili z prawego skraj lasu zaszumiała niespodziewana seria kulomiotu. Biegający na przód strzelec podniósł w górę ramiona wraz z karabinem i zwałił się jak rzucony o ziemię worek. Za nim poczęli wywracać się inni, jakby porwani w niewidzialny wir powietrza. Reszta plutonu zawróciła w dziwnym popłochu.

— Taczanka — wykrzyknął ktoś z nieopisaną grozą.

— Stać ! — ryknął Ludomski zabiegając drogę uciekającym. — W miejscu padnij ! Nie wiejcie do ciężkiej cholery, bo was wszystkich wytłuką jak szczury !

Strzelcy przypadli do ziemi wżerając się w nią po prostu, bo kule trzepały piasek na kształt niesłychanie ostrego gradu.

Kozacy zawracali do szarży.

Ludomski się srożył :

— Nie strzelać ! — skrzeczał stojąc tyłem do pędzącej lawiny jeźdźców i tocząc wściekłym wzrokiem po struchlałej kompanii. — Czekać na rozkaz ! Jak mi który ruszy za spust — mordę rozkwaszę !

Nikt nie zważał na niego. Załomotały karabiny. Poszły w ruch targane w obłędnym pośpiechu zamki.

Dudnienie cwałujących koni rosło jak łoskot wpadającego na przystanek pociągu; ściana wyjących i wywijających szablami jeźdźców rosła przeraźliwie szybko niby walący się na głowy mur upadającej kamienicy... Lecz nagle niektóre ogniwa pędzącego łańcucha zaczęły się rwać, zwijać, rozsypywać i znikać w ciężkiej chmurze pyłu; bojowy okrzyk szarży ucichł, jak nożem uciął : natomiast zerwały się gwizdy i oklaski piechurów. Kozacy uciekali.

Nim jednak kompania zdążyła uświadomić sobie swój triumf — nowa falanga wykwitła na pagórkach i mknęła z kwikiem i wśród błyskawic wirujących nad głowami ostrzy mijając pierzchających towarzyszy.

Karabiny huczały nieprzerwanie niby płonący stos wilgotnych bierwion; kulomiot wył jak rozpędzone śmigło samolotu... Fala kozacka odpłynęła śladem poprzednich. Strzelców ogarniało szaleństwo. Oczy im gorzały i biegały niby kulki żywego srebra. Gwizdali na palcach, klęli straszliwie wśród wybuchów spazmatycznego śmiechu, krzyczeli do siebie jak wariaci... A przy tym wszystkim bili, repetowali, wyciągali z ładownic świeże magazynki, pchali je w zamki i znów palili bez pamięci...

Jedynie Paprosiński pozostał bezradny. Jak zwykle w takich wypadkach nie wiedział, co robić pośród tej furii, jaka ogarnęła wszystkich wokół niego. Czuł przeraźliwy spokój oraz zupełnie zimną jasność umysłu. Ale nie miał gdzie tego zastosować. Bitwa bowiem przybrała najpierwotniejszy swój charakter. Każdy walczył na własną rękę. Nawet Ludomski chwycił jakiś karabin i strzelał stojąc do uwijających się z wyciem kozaków. Paprosiński widział, jak cały się wstrząsał od kopnięć kolby i jak karabin podskakiwał mu w górę po każdym wystrzale.

Dywizjony kozackie ukazywały się coraz to spoza innej fałdy ziemnej, jeden za drugim, jeden za drugim. Zanim jeden zdążył wycofać się spod piekielnego ognia, jaki rozwinęła kompania — już drugi mijał go we wścieklej szarży. Pędziły z kopyta rozbłyskanymi i wyjącymi, jak syreny fabryczne, chmurami i zawracały przed samą nieraz tyralierką ciche i niknące niby zwiewane przez wichę smugi dymu mknącego przez pustkowia pociągu.

Bardzo było prawdopodobne, że bolszewicy usiłują w ten sposób znużyć Polaków, żeby odciągnąć ich uwagę od jakiejś gotującej się niespodzianki. Paprosiński utwierdzał się w tym mniemaniu coraz bardziej. Zarazem widział, że oprócz niego nie ma ani jednego przytomnego człowieka w kompanii.

— Tylko ja jeden rozumiem położenie i ja jeden tylko mogę zapobiec katastrofie — powiedział sobie wyraźnie i poczuł, jak twarz pęcznieje mu od napływającej krwi i jak gorączkowe ciepło napęnia mu wszystkie kości. Podobnych uczuć musieli doświadczać najwięksi wodzowie, kiedy wydawali pierwszy rozkaz do swych wojsk.

Uniósł się nieco na rękach i zawołał jak mógł najgłośniej :

— Pierwszy pluton !

Okrzyk ten nie wywołał jednak skutku, o jaki Paprosińskiemu chodziło. Tylko najbliższej leżący obejrzeli się na moment, z roztargnieniem ludzi, którym przeszkadzają w niezmiernie ważnej czynności. Nikt natomiast nie zdawał się być „zelektryzowany”, jak tego stanowczo oczekiwał Paprosiński. Rozczarowało go to w najbardziej przykry sposób. Raz jeszcze przekonał się, że zaufania i posłuszeństwa ludzkiego nie zdobywa się jednym porywem natchnienia. Prędko jednak zapanował nad zdenerwowaniem i zaczął działać w inny sposób. Obejrzał się za człowiekiem, który by mógł zostać narzędziem jego woli. Zobaczył plutonowego Zajączkowskiego, jak leżał na rżysku, rozkraczony szeroko, i palił raz po raz siejąc wystrzelonymi łuskami na wszystkie strony. Jednym skokiem znalazł się tuż przy nim i szarpał go silnie za rękę.

— Plutonowy Zajączkowski — krzyknął mu do ucha — zbierzcie co się da ludzi, żeby było czym zastąpić odwrót kompanii!

— Odwrót? — zdumiał się na pół przytomny podoficer szeroko otwierając oczy.

Paprosiński umyślnie nie zwrócił uwagi na jego zdumienie.

— Trzeba także powiedzieć Kasowskiemu — ciągnął — żeby skierował swoją maszynkę na to wzgórze koło krzyża.

— Kompania się cofa? — dziwił się w dalszym ciągu Zajączkowski.

— Jeszcze nie, ale musimy stąd wyrwać stanowczo. Na wypadek szarży z lewego skrzydła zostalibyśmy zupełnie zaskoczeni.

Zajączkowski wodził oczyma po widnokręgu.

— To pan porucznik Ludomski nakazał odwrót? — zapytał jeszcze.

— Nie ma czasu na rozmowy z panem porucznikiem Ludomskim. Ja rozkazuję.

Paprosiński przemawiał tak twardo i energicznie, że sam sobie wydawał się innym człowiekiem. Zajączkowski również patrzył nań z niedowierzaniem. Niemniej wydawał się być najzupełniej przekonany a nawet przejęty usłyszaną przed chwilą oceną położenia bojowego.

— Kapral Adamek. Kapral Sitarek — do mnie — wrzasnął ostro.

Wnet zrobił się ruch w tyralierce. Żołnierze automatycznie, ciągle strzelając ku kozakom, uwijającym się na prawo od nich, przed frontem drugiego plutonu, wycofywali się pojedynczo z linii i kupili koło Paprosińskiego. Kiedy także ściągnął tu kulomiot wraz z Kasowskim i Cewowskim, podporucznik wyznaczył mu stanowisko w tyle na samym skraju lasu i zaczął wycofywać się za nim z całym swoim plutonem.

Poszło to zupełnie gładko. Strzelcy przebiegali zupełnie zwyczajnie w rzadkim i nieszkodliwym ogniu zatrzymując się od czasu do czasu dla oddania strzału.

Wyrazny ten ruch zwrócił widocznie uwagę Ludomskiego, bo i jego ludzie zaczęli się roić na polu z widocznym zamiarem naśladowania swych towarzyszy. Byli oni wysunięci o jakie sto kroków bardziej naprzód, a odległość ich od lasu była przynajmniej trzykrotnie większa, ale za to mieli przykrycie ognia pierwszego plutonu, który już zdążył się usadowić na nowych stanowiskach między drzewami.

Tak więc bój zdawał się mieć ku końcowi, gdy naraz spoza grzbietu najbliższego wzniesienia na lewym skrzydle wypłynęły dwie figurki kozaków. Zawinęły się tylko i znikły.

— Kawaleria z lewa ! — zaczęto wołać ostrzegawczo.

Nim kto jednak zdążył zwrócić karabin w tę stronę, widnokrąg zaczętnął się nagle od nawały jeźdźców i straszliwa lawina koni, ludzi i stali runęła na zmartwiałą z przerażenia kompanię.

Zupełnie niespodziewana ta szarża trafiła akurat na moment, gdy drugi pluton Ludomskiego rozpoczynał odwrót. Prawie wszyscy żołnierze byli w ruchu w kierunku lasu. Uwaga ich nadal uwięziona była na prawym skrzydle, gdzie ciągle jeszcze ukazywały się pędzące ku nim grupki kozaków. O zmianie frontu w tym warunkach nie mogło być zupełnie mowy.

Sam Ludomski biegł w tej chwili do Paprosińskiego. Na widok nowego niebezpieczeństwa zawrócił natychmiast, ale zdążył jedynie machnąć rozpaczliwie ręką i wrzasnąć nieludzko :

— Padnij !

Strzelcy padli w jednym odruchu przerażenia i w tejże sekundzie ziemia zadudniła straszliwie, gorąca fala

smrodu odparzonych koni przytłoczyła ich do ziemi, nad głowami błysnęły w kurzawie setki szabel oraz podków i olbrzymia wataha wśród straszliwego wycia, minawszy ukryty w lesie pluton Paprosińskiego, przejechała po reszcie kompanii.

VI

Stało się to tak szybko, że ledwie kilkanaście wystrzałów powitało pędzących jak wicher kozaków. Ci zaś przesadzili w cwał struchlałą tyralierkę i jęli wstrzymywać konie dla dokonania ostatecznego pogromu plutonu.

Na nieszczęście, strzelców opanovała zwykła w takich wypadkach panika. Co prawda konie kozackie poprzysadzały ich nie czyniąc nikomu najmniejszej krzywdy; szablami również nie podobna było wśród największego pędu dosięgnąć rozplaszczonych na ziemi — niemniej wszyscy zerwali się w najdzikszym popłochu i runęli do lasu, nie zważając na ryki i wrzaski Ludomskiego oraz kaprała Dzikucha, nierzadko przy tym porzucając plecaki, ładunki, a nawet karabiny i hełmy. Nim jednak najchybsi zdążyli dosięgnąć skraju zarośli, kozacy znowu wsiedli im na karki.

Powstał przeraźliwy wrzask, tupot bijących w miejscu kopyt końskich, szcęk szabel spadających na lufy karabinów i niezmiernie gęsta chmura kurzu przesłoniła obraz walki. Można było tylko rozróżnić pojedyncze cienie jeźdźców i pieszych, kłębiących się jak w piekielnym ukropie.

Ludomski z karabinem w ręku usiłował zorganizować opór. Gdy mu się to nie udało, zatrzymał się zdecydowany na wszystko. Do lasu miał jeszcze ze sto kroków, nie zdążyłby więc już ich przebiec. Zresztą ucieczka przed konnicą oznacza śmierć, a lepiej i zaszczytniej umrzeć przecie w boju. Nim jednak zdążył raz jeden wystrzelić na oślep, już przewinięły się obok niego, niby szczupaki w mętным nurcie, dwa cienie cwałujących w kurzawie koni. Potem ujrzał trzeciego jeźdźcę, spadającego nań niby lądujący samolot. Był to młodziutki oficerek, zwinny jak łasica

i zgrabny tą jakby kobiecą zgrabnością ras awanturniczych i drapieżnych. Zdobywczą kokieteria biła od jego matowo śniadej twarzy, od czarnej grzywy, kipiącej spod fantazyjnie zbakierowanej czapki, od nadmiernie ściśniętej pasem i misternie sfałdowanej na plecach koszulki wojkowej. Ludomski wszystko to spostrzegł i ocenił z błyskawiczną orientacją człowieka znajdującego się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Oficerek tymczasem skrzył tuż przed nim i dopadł dwóch strzelców uciekających co sił do lasu. Ponieważ równocześnie zabiegli im drogę dwaj kozacy — strzelcy stanęli jak wryci, rzuciwszy broń i podnosząc w górę ręce. W tejże chwili nad bliższym z nich mignęła błyskawica szabli. Piechur porwał się jak oszalały unosząc nad głową dwa sikające krwią kikuty z odrąbanymi dłońmi. Jego towarzysz zdołał przypaść do ziemi przy następnym błysku szabli, ale nim zdążył podnieść porzucony przed chwilą karabin, nowy cios spadł mu na hełm jak piorun. Zerwał się wtedy i zaczął biegać w kółko na kształt ukłutej przez osę muchy. Oficerek dojeżdżał doń rąbiąc go raz za razem po hełmie i plecach. Przez ten czas Ludomski zdążył zrepetować swój karabin i strzelił. Chybił z pośpiechu, a zwinny oficerek puścił swą ofiarę i skoczył na strzał jak dobrze wytresowany pies policyjny. Ludomski ledwie zdążył podnieść oburącz nad głową karabin, aby sparować cios tak silny, że omal nie puścił osłony.

Rozpoczął się teraz niezwykle pojedynek. Oficerek parł koniem na Ludomskiego rąbiąc zaciekle w nadstawiany mu karabin, Ludomski zaś odskakiwał po każdym ciosie, aby zdobyć czas na ponowny strzał. Nie udawało mu się to nigdy. Bolszewik zbyt był szybki i zdecydowany w swych ruchach, zbyt też dobrze władał swym koniem. Kiedy zaś jeszcze przybyła mu pomoc w postaci dwóch kozaków, którzy zapędziwszy się aż do lasu zawracali teraz na pole walki zagrażając Ludomskiemu z tyłu — ten zmuszony został uznać swą zgubę za nieuchronną. Nie zastanawiał się zresztą nad tym za bardzo, broniąc się nadal z całkiem zimną krwią.

Tymczasem pierwszy pluton, który zdołał już zająć stanowiska na skraju lasu, oprzytomniał z pierwszego wrażenia i wśród bezładnej strzelaniny ruszył na pomoc mordowanym towarzyszom. Nie było to działanie planowe.

Po prostu co dzielniejsi i bardziej krewcy zaczęli wyskakiwać z ukrycia i nacierać na kozaków.

Pierwszy był jak zwykle długonogi i wąsaty plutonowy Zajączkowski ze swym niewielkim pistolecikiem w dłoni. Tuż za nim sunął zwinięty w kłęb wokół swego karabina uśmiechnięty Piesik.

Dwaj kozacy, zabiegający tył Ludomskiemu, obrócili ku nim swe piki. Zajączkowski nie przerywając biegu zabłyskał strzałami. Bliższy koń wrył się w ziemię jakby uderzony nigdy nie widzianym zjawiskiem. Naraz kwiknął jak ugodzony wieprz i rzucił się na ziemię wyrzucając w górę błyszczące podkowy. Jego pan wyrzucony z siodła pozbiierał się z ziemi prędko niby strącona z gałęzi wiewiórka. Jednym susem dopadł z powrotem swego wierzchowca, który zerwawszy się również krążył w kółko przytupując i parskając, doskoczył doń i zwisnął na jego lewym strzemieniu. Nim jednak zdążył oderwać prawą nogę od ziemi, dobiegający Piesik z całego rozmachu wyrzniął go kolbą przez łeb, że zwinął się pod brzuch koński jak znikająca marionetka.

Na ten widok Ludomski, który widział wszystko, co się wokół niego działo, wybuchnął śmiechem tak nagłym i hałaśliwym, że rumak jego przeciwnika strachnął się i uskoczył w bok. Tego tylko było potrzeba. Zanim zwinny oficerzek zdołał go opanować, huknął strzał z tak bliska, że przerażony koń siadł na zadzie jak pies. Gdy się zerwał, jego pan toczył się już w kurzawie by porwany wicherem liść.

Epizod ten, jak również wzmagający się ogień pierwszego plutonu, zdecydował o wyniku utarczki. Kozacy zawrócili razem jak na komendę i zaczęli pierzchać wśród gwizdu i sardonicznego śmiechu ocalałych z pogromu strzelców.

Nie było to zresztą zupełne ocalenie, kiedy bowiem kompania zagłębiła się między zbawcze drzewa — przywitała ją rozlegająca się jak sto gromów, powtarzana przez tysiączne echa salwa karabinowa. Widocznie bolszewicy zdążyli tymczasem opanować las przecinając Polakom ich drogę odwrotu.

Wśród strzelców powstało zamieszanie. Ludzie gubili się i błakali w zaroślach paląc na oślep, tak że w końcu nie wiadomo było, kto i skąd strzela. W dodatku kom-

pania straciła kierunek, bo Ludomski zapodział się gdzieś w tyle. Wobec tego wszyscy zaczęli kupić się wokół Paprosińskiego, który zdołał już sobie zaskarbić zaufanie zgrabnie i w porę wykonanym odwrotem w czasie szarży. On sam był równie zdezorientowany nie mówiąc o zmęczeniu, ale nieznana mu dotychczas wiara w siebie napęniała energią jego mózg i mięśnie.

Szybko pojął, że w walce leśnej taki sam chaos musi panować w umysłach przeciwnika, a że rozdrażnienie, które odczuwał od chwili przebudzenia w Sawiczach, skierowało się teraz przeciwko bolszewikom — rzucił się w kierunku salwy z krzykiem :

— Naprzód, chłopcy ! Nie ustępować, tylko ciągle naprzód !

Jego pluton ruszył za nim posłusznie. Ruch ten okazał się bardzo na miejscu, bolszewicy bowiem ucichli natychmiast i zaczęli uciekać. Widać było ich płowe cienie, migające pomiędzy pniami sosen.

Rozgorączkowani tym widokiem strzelcy parli ciągle krzycząc i strzelając, Paprosiński zaś spostrzegłszy plutonowego Kasowskiego wezwał go do siebie.

— Co pan teraz robi ? — zapytał.

— Nic, panie poruczniku.

— A gdzie pańska maszynka ?

— Idzie tu zaraz. Nie mogłem tu nigdzie dotąd znaleźć pola obstrzału.

— W lesie pan nie znajdzie. Zmiataj pan z nią w lewo, gdzie powinno być niedaleko pole. Znajdź pan tam odpowiednie stanowisko, żeby zasłonić wyjście z lasu reszty kompanii. Zrozumiane ?

— Tak jest, panie poruczniku. Mam znaleźć za lasem stanowisko dla cekaemu i osłonić odwrót kompanii.

— Dobrze ! Wykonać !

— Rozkaz, panie poruczniku !

Strzelanina przybierała coraz bardziej chaotyczny charakter. Wobec tego Paprosiński nakazał Zajączkowskiemu zawrócić pluton z pościgu i ruszyć za Kasowskim jego kulomiotem. Zajączkowski wykonał rozkaz z tą samą co Kasowski skwapliwą uległością. Paprosiński widział, że pluton rozkochał się w nim niespodzianie. Poczucie mocy i wysokiej wartości własnej rozpierało mu

żeбра. Parł teraz w kierunku, w jakim powinny się znajdować Michnicze.

Po drodze natknął się na Ludomskiego, który wybiegł z zarośli trzymając się za prawy policzek jak człowiek cierpiący na zęby.

— A gdzie drugi pluton? — zapytał zziębnięty i z przestachem w oczach.

— Powinien iść gdzieś za nami — odpowiedział Paprosiński ze spokojną przewagą.

Ludomski zawrócił.

— Najlepiej się spytać świętego Pietra, bo tam puszczal chudziaków do nieba, jak ich te kozaki pomarnowały — zauważył głośno Jagusiak.

— Oddaj kompanię! — wykrzyknął ktoś zza drzew umyślnie zmienionym głosem.

— Oddaj kompanię! — zawtórowali inni.

Ludomski nie oglądając się biegł we wskazanym kierunku. Paprosiński również udał, że nie rozumie okrzyków. Z pistoletem w dłoni przebiegał od drzewa do drzewa za postępującym naprzód swoim plutonem.

Las huczał od strzelaniny jak walony młotami olbrzymi kocioł.

VII

Oddział bolszewicki odrzucony przez Paprosińskiego na prawym skrzydle — jak się okazało — nie był jedynym, który przeniknął do lasu. Już po przejściu kilkudziesięciu kroków w nowym kierunku wybuchła wrzawa i strzelanina dla odmiany na lewym skrzydle. Kanonada ta zaczęła szybko zachodzić na tyły cofającego się plutonu.

Strzelcy zaczęli uciekać i kupić się obok Paprosińskiego. Ten był również zaniepokojony, zwłaszcza tym że nie wiedział, co mogło się stać z plutonem Ludomskiego, który powinien był się znajdować właśnie w stronie, skąd parli bolszewicy. Gdyby został rozbity, byłoby słychać starcie, a poza tym spotkałby niezawodnie uciekających niedobitków. Czyżby więc został odcięty?... A w takim razie, czy został w tyle, czy też posuwa się równolegle

z bolszewikami? Niepewność ta stropiła go, ale tylko na chwilę: wnet bowiem uprzytomnił sobie, że bolszewicy nie mogą mieć więcej wiadomości o położeniu. Wobec tego zaczął wołać, jak mógł najgłośniej, aby przekrzyczeć przeraźliwy huk toczących się po lesie wystrzałów:

— Nie cofać się! Nie zatrzymywać! Naprzód! Na bagnety! Hurra!

Tylko kilku najbliższych powtórzyło okrzyk i posunęło się nieco za nim.

Strzelanina obejmowała ich ze wszystkich stron. Mimo woli uskakiwali w tył oglądając się na resztę plutonu, który ginął w gęstej kolumnadzie drzew. W ten sposób Paprosiński został jedynie z grubym Rudajewskim, który biegł za nim z lśniącą od potu i zsiniałą ze zmęczenia gębą potykając się o korzenie na swych krzywych nóżkach. Wobec tego zawrócił kierując się zawsze tam, gdzie mignęły mu się szare mundury jego strzelców lub gdzie usłyszał gęstsza strzelaninę. Ponieważ jednak krążył przy tym we wszystkich kierunkach, stało się więc wreszcie, że po prostu zabłądził.

Chwyciła go rozpacz. Nie oglądając się już na swój pluton pędził wprost przed siebie modląc się żarliwie, żeby ujrzeć wreszcie skraj puszczy. Wszystko jedno, co go tam czekało, byle wydostać się wreszcie z tego labiryntu tysięcy i dziesiątków tysięcy jednakowych obojętnych pni, za którymi wszędzie czało się śmiertelne niebezpieczeństwa.

Gruby Rudajewski toczył się ciągle za nim niby nieodstępny cień.

Wreszcie gąszcz zaczął gdzieś słabo prześwitywać. Jeszcze sto kroków i wydostał się na drogę.

Była pusta.

Sprawiło to na nim wrażenie niesamowite. Droga jest przecież od tego, żeby po niej chodzili i jeździli ludzie. Tymczasem to właśnie w ciemnej głębi boru niosła się obłąkana wrzawa i huczały potoczyste wystrzały.

Czuć było w tym jakąś zdradę. Mimo to Paprosiński biegł pod samą ścianą częstokołu chojaków, bacznym na każdy ruch wokół siebie.

Co chwila przebiegały mu drogę wolno kicające szaraki, to lis przemknął się tuż przy ziemi, to sarna paru lekimi susami przesadziła wolną od zarośli przestrzeń. Ru-

dajewski dyrdał ciągle w jego tropy jak opasły i zziębnięty jamnik postępujący za swym panem.

Wreszcie las się otworzył w szerokie wierzeje. Paprosiński zwolnił biegu, bo już nie mógł zupełnie oddychać. Rudajewski dogonił go i szedł obok rżąc. Przewiesił karabin przez plecy i ocierał pot obu rękawami niby myjący się bardzo niezgrabny kocur.

Doszli w ten sposób do skraju lasu i ostrożnie podkradli się do ostatnich zarośli, żeby wyrzeć na pole.

Zobaczyli swój pluton biegnący przez kartofle na jakie trzysta kroków przed nimi. Z lasu na lewo wysypywali się bolszewicy. Obie strony poruszały się ociężałe płacząc się w krzaczkach ziemniaczanych i nieledwie podpierając się nosami ze zmęczenia. Pomimo bardzo niewielkiej odległości między przeciwnikami nikt nie strzelał.

Rudajewski rzuciwszy raz tylko okiem na ten widok, w lot zrozumiał, o co idzie.

— Panie poruczniku, noga ! — zawołał z przejęciem.

Rzucili się drogą co sił. Tylko że już tych sił nic prawie im nie zostało. Paprosiński czuł ból nad kolanami, jakby mu kto w tym miejscu nogi poprzetrącał. Twarz owiewał mu gorący i kwaśny opar potu. Całe ciało swędziło nieznośnie od pławiących się w pocie wszy. Biegł z pochyloną głową ciężko i niezmiennie wolno. Rudajewski podrygiwał za nim, zmęczony przynajmniej w tym samym stopniu.

Czterech bolszewików przedzierało się przez ziemniaki równoległe do nich. Po ich ciężkich ruchach łatwo było poznać, że i oni gonili resztką sił. Ujrzawszy dwóch maruderów pominęli uciekającą w oddali grupę i skierowali się ku nim krzycząc :

— Sdajcieś, pany ! Nie ujdziecie !

Paprosiński zrozumiał, że jeśli nie przyspieszy swego biegu, to zabiegna mu drogę, ale nie mógł się już zdobyć na większy wysiłek. Nie potrafił się również zatrzymać do walki : człapał automatycznie bez żadnej myśli i planu.

W końcu bolszewicy wydostali się w ten sposób, że biegli teraz zupełnie równoległe z nim i z Rudajewskim. Paprosiński widział tuż obok siebie ich amarantowe ze zmęczenia i świecące od potu twarze, otwarte męczęńsko usta i cienkie szare ubiory polowe. Trzymali w omdlałych rękach długie karabiny o białych kolbach, ale żaden z nich

nie strzelał. Tak samo zresztą jak Rudajewski i Paprosiński, który miał nawet swoje parabellum w dłoni. Dla strzału przecie trzeba by się zatrzymać lub choćby zwolnić kroku nie licząc wysiłku podźwignięcia broni do oka. Wytworzył się w ten sposób nieprawdopodobny stan rzeczy. Ścigający i ścigani biegli obok siebie tak blisko, że tylko ręką sięgnąć; tak wolno, że ledwie to zasługiwało na miano biegu; a mimo to żadna ze stron nie mogła się zdobyć na dodatkowy wysiłek, aby osiągnąć rozstrzygnięcie. Tylko bolszewicy zawodzili od czasu do czasu zamierającym z braku tchu i jakby błagalnym głosem :

— Sdajcieś, pany ! Sdajcieś, bielyje !

Paprosiński zdobył się wreszcie na to, żeby obrócić głowę w lewo. Razem z nim biegł wyrostek najwyżej siedemnastoletni z karabinem w prawej dłoni i z zieloną czapką w lewej. Miał suchą, kanciastą twarz rosyjskiego chłopca i długą czuprynę barwy dojrzałego owsa. Każdy jego włos pokryty był jak szronem drobniutkimi kropelkami potu. Po przymkniętych oczach i otwartych ustach widać było, że umiera prawie ze zmęczenia. Mimo to uchwycił widocznie spojrzenie Paprosińskiego, bo uniósł nieco ciężkie powieki i powiedział błagalnie :

— Pan aficer, astanowiś niemnożko !

Rudajewski, który trzymał się o krok w tyle, odpowiedział na to jedynym ogólnosłowiańskim, a nader nieprzyzwoitym wyrazem. Dla spotęgowania obelgi nagłym ruchem wysunął ku bolszewikowi prawą pięść chwytając lewą dłońią za łokieć.

Bolszewicy nie zwrócili uwagi na tę ilustrowaną zniechęcę.

— Sdajcieś, pany ! zawyli znowu niby przyśpiew cerkiewny.

Wtedy Paprosiński przypomniał sobie, że trzyma przecie w garści parabellum. Wolniutko zwrócił jego lufę w stronę bolszewickiego wyrostka. Ten zdawał się nie zwracać na ten ruch uwagi. Nie patrzył na wylot, tylko prosto w twarz Paprosińskiemu, jakby czytał w niej wyraźnie, że nie mu z tej strony nie grozi.

— Sdajsia, pan ! — powtórzył zawodząco.

Rzeczywiście Paprosiński nie strzeliłby do niego za żadne skarby świata. Znał siebie na tyle, iż wiedział na pewno, że okupiłby taki czyn ciężkimi wyrzutami sumienia

do końca swego choćby najdłuższego żywota. Co innego jest strzelać do człowieka na dziesięć kroków, a co innego na dwa. Puścił więc pistolet i uśmiechnął się do wyrostka porozumiewawczo. Ów zatrzymał się w tejże chwili.

Paprosińskiemu wydało się, że bolszewik zrozumiał wymowę jego uśmiechu i obrócił za nim spojrzenie, ale ku swemu przykremu zdziwieniu przekonał się, iż ten zrepetował karabin i mierzy zeń do uciekających.

— Nie trafi — pomyślał.

Ale w tejże chwili przypomniał mu się ostatni sen.

— Czyżby tak wyglądała moja śmierć? — zapytał siebie ze zdziwieniem bez cienia lęku.

Usłyszał wystrzał jakby silne dmuchnięcie. Kula gwizdnęła mu koło ucha.

— Nie trafił — stwierdził wobec tego jakby z rozczarowaniem.

Inni bolszewicy również się zatrzymali. Powietrze napełniło się cieniutkim jękiem niewidzialnych kul.

Tymczasem jednak odezwały się strzały również i z przeciwnej strony. Paprosiński przekonał się, że reszta kompanii leży na wzgórzu przed cmentarzem i strzela do ściągających bolszewików. Niedługo rozróżnił leżących i kłęczących strzelców, którzy błyskali z karabinów. Po każdym błysku następował głośny huk jakby źle uwspółcześniony.

— Jesteśmy uratowani — pomyślał tak samo obojętnie, jak przedtem o grożącej mu śmierci.

Rudajewski szedł za nim charcząc i plując.

VIII

Starszy sierżant Sołyszko podbiegł do zbliżającego się Paprosińskiego. Ów zatrzymał się dysząc szybko. Zar buchał mu na twarz z rozwartej na piersiach koszuli. Skinął ręką na znak, że nie wymaga raportu. Sołyszko stał przed nim wyczekująco.

— Ilu ludzi? — wyksztusił po pewnym czasie.

Sierżant obejrzał się bezradnie.

— Nie mogłem policzyć, panie poruczniku. Schodzą się po jednym. Ale będzie już więcej jak dwudziestu.

— Pana porucznika Ludomskiego nie ma?

— Nie ma.

Sołyszko uśmiechnął się przy tym jakby z zadowoleniem. Jakby zaginięcie dowódcy uważał za fakt, o tyle przyjemny, o ile śmieszny. Nim Paprosiński zdążył to sobie uświadomić, również poczuł w swym sercu drgnienie radości. Czyż nie było to cudowne zrządzenie losu, że został samodzielnym zwierzchnikiem kompanii właśnie tego dnia, w którym obudziły się w nim nieznane dotychczas ambicje i dążenia? Najwyraźniej życie jego skrzyło na nowy tor wiodący do zaszczytów i potęgi.

W tejże chwili uprzytomnił sobie z przestachem, że nic go nie obszedł los przyjaciela.

— Czyżbym rzeczywiście zaczął tak nikczemnie? — zdumiał się.

Zaczął sobie wyobrażać wszystkie zalety zaginionego: jego wierną przyjaźń, jego prostotę, szczerość i otwartą, swobodną wesołość, ale nie potrafił już wzbudzić w sobie żalu. Mimo to uspokoił swoje sumienie wspomnieniem nauk szkolnego katechety, który wyjaśniał, że człowiek grzeszy myślą tylko wtedy, gdy jego wola godzi się na narzucające się umysłowi wyobrażenia. Uczuł nową radość z powodu odkrycia we własnej duszy twierdzy, w której mógł zawsze odtąd się bronić przeciw szatanowi, który widocznie krążył wokół niego jak kozactwo wokół opuszczonej kompanii.

To porównanie nasunęło mu myśl, że strzelcy w gołym polu nie są dostatecznie zabezpieczeni przed niespodziewaną szarżą.

— Gdzie karabin maszynowy? — zapytał Sołyszki.

Starszy sierżant znowu obejrzał się niepewnie.

— Na cmentarzu — odpowiedział wreszcie. — Kasowski wynalazł tam jakieś dobre stanowisko.

Paprosiński spojrzał na cmentarz. Zajmował on strome zbocze dość dużej wyniosłości. Był gęsto zarośnięty drzewami i krzakami i posiadał ogrodzenie z kamieni.

— Trzeba i resztę kompanii tam przeprowadzić — zdecydował.

Strzelcy ruszyli niechętnie wspinając się na wzgórze.

W tej chwili zahuczały dalekie wystrzały karabinowe. Kule niosły się nad głowami przenikliwie świdrując powietrze. Kompania przyjęła to obojętnie, tylko Paprosińskiemu teraz dopiero ścisnęło się serce na myśl, że Ludomski nie wrócił. Jednak szatan został zwyciężony.

Ponury nastrój pogłębił jeszcze kulomiot Kasowskiego, który również zaczął huczeć długą, nie kończącą się serią. Jego astmatyczny terkot wydał się Paprosińskiemu żalobnym pacierzem za duszę przyjaciela.

Tymczasem kompania usadowiwszy się za murem przyłączyła się do strzelaniny. Zdawało się, że bitwa rozgorzała na nowo, okazało się jednak, iż były to tylko luźne grupki bolszewików, które wypłynęły z lasu i natychmiast cofnęły się pod strzałami. Ogień więc ucichł powoli i strzelcy rozłożyli się na odpoczynek. Rozpalono ogniska i zaczęto gotować w menażkach ziemniaki oraz zielone jabłka, jakie udało się zdobyć gdzieś po drodze w ogołoconych ze wszelkiej żywności wioskach. Paprosiński pozwolił na to, ludziom bowiem należał się bezprzecznie jaki taki wypoczynek, a powtórę ciągle miał jeszcze nieśmiałą nadzieję powrotu Ludomskiego. Zarazem jednak myślał nad ubezpieczeniem biwaku. Bolszewicy co prawda znikli, ale było więcej niż prawdopodobne, że wrócą jeszcze niedługo. Poleciał więc Sołyszczkę wystawić czujkę na najwyższym punkcie wzgórza i postanowił wysłać patrol do lasu. Właśnie wezwał w tym celu Sołyszczkę, gdy na drodze od wsi ukazał się Ludomski, a o kilkanaście kroków za nim sierżant Dereń.

Paprosiński skoczył ku przyjacielowi z radością tylko po części wymuszoną, ale Ludomski zmroził go na wstępie swoim wyglądem. Miał on twarz wykrzywioną niemiłosiernie i obu dłońmi przyciskał prawy policzek.

— Psiakrew, jak mnie ten ząb cholernie boli! — wykrzyknął niby nowinę, której długo nie miał z kim podzielić.

Rozejrzał się po cmentarzu.

— Coście się porozwalali jak byki na półmisku? Przecie widać was tu o milę. Wystawiliście chociaż jakie ubezpieczenia?

Paprosińskiego uraził ton tego zapytania, zamilkł więc odwracając się uroczyście. Sołyszczko patrzył przed siebie nieruchomo omijając wzrokiem pytającego.

— Melduję, panie poruczniku, że na punkcie obserwacyjnym stoi strzelec Robak — wypowiedział sucho wyuczoną formułkę.

Ludomski nie zwrócił zupełnie uwagi na te objawy niechęci. Ssał językiem chory ząb i splotał raz po raz krzywiąc się boleśnie.

— Gdzież jest ten Robak? Robak? — wrzasnął z widoczną wściekłością.

— Tak jest, panie poruczniku! — zawołał wezwany naddiegając natychmiast.

— Do mnie!

Robak zabiegł półkolem, aby stanąć naprzeciw zwierzchnika w przepisanej odległości i zaczął ustawiać nogi oraz kolbę karabinu celem przybrania odpowiedniej postawy.

— Co wam rozkazał pan sierżant Sołyszko?

— Pan sztabowy kazał mnie obszerwować punkt.

— Jaki „punkt” do stu jasnych?

Sołyszko wtrącił z pewnym odcieniem pogardy.

— Pan porucznik Paprosiński rozkazał wystawić czujkę na wzgórzu dla obserwacji...

Oczy Ludomskiego zapłonęły jak pochodnie.

— Gdzieś mam waszą czujkę! Pluję na waszą obserwację trzy razy! Szedłem tu od lasu i mogłem wam wleźć na same mordy, zanim by mnie jakie bydlę zauważyło. Dlaczego nie spatrolowaliście do tego czasu lewego skraju lasu? Woleliście się tu gzić z dziewczkami.

Sołyszko był blady jak śmierć. Wargi mu się trzęsły jak u człowieka, który zdecydował się na wypowiedzenie jakiejś straszliwej prawdy, jaka nigdy nie powinna być wypowiedziana. Paprosiński wszystkimi nerwami wyczuwał grozę wiszącą w powietrzu, więc żeby uprzedzić jej wybuch, powiedział wolno i dobitnie:

— Przede wszystkim to ja miałem tutaj komendę i ja poleciłem postawić Robaka na punkcie obserwacyjnym.

Ludomski nie spojrzał nawet w jego stronę. Ciągłe trzymając się oburącz za szczękę patrzył roziskrzonym wskutek bólu i gniewu wzrokiem na Sołyszkę.

— W tej chwili wysłać mi patrol: jeden-trzech na skraj lasu na lewo od wioski!

Sołyszko bez odpowiedzi obrócił się powoli i wykrztusił jakimś straszliwie doniosłym szeptem:

— Kapral Dziduch. Wziąć zaraz trzech ludzi i spa-trolować las na lewo od wioski.

Dziduch, który jak cała prawie kompania stał nieda-leko przysłuchując się całej scenie, zakolebał się na swych krzywych nogach, odwrócił się do najbliższych mu strzel-ców i wytknąwszy krótki i zaokrąglony palec środkowy swojej prawej ręki przesunął nim zjadliwie pod nosem Hajdusia, Rudajewskiego i Robaka :

— Ty, ty, i ty, zostawić plecaki i za mną !

Robak nie drgnął, tylko jego twarz przybrała jakiś płaczliwy wyraz.

— Panie kapral, przecie ja dopiero czo byłem. Niech teraz insze pónďą.

Dziduch przysunął doń swoją szeroką gębę.

— Słyszałeś rozkaz ?

Robak podniósł w górę swoje białe jak len brwi i wpił w kaprała źrenice, niesłychanie zwężone od rozpaczliwej nieustraszonosci.

— Jo ta nie pónďę ! — wybuchnął piskliwie. — Niechta drugie idą. Cięgiem ino ten Robak i Robak ! Obszerwować ponkt — Robak, na patrol — Robak !

Nie dokończył, bo Dziduch z całego rozmachu wymierzył mu cios kułakiem w twarz. Zdażył jednak schylić głowę tak, że pięść podoficera z trzaskiem spadła na jego hełm. Równocześnie na odlew bodnął głową swego prze-śladowcę tak silnie, że ten zachwiał się i oparł się jedną ręką o ziemię. Zerwał się zaraz co prawda chwytając obu-rącz karabin, ale Robak trzymał już swój gotowy do strzału.

Przypatrujący się temu strzelcy ruszyli ławą w nie-zmiernym podnieceniu, odbezpieczając karabiny :

— Wolno bić w polskim wojsku ? Wolno bić ? — wrzeszczeli jak obłąkani.

Ludomski oderwał dłoń od bolącego zęba i błysnął rewolwerem :

— Do nogi broń ! — ryknął jak z armaty kierując lufę w stronę Robaka.

W tejże chwili Sołyszko wyciągnął również swój mały pistolecik.

— Za co pan porucznik chce go zastrzelić ? Za co ? Za co ? — pytał raz po raz w jakimś napadzie szału. —

Chce nas pan porucznik wszystkich wygubić jak kaprała Górnego ?

— Bunt — pomyślał Paprosiński i poczuł lód we wszystkich kościach. Doświadczał tego zawsze, ilekroć spotkał się w świecie zjawisk z tym, co poprzednio przeżywał już w wyobraźni.

— Co to ja postanowiłem sobie zrobić w takim wypadku ? — zapytał się z pośpiechem. — Aha, wyciągnąć wszelkie konsekwencje ze swego stanowiska. Istnieją tylko dwie strony barykady.

Spokojnie wysupłał swoje parabellum i ruszył naprzód zasłaniając sobą Ludomskiego.

— Niech pan porucznik stąd odejdzie ! — wrzasnął doń Sołyszko.

Paprosiński spojrzał nań zdziwiony. Sierżant był bladej i miał wargi wykrzywione wściekłością. Wylot jego pistoletu skierowany był prosto w piersi oficera.

— Nie ma chyba zamiaru do mnie strzelać — pomyślał z niepokojem, ale nie mógł uchwycić wzroku podoficera, którego oczy błyszczały nieludzko, rzekłbyś : bezkierunkowo, na kształt bardzo małych i bardzo silnych żarówek. W tej chwili zobaczył błysk w wylocie jego brauninga i uczył nagle uderzenie w piersi.

— Czyżby mnie ranił ? — zapytał się niepewnie.

Na wszelki wypadek chwycił się oburącz za piers opuszczając przy tym pistolet, osunął się na kolana i przewrócił się na rżysko.

Wypadek ten unieruchomił na sekundę całą kompanię. Nim jednak zdążył kto wydobyć głos ze zdławionego gardła, skądś z tyłu rozległ się nowy trzask, chrzęst zamka i zaraz drugi, trzeci, czwarty...

— Piesik stój ! — ryknął wreszcie Ludomski, ale już Sołyszko, Robak, Rudajewski i Hajduś walili się jeden po drugim na ziemię z przestrzelonymi głowami.

— Nie ruszać się z miejsca ! — krzyczał nadal Ludomski z pistoletem skierowanym w kompanię. — Zajęczkowski, Dziduch, Piesik — do mnie !

Wezwani skoczyli z pochwyconymi karabinami. Piesik zrywając się spoza ogrodzenia cmentarnego wyrzucił z zamka ostatnią wystrzeloną i dymiącą łuskę. Na twarzy miał uśmiech bardziej jeszcze roztargniony niż zazwyczaj. To on więc strzelał.

Mdła woń spalonego prochu napełniła świat.

Ludomski był w szale.

— Rozbrajać wszystkich! — ryczał do struchlałych z przerażenia strzelców. — Słyszałeś? — rzucił się do Kaczmarka przystawiając mu lufę do twarzy.

Ale ten patrzył gdzieś poza niego wzrokiem wyrażającym tak nieopisany przestрах, że raził on swoją przesadą nawet wśród tej rozgrywającej się właśnie tragedii. Nie zwracając uwagi na patrzący mu w oczy wylot wyciągnął swoją długą i chudą szyję jak kogut gotujący się do piania i zaczął gdakać z rozpaczliwym wysiłkiem:

— Ko... ko... ko... Jak rany boskie, kozaki!

Ludomski błyskawicznym ruchem zrobił w tył zwrot.

W tejże chwili przeraźliwy kwik, niby tysiąca syren fabrycznych, zmroził wszystkim szpik w kościach.

Z lasu na lewo od wsi waliła na nich co koń wyskoczy szeroka ława konnicy.

IX

Położenie zmieniło się w jednym mgnieniu oka. Wszyscy strzelcy, jak który stał, klęczał czy leżał, załomotali zamkami swych karabinów. Wszystkie wyloty wysunęły się w kierunku pędzącej jak huragan ściany. Zahurgotały wystrzały błyskawiczne, chrapliwe, pospieszne, jeden przez drugi. Kozacy zawinęli końmi pod wzgórzem i zaczęli je objeżdżać szerokim łukiem od wsi kwicząc, wyjąc i wymachując świetlistymi szablami. Przed oczyma napadniętych migał piorunowo ich rozpędzony łańcuch niby pociąg pospieszny mijający malutką stacyjkę.

W tej chwili załopotał przeciągły trzask karabinu maszynowego niby furkot zrywającego się do lotu ptactwa — i w tejże chwili zmieniła się cała sunąca panorama. Jeden po drugim zaczęli sypać się z siodła czerwoni kawalerzyści. Lecieli przez łby wierzchowców, zwijali się pod ich brzuchy, zsuwali w tył. Konie bez jeźdźców zawracały ogłupiałe na kształt psów, które zgubiły swych panów. Niektóre waliły się również wijąc się i trzepocząc w kurzawie jak kąpiące się w piasku wróble.

A kulomiot siekł niemiłosiernie.

— Cholera! — wyrwało się plutonowemu Zajączkowskiemu w radosnym spazmie.

Ludomski obejrzał się i zobaczył baranią twarz Cewowskiego, który siedział zgarbiony na mogiłce jakiegoś nieochrzczonego dziecka za stojącym na kamiennym ogrodzeniu karabinem maszynowym. Był skupiony w sobie jak kancelista przepisujący ważny protokół na maszynie do pisania. Obie jego dłonie pilnie prowadziły kłamry kulomiotu poruszając go równiutko i dokładnie w prawo i w lewo ruchem wahadłowym. A maszynka wysunęła ku wrogom, niby łakomy pyszczyk, rozszerzony w kształcie lejka tłumik i pluła błękitnawym dymkiem nieprzerwanie.

Kozacy już pierzchali do lasu jak gromada spłoszonych wróbli.

W kompanii powstał ruch i wrzawa. Wszyscy krzyčeli, śmiali się w niesłychanym podnieceniu, opowiadali sobie szczegóły zwycięstwa nie zważając, czy kto słucha, czy nie. W jednej chwili zapomniano o niedawnej tragedii. Nie zwracano nawet uwagi na konających w kałużach krwi towarzyszy. Tylko Ludomski skoczył do Paprosińskiego, ukląkł przy nim i położył mu delikatnie dłoń na skrwawionej piersi.

— Kamasiński! — wrzasnął. — Do pana porucznika! Biegiem!

Paprosiński leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma. Na skutek dotknięcia i głosu Ludomskiego dzwignął wolno powieki i wyszeptał:

— Wacek, nie zostawiaj mnie bolszewikom.

— Nie bój się o to — odpowiedział Ludomski wzruszony.

Paprosiński przymknął oczy ponownie. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że odgrywa komedię. Nie obawiał się bynajmniej, że go zostawią wrogom, tylko po prostu tyle razy miał sposobność obserwowania u rannych żołnierzy podobnego lęku bezbronnych zwierząt przed tymi, którzy czyhają na ich życie, iż uważał za odpowiednie dla swego położenia powtórzyć taką samą scenę. W ogóle nic mu nie było. Gdy poznał po silnym, acz bezbolesnym uderzeniu w piersi, że został ranny, upadł, nie tyle wskutek mdłości i zawrotu głowy, wywołanego nagłym lękiem, ile

również dla tego, iż tak czynili inni w podobnych wypadkach. Teraz leżał, bo czuł błogą senność i że tego rodzaju pozycja uwalniała go od wszelkich obowiązków : ale wiedział na pewno, że gdyby tylko zechciał, mógłby się podnieść natychmiast. Rana nie bolała go zupełnie, czuł tylko w tym miejscu jakby lekki prąd galwaniczny, od którego co chwila ścisnęło mu się serce nagłym lękiem.

Tymczasem Kamasieński wezwał czterech strzelców, którzy zaczęli go układać na płaszczu. Podczas tej działalności Paprosieński po raz pierwszy poczuł tępy ból w piersi i jęknął raczej ze zdziwienia, bo mógłby się doskonale od tego powstrzymać. Napełniło go radością, że Ludomski natychmiast wybuchnął, widocznie przejęty do głębi :

— Ostrożnie, do cholery !

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, który zamaskował grymasem bólu. Przyjemnie być rannym. Wszyscy się troszczą o człowieka, a przede wszystkim kończą się dlań wszelkie trudy.

Zaczął się zastanawiać, że nim go wyleczą, na pewno już nastanie pokój. Przecie to już sześć lat trwa wojna. Co prawda rany płuć goją się podobno szybko, ale w najgorszym wypadku odpocznie sobie porządnie na dalekich tyłach. I to coś warte.

Podczas tych marzeń patrzył z zainteresowaniem, jak ciemno błękitne niebo krąży mu wolno nad głową. Musiał już doświadczać podobnych wrażeń, gdy go noszono na rękach jako niemowlę, ale mimo wysiłków nic sobie z tych czasów nie przypominał.

Poza nim znowu odezwał się karabin maszynowy. Zaczęły też buchać pojedyncze wystrzały i okrzyki. Nie zaniepokoiło go to zupełnie.

— Nowa szarża — pomyślał. — Dadzą sobie z nią radę.

Ale równocześnie obudziły się w nim wyrzuty sumienia, że tak każe się nosić pozbawiając ciężko walczącą kompanię aż czterech ludzi. Zawołał więc zupełnie dzwicznym i silnym głosem :

— Puśćcie mnie !

Strzelcy zatrzymali się zdumieni.

— Co pan porucznik ?...

— Postawcie mnie na ziemi.

— Kiedy...

— Postawcie w tej chwili!

Złożono delikatnie płaszcz na murawie. Paprosiński usiłował powstać, ale przekonał się, że nogi ma jak sparaliżowane. Na próżno też wyginał łokcie i przebierał rękami — był jakby przygwożdżony dzidą do ziemi.

Żołnierze widząc jego wysiłki skoczyli mu na pomoc biorąc go pod pachy i wsuwając mu swe głowy pod ramiona, ale nic to nie pomogło. Paprosiński poczuł tylko ból w ranie tak silny, że zwiśł na ich rękach i zaczął płakać:

— O, Jezu, Jezu! Nie mogę się poruszyć!

Tym razem nie było to udane.

Żołnierze stali nad nim bezradni.

— Czego znowu stoicie jak na weselu? — wrzasnął na nich nadbiegający Dziduch. — Na linię!

Strzelcy ruszyli w bój, a kaprał pochylił się troskliwie nad rannym oficerem.

— Zaraz, zaraz, panie poruczniku — powiedział łagodnie. — Już tam poszedł Sitarek po podwodę, to się pana porucznika przewiezie do wsi.

Paprosiński poczuł dlań wdzięczność, połączoną z wyrzutami sumienia, że zawsze dotąd z nienawiścią śledził brutalnego podoficera.

— Należy jednak miłować wszystkich ludzi — stwierdził po prostu.

Strzelanina huczała nadal.

— Co się tam znowu odgrywa?

— E, trochę kozaków uwija się na przedpolu. Pan porucznik Ludomski został przy maszynce, a reszta kompanii wycofuje się za nami.

Paprosiński znowu zamknął oczy, bo zrobiło mu się niedobrze.

— Widocznie krew mnie uszła — pomyślał. — Ale to lepiej, bo widać nie mam krwotoku wewnętrznego.

Pogrążył się w zupełnym odrętwieniu i pozwolił robić z sobą wszystko w tej nadziei, że w końcu wróca mu siły, ale tymczasem głowa ciążyła mu coraz bardziej, a rana doskwierała tak, jakby niezmierne brzemie leżało mu na piersi i uniemożliwiała oddychanie. Zaczęły go też parzyć pięty. Nie pomogło na to zdjęcie butów i onuczek. Chwyciła go z tego powodu rozpacz. Przypomniawszy sobie,

że czekają go jeszcze męki szpitalne w rodzaju drenowania rany. Czy nie lepiej wobec tego od razu umrzeć? Ale na myśl o śmierci szpik zamierał mu w kościach i chwytaly go nudności. Powiększały się one wskutek poziomego położenia i powolnego falowania wiozącej go w piachu podwody.

— Jeśli chwycą mnie wymioty, może to wywołać jaki śmiertelny krwotok — pomyślał z przerażeniem.

Tak go to zatrwożyło, że zaczął rozpaczliwie wmawiać w siebie, iż leży na okręcie płynącym przez ocean. Wysiłał się na wyobrażenia wznoszących się i opadających widnokręgów, długiej bruzdy świetlistej, znaczącej tor statku za jego burtą, i równej dygotliwej pracy silnika. Byle się nie modlić. Postanowił to sobie raz na zawsze od czasu tych kilkunastu minut spędzonych w huraganowym ogniu na szosie pod Łużkami.

W ten sposób zasnął.

X

Gdy się obudził, była już noc. Nad nim w sinych przestworzach tańczyły gwiazdy. Pod sobą uczuwał klekotliwe wstrząsy i — od czasu do czasu — tarcie koła o deskę. Wywnioskował stąd, że ciągle jedzie na wozie.

Wokół słyszał szelest nóg i potykanie się o korzenie drzew idących w ciemnościach ludzi. Widocznie kompania posuwała się drogą leśną.

Poza tym było cicho. Żadnych strzałów, rozmów czy nawet szeptów. Czasami tylko przesunął się pod ziemią daleki grzmot armat, ale na to nikt już przecie nie zwracał uwagi.

Tak opanował go ten nastrój spokoju, bezpieczeństwa i własnej bezsily, że dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie równy i tępy ból, który przywarł mu niby polip do piersi. Prawda: był przecie ranny.

Napełniło go to wstydlivym szczęściem. A więc się to wreszcie skończyło. Teraz już nikt i niczego nie będzie odeń wymagał. To on nawet może występować z pretensjami choćby do całego świata.

Było mu dobrze i ciepło. Na górnej wardze czuł miły żar oddechu idącego z nozdrzy. Serce trzepotało w nim szybko i niedostrzegalnie na kształt sprężynki malutkiego zegarka. W kościach łamało go rozkosznie jak przy przeciąganiu się po długim i smacznym śnie. Ponieważ doświadczał przy tym od czasu do czasu krótkich dreszczy, jakby go małe dziecko dotykało zniecierpliwionym zimnym paluszkiem, przyszło mu więc na myśl, że mogą to być objawy gorączki. Przypuszczenie to nie zaniepokoiło go ani trochę.

— No, więc choćby i śmierć? — powiedział sobie radując się zarazem z tej nieoczekiwanej zdolności do rezygnacji. Zawsze musiałaby ona przyjść, prędzej czy później. Tymczasem jest mi dobrze, dobrze po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

Spokój, spokój, spokój — oto, co panowało w jego myślach, nerwach i całym organizmie.

W pewnej chwili poczuł, że ktoś niezmiernie delikatnie maca jego nogi, ręce, piersi i twarz. W końcu czyjeś palce dotknęły jego rozwartych rąk i natychmiast się cofnęły.

— Nie śpisz? — usłyszał głos Ludomskiego.

— Nie — odpowiedział z radością, bo tęsknił do towarzystwa.

— A jak się czujesz?

— Zupełnie dobrze.

— Nie dokucza ci rana?

— Kiedy o niej pomyślę, to czuję, że mnie boli, ale przeważnie myślę o czym innym.

— A może ci czego potrzeba? Nie napiłbyś się kawy?

— Wiesz, może bym się i napił... Chociaż — lepiej nie.

Uświadomił sobie, że w takim wypadku musiałby podnieść głowę i zdobyć się na wysiłek łkania.

— Nie ciekawi cię, w jaki sposób udało nam się oderwać od kozuniów i dokąd teraz idziemy?

— Jeśli mam ci powiedzieć prawdę — to nic a nic.

— Rzeczywiście?

— Do tego stopnia rzeczywiście, że mnie samemu trudno w to uwierzyć.

— Więc nic cię już nie obchodzi, ani ja, ani kompania, ani cała wojna?

— Nie to. Tylko wyobraź sobie marnego aktorzynek, który całe życie cierpiąc wszelkiego rodzaju nędzę i upokorzenia, przymierając nawet głodem, musiał po całych bezsensownych nocach odgrywać wiecznie to samo w jakimś podłym bałaganie. I oto ten nędzarz pewnego dnia wygrywa na loterii główną wygraną, tak że może sobie urządzić życie spokojne i bez troski. Co jego wtedy będą obchodziły jakieś marne triumfy i klapy kiepskich skeczów i płaskich kawałów scenicznych, w których sam niedawno brał udział?

— To uważasz, że wojna jest kiepską komedią?...

— Nie tylko wojna. Podobno cały świat. Tak przynajmniej twierdziło wielu myślicieli z Szekspirem na czele.

— Przypuśćmy, że tak jest. Dla kogoż wtedy i w jakim celu mamy się wysilać na te wszystkie błazeństwa?

— O to właśnie chodzi. Myślałem o tym od dawna i teraz dopiero doszedłem do wniosku, że jeśli życie człowieka jest komedią, to jedynym jej widzem jest sam Bóg. Trzeba się więc starać o to tylko, żeby zasłużyć na jego uznanie.

— Ale jak poznać, że się zrobiło przyjemność Panu Bogu.

— Można poznać, bo się ma wtedy szacunek dla samego siebie.

— Czyli po prostu — jak naucza Kościół — należy być zawsze w zgodzie z własnym sumieniem?

— Po trosze tak... Nawet... Tak, masz zupełną rację. To jest zupełnie to samo.

Ludomski roześmiał się radośnie.

— Świetnie! — zawołał. — Okazuje się, że jestem genialnym myślicielem, chociażbym nigdy się o to nie pomyślał. Bo to już przecie nie po raz pierwszy ty, który przez całe życie kształcisz się tylko i gimnastykujesz swój delikatny umysł, przyznajesz w końcu słuszność mnie, który jak ognia boję się wszelkiej pracy mózgu.

— Tak. Rzeczywiście. Ty masz zawsze rację. Tylko — wybacz szczerokość — ale jakąś niezasłużoną. Wydaje się, żeś jej nigdy nie potrzebował szukać, bo narodziła się w tobie razem z tobą samym.

Ludomski roześmiał się znowu i poklepał leżącego po ręce.

— Rzeczywiście — powiedział. — Tak dalece na nią nie zasługuję, że nic nawet o niej nie wiem.

Paprosińskiego rozrzewniła pieśczoć i skromność przyjaciela. Chwycił go szybko za rękaw i wyszeptał gorąco.

— Pewnie mnie wywiozą na tyły. Będziemy musieli rozstać się na długo, jeśli nie na zawsze. Muszę cię przedtem przeprosić.

— Ty mnie? Za co? Za to, żeś mnie zasłonił przed kulą?

— Żem ci dziś rano wypomniał Górnego.

Ludomski wyprostował się gwałtownie wyrывая rękaw.

Paprosiński widział jego sylwetkę na gwiaździstym tle nieba. Po zarysach hełmu orientował się, że jego przyjaciel patrzy w przeciwną stronę.

— Nawet nie wiesz — ciągnął pośpiesznie swoje samooskarżenie — do jakiego stopnia było to podłe z mojej strony. Muszę ci bowiem wyznać coś, co mi już dawno ciąży na sumieniu. To moja wina, że Górny zginął. To ja wysłałem go na śmierć. Pamiętam, jak dziś. Była taka sama ciemna i cicha noc. Zastępowałem ciebie, boś był w pułku, i Sołyszko powiedział mi, że trzeba wysłać patrol za rzekę. Zapytałem, który z podoficerów dawno nie miał służby. „Kapral Górny”. — „Wyślijcie Górnego” — powiedziałem...

W tej chwili Ludomski zaczął się tłuc obu pięściami po hełmie, aż zadudniło.

— Rany boskie! Rany boskie! — powtarzał zduszonym głosem. — Dotychczas myślałem, że wszyscy w kompanii powariowali, ale teraz zaczynam przypuszczać, że to ja sam dostałem fiksum derdum. Więc i ty mi mówisz o tym sakramenckim Górnym?... Na miłosierdzie boskie! Co tu jest ważnego, kto tego durnia wysłał na patrol? Gdzie tu jest czyja wina, że go zastrzelili z maszynki? A jakby mnie albo ciebie potracili, to kto by odpowiadał? Wytlumacz mi to w końcu, bo już mnie taki szal porywa, że gdyby ten biedak w tej chwili zmartwychwstał, to bym go chyba zatlukł jak żmiję! Tak mi go obrzydzili.

Paprosiński milczał.

W tej chwili wśród ciemności potoczył się rozgłośny wystrzał karabinowy. Potem buchnęły dwa jednocześnie. Potem znowu jeden... Huczały szeroko po lesie niby pękające sprężyny.

Na przedzie zaczęto wołać :

— Panie poruczniku ! Gdzie pan porucznik ?

Ludomski ścisnął kilkakrotnie dłoń Paprosińskiego.

— Bądź zdrow ! Muszę zobaczyć, co tam znowu za cholera tak zdenerwowała moje ubezpieczenia. Zaraz pewnie wrócę.

Paprosiński nie odezwał się już ani słowa.

XI

Dopiero po parodniowym marszu Ludomski wraz z żałobnymi resztkami swojej kompanii trafił na jedną z kolumn odwrotu własnych wojsk.

Był to jeden z pułków wielkopolskich. Walił w swych sztywnych rogatywkach o dziwacznych odznakach szeroką drogą leśną na nową linię obronną do starych okopów niemieckich nad Wilią. Żołnierze, przeważnie młodzi chłopcy, przyjęli odwrót na wesoło jako nowe doświadczenie, które należy wykorzystać do ostatka. Przede wszystkim więc porąbali i porozbijali granatami swoje kuchnie polowe, żeby czasem nie wpadły w ręce nieprzyjaciół; potem systematycznie pozdejmowali z siebie obciążone plecaki, poskładali je na regularne stosy i podpalili ku wielkiej swej uldze. Pozbywszy się w ten sposób wszystkiego, co w ich mniemaniu nie licowało z obecnym stanem rzeczy, maszerowali ochoczo i radośnie pokpiwając z własnego położenia, a nawet podśpiewując sobie chwilkami.

Ponieważ w kompanii Ludomskiego kilku strzelców i tak w rozmaity sposób utraciło swe plecaki, a reszta nie była już zdolna do dźwigania ich nadal, Ludomski postanowił pójść za przykładem beztroskich Poznaniaków : na pierwszym postoju polecił swym ludziom zdjąć wszel-

kie zbyteczne części oporządzenia, złożyć je na piramidę i podpalić.

Smutna ta uroczystość odbyła się na rozwidleniu dwóch szerokich dróg leśnych. Wokół ciągnęły się nieprzebyte puszcze, pełne dymu i żaru, gdyż płonęły już w wielu miejscach. Ranek był co prawda bardzo wczesny, ale tak upalny i przesycony kurzem, że nie było czym oddychać. Nie tylko poszycie daleko w głąb lasu, ale nawet pnie i korony drzew pokryte były grubą warstwą nalotu. Na dobitkę w pobliskich zaroślach leżał jakiś zapomniany trup cuchnący nie do pojęcia. Wszystko to mogło obrzydzić życie nawet człowiekowi nie mającemu żadnych trosk na głowie.

Toteż Ludomskiemu bardzo było ciężko na duszy.

Patrzył na leniwie dymiący stos przepoconego i zawzonego sprzętu, z sercem człowieka oglądającego zgliszczka własnego domu, w którym znalazła śmierć cała jego rodzina. Czuł się bowiem równie samotny i opuszczony. Jego kompania prawie już nie istniała. Tych kilkunastu straszliwych oberwańców, leżących w tej chwili nad drogą bez butów, bez pasów, w różnorakich nakryciach głowy, to w olbrzymiej większości były przybłedy z jakichś rozbitych kompanii, często nawet z innych zupełnie dywizji. Jedni uciekli z bolszewickiej niewoli, inni przyłączyli się czasowo w poszukiwaniu swych macierzystych oddziałów, jeszcze inni sprawiali wrażenie, że właśnie unikają ludzi, którzy by mogli coś o nich wiedzieć. Starych żołnierzy pozostało zaledwie ośmiu. Co najgorsze jednak — poginęli wszyscy podoficerowie.

Zajączkowski dostał kulą w nogę i prawdopodobnie dostał się do niewoli. Dziducha zarabali kozacy szablami. Inni zawieruszyli się bez wieści. Pozostał tylko Dereń, wychudły na wiór, poźółkły, niedołężny i obojętny na wszystko, oraz dwóch kaprali, przybłąkanych z którejś litewsko-białoruskiej dywizji : Zienkiewicz i Szymkiewicz. Byli to podoficerowie karni i wytrwali, ale za to nieprawdopodobnie głupi. Z tego powodu nie mieli oni żadnej powagi u tych drapichrustów, bandytów i łazików, wypelzłych ze wszystkich zakamarków frontu, z jakich teraz przeważnie składała się kompania.

Najboleśniejsza jednak była strata Paprosińskiego, który umarł w nocy tak cicho, że nikt nawet nie wiedział

kiedy. Ludomski wiózł go nadal, żeby go przynajmniej pochować, ale nieboszczyk zaczął śmierdzieć tak okropnie, iż trzeba go było porzucić na jakimś chłopskim podwórku z nadzieją, że poczciwi ludzie ulitują się nad jego nędzą i przysypią paru łopatami ziemi jego zapuchłe oczy.

Może w godzinę po tym nieszczęściu kompania natknęła się w gęstych zaroślach na spieszonych kozaków, którzy dokonali właśnie jej pogromu.

W tej chwili wypoczywała rozrzucona w paru grupkach w wąskim trójkacie drzew, między dwoma białymi pasami pełnych pyłu gościńców.

Dereń siedział w rowie nad samą drogą. Obaj kaprale leżeli na brzuchach o kilka kroków dalej patrząc na Ludomskiego na kształt warujących psów. Piesik, Jagusiak, Kaczmarek i trzech innych starych członków kompanii trzymało się również osobno, z dala od tej zbieraniny, która właśnie kłóciła się zapamiętałe o wodę, jaką dwóch z nich przyniosło w cudem ocalałych menażkach z pobliskiego jeziora.

Drogą jechały tabory Poznaniaków. Woźnice i jezdni nie musieli się czuć przygnębieni odwrotem, bo wesoło i drwiąco spoglądali z wysokości kozłów i siodeł na leżącą kompanię.

Właśnie Ludomski, który bez przerwy obserwował tłącą się wśród dymu i swędu piramidę łańców, powstał bezmyślnie, aby przyrzeć się jej z bliska.

Od strony jadących rozległy się śmiechy. Ludomski bowiem nie wiedział, iż miał rozdarte spodnie, tak że na pośladku w wianku strzępów bielizny jaśniał mu wstydlive kawałek nagiego ciała. Ponieważ przy tym był on straszliwie obdarty i zakurzony, w koszulce i furażerze bez odznak, więc widocznie Wielkopoleanie wzięli go za zwykłego strzelca, bo z jednego z wozów rozległo się szydercze wołanie :

— Ale ci, pieronie, ten Rusek dogodził handgranatą. Nie mogłeś to se, chłopcze, kiejś wyrwać, powiesić na zadku ten blaszany garnuszek, co go trzymasz na głowce?

W kompanii rozległy się stłumione śmiechy. Strzelcy pomimo znużenia podnosili się z legowisk i kupili nad drogą z rozbawionymi twarzami. Ale drugi Poznaniak obrzucił ich wzrokiem i zakrzyknął :

— Gdzieśta takie fajne sztyble wyfasowali, Władki? I te czapki to wam też pewnie podarowała święta Jadwiga, nieprawda?

Drwiono sobie z całej kompanii. I pozwalały sobie na to taborzy. Było to coś tak niesłychanego, że nikt z wyśmiewanych nie spróbował nawet się odciąć.

Ludomski obejrzał się na swoich ludzi i poczuł w sercu piekący wstyd nędzy. Przecie to ta sama kompania zaledwie półtora roku temu „przybijała” na defiladzie w Łodzi aż ziemia jęczała. Sto kilkadziesiąt par ciężko podkutych i wyczernionych butów wznosiło się w powietrze niby czarne wały miażdżące wszystko maszyny: sto kilkadziesiąt lśniących zamków karabinowych sunęło równą rzeką jak pochód drobniutkich fal powodzi; sto kilkadziesiąt hardo wzniesionych hełmów obracało się wolno mijając salutującego dowódcę... Kogóż wtedy na ten widok nie dławiła w gardle moc bijąca od tej ciężkiej masy, zamienionej w jeden aparat zwrotny, szybki i niezawodny jak sama śmierć?...

A dziś się z niej śmieje jakaś hołota taborowa...

Spośród pohańbionych strzelców wyszło dwóch i podeszło do Ludomskiego. Byli to Piesik i Jagusiak. Jakaś delikatność kazała im w tej chwili stanąć przy dowódcy.

— Co powiecie? — zagadnął ich łaskawie.

— Panie poruczniku — powiedział Jagusiak — melduję jako te łaziki, co do nas poprzystawali, to jakaś cholerna granda. Z nich każdy jeden, żeby nawet nagiego spotkał, to jeszcze było go ograbił. A mordy to mają takie paskudne, że jak który swoją rozewrze, to człowiek nie wie, gdzie ślepie podziąć.

Ludomski uśmiechnął się wymuszenie.

— To nic. Damy sobie z nimi radę.

— Tak jest, panie poruczniku.

Stuknęli obcasami i odeszli.

Ludomski powiódł oczyma za nimi i natknął się na Derenia. Drgnął ze wzruszenia.

— Ten musi teraz triumfować — pomyślał.

Z pewną obawą rzucił nań znowu okiem. Ale Dereń leżał na stoku rowu, szary od kurzu, wyschły jak kościotrup i patrzył gdzieś przed siebie obojętnymi na wszystko oczyma, które zdawały się już gasnąć na zawsze.

ZEMSTA SIERŻANTA DERENIA

I

Gdy armia północna zajęła linię Wilii, pierwsza bateria otrzymała z dowództwa artylerii grupy rozkaz zajęcia pozycji na zachód od wsi Świetlany.

Nie było to wcale łatwe. Naprzód wspomnianej wioski zupełnie nie można było znaleźć na mapie. Porucznik Świnarski wezwał na pomoc swego pierwszego oficera, podporucznika Tarapewicza, ale i ten nie mógł się nic zorientować. Niedokładna i zamazana mapa rosyjska tych okolic cała prawie była zamalowana zieloną barwą, która oznaczała lasy.

Wreszcie znaleziono niewyraźny napis rosyjski brzmiący nieco podobnie. Ale okazało się, że czarne punkciki wyobrażające zabudowania tkwią wprost wśród puszczy. Gdzież tu wobec tego znaleźć jaką pozycję. Tym bardziej że ta puszcza płonęła.

Gdzie tylko było zwrócić oczy, ponad drzewa ku niebu waliły płowe kłęby dymu i czerwień płomieni przeświecała miejscami wśród pni.

Ale trudno. Rozkaz jest rozkazem. Zwłaszcza na wojnie. Trzeba było szukać swojego stanowiska.

Natrafiono wreszcie na jakąś drogę z okraglaków, która prowadziła w stronę rzeki. Porucznik Świnarski kazał obudzić baterię, która korzystając z jednej minuty postoju spała pokotem w krzakach, i armaty ze stękanem i brzęczeniem wtoczyły się na poszczerbiony pomost.

Zrobiło się gorąco. Od czasu do czasu przez drogę przesuwwały się chmury gorących sadzy. Pochód w tych warunkach był bardzo uciążliwy. Żołnierze musieli zatykać rękami nosy i usta oraz przymykać załzawione i piekące od dymu oczy. Było to tym niewygodniejsze, że droga była pełna wybojów i sęków, o które potykano się i raniono bose, opuchłe i obolałe stopy.

Wreszcie po godzinie natrafiono na jakieś zabudowania. Stały na prawo od drogi, wprost między drzewami, niby jakieś tymczasowe schroniska czy baraki.

Bateria stanęła.

— Czy to są Świetlany ? — zapytał dowódca ogniomistrza Kossobudzkiego.

— Nie, panie poruczniku. Tu stoi : Billewicze.

Rzeczywiście przy drodze sterczała jakaś tablica.

— A gdzie Świetlany ?

Ponieważ nikt ze zrozumiałych powodów nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, porucznik nakazał wywiadowcom zasięgnąć języka we wsi.

Niestety okazało się, że osiedle było puste zupełnie. Nie było w tym zresztą nic dziwnego : pożar mógł tu dojść lada chwilę.

Dowódca denerwował się, bo powietrze zaczął napępniać stukot polówek i rozgłosne grzmoty wybuchających w lesie pocisków. Echo zwielokrotniało je tak, że odgłosy szły od drzewa do drzewa niby szczekanie buforów gwałtownie zahamowanego pociągu. Widocznie bitwa wrzała już na dobre, a tymczasem bateria nie znalazła jeszcze nawet swego odcinka. Toteż na głowy wywiadowców sypały się trudne do powtórzenia przekleństwa.

Ale cóż oni mogli poradzić ? Nie było prawdopodobieństwa, żeby jaka żywa dusza ludzka dobrowolnie została w tej ponurej otchłani ognia i śmierci.

Przecie znaleziono wreszcie.

Był to wyrostek lat piętnastu najwyżej. Spod czarnego rosyjskiego kaszketu oraz długiej płowej grzywki, spadającej na brwi, patrzyły na żołnierzy wielkie jasne oczy. Był tak wystraszony, że nie mógł iść o własnych siłach i dwóch wywiadowców wlokło go prawie trzymając pod ramiona.

— Coś za jeden ? — zapytał go porucznik.

— Tutejszy, panoczku — wyjąkał przerażony wyrostek.

- To niby skąd ?
- Z zaścianka, panoczku.
- Jak ci na imię ?
- Wskazał Billewicze.
- Na pewno Kaziuk — zaśmiał się poufale ogniomistrz.
- Kaziuk — przytwierdził chłopak, z lęklwym zdziwieniem oglądając się na rozbawionego podoficera.
- Nie rozumiał widocznie, co może się w tym kryć komicznego.
- Znasz wieś Świetlany ? — badał go dalej porucznik.
- Nie znam, panoczku.
- Jak to ? Nie znasz okolic swojego zaścianka ? A wiesz, gdzie leżą Rybaki albo Perewozy ?
- Pierewozy ? To już za rzeką.
- Wszystko jedno. Trafiłbyś tam ?
- Nie, panoczku.
- Co, u diabła ! Jakiś się tu uchował, że nie znasz swoich własnych stron ?
- To na pewno szpieg — wtrącił z udaną powagą ogniomistrz. — Nie ma się z nim co bawić, panie poruczniku, tylko od razu stryczek na szyję i powiesić go na jakiej suchej gałęzi.
- Nie straszyć go — przerwał rozdrażniony dowódca.
- Ale Kaziuka nie trzeba było nawet straszyć. Cała jego skulona postać, papierowa bledź twarży i warg, wybałuszone oczy o malutkich punkcikach źrenic świadczyły o obłąkanej trwodze. Pomimo, że wywiadowcy trzymali go pod ramiona, rzucił się na kolana i przeraźliwym głosem zaczął prosić o wypuszczenie go na wolność. Opowiadał przy tym bezładnie swoją historię, z której można było zrozumieć, że „polska wójśka zabrawszy go na podwoda” już ze dwa tygodnie temu, że tłukł się gdzieś po świecie i brał udział w jakiejś bitwie, w której zastrzelono mu konia, że wobec tego uciekł do rodzinnego zaścianka, który znalazł pusty i toczony pożarem. Teraz więc musi odnaleźć „swoją rodziną”, która gdzieś widocznie schroniła się przed bitwą.
- Porucznik Świnarski słuchał tego zirytowany.
- Dobrze. Znajdziesz swoją rodzinę, ale wpierw musisz nas zaprowadzić do Świetlan.

Ale chłopak nie ustawał w błaganiu :

— Puść mnie, panoczku, puść ! Ja nie wiem, gdzie Świetlany.

— Dać mu w mordę, panie poruczniku, to zaraz sobie przypomni — zaproponował zniecierpliwiony tą sceną wywiadowca Kowalski.

— Nie, nie bić go — rzekł dowódca. — Słuchaj Kaziuk — zwrócił się do chłopaka — albo nas zaprowadzisz, gdzie chcemy, albo cię zastrzelimy z tej armaty.

Kaziuk spojrział na białe od kurzu cielska zakapturzonych machin, stojących na drodze, i umilkł ze zgrozy.

— Kiedy ja nic nie wiem — wyjąkał wreszcie.

— Czego nie wiesz ? Dokąd prowadzi ta droga ? — pytał ostro porucznik.

— To Germany zrobiły do swoich okopów.

— A ten las daleko się ciągnie ?

— O, daleko.

— A do rzeki się nie kończy ?

— Nad rzeką nie ma lasu. Dopiero po drugiej stronie.

— To prowadź nas tam, gdzie nie ma lasu.

Chłopak skulił się, widocznie gotując się do nowych lamentów, ale porucznik krzyknął :

— Weźcie go, Kowalski, niech prowadzi. A jakby chciał uciekać — kulę w łeb.

Kowalski dosiadł konia, ściągnął karabin z pleców i trącił Kaziuka kolbą. Ten jeszcze raz obejrzał się błagalnie na dowódcę, ale nie opierał się dłużej.

Bateria znowu zaczęła huczeć i chrzęścić po okraglakach.

II

Okazało się niedługo, że Kaziuka „daleko” oznacza najwyżej pół wiorsty, las bowiem urwał się zaraz. Ale teren, jaki po nim nastąpił, nie nadawał się najzupełniej na stanowisko ogniowe. Była to pełna dołów, korzeni, pniaków i zarośli poręba, na której prócz tego rosły z rzadka sosny nasienne w ten sposób, że zasłaniały Wilię i uniemożliwiały jej obstrzał.

Mimo to porucznik skrzył na lewo mając nadzieję znaleźć wreszcie jakie dogodne miejsce. Armaty więc toczyły się po rozdółkach i korzeniach grożąc co chwila wywróceniem się. Konie zapadały i potykały się co krok. Ludzie dreptali boso po igłach, wiórach i sękach.

Artyleria bolszewicka biła już na dobre. Grzmoty zrywały się ciągle pojedynczo lub po kilka na raz. Drzewa odpowiadały im, jakby rozumiały tę mowę. Świst pocisków był tak żałośliwy, że przenikał do głębi serc jak igła. Ponieważ okolica napełniona była sinym przezroczystym dymem pożaru, zgęszczającym się w brunatną mgłę nad głowami, więc przelatujące granaty żłobiły w nim ciemne rysy, podobne do pęków drutów telegraficznych z tą różnicą, że rzadko biegły równoległe, a przeważnie krzyżowały się w różnych kierunkach. Za każdym gwizdem występowała błyskawicznie nowa kresa na kształt pręgi od uderzenia niewidzialnym biczem.

Żołnierze pokazywali je sobie palcami. Czuli się zupełnie bezpieczni, wiedzieli bowiem, iż znajdują się tak blisko rzeki, że pociski muszą ich przenosić. Ale młodociany przewodnik co chwila przykucał ze strachu i Kowalski musiał go szturchać karabinem, żeby nie opóźniał pochodu.

Jechali tak z pół godziny, ale ostęp stawał się coraz dzikszy i niedostępniejszy.

— Gdzie więc są wreszcie te twoje Świetlany? — wykrzyknął do Kaziuka zniecierpliwiony dowódca.

— Ja nie wiem, panoczku, doprawdy nie wiem — pokornie tłumaczył się wyrostek.

— Żebyś skisł! — zaklął oficer. — Zawracać! — zakomenderował.

Zaczęto więc zawracać. Nie było to tak łatwe. Trzeba było każdego konia wykręcać osobno, bo potykały się i przewracały, a dyszle skrzeczały tak, że lada chwila groziły pęknięciem.

Nie jechano już swoim starym torem, tylko wzięto się bardziej na prawo, aby oddalić się od Wilii.

Słońce zagasło, ale łuny świeciły tym silniej, dowódca więc obawiał się, żeby nieprzyjaciół nie nakrył go swym ogniem.

Zaczęła bić gdzie blisko jakaś polska bateria. Huk jej wystrzałów rozlegał się po lesie wyraźnie i wesoło niby

trzaskanie olbrzymich polan w równie olbrzymim kominku. Pociski jej szumiały nad pożogą jak niesłychane śmigłe żelazne ptaszyska.

Żołnierzy podniosło to na duchu, dotychczas bowiem, chociaż udawali wesołość i silili się na dowcipy, czuli się mocno przygnębieni. Ta dzika, nieznana i nieprzebyta puszczę, ten pożar, szalejący wokoło, i śmierć, chodząca im nad głowami, wytwarzały w nich najprzykrzejszy na świecie nastrój zupełnego osamotnienia, tym bardziej że właściwie nie wiedzieli, dokąd jadą.

Wreszcie bateria znalazła się znowu na drodze z okraglaków. Dowódca był zły jak pies. Trzeba było chyba zawrócić do Billewicz i szukać pozycji za lasem. A tu bitwa rozgorzała w całej pełni. Czy tylko znajdzie się jaką polanę w odpowiedniej odległości od rzeki?

Przywołał przewodnika.

— Słuchaj, Kaziuk, czy oprócz tej jest jeszcze jaka droga od gościńca do rzeki?

Kaziuk patrzył nań przez chwilę wzrokiem tak nieprzytomnym z przerażenia, iż widać było, że zupełnie nie rozumie pytania. Mimo to odrzekł jakby na wszelki wypadek:

— Nie wiem, panoczku.

Porucznika coś tknęło.

— A powiedz no mi, w której to stronie leży twój zaścianek?

Chłopak znowu popatrzał na pytającego, potem rozejrzał się wokół niepewnie i wreszcie wskazał ręką w stronę rzeki:

— Tam.

— Tak — powiedział oficer. Spodziewałem się tego. Puście go, Kowalski, niech już sobie idzie do diabła.

Zdziwiony wywiadowca puścił przewodnika, ale ten pozostał na miejscu nie rozumiejąc widocznie, co z nim chcą zrobić. Wobec tego Kowalski krzyknął nań jeszcze:

— Nie słyszałeś, że masz iść do diabła?

Wtedy uskoczył w bok, przeczekał, aż go miną hurgoczące armaty i zawrócił w stronę Wilii. Widocznie rzeczywiście nie orientował się zupełnie.

Porucznik Świnarski, który obejrzał się za nim, zauważył to i zapytał z niesmakiem:

— Gdzież ta ofiara wojny lezie tam znowu?

— A gdzie to pan się wybiera, panie poruczniku ? — rozległo się tuż przed nim.

Dowódca baterii spojrział w mrok drogi i zadrżał : przed nim stał na koniu dowódca artylerii grupy kapitan Szulc.

Był zziębnięty i mokry od potu. Jego tłusta i czerwona twarz perliła się jakby kropelkami rosy. Swoją amerykańską furażerkę trzymał w lewej dłoni obnażywszy pozlepiane białe i rzadkie włoski na błyszczącej łysinie. Zupełnie rozpięta koszulka wojskowa ukazywała pokryte białą szczecinę jego łono z amarantowym trójkątem wyparzonym przez słońce.

Wyciągnął z kieszeni nieoczekiwanie czystą chusteczkę i obcierał nią czoło :

— Gdzież to się pan wybiera ? — powtórzył pytanie tonem jeszcze bardziej zjadliwym. — Od godziny już szukam pańskiej baterii i z przyjemnością stwierdzam, że używa sobie spaceru przy wieczornym chłodku.

Porucznika Świnarskiego to szyderstwo stropiło do ostatecznych granic.

— Panie kapitanie — próbował się tłumaczyć — ja właśnie szukam pozycji...

— Ach, szuka pan pozycji ? Od godziny już trwa atak bolszewicki, a pan szuka pozycji.

— Tak — potwierdził z rozpaczliwym naciskiem dowódca baterii — właśnie od godziny szukam jakiegokolwiek polanki, gdziebym mógł umieścić swoje działa i nie mogę znaleźć na całym odcinku.

— Ho, ho, ho, na całym odcinku. I może pan nawet czuje żal do dowództwa frontu, że wydało bitwę w tak nieodpowiednich warunkach terenowych ? Dość tych figli — zapienił się opasły oficer. — Za dziesięć minut pańska bateria ma rozpocząć ogień !

— Rozkaz, panie kapitanie, ale skąd ? — zapytał porucznik Świnarski, który mimo całej swej flegmy przestał panować nad sobą.

— Stąd ! — wrzasnął gruby zwierzchnik wskazując ręką na prawą stronę drogi. — Mówiłeś pan, że nie ma tu żadnej polanki. A to co ?

Rzeczywiście z prawej strony drogi znajdowała się mała łysinka wśród niezwykle gęstego młodego lasu, który płonął w dodatku ze wszystkich stron. Dowódca ba-

terii zauważył ją od dawna, ale nie brał nawet pod rozwagę, tak była szczupła. Teraz jednak rozgoryczony awanturą kazał potulnie zajeżdżać tam zaprzęgom.

Kapitan Szulc uznał za stosowne uzasadnić swój niezwykły rozkaz :

— Jeżeli drzewa będą przeszkadzać, to można je przecie pościnać.

Każdy wiedział, że drzewa można pościnać, ale czy był w tym jaki sens ?

Przede wszystkim ustawiono armaty między drzewami, na jednym skraju polanki, a potem wydobyto wszystkie składane piły i siekieryk batteryjne i zaczęto ścinać drzewa z drugiego krańca.

Ludzie pracowali rozebrani do koszul, tonąc w pocie; chojaki waliły się dziesiątkami, a mimo to najniższy celownik wciąż był za duży, żeby można było ostrzeliwać rzekę, płynącą tak blisko stanowiska ogniowego.

Telefoniści ze szpulami rozwijającego się drutu rozbiegli się w różne strony, aby nawiązać łączność, a dowódca odjechał w kierunku rzeki dla obrania sobie punktu obserwacyjnego. Niedługo jednak przyklusował z powrotem sam jeden. Widać było od razu, że jest zirytowany do ostateczności. Zeskoczył z konia, brutalnym ruchem wyrwał słuchawkę dyżurnemu telefoniście i zawołał :

— Połączyć mnie z dowództwem dziewiętnastej brygady.

— Kiedy linia jeszcze nie gotowa, panie poruczniku — odrzekł nieśmiało bombardier Lewicki, który był dowódcą oddziału telefonistów.

— Do jasnej cholery. Coście więc robili do tego czasu ? — wrzasnął oficer i cisnął słuchawkę o ziemię.

Lewicki podniósł ją zaraz pokornie. Cała bateria związała się jak mrówki w zupełnym milczeniu, żeby tylko się nie narazić na gniew jowisza oddziału. On tymczasem usiadł na odwłoku drugiego działu tyłem do nieprzyjaciela, rozstawił szeroko kolana, wsparł na nich łokcie, podparł obu dłońmi podbródek i w gniewnym milczeniu patrzył w płonący las.

Bombardier Kowalski przysunął się doń ostrożnie, zatrzymał się na parę kroków, zasalutował sprężystie i wygłosił niepewnie :

— Panie poruczniku, pan wachmistrz Bekierski ka-
zał się spytać, co ma zrobić z przodkami i wozami amu-
nicyjnymi ?

Oficer spojrział na mówiącego z wyrazem nieopisanego
szyderstwa.

— Co ma zrobić z przodkami ? — powtórzył prze-
ciagle. — No, rozumie się, pozawieszać na jakiej ładnej
choince.

— Bo, panie poruczniku, pożar już do nich dochodzi
i pan wachmistrz obawia się, żeby nie wyleciały w powie-
trze — wyjaśniał stropiony wywiadowca.

— Więc cóż ja na to poradzę ? Przejechać w inne
miejsce. Z każdym głupstwem do mnie się zwracać bę-
dziecie ?

Kowalski zasalutował i odszedł.

Podporucznik Tarasewicz, który dotychczas majstro-
wał przy pierwszym dziale i przy busoli kierowniczej, pod-
szedł do nadąsanego dowódcy.

— Cóż to się stało, panie poruczniku ? — zapytał
swobodnie. — Dlaczego pan porucznik już wrócił ?

— Co się stało ? Wyobraź pan sobie, że w okopach
naprzeciw nas nie ma żywego ducha. Po drugiej stronie
rzeki roi się od bolszewików, a na naszym odcinku nie mo-
głem w obie strony nawiązać łączności z piechotą. Trzeba
tymczasem wystawić naokoło baterii jakie wedety, bo je-
szcze nas tu zafasują.

W tej chwili stanął przed obu oficerami bombardier
Lewicki.

— Jest brygada ? — zapytał go dowódca.

— Tak jest, panie poruczniku.

Dowódca skoczył do paratu i niebawem wrócił z roz-
pogodzoną twarzą :

— No, mają nam przysłać osłonę — powiedział z ulgą
do podporucznika.

— Dużą ?

— Kompanię.

— Z karabinami maszynowymi ?

— Przypuszczam.

III

Ponieważ o rozpoczęciu strzelania nie mogło być jeszcze mowy, więc porucznik Świnarski nie pojechał na punkt obserwacyjny, tylko ciągle doglądał wyrębu drzew. Chodził od działu do działu i sprawdzał najniższe celowniki w różnych kierunkach niecierpliwiąc się i besztając rębaczy za rzekomą opieszałość. Naraz przyskoczył doń jeden z żołnierzy, który wartował na drodze :

— Panie poruczniku, melduję, jako przyszła osłona baterii.

Dowódca żywo zwrócił się w stronę drogi, ale jego ożywienie zgasło natychmiast : na trakcie zamiast spodziewanej kompanii zobaczyli siedmiu straszliwie zakurzonych i oberwanych ludzi.

Żaden z nich nie miał ani plecaka, ani chlebaka; dwóch zaledwie miało pasy z ładownicami, a trzech było całkiem boso. Stali obojętnie w postrzępionych owijaczach i okropnie podartych spodniach. Jeden nie miał nawet tego, tak nieodzownego szczegółu męskiej garderoby, ale za to jego gacie były tak brudne i zakurzone, że nie raziły zbyt swą bielą, tym bardziej że owijacze pozostawały na swoim miejscu.

Jedna z tych żałosnych postaci ruszyła naprzeciw porucznika Świnarskiego. Był to widocznie oficer. Można to było poznać po pasie z rzemieniem przez ramię oraz po długich, choć mocno zniszczonych butach, poza tym bowiem wygląd jego nie różnił się od wyglądu jego podwładnych. Podniósłszy dwa palce do furażerki zbliżył się do dowódcy baterii i oznajmił twardo :

— Jestem podporucznik Ludomski. Przyprowadziłem kompanię na osłonę baterii.

Porucznik Świnarski, zamiast go przywitać, wsadził obie ręce w kieszenie od spodni i raz jeszcze obrzucił stojącą kompanię wzrokiem pełnym niewysłowionej pogardy.

— Jak to ? — wybuchnął. — To ma być osłona ?

Oficer szerniał. Wyrażenie : „zaczerwienił się” byłoby tu nie na miejscu ze względu na grubą warstwę kurzu, pokrywającego jego twarz, jak i ze względu na łunę, która już i tak umalowała purpurą wszelkie przedmioty.

— Było nas więcej — zaczął się tłumaczyć — ale tyfus, biegunka, walki z kozakami...

— Cóż mnie to wszystko obchodzi? — wykrzyknął znowu dowódca baterii, oburzony do głębi. — Ja tylko wiem, że obiecano mi dać kompanię, a tu widzę sześciu ludzi !...

Ludomski wzruszył ramionami. Porucznik odwrócił się odeń plecami i wrzasnął w stronę baterii.

— Kossobudzki! Wysłać natychmiast do okopów wszystkich kulomiotaczy, wszystkich wolnych telefonistów i wywiadowców !

W tej samej chwili do opuszczonego Ludomskiego podbiegł gruby wachmistrz o twardych siwych wąsach, przyszyżonych po angielsku, w sztywnej rogatywce i w nowych butach z ostrogami.

— Panie Wacławie, jak Boga kocham, gdzieśmy to się spotkali ?

Ludomskiemu omal oczy nie wyszły z orbit ze zdumienia.

— Pan Bekierski ? — wykrzyknął. — Skąd się pan tu wziął ?

Stary wachmistrz był najwidoczniej zupełnie zadowolony z wrażenia, jakie wywołał, chociaż wygląd jego świadczył o przebytych trudach wojennych. Kurz pokrywał go całego gromadząc się zwłaszcza na brwiach i wąsach; pot wyżyłobił mu jasne bruzdy na szerniałej z zadawnionego brudu twarzy, powieki miał czerwone z bezsenności, oczy stały się przezroczyste jak zwykle u ludzi cierpiących lub którzy przeżyli wiele nieszczęść i niebezpieczeństw; rysy, idące od nosa, pogłębiły mu się pociągając w dół kąciki ust, co nadawało jego twarzy wyraz tragiczny; na policzkach zwiślały mu fałdy skóry wskutek nagłego schudnięcia. Nie musiało mu się świetnie w wojsku powodzić. Świadczył o tym także niepomahowany wybuch radości, z jaką witał dawnego znajomego.

— Panie Wacławie kochany — huczał ściskając oficerowi ręce i obmacując mu ramiona — nareszcie jakaś znajoma twarz w tym piekle ! Nie masz pan pojęcia, jak się cieszę z tego spotkania !

Ludomski tak był zmęczony, że nie mógł mu się odwdziaczyć równym entuzjazmem, toteż pytał nie mogąc ciągle wyjść ze zdumienia :

— Dobrze, dobrze, ale skąd panu przyszło do głowy nabić się w mundur i iść na front ?

— A cóż, panie święty ? Nieraz się przecie mówiło, że jak będzie naprawdę potrzeba, to wszyscy chwycimy za broń. Teraz pan widzi, w jaką kabałę wpędziły Polskę rozmaite, panie tego, nieodpowiedzialne eksperymenty. Mój Maniek zmarnował się, świeć Panie nad jego duszą, w tych strzelcach galicyjskich, to cóż, panie święty, musiałem ja stary iść sam. Nie mam już syna, który by mnie bronił.

Stary endek wpadł w patos. Sywał piorunami na partyjniactwo, austriackie porządki, bolszewizowanie, zdradę i przekupstwo czynników rządzących; robił ponure przepowiednie co do przyszłości kraju, przypominał dawne swoje i swoich patronów politycznych prorocтва, które jakoby spełniły się co do joty. Najwidoczniej odczuwał ulgę, że znalazł nareszcie kogoś, komu by mógł wypowiedzieć wszystkie swoje uwagi polityczne, jakie mu się w ostatnich czasach nagromadziły w głowie i na wątrobie.

— Tak, panie Wacławie. Co prawda, panie święty, żołnierzowi podobno nie wolno, panie tego, politykować, ale nie można, panie święty, zabronić jego sercu, żeby, panie święty, nie bolało nad nieszczęściem ojczyzny, żeby, panie święty, na widok jej zguby nie wołało, panie święty, o ratunek...

Ludomski słuchał tego wszystkiego jakby terkotania odległego kulomiotu. Jego ludzie, którzy dotychczas drzymali na stojąco, poocykali się i wybałuszyli oczy na perorującego. Widać było, że również nie rozumieli ani słowa z całej tej tyrady.

Wreszcie młody oficer zdołał wsunąć zapytanie :

— Dobrze, dobrze, zgoda, ale czyżby tak dawno do Piotrkowa przyszła wieść o naszym odwrocie, że już pan zdążył wstąpić do wojska i przyjechać na front ?

Bekierski spojrział nań zdziwiony :

— Przecie ja teraz wcale w Piotrkowie nie byłem.

— A gdzie ?

— To pan nie wie ? Ach, prawda, to już nie za pańskich czasów. Otóż przyjechała do nas, panie święty, żonina siostra, która wyszła za tutejszego obywatela ziemskiego niejakiego Żyszkiewicza. Ten Żyszkiewicz był oficerem carskim i bolszewicy zakatrupili go zaraz na począt-

ku rewolucji. Uważa pan, wracał do domu z Besarabii i w Kijowie zaczepił go, panie święty, jakiś drab i — „Dawaj, panie święty, szyniel” ! A szwagier, że to była odważna bestia, plunął mu, panie święty, w zęby z nagana. Zaraz go zabrali do czerezwyczajki : „Szpion, kontrrewolucjonier”. — Głodzili go, panie święty, ponieważ — nie wydobyli chociaż podobno, jak jego żona mówi, rzeczywiście był peowiakiem. Więc go w końcu, panie święty, rozstrzelali. Był chory na tyfus tak, że nie mógł ustać na nogach, to się, panie święty, trzymał wagonu, bo go na stacji rozstrzeliwali. To ci dranie te bolszewiki, co ? Podobno (podczas zimy !) wodę ze studni na niego, panie święty, pompowali. Od tego dostał tyfusu...

Tymczasem na drodze ukazała się gromada uzbrojonych żołnierzy. Czterech z nich dźwigało karabin maszynowy. Byli to artylerzyści, wysłani przez porucznika Świnarskiego na wzmocnienie osłony baterii. Dowodzący nimi plutonowy podszedł do Ludomskiego i złożył mu meldunek. Przerwało to rozwlekłe i nieskładne opowiadanie Bekierskiego. Ludomski podał mu rękę i powiedział :

— Może Bóg da, że jeszcze później będziemy mogli porozmawiać. Tymczasem do widzenia.

— Maszerować ! — zwrócił się do swoich ludzi.

Śpiący piechurzy, głusi na wszystko, co się wokół nich działo, na tę komendę ocknęli się natychmiast i senni zgarbieni, ciężkim krokiem spracowanych robotników poczapali w stronę rzeki.

Ale stary aptekarz nie dawał za wygraną.

— Wobec tego — powiedział — poproszę swojego dowódcy, żeby mi pozwolił was odprowadzić. Człowiek już obecnie nie rozporządza swoją osobą — dodał w formie smętnego niby objaśnienia, w którym czuć jednak było pewną dumę z ofiary ze swojej niezależności, którą złożył na ołtarzu ojczyzny.

Zaraz też skoczył do porucznika Świnarskiego, który ciągle jeszcze kręcił się przy dziale kierowniczym poganiając pracujących w pocie czoła artylerzystów. Widocznie stary Bekierski cieszył się w baterii specjalnymi względami, bo Ludomski zauważył pobłażliwy uśmiech dowódcy, gdy wachmistrz stał przed nim wyprostowany salutując podczas rozmowy całą dłonią na sposób rosyjski. W końcu otrzymał pozwolenie, bo szybko podążył za maszerującymi.

— Na czym to ja stanąłem? — zapytał zdyszany zrównawszy się z Ludomskim.

— Na tym, jak pański szwagier zachorował na tyfus w Kijowie — nie bez złośliwości podsunął oficer.

— Aha. Pytał pan, skąd się tu wziąłem? Otóż, panie święty, szwagra bolszewiki-dranie stuknęli w Kijowie, a jego żona sama gospodarowała w ich majątku Baniuszewie, niedaleko Głębokiego. Co ta kobieta przeżyła! Chłoptwo rozgrabiło jej cały dwór. Musiała sama jedna pracować na roli. Bolszewicy szykanowali ją, panie święty, na każdym kroku. Powiadam panu, myślała, że już tego wszystkiego nie przeżyje. Aż przyszło nasze wojsko. Ale babina była tak wystraszona i zmaltretowana, że zostawiła cały dobytek na opiece Boskiej i drapnęła, panie święty, do nas, do Piotrkowa. Za nic w świecie nie chciała wrócić, dopóki się wojna nie skończy i dopóki bolszewików diabli nie wezmą. Więc żona zaczęła mi suszyć głowę, że to taki majątek się marnuje, żebym, panie święty, pojechał zająć się nim trochę. Wie pan, jak to z babami? Po prawdzie w domu nie było wiele do roboty. Z tym składem aptecznym żona dawała sobie radę lepiej ode mnie. Zresztą, nie ma pan pojęcia, jakie teraz są podłe zarobki. Głodem się po prostu przymierało. Więc, panie święty, w końcu pojechałem. Myślę sobie, panie święty, nie może być, żeby taki majątek jednego człowieka nie wyżywił. Córka też nam zesła z karku... A, to pan pewnie nie wie, że wyszła zamaż?

Ludomski drgnął.

Bekierski spostrzegł to i zrozumiał widocznie, bo nie zważając na niestosowność takiej poufałości w stosunku do oficera, w obecności żołnierzy, objął podporucznika ramieniem i przycisnął lekko do siebie.

— Panie Wacławie — mówił w przypływie czułości — widziałem, jak się pan miał do naszej Janki i — Bóg mi świadkiem — marzyłem, żeby mieć pana za zięcia, ale cóż? — inaczej Pan Bóg rozrządził. Kłóciliśmy się nieraz, co prawda, na tematy polityczne, ale — Bóg mi świadkiem — nigdy nie miałem panu za złe pańskich przekonań. Zawsze myślałem: „Młody chłopak, to jeszcze ma czas nabrać rozumu”. Zresztą nigdy nie wierzyłem, żeby pan miał być na serio socjałem: był pan na to za poważny i miał pan zbyt szlachetne zasady...

Ludomski nie odpowiadał. Szedł ciągle naprzód ze zwieszoną głową. Więc Bekierski puścił w końcu jego ramię i przyglądał mu się z półotwartymi ustami człowieka który oczekuje pytania i już od dawna ma na nie gotową odpowiedź.

— Wie pan — zagadnął wreszcie — kto jest jej mężem ?

Ludomski milczał.

— Major Świderski. Także były legionista, ale bardzo porządny człowiek. Zamieszkali w Łodzi, bo zięć służył w deogonie. Powodziło im się dobrze, ale pan wie, jak to w dzisiejszych czasach partyjnictwa. Oskarżyli go o jakieś nadużycie, więc wziął na ambit i podał się na front. Jest teraz w sztabie naszej dywizji...

Ludomski szedł ciągle zapatrzony przed siebie, jakby całkiem nie słyszał paplaniny natrętnego towarzysza.

IV

Artyleria polska i bolszewicka biły bezustannie. Granaty pękały gdzieś w lesie budząc echa rozgłosne a szerokie. Bekierski przerwał swoją opowieść i nasłuchiwał przez chwilę z widoczną trwogą. Wreszcie chwycił znowu Ludomskiego za rękę i zapytał :

— Co panu jest, panie Wacławie ?

Oficer spojrzał na niego, jak człowiek, który śnił rzeczy straszne i którego obudzono, bo jęczał przez sen.

— Tak mi jakoś ciężko na sercu — powiedział.

— To nie tylko panu. Tak tu ponuro w tej puszczy, że i mnie samemu niemiło. Ale nie ma się co przejmować : jak wyjdziemy z tego piekła, to przejdzie.

Ludomski odwrócił głowę.

— Ja już stąd nie wyjdę — powiedział cicho i jakby ze wstydem.

— Co też pan wygaduje ? Panie Wacławie. Niech się pan tylko nie daje chandrze. Co za głupstwa jakieś...

Stary aptekarz najwidoczniej był niezmiernie wzruszony. Oburącz ścisnął dłoń oficera i usiłował zajrzeć mu w oczy.

Właśnie cały oddział śpiąc ciągle w marszu i potykając się co chwila o korzenie osiągnął skraj wysokopienego lasu, gdy idący na jego czele plutonowy zatrzymał się raptownie. Idący za nim wpadli nań. Powstało zamieszanie i rozległ się groźny głos :

— Kto tu stoi ?

Cała gromadka pozrywała z ramion karabiny.

Wśród suchych i cienkich pni młodych sosenek, purpurowych od szalejącego wokół pożaru, bielała długa postać jakiegoś człowieka, stojącego nieruchomo z opuszczonymi tragicznie ramionami i czołem, spod którego błyszczały wywrócone białka. Nie odpowiedział on na pytanie, nie poruszył się nawet, tylko w dalszym ciągu patrzył na żołnierzy z jakąś ponurą, jakby nienawistną zadumą.

— Odpowiadaj, taka twoja mać, bo ci mordę roztrzaskamy !

Człowiek nie drgnął.

— Żeby ci czasem nie otworzył tego twojego brudnego pyska ! — wrzasnął jeden z wywiadowców.

Cisza.

— Iść tam ze dwóch po niego i sprowadzić go tu za kark — rozkazał Ludomski.

Trzech artylerzystów zaczęło przedzierać się przez krzaki w kierunku tajemniczej zjawy. Już po paru krokach poznali, że był to chłop białoruski z opuszczoną na czoło grzywką sztywnych, jasnych włosów i w zgrzebnej koszulinie, która wylazła mu ze spodni. Uderzała granatowa barwa twarzy stojącego.

Naraz idący na przedzie Kowalski wzdrygnął się jakby rażony prądem elektrycznym.

— Czego to bydlę tak wywaliło ózór ? — zapytał z niepokojem.

Dwaj inni pobiegli naprzód i stanęli zmieszani.

Przed nimi na wątlej sosence wisiał młody chłopak.

Powiesił się widocznie na pasku od spodni, bo ta część jego ubioru obsunęła mu się aż do kolan, ukazując spod przykrótkiej koszuliny żółty, niezmiernie wklęsły brzuch. Tuż pod zwisającymi nad samą ziemią stopami

wisielca leżał jego sztywny czarny kaszkiet z błyszczącym skórzanym daszkiem.

— Patrzcie ! — zawołał Kowalski. — Nasz Kaziuk się powiesił !

Dwaj pozostali artylerzyści patrzyli na trupa z pewną litością. Pojęli natychmiast tragedię tego zabłąkanego wyrostka wśród płonącego i ziejącego śmiercią lasu, między dwiema walczącymi armiami. Wszyscy jego bliscy zawie-ruszyli się gdzieś w okropnym wirze wojny, a on widocznie nie miał serca zahartowanego na tyle, żeby przetrwać straszliwą mękę osamotnienia. Toteż wszyscy artylerzyści z opuszczonymi głowami wrócili do swojego oddziału, który korzystając z przerwy w marszu spał stojąc na drodze.

— No i co ? — zapytał przez nos na wpół rozbudzony Ludomski.

— Jakiś chłopak się powiesił.

Po tym wyjaśnieniu oddział ruszył dalej drzemiąc ciągle.

Tymczasem pośród ciągłego bębnienia armat i chichotu pędzących nad głowami pocisków dało się słyszeć grzechotanie strzałów karabinowych i przeciągłe brzęczenie kul.

Zbliżono się do rzeki.

Na jej wysokim, zalesionym brzegu wiły się stare okopy niemieckie. Były to ciągnące się w różnych kierunkach potężne rowy z dziwaczными załamaniem, schronami, chodnikami. Wszystko to już po części rozmyły deszcze, zarosły krzaki i trawa, porył zwierz leśny. Mimo to zajmująca je obecnie garstka czuła się onieśmielona tym dziedzictwem olbrzymów, które jej przypadło w udziale. Było to już przecie pięć lat temu, jak w tych samych miejscach walczyły żelazne legiony dobrze odżywionych, świetnie zaopatrzonych i zawsze zwycięskich wojsk. Ludzkość od tego czasu zmarniała i znikczemniała. Na miejscu ludnych i bogatych krain pozostały lasy krzyżów cmentarnych i poryte granatami pola. Zniknęły trony, zmieniły się rządy, powstały nowe narody, tylko wojna trwała niezmiennie, choć ci, co ją rozpoczęli, zniknęli już z widowni dziejowej. Teraz oto wchodzili do ich opustoszałych siedzib ich spadkobiercy, bosi, obdarci i głodni, aby walczyć z armią podobnych im nędzarzy.

Zaczęło się już zmierzchać.

Dawało się to szczególnie odczuwać w lesie. Drzewa przybierały jednostajnie szarą barwę, tylko łuny płonącej puszczy czerwieniały coraz wyraźniej. Zalewały ruchliwymi rumieńcami niebo, świeciły pomiędzy zamartwymi w oczekiwaniu pniami, niby bliska a bezlitosna zorza zagłady.

Od czasu do czasu zawodziły zbłąkane kule na kształt spóźnionych pszczół, które nie mogą trafić do swojej pasieki.

Naraz zabulgotał daleki kulomiot. Brzęczenie kul stało się teraz nieprzerwane. Ludomski spodziewając się, że droga znajduje się pod obstrzałem, nakazał ludziom zejść w zarośla na prawo i paść na ziemię.

Bekierski, który ciągle jeszcze włókł się za oddziałem, zbliżył się teraz do oficera.

— No, to ja tu nie mam już co robić — powiedział. Muszę także zająć swój, panie święty, posterunek. Głupio by nawet było, gdybym co oberwał z dala od swojej, panie święty, baterii. Bądź pan zdrow, panie Wacławie. Spotkamy się jeszcze nie tu, to w Piotrkowie. Wszystkiego najlepszego — mówił wzruszony potrząsając dłoń Ludomskiego.

— Nawzajem. A w razie czego, niech pan zmówi za mnie wieczny odpoczynek.

— Co pan za głupstwa opowiada?

— Niewyspany jestem — tłumaczył się Ludomski przeciągając się i ziewając boleśnie.

— Nie dziwić by się mnie staremu, ale pan... Czołem! — przerwał stary aptekarz i ruszył żwawo w płonący las.

Ludomski zwrócił się do swoich ludzi:

— Teraz chłopcy, biegiem do okopów!

Wszystkich już otrzeźwiło bliskie niebezpieczeństwo, ruszyli więc za nim, zwinni i chybcy jak stado jeleni.

Kule gwizdały coraz gęściej.

Dobiegli do rowów i zaczęli się w nie opuszczać uważnie.

Pierwszy — jak zwykle — był Piesik. Jednym skokiem dopadł on ostatniej kulisy zarośli, stojących tuż nad okopami. Ledwo jednak z nich wyrzwał — cofnął się tak

gwałtownie, aż z całej siły wyrzwał w piersi hełmem biegnącego tuż za nim Ludomskiego.

— Uważaj, do cholery! — wrzasnął rozwścieczony ciosem oficer odpychając go oburącz.

Ale Piesik zwałił się na ziemię i pochwycił go za nogę.

— Puść! — ryknął Ludomski. — Co ci się stało?

Leżący ciągle przyciskał z całej siły do piersi jego but, zwrócił ku niemu twarz zbielełą od niesłychanego przerażenia i poruszywszy naprzód ustami, jak człowiek, który się dławi, zaczął naraz krzyczeć przeraźliwie:

— Bracia, rodaki, Polaki kochane, nie chodźcie tam, bo was zabiją!

— Puść! — zawołał powtórnie Ludomski czując, że włosy powstają mu pod hełmem.

Ale Piesik coraz silniej ścisnął jego kolano. Wpijał się czarnymi pazurami w jego zeschły i pomarszczony but, zadarł ku niemu oczy, z których ziała najstraszliwsza groza, jaka tylko może ogarnąć młody i zdrowy organizm na widok spadającej nań niespodziewanej śmierci i krzyczał z coraz potężniejszym szaleństwem:

— Nie puszczę! Nie puszczę! Uciekajcie stąd, koledzy kochane, bo was zamordują jak mnie!

Ludomskiemu szpik zamarzł w kościach.

— Puść, do cholery! — szarpnął się rozpaczliwie i nerwowym odruchem kopnął konającego tak silnie, że ten zwałił się w wykrot twarzą na dół.

Sam opuścił się w okop z nerwami roztrzęsionymi ponurym wypadkiem.

Jego ludzie kulili się już na dnie rowu równie wystraszeni. Grad kul wiał nad nimi pryskając piaskiem i postukując w pnie zaplecza.

V

Linia bojowa ciągnęła się wzdłuż wysokiego, dziko zalesionego brzegu Wilii, która płynęła w dole mieniając się fioletem, purpurą i złotem zachodzącego słońca oraz świecących wokół pożarów.

Na przeciwnym jej brzegu rozpościerały się ciemno-zielone podmokłe łąki, usiane głębokimi szeregami kop siana. W tej chwili wyglądały one na krainę olbrzymich mrowisk, do tego stopnia rościły się od bolszewików, którzy przebiegali od stogu do stogu pojedynczo czy grupkami, czółgali się aż do samej rzeki, podciągali do niej swoje kulomioty...

Bielutkie gwiazdy szrapneli pękały nad nimi raz po raz, wysokie kolumny granatów podnosiły się groźnie i szybko pośród ich szeregów — zdawali się nie zważać na to zupełnie. Z niezmiennie ciemnych dalekich zarośli wysypywały się coraz nowe ich mrowia i rozpyływały się po zalanych światłem łuny obszarach. Czuli się pewni siebie, bezpieczni i zwycięzcy. Zewsząd migotały ogniki ich wystrzałów. Dochodziły też przez rzekę nawoływania i okrzyki.

A w okopach było już ciemno i ponuro. Przedstawiały one głębokie i skomplikowane umocnienia, wijące się całym labiryntem załamań, poprzecznic, gniazd dla karabinów maszynowych, schronów, odnóg i rowów dobiegowych. Tylko że wszystko to było zestarzałe, zarośnięte trawą i krzakami, porozwalane i rozmyte od deszczów. Gdyby nie regularność zarysów można by je było wziąć za wykroty pozostałe po wyrwanych przez orkan drzewach lub za wyżłobione przez nawałnicę wąwozy. Garstka strzelców i artylerzystów rozpełzła się po tych jarach niby stadko szczurów po korytarzach opuszczonego gmachu.

Ludomski był ciągle przygnębiony. W dodatku ostatni wypadek z Piesikiem rozstroił go do tego stopnia, że wzdrygał się na każdy świst czy stuk uderzającej w nasyp kuli. Tak świadkowie katastrofy budowlanej, gdzie padająca ściana zmiażdżyła robotnika, wzdrygają się na każdy szelest osuwającego się gruzu i boją się podejść do sterczących resztek murów.

Nastrój ten trwał w nim jednak tylko tak długo, dopóki sobie nie przypomniał, że odwaga należy do jego najpierwszych obowiązków. Wtedy już nie mając żadnej litości dla swych roztrzęsionych nerwów wytknął głowę spoza jakiegoś krzaka i wziął się do rozpoznawania położenia.

Od razu zauważył, że bolszewicy gotują się do przebycia rzeki zupełnie jawnie i beczelnie, nie zwracając

żadnej uwagi na jej obrońców. Niestety mieli zupełną słuszość. Nie podobna było bronić przeprawy z tą garstką, która po prostu ginęła wśród olbrzymich umocnień niemieckiej linii obronnej niby gromadka dzikusów w ruinach zapomnianej cywilizacji.

Ludomski zrozumiał to obejrawszy się na swoich ludzi. Wszyscy artylerzyści skupili się na lewo od niego wokół swojej maszynki, jego zaś pięciu strzelców rozstało się w prawo. Na samym końcu znajdował się Dereń. Za nim była zupełna pustka. Widać to było doskonale, w tym kierunku bowiem rowy wspinały się na dość wysokie wzgórze.

Najbliżej strzelało dwóch oberwańców. Byli to wiodocześnie przyjaciele, rozmawiali bowiem ciągle pomimo gradu kul kłócąc się po trosze o ładunki, które z braku ładownic czerpali z kieszeni od spodni :

— Te, Karol, oddaj no mi te moje kulki w białych gilzach ! Nie chcę tych w miedzianych.

— Cicho, cicho, Wilem ! Popatrno lepiej na tego grojnego lwana, co tam włazi do wody. Zobaczysz, jakiego mu tu zaraz dam wegstołsa !

Ludomski obrócił do nich swoją zmęczoną i smutną twarz :

— Skoczcie no tam który do pana sierżanta i powiedzcie mu, żeby wysłał jakiego morusa w górę okopów dla nawiązania łączności.

Karol zerwał się i pobiegł. Wilem popatrzał nieufnie na oficera i podążył za przyjacielem.

Ludomski został sam. Na lewo od niego odezwał się karabin maszynowy baterii. Zaraz jednak zaciął się i to poważnie sądząc z pomieszanych głosów jego obsługi. Kul gwizdały coraz energiczniej i coraz gęstszym rojem. Przelatujące wysoko polskie pociski lamentowały głośno i potem głęboko wzdychały przy dalekich wybuchach. Robiła się już zupełna noc, ale za to coraz potężniej świeciły łuny płonących lasów. Ludomskiemu coraz bardziej ciążyło serce. Czuł w sobie rozpacz skorpionia otoczonego pierścieniem ognia. Najbardziej dolegała mu samotność. Gdyby to żył Paprosiński. Wydawało mu się teraz, że wraz ze śmiercią mądrego i doświadczonego przyjaciela zagasło w jego życiu jakieś światło, które mu dotychczas

rozjaśniało ponury mrok świata. Teraz nie ma już zupełnie do kogo się odezwać...

Jakby pod wpływem tych wspomnień obudził mu się nagle ból zęba. Zrazu załechtał go lekko raz i drugi, aż zaczął świdrować coraz silniej i coraz bardziej nieustępliwie. Zerwał się przyciskając pięść do policzka.

— Teraz ta cholera nie popuści już przez całą noc! — wykrzyknął do siebie z wściekłością rozpacz.

W tej chwili podszedł doń wysłany niedawno żołnierz. Za nim tłoczyło się czterech pozostałych strzelców kompanii. Na ich twarzach widać było rozbawienie. Wiadocznie wiadomość, jaką miał zameldować ich kolega, wprowadziła ich w dobry humor. Ten tymczasem zatrzymał się w przepisanej odległości i zaraportował wyjątkowo głośno:

— Panie poruczniku, melduję, jako pan sztabowy kazał, żeby na łącznika poszedł pan kapral Górny.

Ludomski obejrzał się na wpół przytomny.

— No i co?

Na wszystkich twarzach widniała z trudem tłumiona wesołość. Widać było, że nieobca ona była nawet meldującemu.

— Kiedy u nas, panie poruczniku, nie ma żadnego Górnego.

Ludomski puścił bolący ząb i patrzył na strzelców z niesłychanym zdumieniem.

— Jak to? Nikt z was nie słyszał o kapralu Górnym?

Żołnierze spoglądali po sobie nieco zmieszani niespodziewanym obrotem wesołego widowiska.

— Bo my, panie poruczniku, nie jesteśmy z kompanii pana porucznika. Tylko my się tak przyłączyli...

Ludomski porwał się olśniony nagłym objawieniem i ruszył do Derenia.

Ów leżał zwinięty w kłębek w jakiejś dziurze wśród nagich korzeni rosnącego nad rowem krzaka. Otulony był w płaszcz. Sponad podniesionego kołnierza świeciły jego oczy, czujne i pełne nienawiści jak oczy chorego kota, który siedząc na gałęzi obserwuje szturmujące go psy. Wiadocznie zaczynał mu się zwykły atak febry.

Ludomski stanął nad nim oddychając przez nos ze świstem, jak człowiek, który gotuje się do niezmiernie ważnego oświadczenia.

Wszyscy strzelcy stali za nim. Powrócił już im zwykły rozpasany humor wielkowiejskiej łobuzerii. Tręcali się łokciami zamieniając porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy.

Przez pewien czas trwało milczenie. Wreszcie Ludomski zebrał się w sobie i wykrztusił z udaną swobodą, ale wyraźnie drżącym głosem :

— Słuchajcie, Dereń ! Czy wy wiecie, że z całej kompanii po śmierci Piesika my tylko dwaj jeszcze zostaliśmy ? Bo ci wszyscy inni przyłączyli się do nas dopiero w odwrocie.

Oczy leżącego zgasły. Jego tułów zaczął poruszać się niedołącznie, wreszcie sierżant nagłym ruchem odwrócił się tyłem do oficera.

W stojącej grupce rozległy się śmiechy, ale zaraz umilkły, bo Ludomski rzucił się na chorego, wpił weń zakrzywione palce i zaczął go targać rozpaczliwie jakby w napadzie szału.

— Dereń, do ciężkiej cholery ! — ryczał na całe gardło, aż paru artylerzystów przybiegło zobaczyć, co się dzieje. — Nie rozumiecie, że my dwaj tylko pozostaliśmy z całej kompanii ?

Sierżant pozwolił się szarpać, jakby był kupą łachmanów, nie człowiekiem, ale nie zmienił położenia i nie odezwał się ani słowem.

Ludomski puścił go naraz i siadając obok zaczął szlochać głośno i niezmiernie głucho jak śmiertelnie ranny koń.

Zgromadzeni strzelcy i kanonierzy usunęli się dyskretnie. Jeden z nich tylko zauważył drwiąco :

— Morowa kompania !

Inni milczeli.

VI

Natarcie bolszewickie rozpoczęło się jak zwykle dopiero po północy.

Ludomski po zorganizowaniu — o ile na to szczupła liczba jego oddziałku pozwalała — obrony przeprawy na swym odcinku pozwolił był sobie drzemnąć się na półto-

rej godziny, gdy go jednak obudzono, zerwał się natychmiast przytomny i rześki.

Nad okopem chrześciał i zawodził straszliwy wicher ognia karabinów ręcznych i maszynowych. Przedpiersie i zaplecze kurzyło się od ryjących w piasku kul. Biła też artyleria bolszewicka. Jej szybkie i krótkie grzmoty odbijały się echem w wygłodniałych brzuchach załogi rowów. Pociski świergotały przenikliwie i pękały wśród straszliwego łoskotu w puszczy za plecami obrońców odcinka.

Ci jednak nie dawali się zastraszyć. Wiecznie zacinający się kulomiot baterii wodził we wszystkie strony swą grubą szyją łomocząc urywanie. Reszta artylerzystów biła z karabinów, aż łuski fruwały wokoło. Strzelcy Ludomskiego nie dali się prześcignąć kanonierom. Komentę nad nimi objął niespodziewanie sam Dereń. Aby zamaskować szczupłą ich liczbę, nakazał strzelać wyłącznie salwami. Na dany znak żołnierze wysuwali się wśród gradu kul po piersi z rowu i dawali ognia równocześnie. Wywoływało to wśród artylerzystów niebывały podziw.

Ale Ludomskiego nie dziwiło już nic. Na wszystko, co się wokół niego działo, patrzył suchym okiem człowieka, który utracił już zdolność do wzruszeń. Poziwając lekko wychylił się z okopu, aby zdać sobie sprawę z położenia.

Pożar trwał bez żadnej zmiany. Niebo miało barwę skrwawionego złota. Prześwitujący purpurą las przypominał żelazny ruszt pieca, w którym buzuje ogień. W jego blasku widać było dolinę i długie smugi bolszewików, którzy linia za linią walili ku rzece z zawieszonymi na szyjach karabinami. Widać było, że nic sobie nie robią ze słabego ognia Polaków. W dodatku polska artyleria, która biła na potęgę, przenosiła podobnie jak bolszewicka. Jej granaty pękały zawsze w tych miejscach, gdzie nieprzyjaciela już dawno nie było. Żołnierze w okopach patrząc na to omal nie płakali i gryźli dłonie z rozpacz. Natomiast bolszewicy przyjmowali to donośnym śmiechem.

— Ej, pan, strielaj! — wołali szyderczo wymachując rękami i karabinami.

Któryś nawet zaczął śpiewać, a raczej wydzierać się ku tym większej hańbie Polaków. Była to widocznie jakaś świeżo powstała pieśń ludowa o zwycięstwie nad Autą na nutę nieśmiertelnego „Jabłoczka”. Słowa jej biegły po

rzece i dochodziły zupełnie wyraźnie do uszu obrońców Wilii :

— Och, kak naszi-da puszki-da zagrachotali.

A pany w akopach zaachochali.

„Jezus, Maria !” — kriczat-da parażenije.

„Matka Boskaja !” — kriczat-da atstuplenije !”

— Ci taki syn ! — wybuchnął dotknięty do żywego jeden ze strzelców.

— Te, Wilem — zwrócił się do towarzysza — nie widzisz, który to ?

— A ten we wodzie koło tej brzeziny.

Urażony patriota o ruchach i twarzy skończonego rzemieszka wysunął w tę stronę karabin.

— Nie wyścibiaj się tak, Karol, żeby cię nie skrzywdzili ! — upomniał go przyjaciel.

— Nie bój się !

Padł strzał, ale widocznie niezbyt celny, bo z rzeki rozległa się druga zwrotka jeszcze głośniejsza niż poprzednia :

— Braniewik, braniewik, gdzie twai wahony ?

A Paliaki-duraki bjutsia za pahony !

— Nie ściagnę stąd tego drania ! — wykrzyknął Karol zirytowany. — Muszę zejść do tych krzaczków. Uważaj no, Wilem, żeby mnie jaki skurczybyk przez ten czas nie potracił.

Z zupełną pogardą śmierci wśród wścieklej nawałnicy bolszewickiego ognia wygramolił się z rowu i jął zsuwać się w dół.

W tej chwili jakiś bardzo bliski kulomiot nieprzyjacielski zasyczał deszczem kul tuż nad okopem.

— Te, Karol, strzelają do ciebie ! Wracaj ! — zawołał przerażony Wilem.

— Trzymaj pysk ! — usłyszał w odpowiedzi.

Zaraz jednak potem rozległ się lament śmiałka.

— Ojeja, ojeja ! Wilem, ratuj !

Wilem zaczął kręcić się bezradnie w miejscu na kształt kwoki nad sadzawką, po której pływają wysiedziane przez nią kaczkęta.

— Ratujcie Karola ! — wołał błagalnie do reszty towarzyszy. — Potracili go z maszynówki tam w dole !

Wszyscy czterej strzelcy wysunęli się z rowu, aby zobaczyć rannego.

— Padnij ! — wrzasnął Ludomski, bo w tej chwili zatrzeszczała nowa seria bolszewickiego kulomiotu.

Padli w tej chwili, jakby ich wiatr zdmuchnął.

— Z powrotem do rowu ! — grzmiał dalej oficer podbiegając do leżących.

Tym razem żaden nie usłuchał odpowiedzi. Jeden tylko Wilem zachrapał przeciągle, miał bowiem czaszkę potrąsowaną na miazgę. Reszta ani drgnęła. Przejechała po nich seria karabinu maszynowego.

Od maszynki bateryjnej rozległo się donośne wołanie plutonowego :

— Panie poruczniku, wyrrywamy ! Otaczają nas od prawego skrzydła !

Równocześnie grupka kanonierów unosząc swój sprzęt przemknęła do lasu jak stado spłoszonych zwierząt.

Ludomski ruszył za nimi.

— Ura ! ura ! ura ! — rozległo się za jego plecami.

Piechota bolszewicka szła do szturm na opuszczony okop.

Zaczęła się teraz dzika ucieczka przez ciemny las wśród huraganu pękających granatów i szrapneli, które stale przenosiły rowy strzeleckie. Uciekający rozbijali się o pnie drzew, kaleczyli o sęki, wywracali o korzenie, a przede wszystkim sami padali przy każdym bliższym wybuchu.

W ten sposób wydostali się na drogę. Tu już było zupełnie widno od szalejącego wokół pożaru. Biegli też co tchu w piersiach, spoceni i umierający ze zmęczenia, kaszląc i plując gęstą śliną.

Naraz plutonowy z baterii rzucił okiem na goniącego za nim Derenia i zawołał :

— Sierzancie, tam w tyle został ranny pewnie wasz dowódca kompanii.

Dereń zatrzymał się natychmiast. Popatrzył jeszcze przez chwilę za uciekającymi artylerzystami jakby namyślając się głęboko i zawrócił.

Ze sto kroków tylko miał do polany, gdzie wydostali się z lasu na drogę. Było tu widno, jakby w jakiś krwawy migotliwy dzień, na wszystkich bowiem skrajach palił się las górą i dołem. Rude płomyki skakały po gałęziach w grubych kłębach niebieskawego dymu niby nieprzeliczone stado igrających wiewiórek. Złocista toń rozlewała się po poszyciu. Pod niebem niby bańki mydlane mieniły

się obłoczki szrapnelowe. Ziemia pryskała całymi kawałami od bijących w nią bez litości granatów.

Derenia nic to wszystko nie przerażało. Stał się lekki i radosny jak nigdy. Oczy mu płonęły. W nosie i w ustach czuł żar własnego oddechu. Co parę chwil odczuwał przyjemny skurcz serca, jakby je ścisnęła figlarnie ciepła i miękka rączka dziecka. Rozkoszne dreszyczki wstrząsały jego nerwami przywołując myśli o wygodnym łóżku szpitalnym, które był tak lekkomyślnie opuścił.

— Mam gorączkę — uprzytomnił sobie, ale nic go to nie zaniepokoiło.

Bo oto o kilkanaście kroków od czarnego leja po świeżo wybuchłym granacie dojrzał bielejącą postać ludzką.

Był to podporucznik Ludomski. Leżał na twarzy w kałuży krwi jak niegdyś kapral Górny. Żył jeszcze, bo członkami jego wstrząsały konwulsje.

Dereń podważył go butem i przewrócił na wznak. Oficer miał rozerwane gardło jak niegdyś kapral Górny. Przez otwarte usta waliła mu krew jak z artezyjskiej studni. Oddech w rozdartej tchawicy świszcział przeraźliwie i zatapiał się w strumieniach posoki okropnym szlochem, podobnym do bulgotania baniek błotnych nad głową utopionego człowieka. Wywrócone białka błyskały w blasku łuny.

Możliwe, że umierający miał jeszcze trochę świadomości swego stanu, bo zwrócił na sierżanta przezroczyście od jasności pożarnej źrenice z wyrazem prośby czy nieśmiałej nadziei. Ale ten rozejrzał się wokoło jakby obawiając się, że go ktoś może podsłuchać, a potem nachylił się nad leżącym dowódcą kompanii i zasyczał pełnym nienawiści szeptem :

— A co, warto było tak zmarnować Górnego ?

Potem zaraz odwrócił się i wsadziwszy ręce w kieszenie postrzępionych spodni ruszył z powrotem, bo wokół zrywały się raz po raz czarne wulkany pękających granatów.

VII

Szedł wolno, bo naraz ogarnęło go zupełne znużenie, jakby wyczerpanie człowieka, który po długich trudach dokonał wreszcie niezmiernie ważnego dzieła, które stanowiło główny cel jego życia. Ręce ciążyły mu bezwładne, nogi ugiwały się w kolanach, pełna słodkiej senności głowa zwisała jak dynia. Delikatne dreszczyki chwytają go coraz częściej i coraz bardziej wstrząsająco. Były to najwyraźniejsze objawy wzrastającej gorączki.

— Znowu ta pieruńska febra nadchodzi ! — pomyślał.

Przypomniał sobie, co się dowiedział w szpitalu o istocie ataków malarii, że to białe ciała krwi w obrobie czerwonych toczą bój z obcymi drobno-ustrojami.

— Człowiek to tylko jedna kupa robactwa — filozofował. — A wszędzie na świecie wojny i wojny.

Wydawało mu się to zabawne. Wszystko jakoś wydawało mu się teraz zabawne. Nawet granaty, które ciągle zrywały się z ogromnym łoskotem w zaroślach wokół niego. Rozumiał bowiem, że ten bezcelowy ogień artylerii bolszewickiej nie pozwala posuwać się naprzód ich piechocie i że wobec tego on znajduje się zupełnie samotny wśród tej nawałnicy ognia i szalejącego wokół pożaru. Dawało mu to poczucie własnej mocy. Podniecająca radość niezaznanego dotychczas smaku łomotała mu w skroniach.

Naraz usłyszał tuż za sobą mocny i wyraźny głos Ludomskiego :

— Sierżant Dereń !

Wzdrygnął się i odwrócił błyskawicznie. Musiało mu się jednak zdawać, chociaż słyszał zupełnie dokładnie. Podporucznik leżał w tej samej pozycji, w jakiej go był zostawił, w takiej przy tym odległości, że niemożliwe było usłyszeć jego głos tak wyraźnie.

Poruszyło go to. Kto w takim razie mógł wołać ?

Rozejrzał się szybko — i włosy zaczęły mu się jeżyć pod czapką, a po krzyżu jedna za drugą biegły fale mrovia : na kilka kroków przed nim stała wyniosła postać,

różowa od łuny, z opuszczonymi ramionami i głową w niezmiernym smutku.

Poznał Chrystusa. Był to On niewątpliwie. Widział już gdzieś taki właśnie Jego wizerunek. W mig zorientował się, jak powinien się zachować wobec cudownej zjawy. Rzucił rogatywkę na ziemię, padł na oba kolana i zwinąwszy się w jeden kłęb pokory jął walić się pięścią w piersi jak przed Najświętszym Sakramentem :

— Pan mój i Bóg mój ! — szeptał gorąco znaną od dzieciństwa formułę. — Zawitaj, zawitaj, Przenajświętsze Ciało, któreś za nas na krzyżu było wisiało !...

Kiedy jednak odważył się podnieść wzrok ponownie — zerwał się zły i zawstydzony. Zjawisko było po prostu wiszącym na drzewie trupem młodocianego przewodnika baterii.

— Miał się też gdzie bydlak powiesić — mruknął z niesmakiem. — Dobrze, że mnie przynajmniej nikt tu nie widział.

Ale w tejże chwili o parę kroków od niego przeszło dwóch żołnierzy w hełmach, z plecakami i z bagnetami na karabinach. Przesunęli się cicho i bezszelestnie jak para duchów.

— Szperacze — domyślił się. — Ale skąd się tu wzięli ?

Spojrzał w kierunku, skąd nadeszli, a kiedy znowu rzucił wzrokiem w ich stronę, nikogo już nie zobaczył na oświetlonej pierścieniem pożaru arenie.

Zaniepokoiło go to trochę.

— Śniło mi się, czy co ?

Co prawda chciało mu się spać tak okropnie, że z trudnością opierał się chęćce, żeby nie paść na ziemię i nie zostać tak, cokolwiek by się miało potem zdarzyć.

Może by nawet rzeczywiście tak zrobić — szeptała mu pokusa. Przecie lada chwila powinno tu już być przeciwuderzenie polskich odwodów. Widział już nawet szperaczy.

Jednocześnie zobaczył, jak z płonącego zagajnika wyskoczyła biegiem szeroka tyralierka. Pędziła szybko i równo jak na ćwiczeniach. Wszyscy żołnierze byli świetnie umundurowani, oporządzeni i uzbrojeni. Mijali sierżanta tak blisko, że zatrzymał się i w najwyższym zdumieniu rozróżniał poszczególne postacie...

Oto gruby Rudajewski podskakuje na swoich krótkich nóżkach... Oto Jagusiak — jak zazwyczaj — z hełmem w lewej dłoni bodzie przestrzeń wielkim szczeciniaszym łbem... Oto Piesik ze zwykłym uśmiechem roztargnienia na ustach sunie jak torpeda, zwinięty wokół karabinu. Oto kędzierzawy Sitarek... Oto mały i tonący w swej obszernej kurcie Michał Robak... Oto szerokogęby kapral Dziduch... Oto wąsaty plutonowy Zajączkowski. Oto obaj oficerowie : Ludomski i Paprosiński z pistoletami w rękach...

A tam za nimi co za łażik tak się opóźnia?... Jakiś olbrzym jasnowłosa i powolny w długich brązowych butach i z przymrużonymi oczyma...

Górny !...

Dopiero wtedy obraz zniknął i Dereń zrozumiał, że podlega przywidzeniom wskutek gorączki, wyczerpania chorobą i długotrwałej bezsenności. Jak mógł się od razu nie poznać na oszustwie ? Przecie coś podobnego zdarzało mu się już nieraz, gdy musiał czuwać po ciężkich trudach i nieprzespanych nocach...

Śmiać mu się chciało. Stał jeszcze chwilę, aby lepiej zebrać się w sobie, i ruszył wielkim krokiem naprzód postanawiając twardo, że nie da się więcej nabrać.

Polana przed nim oświetlona była jaskrawo niby scena warszawskiego teatru.

Tak, to teatr. Oto z zarośli wymyka się długi korowód tancerek. Wszystkie drobne, zwinne i ponętne w swych różowych puszystych sukienkach. Suną bokiem na kształt rozwijającej się wstęgi objawszy się miłośnicie nagimi ramionami. Idealnie równo i jednocześnie wyrzucają w górę smukłe bosc nóżki. Żadna podchorążówka na najbardziej uroczystym przeglądzie przed samym naczelnikiem państwa nie pokaże tak doskonałego wyszkolenia.

Blaski pożaru ślizgają się po ich gładkich kolankach, napełniają powodzią złota ich puszyste główki...

Znikły.

Ale już w tej chwili klania się w pas zamiatając piórem kapelusza po ziemi wysmukły młodzian w obcisłym stroju hiszpańskim sprzed lat trzystu, w króciutkiej pelerynce i ze sterczącą szpadą...

Zniknął.

Ale już cała polana jest pełna życia i ruchu. Wszędzie migają barwne postacie ludzkie, twarze, całe grupy taneczne. Gromada dzieci utworzyła krąg wokół płonącego drzewka. Ba, nawet po wierzchołkach sosen tańczą jakieś baletnice przeginając się zalotnie na wszystkie strony...

Ale sierżant Dereń wiedział już dobrze, że wszystko to są jedynie przywidzenia, wywołane długotrwałą bezsennością i chorobą. Jedna jest tylko na świecie prawda święta i niecofniona — że kompania, która dopuściła do śmierci kaprała Górnego przestała istnieć.

Na to wspomnienie gorąca radość zalała mu znużony czuwaniem mózg, senna omdlałość ustąpiła mu ze wszystkich kości i ruszył rażno wielkimi krokami w głąb płonącego lasu poświstując przez zęby piosenkę o pierwszej brygadzie, która kpi sobie z wszelkiego uznania i z łez, i z serc...

K O N I E C

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Po śmierci kaprała Górnego</i>	9
<i>W wielkiej bitwie</i>	65
<i>Porażka</i>	122
<i>Po klęsce</i>	143
<i>W odwrocie</i>	196
<i>Na ubezpieczeniu</i>	229
<i>Zemsta sierżanta Derenia</i>	278



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 25 JUILLET 1958
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (18^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1958.

